



ŚMIERTELNA ODYSEJA
Miłość w świecie tyranii i kłamstwa

W OTCHEŁANI

BETH REVIS

Bestseller „New York Timesa”

Wydawnictwo Dolnośląskie

BETH REVIS

W otchłani



STARSZY

Patrzyłem na nią z góry. Była to najpiękniejsza, lecz zarazem najdziwniejsza istota; jaką kiedykolwiek widziałem. Miała bladą skórę - tak bladą, że aż - niemal przezroczystą, choć nie wydawało mi się, by wynikało to wyłącznie z chłodu. Przyłożyłem dłoń do pokrywy pojemnika tuż nad, sercem nieznajomej, a moje ciało stało się cieniem na jasności jej ciała.

A M Y

Biegłam, biegłam, biegłam...

Obok Szpitala, przez ogród, przy sadzawce. Aż do zimnej metalowej ściany. Zatrzymałam się, łapczywie chwytając powietrze. W uszach dudniły mi uderzenia serca. Wyciągnęłam w górę rękę i dotknęłam ściany. Moja dłoń zwinęła się w pięść, ale ręka w końcu opadła i zawisła bezsilnie przy ciele. I wtedy dotarła do mnie najważniejsza prawda o życiu na tym statku. Tu nie było dokąd uciec.

Rodzicom, którzy odnaleźli naukę w naturze;

Mężowi, który odnalazł naukę w technice;

Albowiem kochają mnie ci, którzy odnaleźli naukę w fikcji Dei gratia.

...Nothing's gonna change my world.

Obrazy rozbitego światła tańczą przede mną niczym milion oczu Nawołując mnie z otchłani gwiazd...

...Mojego świata nic nie zmieni.

John Lennon, Paul McCartney

1

AM Y

- Niech mama idzie pierwsza - powiedział tato.

Mama chciała, żebym to ja poszła pierwsza. Chyba się bała, że gdy już ich zamkną i zamrożą, ucieknę; wrócę do życia, zamiast powierzać swoją przyszłość temu zimnemu przejrzystemu pudłu. Ale tato nalegał.

- Amy musi zobaczyć, jak to jest - tłumaczył. - Ty idź pierwsza, niech patrzy. Ja z nią zostanę, pójdę jako ostatni.

- Ty idź pierwszy - upierała się mama. - Ja pójdę ostatnia.

Problem w tym, że przed wejściem do środka trzeba się było rozebrać, a ani mama, ani tato nie chcieli, żebym oglądała ich golusieńkich (nie żeby mnie zależało na podziwianiu rodziców w całej ich nagiej okazałości, fuj). Z dwojga złego wołałam jednak, żeby to mama poszła pierwsza, bo w końcu miałyśmy wszędzie to samo.

Wyglądała na okropnie chudą, kiedy się rozebrała. Jej obojczyki wystawały jeszcze bardziej, a cienka jak papier ryżowy skóra była pomarszczona niczym u staruszki albo człowieka, który zbyt długo siedział w wodzie. Brzuch, zazwyczaj schowany pod warstwą ubrań, zapadł się w dziwnie wymięty sposób, przez co sprawiała wrażenie jeszcze kruchszej i słabszej.

Technicy z laboratorium nie zwracali uwagi na jej nagość; była im równie obojętna, jak obecność moja i taty. Pomogli mamie położyć się w przejrzystej kriokomorze, którą można by pomylić z trumną, gdyby nie fakt, że trumny mają poduszki i wydają się o wiele wygodniejsze. To było raczej pudełko na buty.

- Zimno mi - odezwała się mama. Jej blada, mleczna skóra przylgnęła do dna komory.

- Nic pani nie poczuje - mruknął jeden z techników. Na jego plakietce widniało: Ed.

Odwrociłam wzrok, kiedy inny z pracowników, Hassan, wbijał w mamę igły kroplówek. Jedną w lewą rękę, w zgięcie łokcia, drugą w prawą dłoń, w tę grubą żyłę tuż pod kostkami.

- Proszę się rozluźnić - powiedział Ed. Zabrzmiało to raczej jak rozkaz niż sugestia.

Mama przygryzła wargę.

Paskudztwo w kroplówkach nie płynęło jak woda - toczyło się ciężko jak miód. Hassan ścisnął worek, by przepchnąć je przez przewód. Było błękitne jak niebo i chabry, które Jason dał mi przed balem maturalnym.

Mama syknęła z bólu. Ed zwolnił żółty plastikowy zacisk pustej kroplówki podpiętej

do zgięcia łokcia i przewodem popłynęła pod ciśnieniem krew, gromadząc się w worku. Mamie stanęły w oczach łzy. Niebieskie świństwo z drugiej kroplówki połyskiwało - delikatny błękit nieba prześwitywał przez żyły, gdy gęsta ciecz wspinała się w górę ramienia.

- Trzeba czekać, aż dotrze do serca - wyjaśnił Ed, zerkając w naszą stronę. Tato zacisnął pięści. Wpatrywał się w mamę, ale ona miała zamknięte oczy, a na jej rzęsach wisiały dwie gorące łzy.

Hassan znów złapał za worek z niebieskim płynem. Z miejsca, gdzie mama wbijała zęby w wargę, pociekła strużka krwi.

- To właśnie dzięki tej substancji zamrażanie jest w ogóle możliwe - oznajmił Ed swobodnym tonem, jakby był piekarzem opowiadającym o wpływie drożdży na wzrost chleba. - Wewnątrz komórek tworzą się drobne kryształki lodu, które rozrywają ściany komórkowe. A dzięki tej substancji te ściany są wytrzymalsze, lód ich nie niszczy. - Spojrzał na mamę. - Tylko że boli jak jasna cholera, kiedy płynie przez żyły.

Mama jeszcze bardziej pobladła. Leżała w przejrzystym pudle w zupełnym bezruchu, jakby się bała, że pęknie, jeśli choćby drgnie. Już wyglądała na martwą.

- Chciałem, żebyś to zobaczyła - szepnął do mnie tato, chociaż wciąż patrzył na mamę. Nawet nie mrugnął.

- Dlaczego?

- Żebyś wiedziała, jak to jest, zanim sama tam wejdiesz.

Hassan ścisnął kroplówkę z niebieskim paskudztwem. Mama konwulsyjnie przewróciła oczami; myślałam, że zemdleje, ale cały czas była przytomna.

- Zaraz będzie po wszystkim - powiedział Ed, spoglądając na worek z krwią, który wypełniał się coraz wolniej.

Przez chwilę słychać było tylko ciężki oddech Hassana pocierającego plastikowe ściany kroplówki. I cichy odgłos wydobywający się z ust mamy, brzmący niczym skomlenie zdychającego kociaka.

Niebieski blask zamigotał w kaniuli wystającej ze zgięcia ramienia.

- Dobra, wystarczy - rzucił Ed. - Wszystko jest już w jej krwi.

Hassan wyciągnął igły kroplówek. Mama chrapliwie odetchnęła z ulgą.

Tato pchnął mnie naprzód. Spojrzałam w dół i przypomniałam sobie, jak w zeszłym roku patrzyłam w taki sposób na babcię, kiedy zegnaliśmy się z nią w kościele. Mama powiedziała wtedy, że babcia odeszła do lepszego miejsca, chociaż w rzeczywistości chodziło jej tylko o to, że umarła.

- Jak było? - zapytałam.

- Nie tak źle - skłamała. Przynajmniej wciąż miała dość siły, by mówić.

- Mogę jej dotknąć? - zwróciłam się do Eda. Wzruszył ramionami, więc wyciągnęłam rękę i chwyciłam ją za palce lewej dłoni. Były zimne jak lód i nie odpowiadały na mój uścisk.

- Możemy kontynuować? - Ed potrząsnął wielkim zakraplaczem.

Cofnęliśmy się z tatą, ale tylko o krok, aby mama nie pomyślała, że zostawiliśmy ją samą w tym lodowatym pudełku na buty. Ed miał wielkie zrogowaciałe palce, które przypominały nieociosane kłody, kiedy unosił nimi cienkie jak papier powieki mamy. Na każde z zielonych oczu spadła jedna kropla żółtej substancji. Ed zrobił to - ar szybko - kap, kap - a następnie jakby siłą zamknął mamie powieki. Już ich nie podniosła.

Tym razem musiałam wyglądać na wstrząśniętą, bo gdy Ed spojrzał w górę i napotkał mój wzrok, przerwał pracę. Uśmiechnął się do mnie pocieszająco.

- Zeby nie oślepla - wyjaśnił krótko.

- Wszystko w porządku - odezwała się mama z pudełka na buty. Mimo że oczy miała zamknięte, słyszałam w jej głosie łzy.

- Przewody - rzucił Ed, a Hassan podał mu trzy przezroczyste plastikowe rurki. - Dobra, proszę mnie posłuchać. - Nachylił się nad twarzą mamy. - Włożę je pani w gardło. Nie będzie to zbyt przyjemne. Proszę robić tak, jakby je pani połykała.

Mama kiwnęła głową i otworzyła usta, a Ed wepchnął jej przewody do gardła. Wstrząsnęły nią gwałtowne torsje, które zaczynały się w żołądku i wędrowały w górę, aż do wysuszonych, spękanych ust.

Zerknęłam na tatę. Jego oczy były zimne i nieustępliwe.

Minęło sporo czasu, zanim mama się uspokoiła i ucichła. Próbowwała przełykać, a mięśnie jej gardła dostosowywały się do kształtu przewodów. Ed przewiół ich końcówki przez otwory w tylnej ścianie ciasnej komory, tuż za głową mamy. Tymczasem Hassan otworzył jedną z szuflad i wyciągnął ze środka splątany gąszcz kabli elektrycznych. Wcisnął kolorową wiązkę w pierwszą rurkę, długi czarny kabel z niewielkim pojemnikiem w drugą i wreszcie malutki kwadratowy kawałek plastiku przypominający miniaturowy panel słoneczny na końcu przewodu optycznego w trzecią. Podpiął wszystkie te kable do białej skrzyneczki, którą Ed umocował za otworami pudełka na buty. Nagle zdałam sobie sprawę, że nie było ono niczym więcej niż wyszukany kontenerem.

- Pożegnaj się.

Spojrzałam w górę, zaskoczona uprzejmością głosu. Ed stał plecami do nas i pisał coś na komputerze - to Hassan się odezwał. Kiwnął głową, by dodać mi otuchy.

Tato musiał pociągnąć mnie za ramię. Ten widok... Nie chciałam, aby tak wyglądało

moje ostatnie wspomnienie mamy. Zaskorupiała żółć na oczach, plastikowe przewody osłaniające kable wciśnięte w głąb gardła, delikatny błękitny połysk pompowany przez żyły... Tato pocałował ją, a mama uśmiechnęła się niewyraźnie zza kabli. Poklepałam ją po ramieniu - ono także było lodowate. Wychrypiała coś w moją stronę, więc się nachyliłam. Dwa dźwięki, a w zasadzie dwa bełkotliwe chrząknięcia. Wiedziałam jednak, że słowa, które próbowała precyzyjnie między rurkami, brzmiały: „Kocham cię”.

- Mamusiu - szepnęłam, gładząc ją po skórze miękkiej jak papier. Odkąd skończyłam siedem lat, nigdy nie zwracałam się do niej inaczej niż po prostu „mamo”.

- Dobra, starczy - powiedział Ed. Tato wsunął mi niepostrzeżenie dłoń pod ramię i delikatnie pociągnął. Wyrwałam się. Zmienił taktykę - złapał mnie, obrócił i przytulił do twardej, umięśnionej piersi. Tym razem nie stawiałam oporu. Ed i Hassan podnieśli razem coś, co wyglądało jak szpitalna wersja węża strażackiego, a komora przypominająca pudełko na buty zaczęła się wypełniać nakrapianym błękitnymi iskierkami płynem. Mama prychnęła, gdy dotarł na wysokość jej nosa.

- Wciągnij do płuc - Ed podniósł głos, starając się przekrzyczeć szum. - Po prostu spróbuj się rozluźnić.

Skotłowany strumień bąbelków przysłonił twarz mamy. Pokręciła gwałtownie głową, nie chcąc pozwolić, by niebieski płyn ją utopił, ale już po chwili zakrył ją i musiała dać za wygraną. Ed odłączył wąż i zmarszczki na powierzchni cieczy się wygładziły. Wnętrze komory zamarło. Mama zamarła.

Ed i Hassan opuścili na mamę pokrywkę pudełka na buty, po czym wepchnęli je w tylną ścianę pomieszczenia. Dopiero gdy zamknęli nieduże drzwiczki, dotarło do mnie, że jest ich znacznie więcej, trochę jak w kostnicy. Przekręcili uchwyt. Przez szparę precyzyjnie się z sykiem para i proces błyskawicznego zamrażania dobiegł końca. W jednej chwili mama jeszcze z nami była, a w następnej wszystko, co czyniło ją mamą, skostniało i zlodowaciało. Wiedziałam, że przez następne trzy stulecia, póki ktoś nie otworzy drzwiczek i jej nie obudzi, nie będzie się niczym różnić od trupa.

- Teraz dziewczyna? - zapytał Ed.

Wystąpiłam naprzód, zaciskając pięści, by zapanować nad drżeniem rąk.

- Nie - odparł tato.

Ed i Hassan zabrali się już jednak za przygotowywanie następnego pudełka na buty, nawet nie czekając na odpowiedź. Nie interesowało ich, kto będzie następny: ja czy on - po prostu wykonywali swoją pracę.

- Dlaczego nie? - zapytałam taty.

- Teraz moja kolej. Mama nie chciała się zgodzić - myślała, że się wycofasz i nie polecisz z nami. Cóż, chcę, żebyś sama podjęła tę decyzję. Ja pójdę następny. Jeśli uznasz, że wolisz odejść, że nie chcesz się zamrażać - droga wolna. Już powiedziałem cioci i wujkowi. Czekają na zewnątrz, będą tam do piątej. Kiedy skończą mnie zamrażać, możesz po prostu wyjść. My z mamą nie będziemy nic wiedzieć, przynajmniej dopóki nas nie obudzą za kilkaset lat. Jeśli uznasz, że wolisz żyć, niż dać się zamrozić, zaakceptujemy to.

- Ale, tato, ja...

- Nie. Nie powinnaś czuć się winna z naszego powodu. Łatwiej podejmiesz uczciwą decyzję, kiedy nas tu nie będzie.

- Przecież obiecałam tobie, mamie... - Głos mi się łamał. Boleśnie piekły mnie oczy, więc zacisnęłam powieki. Dwie strużki łez spłynęły mi po policzkach.

- Nieważne. To jest zbyt wielka obietnica i nie możemy oczekiwać, że jej dotrzymasz. Musisz wybrać sama. Jeżeli postanowisz odejść, zrozumiem. Daję ci po prostu możliwość rezygnacji.

- Ale oni wcale cię nie potrzebują! Mógłbyś zostać. Na litość boską, przecież i tak nie masz żadnego znaczenia dla powodzenia tej misji, jesteś tylko wojskowym! Do czego analityk połowy może się przydać na zupełnie nowej planecie? Mógłbyś tutaj zostać, mógłbyś zostać...

Tato pokręcił głową.

-...ze mną - dokończyłam szeptem, choć nie było sensu go prosić. Już podjął decyzję. Zresztą sama wiedziałam, że nie mam racji. Tato był szóstym ogniwem w łańcuchu dowodzenia - i mimo że raczej nie dawało mu to prawa do tytułowania się naczelnym dowódcą, zajmował dość wysokie stanowisko. Mama też była ważna - nikt lepiej niż ona nie znał się na łączeniu fragmentów DNA, a oni potrzebowali jej do wyhodowania roślin, które będą wzrastać na nowej planecie.

Tak naprawdę tylko ja byłam zbędna.

Tato schował się za parawanem i rozebrał do naga, a gdy wyszedł, Ed i Hassan podali mu ręcznik, żeby mógł się zakryć. Zabrali mu go jednak, gdy tylko położył się w kriokomorze, więc nie chcąc jeszcze bardziej utrudniać nam pożegnania, utkwiałam wzrok w jego twarzy. Z zaskoczeniem ujrzałam na niej ból - wyraz, którego nigdy wcześniej tam nie było. Strach i zwątpienie jeszcze mocniej skręciły mi wnętrzności. Patrzyłam, jak podłączali mu kroplówki i jak zamykali mu oczy. Próbowałam wycofać się w głąb siebie, zdusić okrzyk przerażenia, który odbijał się echem między ścianami mojej czaszki. Stałam prosto jak tyczka, z kręgosłupem jak z żelaza i z kamienną twarzą, a gdy wkładali mu do gardła przewody,

ścisnął moją dłoń - raz, ale mocno. Rozpadłam się wtedy na tysiąc kawałków, w środku i na zewnątrz.

Zanim wpuścili do jego pudełka na buty migotliwy niebieski płyn, tato podniósł rękę i wyprostował mały palec. Chwyliłam go swoim. Wiedziałam, co próbuje przekazać mi tym gestem - że wszystko będzie w porządku. Prawie mu uwierzyłam.

A gdy wreszcie kriokomora wypełniła się po brzegi, rozplakałam się tak bardzo, że nie widziałam jego twarzy. Zaraz potem opuścili wieko i zatrzasnęli go w lodowej kostnicy. Smuga białej pary uciekła przez szczelinę w drzwiach.

- Mogę go jeszcze raz zobaczyć? - zapytałam.

Ed i Hassan spojrzeli po sobie. Hassan wzruszył ramionami, więc Ed złapał za uchwyt drzwiczek i otworzył je, po czym wyciągnął ze środka przejrzystą trumnę.

I oto on. Półprzezroczysty niebieski płyn zamarzał - a wraz z nim tato, zdałam sobie sprawę. Położyłam dłoń na szybie, żałując, że nie czuję przez lód ciepła jego ciała, ale szybko ją oderwałam. Pokrywa była tak zimna, że aż parzyła mnie w palce. Na niewielkim elektrycznym pudełku, które Hassan zamontował na tylnej ścianie, mrugały zielone diody.

Mężczyzna pod grubą warstwą lodu w ogóle nie przypominał mojego ojca.

- No to jak będzie? - zagaił Ed. - Schodzisz pod wodę czy wolisz po cichu urwać się z przyjęcia? - Wsunął pudełko na buty z powrotem w ciasny otwór w ścianie.

Kiedy spjrzałam na Eda, oczy miałam pełne łez i jego twarz zupełnie się rozmazała. Wyglądał trochę jak cyklop.

- Ja...

Uciekłam wzrokiem w stronę drzwi wyjściowych, znajdujących się po przeciwnej stronie pomieszczenia, za aparaturą do zamrażania. Za tymi drzwiami czekali wujek i ciocia, ludzie, których kochałam i z którymi mogłabym być szczęśliwa. Czekał za nimi Jason. Rebecca, Heather, Robyn - wszyscy moi przyjaciele. Góry, kwiaty, niebo... Ziemia. Za tymi drzwiami czekała Ziemia. I życie.

Mimo to czułam, jak przyciągają mnie otwory w ścianie. W środku spali mama i tato.

Płakałam, rozbierając się. Pierwszym chłopakiem, który zobaczył mnie nago, był Jason, i to tej samej nocy, kiedy zrozumiałam, że będę musiała porzucić wszystko, co ziemskie - oczywiście z nim na czele. Nie podobała mi się myśl, że ostatnimi chłopakami na tej planecie, którzy obejrzą mnie w stroju Ewy, będą Ed i Hassan. Tu i tam próbowałam zasłonić się rękami, ale zmusili mnie, bym je zabrała, kiedy wbijali mi igły kroplówek.

Mój Boże... Było znacznie gorzej, niż dała to po sobie poznać mama. Mój Boże. Mój Boże... Czułam, jak jednocześnie płonę i zamarzam. Gdy do mojego organizmu dostało się

niebieskie paskudztwo, mięśnie napięły się do granic wytrzymałości. Serce chciało wyskoczyć mi z piersi, waląc o mostek jak kochanek dobijający się do drzwi, ale niebieski płyn próbował mu w tym przeszkodzić i sprawiał, że biło coraz wolniej. Zamiast bumbum, bumbum, wkrótce było bum... bum...

...bum...

...bum...

Ed uniósł mi powieki. Piasty Zimna żółta ciecz wypełniła mi oczodół, sklejjając oko niczym żywica. Piasty.

Byłam teraz ślepa.

Jeden z nich, chyba Hassan, postukał mnie palcem po brodzie, więc posłusznie otworzyłam usta. Najwyraźniej nie dość szeroko, bo rurki zadzwoniły mi o zęby. Otworzyłam szerzej.

I wtedy wepchnęli mi je w przełyk. Mocno. Nie były tak giętkie, na jakie wyglądały. O nie - miałam raczej wrażenie, że wciskają mi do żołądka natłuszczone kije od miotły. Wszystko podniosło mi się do gardła, raz i drugi. Czułam posmak wymiocin i miedzi spod plastikowych osłonek.

- Połykaj! - krzyknął mi do ucha Ed. - Po prostu spróbuj się rozluźnić!

Łatwo powiedzieć.

Na szczęście już po chwili przewody znalazły się na swoim miejscu, aż załaskotało mnie w żołądku. Ruszały się w środku, gdy Hassan wtykał końcówki do niewielkiej czarnej skrzyneczki na szczycie mojego własnego pudełka na buty.

Zaraz potem usłyszałam szuranie. Podłączali wąż.

- Nie mam pojęcia, czemu ktokolwiek się na to pisze - powiedział Hassan.

Cisza.

Metaliczne szczęknięcie - otwierali zawór. Strumień lodowatego płynu uderzył o moje uda. Chciałam poruszyć rękami, żeby zakryć się w tamtym miejscu, ale całe moje ciało wydawało się dziwnie ospałe.

- Sam nie wiem - mruknął Ed. - Sprawy nie wyglądają tu zbyt różowo. Od czasu pierwszej recesji wszystko się chrzani, a potem jeszcze druga... Zdaje się, że Gielda Zasobów Finansowych miała zapewnić więcej miejsc pracy, a dalej nie ma nic oprócz takich gównianych fuch jak ta. Co będziemy robić, jak już ich wszystkich zamrozimy?

Znów cisza. Płyn kriogeniczny omywał mi kolana, a we wszystkie ciepłe zagłębienia ciała - w zgięcia kolan i łokci, pod piersi - wsączał się chłód.

-1 tak nie warto oddawać im swojego życia. Nie za to, co oferują.

Ed prychnął.

- A co oferują? Dożywotnią pensję za postawienie na świstku jednego ptaszka.

- I na co ci ta pensja na statku, który następnie trzysta jeden lat spędzi w kosmosie?

Serce zamarło mi w piersi. Trzysta... jeden? Nie, coś musieli pomylić. Równe trzysta lat, trzysta i ani jednego dnia więcej.

- Taka suma na pewno przydałaby się niejednej rodzinie. Mieć ją albo nie mieć... Czasami nie potrzeba niczego więcej.

- Do czego? - zapytał Hassan.

- Do przetrwania. Świat nie wygląda już tak jak wtedy, gdy byliśmy dziećmi. Mam gdzieś gadki preza, Akt Finansowy nie pomoże załatać takiej dziury w budżecie.

O czym oni gadają? Kogo obchodzi dług publiczny i bezrobocie? Wróćcie do tego nadprogramowego roku!

- Człowiek ma czas, żeby się nad tym dobrze zastanowić - ciągnął Ed. - Żeby rozważyć wszystkie opcje. Dlaczego po raz kolejny opóźnili start?

Płyn kriogeniczny zmoczył mi małżowiny uszu. Spróbowałam unieść lekko głowę.

Opóźnienie? Jakie opóźnienie? Chciałam coś powiedzieć, ale plastikowe przewody wypełniały mi gardło, plątały język i tłumili słowa.

- Nie mam pojęcia. Wspominali coś o paliwie i o analizach z sond. Ale dlaczego tak im zależy, żeby zamrażanie przebiegło zgodnie ze starym harmonogramem?

Poziom płynu podnosił się coraz szybciej. Odwróciłam głowę, żeby chociaż jednym uchem podsłuchiwać rozmowę.

- A kogo to obchodzi? - odparł Ed. - Na pewno nie ich, i tak wszystko prześpią. Podobno sama podróż na tę planetę potrwa trzysta lat. Rok mniej czy więcej... Bez różnicy.

Stwierdziłam, że muszę usiąść. Moje mięśnie były twarde i odrętwiałe, ale nie dawałam za wygraną. Znów spróbowałam się odezwać, wydusić z siebie jakikolwiek dźwięk. Bezskutecznie - lodowaty płyn zalewał mi twarz.

- Musisz. Się. Rozluźnić! - prawie wrzasnął mi do ucha Ed.

Pokręciłam głowę. Czy oni naprawdę niczego nie rozumieli?

Przecież ten rok robił ogromną różnicę! To byłby rok dłużej z Jasonem, dodatkowy rok życia! Podpisałam kontrakt na trzysta lat, a nie na trzysta jeden!

Delikatne ręce - Hassana? - wepchnęły mnie z powrotem pod powierzchnię płynu kriogenicznego. Wstrzymałam oddech, próbując wstać. Chciałam odzyskać mój rok! Ostatni rok, jeszcze jeden rok życia...

- Wciągnij to w płuca. - Błękitna ciecz tłumiała głos Eda, sprawiając, że poszczególne

słowa stawały się praktycznie nie do rozróżnienia. Znow spróbowałam pokręcić głową, ale mięśnie mojej szyi zeszytwniały, a płuca podniosły bunt. Lodowaty płyn kriogeniczny wdarł mi się do nosa, przecisnął obok przewodów i spłynął w głąb ciała.

Widok pokrywy opadającej na przejrzystą trumnę Królowny Śnieżki miał w sobie coś ostatecznego.

Kiedy jeden z techników naparł na przednią ściankę kriokomory, by zatrzaskać mnie w tej kostnicy, wyobraziłam sobie, że po drugiej stronie niewielkich drzwiczek czeka mój własny książę z bajki - że naprawdę obudzi mnie pocałunkiem i spędzimy razem cały kolejny rok.

Zaraz potem do moich uszu dotarło ciche liAIA i trrrr obracających się kół zębanych. Zrozumiałam, że już za chwilę rozpocznie się proces zamrażania, a całe moje życie zamieni się w obłoczek pary, który z sykiem umknie przez szparę w drzwiczkach.

Pomyślałam wtedy: Przynajmniej zasnę. Na trzysta jeden lat zapomnę o wszystkim.

A zaraz potem: Ta, to rzeczywiście całkiem miło.

I nagle - trzaski Przez ciasną przestrzeń komory przemknął zamrażający błysk. Byłam zakuta w lodzie. Byłam lodem.

Jestem lodem.

Ale skoro jestem lodem, jak to możliwe, że wciąż myślę? Przecież powinnam zapaść w sen, na trzysta jeden lat zapomnieć o Jasonie, życiu i Ziemi. Nie ja pierwsza poddawałam się zabiegowi zamrażania, a ci, którzy zrobili to przede mną, zgodnie twierdzili, że byli nieprzytomni. Gdy umysł zamarza, człowiek nie może być świadomy ani przytomny.

Czytałam kiedyś o ofiarach śpiączki, które podczas operacji widziały i czuły, chociaż podano im środki znieczulające.

Oby tylko nie spotkało mnie nic podobnego... Modliłam się, żeby mnie nie spotkało. Nie mogę być świadoma przez trzysta jeden lat. Nie przetrwałabym tego.

A może po prostu śnię. Może w ciągu trzydziestominutowej drzemki wyśniłam całe swoje życie. Może wciąż znajduję się w stadium, które dzieli życie od zamrożenia, a to wszystko jest wyłącznie snem. Może jeszcze nie opuściliśmy Ziemi. Może wciąż trwa ten rok beczynności przed odlotem, a ja utknęłam w koszmarze, z którego nie potrafię się obudzić.

Może wciąż rozciąga się przede mną wieczność trzystu jeden lat.

Może wcale nie śpię. Nie całkiem.

Może, może, może.

Tylko jedno wybrzmiewa jasno i wyraźnie.

Oddajcie mi ten rok.

STARSZY

Drzwi nie chciały się otworzyć.

- A niech mnie - rzuciłem z zaskoczeniem do pustego pomieszczenia.

Widzicie, trzeba mieć nie lada szczęście, żeby znaleźć na „Błogosławionym” zamknięte drzwi. Po prostu nie są potrzebne. „Błogosławionego” trudno nazwać małym - kiedy dwa i pół wieku temu opuścił Ziemię, był największym statkiem zbudowanym przez człowieka, choć nie jest też aż tak wielki, żebyśmy nie czuli ciężaru napierających na nas metalowych ścian. Intymność to na nim najwyższej ceniona wartość, w związku z czym nikt - dosłownie nikt - nie ważyłby się jej pogwałcić.

I właśnie dlatego zamknięte drzwi wydały mi się czymś dziwnym. Po co zamykać drzwi, których nikomu nie przyszłoby do głowy forsować?

Nie żebym był zaskoczony. To cały Najstarszy.

Zacisnąłem wargi. Najbardziej w tym wszystkim martwiła mnie świadomość, że te drzwi są zamknięte ze względu na mnie. Bo niby na kogo innego? Znajdowałem się na Poziomie Strażnika - tylko Najstarszy i ja, obecny oraz przyszły dowódca statku, mieliśmy tutaj wstęp.

- Niech to gzyf! - krzyknąłem, uderzając w drzwi.

Bo wiedziałem - po prostu wiedziałem - że po drugiej stronie kryje się moja szansa. Kiedy Najstarszy dostał wezwanie na Poziom Sternika, aby sprawdzić silnik, wrócił do kwatery po jakieś pudełko i pognął z nim aż do włazu, po czym zaniósł je z powrotem na miejsce. A później zamknął przede mną drzwi. Najwyraźniej w tym pudełku znajdowało się coś ważnego: coś, co miało związek ze statkiem i o czym ja, dowódca na etapie szkolenia, powinienem wiedzieć.

Kolejna rzecz, którą Najstarszy postanowił trzymać jak najdalej ode mnie. Niech go gwiazdy bronią, żeby dla odmiany choć raz czegoś mnie nauczył, zamiast zawalać tymi odmóżdżającymi lekcjami i raportami.

Gdybym tylko dorwał to pudełko w swoje ręce, mógłbym udowodnić... No właśnie, co? Przecież tak naprawdę nie mam zielonego pojęcia, co kryje się w środku. Cokolwiek by to jednak było, wiedziałem, że Najstarszy musi teraz znacznie częściej zaglądać na Poziom Sternika. Z pewnością stało się coś poważnego, bo jeszcze nigdy dotąd nie wydawał się niczym tak zaaferowany.

Gdyby tylko dali mi gzyfową szansę, może wreszcie do czegoś bym się przydał.

Kopnąłem ze złością w drzwi, po czym odwróciłem się i oparłem o nie plecami. Trzy lata temu, gdy rozpoczynałem naukę, miałem gdzieś, czy szkolenie pod okiem Najstarszego przebiega tak, jak należy. Przede wszystkim cieszyłem się, że wreszcie pozwolili mi opuścić Poziom Żywiciela. Choć nazywam się Starszy, tak naprawdę jestem najmłodszym obywatelem na statku. Zawsze wiedziałem, że jako ten, który urodził się w międzyleciu, będę Najstarszym następnego pokolenia. Nigdy nie czułem się swobodnie pośród żywicieli i ich obsesji na punkcie upraw. Sam fakt, że mogłem zamieszkać z Najstarszym, pozwolił mi odetchnąć z ulgą.

Teraz jednak mam już szesnaście lat i zaczyna mnie wkurzać, że całe moje szkolenie sprowadza się do nudnych lekcji. Najwyższy czas, żebym wyrósł na prawdziwego przywódcę - czy się to Najstarszemu podoba, czy nie.

Pokonany przez zamknięte drzwi. Nic dziwnego, że Najstarszy nie kłopotczy się moim szkoleniem.

Uderzyłem głową o gródź i nadziałem się na kwadratowy, wystający fragment metalu. Skaner biometryczny. Zawsze myślałem, że obsługuje światła w Wielkiej Sali. Funkcja skanerów biometrycznych polega właśnie na tym - na komunikowaniu się ze statkiem. Włączają światła, elektronikę - i otwierają drzwi.

Odwróciłem się i przeciągnąłem kciukiem po czytniku skanera.

- Najstarszy/Starszy, dostęp przyznany - zaświergotał komputer wesołym kobiecym głosem. Jako Starszy mam takie same uprawnienia, jak Najstarszy.

- Polecenie? - zapytał komputer.

Hm. Dziwne. Zwykle po udzieleniu dostępu drzwi otwierają się automatycznie. Jakie polecenie powinienem im wydać?

- Eee... otwórz?

Wbrew oczekiwaniom drzwi prowadzące do kwatery Najstarszego nawet nie drgnęły. Zamiast tego dostrzegłem ruch sufitu. Obróciłem się na pięcie, czując, jak serce wali mi w piersi. Nad moją głową metalowe zadaszanie rozdzieliło się na dwie części i zaczęło opadać, odsłaniając...

Odsłaniając okno.

Okno, przez które mogłem wyjrzeć na zewnątrz.

I zobaczyć gwiazdy.

Wiedziałem, że w kadłubie statku znajdują się luki, ale Najstarszy nigdy mi ich nie pokazał, tak samo jak nie pokazał mi potężnego silnika napędowego ani niektórych wpisów z dziennika pokładowego sprzed czasu Plagi. Aż do tej pory nie miałem pojęcia, że metalowy

sufit Wielkiej Sali zasłania okno na wszechświat.

Nigdy wcześniej nie widziałem gwiazd.

I nie zdawałem sobie sprawy, że są takie piękne.

A teraz rozciągał się przede mną cały wszechświat. Wielki, gzyfowo wielki wszechświat. Moje oczy wypełniły się blaskiem gwiazd. Och, było ich tak wiele. Wyglądały niczym pucinanane białe kreseczki z niewyraźnymi pióropuszcami kolorów - głównie czerwieni i żółci, ale tu i ówdzie pojawiały się także błękity i zielenie. Patrząc na nie, poczułem się znacznie bliższy lądowania na obcej planecie niż kiedykolwiek wcześniej. Już to widziałem: otwieramy po raz pierwszy właz, jest noc; nie ma księżycy ani chmur, a my zatrzymujemy się na chwilę przed wyruszeniem na podbój nowego świata, by spojrzeć w gwiazdy.

- Dostęp unieważniony - nadal miłym głosem odezwał się komputer. - Opuszczam ekran.

Opuszczam ekran? Ze co?

Nad moją głową jasno lśniły gwiazdy.

I raptem okno na wszechświat zaczęło pękać. Na samym środku pojawiła się cienka rysa i powoli rosła.

Niech to gzyf. Gzyf do potęgi!

Wielką Salę wypełnił ogłuszający huk. W panice rozejrzałem się raz i drugi, szukając czegoś, za co mógłbym złapać, ale niczego tu nie było - Wielka Sala to tylko otwarta przestrzeń. Dlaczego nigdy wcześniej nie zwróciłem uwagi, jak bezużyteczne jest pomieszczenie, w którym nie ma się czego przytrzymać? Było ogromne, jasne, ale składało się z nagich ścian, podłogi i drzwi - nic nie mogło mnie uratować przed pękniętym oknem i wystawieniem na działanie przestrzeni kosmicznej. A co później? Statek rozpadnie się na kawałki? A ja? Imploduję, eksploduję albo coś w tym rodzaju. Już nie pamiętam dokładnie, ale to bez znaczenia. Końcowy rezultat będzie dokładnie taki sam. Tunika zwiślała mi ciężko z ramion, klejąc się do spoconej skóry, ale ja potrafiłem myśleć tylko o tym, jak cienki jest jej materiał w starciu z niszczącą siłą kosmosu.

Za chwilę umrę.

Za chwilę wysię mnie w przestrzeń.

Imploduję.

Zginę.

Zaraz potem uderzyła mnie kolejna myśl: co z resztą statku? Jeśli Poziom Strażnika zostanie spenetrowany, próżnia wysię nie tylko mnie - przedrze się przez Poziom Strażnika na Poziom Sternika, a stamtąd na Poziom Żywiciela, i zginą wszyscy - każdy człowiek

przebywający na pokładzie.

Moje stopy ślizgały się na kafelkach, kiedy biegłem przez pomieszczenie. (Z początku nogi chciały pokierować mnie w stronę śluzy, która prowadziła do przetrwania i wolności, ale zignorowałem je; próbowały po prostu utrzymać mnie przy życiu, nie dbały o statek). Rzuciłem się do wielkiego czerwonego przycisku nad śluzą.

Podłoga zadrżała, gdy Poziom Strażnika został odcięty od reszty statku. Teraz nie było już drogi ucieczki.

Odwrociłem się w stronę sufitu, w stronę odsłoniętego wszechświata.

W stronę śmierci.

3

AM Y

Prezydent nazwał to „spełnieniem amerykańskiego snu”.

Tato wolał określenie „parszywe przymierze pieniądza i rządu”.

Tak naprawdę jednak wszystko sprowadzało się do tego, że Ameryka dała za wygraną. Podkuliła pod siebie ogon, by dołączyć do Giełdy Zasobów Finansowych - wielonarodowej koalicji, którą kierował tylko jeden cel: zysk. Finansowanie opieki medycznej w celu zmonopolizowania rynku szczepionek. Rozbijanie walut nastawione na czerpanie korzyści z transakcji pomiędzy całym planetami.

A także dostarczanie wybranej grupie naukowców i wojskowych środków niezbędnych do zorganizowania pierwszej podróży przez wszechświat. Chodziło, rzecz jasna, o to, by znaleźć więcej surowców naturalnych - i wypracować jeszcze większy zysk.

Spełnienie marzeń moich rodziców.

I mój największy koszmar.

Wiem coś o koszmarach. W końcu spałam dłużej, niż żyłam.

Mam nadzieję. A jeśli to tylko część długiego snu, który śnię pomiędzy chwilę, kiedy Ed zatrzęsął drzwiczki komory, a Hassan wdusił przycisk zamrażania? Co wtedy?

Ten sen... nie przypomina zwyczajnego snu. Choć właściwie nigdy się nie budzę, czasem dociera do mnie, że jestem świadomością zamkniętą w zdrętwiałym ciele.

Marzenia senne przeplatają się ze wspomnieniami.

I tylko dzięki nadziei, że przecież ten stan nie może trwać stu lat, nie pozwoliłam jeszcze, by koszmary całkowicie mnie pochłonęły.

Na pewno nie sto. Ani nie trzysta, a już z pewnością nie trzysta jeden. Błagam, Boże, nie dopuść do tego.

Czasami mam wrażenie, że śpię już tysiąc lat, a czasami mogłabym przysiąc, że minęło zaledwie kilka chwil. Jakbym utknęła w tym dziwnym stanie półsnu; próbuję spać do południa i chociaż wiem, że pora wstawać, mój umysł zaczyna błędzić. Już wiem, że nie uda mi się ponownie zasnąć, a jeśli nawet odpłynę na kilka chwil, to zwykle jestem przytomna i tylko mocno zaciskam powieki.

Aha. Właśnie tak wygląda sen w krio.

Czasem mam wrażenie, że coś jest nie w porządku. Ze nie powinnam być aż tak świadoma. Zaraz potem zdaję sobie jednak sprawę, że ta świadomość trwa tylko moment, i w tej samej chwili zapadam w kolejny sen.

Zwykle śnię o Ziemi. Chyba dlatego, że nigdy nie chciałam jej opuszczać.

Ukwiecona łąka, zapach ziemi i deszczu. Wiatr... Ale tak naprawdę wcale nie wiatr, raczej wspomnienie wiatru, które prześlizgnęło się do snu i próbuje zagłuszyć zamrożony umysł.

Ziemia. Trzymam się kurczowo myśli o Ziemi. Nie podoba mi się ten stan, za bardzo przypomina umieranie. To tylko sny, ale nie mam nad nimi kontroli; zatracam się w nich, a straciłam już zbyt wiele, by pozwolić im przejąć nade mną władzę.

Ucisk w okół małego palca, za który złapał tato. Wyszepiane zapewnienie, że mogę zostać z ciocią i wujkiem. Ciężar w piersi tam, gdzie go sobie przypominam, gdzie myślę o nim bardzo, bardzo mocno. Spycham senne majaki na bok. To wszystko wydarzyło się sto lat temu, za późno na żal. Bo wszystko, na czym zależało moim rodzicom, to udać się w pierwszą międzygwiazdową misję badawczą, a wszystko, na czym zależało mnie, to być razem z nimi.

I chyba nie ma żadnego znaczenia, że zostawiłam na Ziemi życie. Chyba nie ma znaczenia, że kochałam Ziemię i że wszyscy moi przyjaciele żyli, starzeli się i umierali, podczas gdy ja leżałam w tej trumnie, otulona mroźnym snem. Ze Jason zestarzał się, może nawet się ożenił i miał dzieci, że to i że tamto... Ale to bez znaczenia, bo Jason już nie żyje. Mój Boże, przecież jego prawnuki mogą być teraz w moim wieku.

Kropla deszczu rozbija się o moją skórę, chociaż dzień jest jasny i słoneczny, a niebo błękitne. Obok mnie stoi Jason i już, już prawie się całujemy, gdy nagle wszystko się zmienia i jesteśmy na przyjęciu, gdzie się poznaliśmy - bo właśnie takie są sny: przeplatają się ze wspomnieniami i scenami, lecz nigdy nie są prawdziwe. I właśnie za to ich nienawidzę.

Terkoczący dźwięk sprawił, że podniosłem głowę w kierunku rozbitego okna, gdzie szkło pękło na dwie równe części. Jak to możliwe, że jeszcze żyję?

Szkło nie pęka w taki sposób. Nie równiutką, prostą linią.

A poza tym... to wcale nie ciemność kosmosu znajduje się po drugiej stronie.

To metal. Metalowe zadaszenie ponad lukiem?

Dwie połowy okna ześlizgnęły się w dół, a wraz z nimi gwiazdy. Ale przecież... Przecież to niemożliwe! Gwiazdy powinny zostać na swoim miejscu, zamiast przesuwać się na powierzchni okna.

Chwila, to wcale nie jest okno. To chyba... Cóż, sam chciałbym wiedzieć co. Strop Wielkiej Sali ma kształt kopuły, a jej metalowa osłona złożyła się wzdłuż brzegu pomieszczenia mniej więcej na wysokości mojej piersi. Okno - czy raczej to, co tylko wzięłem za okno - to w rzeczywistości dwie połowy olbrzymiego, obsypanego migotliwymi światłami ekranu ze szkła i stali, podtrzymywanego przez hydrauliczne ramiona, które syczą i jęczą. Obie połowy zsunęły się na wysokość moich ramion, odsłaniając prawdziwe zadaszenie Poziomu Strażnika - metal. Jeszcze więcej gładkiego, bezgwiezdnego metalu.

Piękne lśniące gwiazdy wcale nie były gwiazdami. To tylko szkło i żarówki, które ktoś zaprogramował w taki sposób, by mrugały jak gwiazdy. Sztuczne gwiazdy na ekranie wciśniętym jak ser w kanapkę pomiędzy dwie metalowe osłony.

Ale po co?

Sięgnąłem w stronę bliższej połowy wszechświata. Niewielkie żarówki nie były jeszcze zbyt mocno rozgrzane, ale wystarczająco ciepłe, żebym odruchowo cofnął rękę. Pozostałości pajęczyny rozciągały się od podstawy jednej z gwiazdożarówek do metalowej plakietki w dolnej części płyty:

Gwiezdna Mapa Nawigacyjna Patent nr 7329035 GZF-2036 CE

Mapa nawigacyjna? Tutaj? Moje oczy przeanalizowały znajdujący się przede mną fragment ekranu i, już bez zaskoczenia, dostrzegłem światelko migoczące pod plakietką, tuż obok dwóch gwiazdożarówek. Czerwone, trójkątne i skierowane w stronę gwiazd. Zauważyłem, że migające światelko nie jest przytwierdzone na stałe, tak jak żarówki; poruszało się po wytyczonej trasie i dotarło już niemal do jej końca.

Mój statek. Tak blisko celu, nowej planety i nowego domu.

- Starszy? Starszy! Co się dzieje?! - krzyknął Najstarszy z za zamkniętego włazu łączącego Poziom Sternika z Poziomem Strażnika. Wyobrażałem sobie, jak musi teraz wyglądać: gniew malujący się na twarzy, płonące oczy i długa biała broda ocierająca się o ramiona, gdy walił pięściami w masywne metalowe drzwi.

Odwrociłem się do fragmentu fałszywego okna. Gwiazdy były kłamstwami. Przez chwilę je miałem, ale nie były prawdziwe.

Biiip, biiipbiiip, usłyszałem w lewym uchu. Moje bezprzewodowe urządzenie komunikacyjne dawało mi znać, że ktoś próbuje się ze mną połączyć. Każdemu z nas zaraz po urodzeniu wszczepia się za lewe ucho wikom, który pozwala nam komunikować się zarówno między sobą, jak i z samym statkiem.

- Komlink: Najstarszy - powiedział komputer bezpośrednio do mojego ucha.

- Zignoruj - odparłem, wciskając przycisk pod skórą.

Gwiazdy były kłamstwami. A oprócz nich - co jeszcze?

Biiip, biiipbiiip.

- Najstarszy anulował polecenie - oznajmił wesoło wikom. - Komlink: Najstarszy.

- Starszy! - Moje ucho wypełnił niski pomruk Najstarszego. - Co się stało? Dlaczego odciąłeś Poziom Strażnika od statku?

- Gwiazdy są kłamstwami - stwierdziłem bezbarwnym głosem.

- Co? Czy coś się stało?

Wszystko się stało.

- Nic - odpowiedziałem.

- Zaraz zwolnię blokadę. - Najstarszy przerwał połączenie. Chwilę później podłoga znów zadrżała, a właz się otworzył. Najstarszy wspiał się na Poziom Strażnika i zamknął za sobą drzwi włazu.

- Co się stało? - zapytał groźnie.

Zerknąłem na skaner biometryczny nad drzwiami jego kwatery.

- Próbowałem aktywować dostęp, a wtedy to... - urwałem, wskazując na dwie połowy opuszczonego „okna”.

- Kto ci kazał tego dotykać?! - wrzasnął Najstarszy. Ruszył zamaszystym krokiem przez pomieszczenie, w napadzie gniewu zapominając, że powinien uważać na nogę. Zranił się w nią jeszcze przed moimi narodzinami, ale nigdy jej do końca nie wyleczył i z wiekiem utykał coraz bardziej. Jego stopy wystukiwały na metalowej posadzce nierówny rytm: bum, bach, bum, bach, bum, bach. Będzie go później boleć i oczywiście za to też obwini mnie.

Dotarłszy do skanera biometrycznego, przeciągnął kciukiem po czytniku. Pierwsze uniosły się szklane ekrany, wciągając gwiazdy z powrotem na sufit. Następnie hydrauliczne ramiona westchnęły z ulgą, a oszlifowana metalowa osłona zakryła gwiazdożarówkę, tłumiąc ich fałszywe światło.

- Odbiło ci? Zamykasz Poziom Strażnika z powodu tego? - Gniew Najstarszego

sprawił, że prawie położyłem uszy po sobie. Prawie.

- Myślałem, że są prawdziwe! I że statek jest wystawiony na działanie próżni!

- Przecież to tylko żarówki!

- Skąd miałem to wiedzieć, do gzyfa?! Myślałem, że to najprawdziwsze gwiazdy! Po co tu w ogóle są?

- Na pewno nie po to, żebyś je sobie oglądał! - warknął Najstarszy.

- A kto?! - krzyknąłem. - Na tym poziomie jesteśmy tylko ty i ja!

Najstarszy zacisnął szczęki. Poczułem w gardle wielką grudę, ale udało mi się przełknąć ślinę. Nie mogłem pozwolić, by pomyślał, że jestem tylko małym chłopcem, który wpada w złość na widok sztucznych gwiazd.

- Nie wolno ci tego robić, Starszy. Przez ciebie cały statek mógłby wpaść w panikę! - Najstarszy wyglądał zarówno na wściekłego, jak i zmęczonego. - Naprawdę niczego nie rozumiesz? Jesteś Starszym. Kiedy przejmiesz po mnie funkcję Najstarszego, będziesz musiał poświęcić całe swoje życie jednej idei: jesteś opiekunem wszystkich ludzi przebywających na pokładzie. Odpowiadasz za każdego z nich. Nigdy nie możesz okazać przed nimi słabości, bo jesteś ich siłą. Nigdy nie możesz okazać przed nimi rozpacz, bo jesteś ich nadzieją. Zawsze, w każdej sytuacji musisz być dla nich wszystkim. Wziął głęboki wdech. A to oznacza, że nie możesz panikować i odcinać całego poziomu!

- Myślałem, że statek jest narażony - powtórzyłem.

Najstarszy przyjrzał mi się uważnie.

- Więc postanowiłeś odciąć cały poziom.

Czy on naprawdę musi mi o tym stale przypominać? Okej, jestem gzyfowym idiotą, już to do mnie dotarło.

- Mimo że ciągle tutaj byłeś. - Nagle jego głos stał się spokojniejszy. Nasze spojrzenia się spotkały i zobaczyłem w jego oczach coś, czego nigdy wcześniej tam nie było.

Dumę.

- Zamierzałeś się poświęcić, by uratować statek - powiedział.

Wzruszyłem ramionami.

- To było głupie. Przepraszam.

- Nieee - przeciągnął Najstarszy. - Cóż, tak, to było głupie. Ale także szlachetne. Taki krok wymaga odwagi, chłopcze. I zdolności przywódczych. Wola, żeby poświęcić się dla załogi, świadczy o tym, że myślisz. Zorientowałeś się, że Poziom Strażnika znajduje się na samej górze, zgadłem? Ze jeśli dojdzie do dehermetyzacji Poziomu Strażnika, wybuchowa dekompresja spustoszy także poziom środkowy, a stamtąd wędruje się na ostatni. Zastanowiłeś

się, zanim zadziałałeś. Pomyślałeś o wszystkich ludziach na dole.

Odwrociłem wzrok. Dobra, może i zachowałem się szlachetnie, ale teraz moją głowę zaprzętała tylko jedna myśl - że gwiazdy nie są prawdziwe.

- Przepraszam - odezwał się nagle Najstarszy, a na widok mojego zakłopotania dodał:
- Ignorowałem cię. To moja wina. Przypominasz mi innego Starszego, z którym... nie potrafiłem się dogadać. Szkoląc go, mówiłem mu zbyt dużo i zbyt wcześnie. A on zachowywał się głupio, samolubnie. Ale ty jesteś inny. Czasem zapominam, że jesteś, ale to prawda.

W jednej chwili Najstarszy zdołał skupić na sobie całą moją uwagę. Doskonale wiedziałem, że między mną a obecnym Najstarszym był jeszcze jeden Starszy. Umarł, zanim się urodziłem, ale aż do tej pory Najstarszy nigdy o nim nie wspominał.

- Ja szkoliłem jego, a on miał szkolić ciebie, żebym mógł zająć się statkiem. Kiedy umarł, okazało się, że będę musiał go zastąpić. Nie powinienem niańczyć kolejnego Starszego. Przez ciebie zaniedbuję swoje obowiązki.

Poszukałem jego oczu. Gdy żyłem na Poziomie Żywiciela, Najstarszy był dla mnie jak kochany dziadek. Na Poziomie Strażnika wcielał się w rolę starego króla, władczego, ale jednocześnie troskliwego. Kiedy jednak zostawaliśmy sami, pozwalał, by na wierzch wychodziło jego prawdziwe ja - i choć może stare, z pewnością nie należało do słabych ani uprzejmych.

W przeciągającej się ciszy było coś, co pozwoliło mi zrozumieć, że Najstarszy chciał, bym to dostrzegł - ja i tylko ja. I właśnie ten fakt bardziej niż cokolwiek innego pozwolił mi wybaczyć mu jego zaniedbania.

- No więc? - zapytałem. - Czy teraz będziesz mnie szkolić tak, jak należy?

Najstarszy przytaknął i pokazał gestem, żebym szedł za nim do Centrum Edukacyjnego. Utykał mocniej niż zwykle - zapewne chroma noga już zdążyła sprawić, że pożałował swojego temperamentu.

Na Poziomie Strażnika znajdują się tylko cztery pomieszczenia: dwie kwatery (moja i Najstarszego), Centrum Edukacyjne oraz Wielka Sala. Z nich wszystkich Centrum Edukacyjne jest najmniejsze - na całe jego wyposażenie składają się stół i wejście do grawisybu. Oczywiście najwięcej przestrzeni oferuje Wielka Sala. Zmieściliby się tam wszyscy mieszkańcy statku, o ile nie przeszkadzałby im tłok, choć do środka mamy wstęp tylko Najstarszy i ja. Wszystkie te pomieszczenia to pozostałości po czasach sprzed Plagi, kiedy jeszcze nie używaliśmy do rządzenia systemu Najstarszych. Nasze kwatery i Centrum Edukacyjne pełniły wówczas funkcję biur dla załogi. Sądząc po świecącej mapie gwiazd,

Wielką Salę wykorzystywano do nawigacji.

Po Pladze, wiele dziesiątków lat temu, statek się zmienił. Nie miał wyjścia. Najstarszy nadał poziomom nowe nazwy, najwyższy rezerwując dla siebie i wszystkich Najstarszych, którzy przyjdą po nim.

Łącznie ze mną.

A teraz usiadł przy stole w Centrum Edukacyjnym. Zająłem miejsce po przeciwnej stronie. Sam stół to rzadki antyk sprzed wielu stuleci, z czasów, gdy statek wystartował na swą misję. Był wykonany z najprawdziwszego drewna z SolZiemi. Myślałem o życiu ukrytym w tym drewnie: o drzewie, które oddychało powietrzem SolZiemi, które zapuściło korzenie w glebie SolZiemi i zostało ścięte, a następnie przerobione na mebel i wystrzelone w kosmos na pokładzie „Błogosławionego”.

- Jest kilka rzeczy, o których powinieneś wiedzieć - powiedział Najstarszy. Podniósł ze stołu plastplej - cyfrowy wyświetlacz membranowy, który zawdzięcza nazwę swej, hm... plastyczności - i przeciągnął po nim palcem. Począł, aż ekran się rozjarzył, i przytknął kciuk do pola identyfikacyjnego.

- Najstarszy/Starszy, dostęp przyznany - zaszczebiotał plastplej. Najstarszy wystukał na wyświetlaczu jakąś kombinację i przesunął go po blacie w moją stronę. Przez cienką membranę prześwitywała niewyraźnie faktura drewna, ale rozpraszał mnie widok, który chciał mi pokazać Najstarszy.

To był plan Poziomu Sternika - rozpoznałem główny hol prowadzący do większych pomieszczeń, używanych głównie w celach naukowych, przemysłowych, badawczych i wytwórczych. Na powierzchni mapy świeciły mrugające jasno, przemieszczające się punkciki.

- Wiesz, co to jest? - spytał Najstarszy, zabierając mi plastplej.

- Mapa lokalizacyjna wikomów - odpowiedziałem. Bezprzewodowe urządzenia komunikacyjne wszczepiane za lewe ucho nie tylko pozwalały nawiązywać połączenia, ale służyły także jako lokalizatory.

Nachyliłem się nad stołem, by lepiej widzieć mapę. Długie siwe włosy Najstarszego musnęły moją twarz, więc założył je za ucho, a ja poczułem ulotny zapach mydła i czegoś jeszcze, czegoś ostrzejszego, co drażniło moje nozdrza.

- Widzisz te punkciki? Każdy z nich to jeden ze sterników. Mają konkretne zadanie: zadbać, aby statek działał bez zarzutu. Najważniejsi sternicy są tutaj. - Najstarszy wskazał na pomieszczenie zasilające, a następnie przesunął palcem w stronę maszynowni, w której nigdy nie byłem, i dalej, do kolejnego pomieszczenia. - Tu znajduje się centrum dowodzenia.

Chociaż statek leci sam, gdyby coś się stało...

- Będziesz nim sterować? - spytałem pełen podziwu. Ujrzałem Najstarszego w roli odważnego dowódcy, niemalże kapitana jednego ze starożytnych okrętów z SolZiemi, które przemierzały morza, a nie kosmos. Potem wyobraziłem sobie, jak przejmuję po nim ster.

Najstarszy wybuchnął śmiechem.

- Ja? Bynajmniej. Co za absurdalny pomysł! Najstarsi nie uczą się nawigacji, bo ich zadanie nie polega na dowodzeniu statkiem. Polega na dowodzeniu ludźmi. Ci sternicy - machnął ręką w stronę mrugających punkcików - odbierają szczegółowe wyszkolenie w zakresie obsługi statku na wypadek sytuacji awaryjnej. - Podniósł wzrok. Jego oczy były zasnuwane mleczną mgiełką starości, ale wciąż potrafił przejrzeć mnie na wylot. - Rozumiesz, prawda? To sternicy zajmują się statkiem, a nie my.

Obraz załogi, która wiwatuje, podczas gdy ja prowadzę statek na CentauriZiemie, zbladł i zniknął.

- Sternicy są tu po to, by opiekować się statkiem, ale statek to tylko bezduszny metal. Twoje zadanie polega na opiekowaniu się ludźmi.

Najstarszy stuknął palcem w pole oddalania i na krótką chwilę na wyświetlaczu pojawił się plan całego statku - przyprawiający o zawrót głowy labirynt przecinających się we wszystkie strony linii. Wnętrze „Błogosławionego” miało owalny kształt. Nieduża część srebrząca się na szczycie to Poziom Strażnika. Niżej znajdował się nieco większy Poziom Sternika, podzielony na biura i laboratoria. Zdecydowanie największy był Poziom Żywiciela. Na Poziomie Strażnika migotały tylko dwa punkty - ja i Najstarszy, na Poziomie Sternika znacznie więcej, około pięćdziesięciu. Najstarszy nacisnął Poziom Żywiciela. Po prawej stronie, w okolicy Szpitala, mrugało kilkadziesiąt kropek, ale obok, w Sali Nagrań, było pusto. Pośrodku Poziomu Żywiciela widziałem dziesiątki innych punktów, które reprezentowały ludzi żyjących na farmach. Najstarszy stuknął palcem w lewą część wyświetlacza, gdzie znajdowało się Miasto. Tych wszystkich ludzi nie potrafiłbym policzyć, ale nie musiałem tego robić - znałem każdą osobę przebywającą na statku. Wszystkich dwóch tysięcy trzystu dwunastu mieszkańców.

Każda z tych dwóch tysięcy trzystu dwunastu migoczących czerwonych kropek to dodatkowy ciężar na moich barkach, każda przygniatała mnie do podłogi nieco mocniej. Za każdą z nich - za każdego z tych ludzi - byłem osobiście odpowiedzialny.

Najstarszy przywołał z powrotem mapę Poziomu Sternika i przyłożył palec do największego pomieszczenia, w którym znajdował się silnik.

- Pomiędzy silnikiem, komputerami, systemem nawigacyjnym icałą resztą ustrojstwa

wciąż jest mnóstwo miejsca na błąd. Ta podróż... trwa już bardzo długo - powiedział to takim tonem, jakby każdy dzień z tych dwustu pięćdziesięciu lat odczuł na własnej skórze. - Konstruktorzy statku dobrze o tym wiedzieli i właśnie dlatego nazwali go „Błogosławionym”.

Poruszyłem ustami, wymawiając razem z nim tę nazwę. Smakowałem ją na końcu języka jak kawałek metalu.

- Jakby uznali, że bez nadprzyrodzonej pomocy nie damy sobie rady. - Najstarszy parsknął z dezaprobatą. - Wystrzelili naszych przodków w niebo, życząc im szczęścia, i natychmiast o nich zapomnieli. Straciliśmy kanał komunikacyjny z SolZiemią w czasie Plagi i nigdy nie udało się go odzyskać. Ale nie możemy zawrócić, a oni już nie mogą nam pomóc. „Błogosławiony”... To wszystko, co dali nam ludzie z SolZiemi. - Zatoczył ręką szeroki łuk.

Nie byłem pewien, czy chodzi mu o statek, czy o błogosławieństwo, ale obie te rzeczy wydawały się chwilowo nie na miejscu.

- Nam trzeba jednak czegoś więcej niż boskiej życzliwości. Statek potrzebuje kogoś, kto będzie chronić ludzi, a nie tylko metalowe ściany. I ty będziesz tym przywódcą. - Najstarszy wziął głęboki oddech. - Najwyższy czas, abyś poznał trzy przyczyny niezgody.

Przysunąłem się z krzesłem bliżej stołu. Tego jeszcze nie było. Wreszcie - wreszcie - Najstarszy naprawdę będzie mnie szkolić na swego następcę.

- Czy na „Błogosławionym” - zaczął - wszyscy mówimy jednym językiem?

- Oczywiście - odpowiedziałem zakłopotany.

- A czy istnieją tu jakiegokolwiek różnice rasowe?

- Rasowe?

- Różne kolory skóry.

- Nie. - Wszyscy na pokładzie mają taką samą, ciemnooliwkową skórę i takie same, brązowe włosy i oczy.

- Czytałeś o mitach SolZiemi: o buddyzmie, chrześcijaństwie, hinduizmie i islamie. Czy ktokolwiek na pokładzie „Błogosławionego” wyznaje jakąś religię? - zapytał, a ostatnie słowo ociekało szyderstwem.

- Oczywiście, że nie! - roześmiałem się. Jedna z pierwszych lekcji po przeprowadzce na Poziom Strażnika dotyczyła religii SolZiemi. Tak naprawdę były to tylko bajeczki, fantastyczne historie.

Pamiętam, jak rechotałem głupkowato, gdy Najstarszy tłumaczył mi, że na SolZiemi ludzie byli gotowi umierać i zabijać za fikcyjne postacie.

Najstarszy przytaknął.

- Pierwszą przyczyną niezgody są różnice. Na „Błogosławionym” nie ma religii,

porozumiewamy się wspólnym językiem i jesteśmy monoetniczni. A ponieważ nie istnieją między nami żadne różnice, nie walczymy. Pamiętasz, jak opowiadałem ci o krucjatach?

I o ludobójstwie? Na „Błogosławionym” nigdy nie będziemy musieli martwić się takimi potwornymi wydarzeniami.

Siedziałem na krawędzi krzesła, kiwając głową, chociaż w głębi ducha miałem nadzieję, że Najstarszy nie widzi, jaki ze mnie hucpiarz. Przecież pamiętałem te wykłady. Słuchałem ich zaraz po przeprowadzce na Poziom Strażnika, kiedy zamieszkałem z Najstarszym. Na gwiazdy, byłem wtedy takim dzieciakiem... Przypomniałem sobie zdjęcia z plastplejów przedstawiające ludzi oróżnych kolorach skóry i włosów, ubranych w długie suknie albo przepaski biodrowe, i dźwięk słów wymawianych w językach, których w ogóle nie rozumiałem. Wydawało mi się to wtedy całkiem odłotowe.

Zgarbiłem się na krześle. Nic dziwnego, że Najstarszy nie spieszył się z moją edukacją - wyglądało na to, że nigdy nie trafiły do mnie te prawdziwe lekcje.

- Druga przyczyna niezgody - ciągnął Najstarszy - to brak silnego przywódcy.

Nachylił się, wyciągając do mnie pomarszczoną dłoń o sękatych palcach.

- Rozumiesz, jakie to ważne? - zapytał, a jego oczy nagle zamglily się starością albo czymś zupełnie innym.

Kiwnąłem głową.

- Na pewno? - powtórzył natarczywie i chwycił mnie za rękę tak mocno, że aż zatrzęszczały mi kości.

Znów kiwnąłem głową, nie mogąc oderwać od niego wzroku.

- Jakie jest największe zagrożenie dla tego statku? - jego głos przeszedł w ochryply szept.

Hm. Może jednak nie zrozumiałem? Najstarszy obserwował mnie uważnie, czekając na reakcję, ale ja odpowiedziałem niemym spojrzeniem.

- Bunt. Największym zagrożeniem jest bunt, Starszy - powiedział dobitnie. - Większym niż jakakolwiek usterka, błąd sprzętu czy zewnętrzne niebezpieczeństwo. Nic nie jest nawet w połowie tak groźne dla tego statku, jak bunt załogi. Właśnie dlatego po czasach Plagi stworzono system Najstarszych. Jeden człowiek, urodzony przed tymi, którymi ma kierować, zostaje patriarchą i dowódcą młodszych obywateli, a każde pokolenie ma własnego Najstarszego. Któregoś dnia to ty przejmiesz tę rolę - silnego przywódcy, który będzie zapobiegać niezgodzie i chronić życie każdego człowieka na „Błogosławionym”.

AM Y

Jestem milcząca jak śmierć.

Spróbuj zrobić coś takiego: idź do swojej sypialni. Przytulnej, bezpiecznej, cieplej sypialni, która nie przypomina szklanej trumny zamkniętej za drzwiami kostnicy. Połóż się na łóżku, takim zwyczajnym, a nie z lodu. Wetknij sobie palce do uszu. Słyszysz? Puls życia z twojego serca, powolny wdech-wydech płuc? Nawet gdy milczysz, gdy blokujesz wszystkie otaczające cię dźwięki, twoje ciało wciąż jest kakofonią istnienia. Moje nie jest. Cisza - to ona doprowadza mnie do szału. Cisza przyciąga koszmary.

A jeśli jestem martwa? Jak ktoś bez bijącego serca i oddychających płuc może żyć? A zatem muszę być martwa. Oto mój największy koszmar: kiedy po trzystu jeden latach wyciągną moją szklaną trumnę z tej kostnicy i pozwolą mi odtajać jak kurczakowi na blacie kuchennym, nic się nie zmieni. Spędzę całą wieczność uwięziona w martwym ciele. Bo poza nim niczego nie będzie. Utknę na zawsze wewnątrz samej siebie.

Chcę krzyczeć. Chcę otworzyć oczy, obudzić się i nie być sama z sobą, ale nie mogę.
Nie mogę.

6

STARSZY

- A jaka jest trzecia przyczyna niezgody? - spytałem Najstarszego, by przerwać ciszę, która zaległa w Centrum Edukacyjnym.

Najstarszy zmierzył mnie wzrokiem. W jego bladych oczach błysnął gniew, a ja zastanawiałem się, czy mnie uderzy. Wystarczyło jednak, że mrugnąłem, i zwariowana myśl umknęła. Najstarszy położył dłonie na kolanach i odepchnął się, by wstać. Słyszałem, jak jego kości zatrzeszczały. Centrum Edukacyjne było niewielkie, a gdy Najstarszy górował nade mną, ciasnota pomieszczenia wydawała się wręcz przytłaczająca. Odsuwając krzesło, uderzył nim o ścianę, a stół był niczym dzieląca nas przepaść. Stojący z tyłu globus SolZiemi wyglądał na śmiesznie mały, jeszcze mniejszy i bardziej nieistotny ode mnie.

- Powiedziałem ci już wystarczająco wiele - stwierdził Najstarszy, zmierzając w stronę drzwi. - Mam coś do zrobienia. Chcę, żebyś poszedł teraz do Sali Nagrań i spróbował na własną rękę dowiedzieć się, dlaczego na SolZiemi było tyle niezgody. Znasz już dwie pierwsze przyczyny wojen i rządów krwi. Nie powinieneś mieć kłopotów z odkryciem trzeciej. To naprawdę nic trudnego, wystarczy przyjrzeć się historii SolZiemi.

Usłyszałem w jego słowach wyzwanie. Chciał poddać próbie moje zdolności przywódcze, sprawdzić, czy jestem wart wystarczająco wiele, by pójść w jego ślady i zastąpić

go w roli Najstarszego. Tak naprawdę robił to całkiem często. Chociaż Starszy, który powinien był zająć jego miejsce, zmarł dawno temu, Najstarszy nigdy go nie lubił. Zdarzało się, że nas porównywał, i to nigdy nie były życzliwe porównania. „Jesteś powolny, zupełnie jak on” - mawiał. Albo: „On miał równie głupie pomysły!”. Gdy zamieszkałem na Poziomie Strażnika, szybko nauczyłem się, że wszystkie plany powinienem zachowywać dla siebie, a język trzymać za zębami. Od czasu do czasu Najstarszy wciąż mnie sprawdzał, aby się upewnić, że nie skończę tak jak poprzedni Starszy. Teraz próbowałem wyglądać na stanowczego i pewnego siebie, lecz wszystko na nic, bo Najstarszy nawet na mnie nie patrzył.

Jakaś część mnie chciała go zawołać i się kłócić, przypomnieć mu, że przecież obiecał mnie uczyć i że sam powinien zdradzić mi trzecią przyczynę niezgody.

Ale druga część - ta, która mogłaby spędzać całe dnie na oglądaniu filmów i zdjęć z SolZiemi - już się cieszyła, że właśnie na tym będzie polegać moje nowe zadanie.

Na tyłach Centrum Edukacyjnego znajdowało się wejście do grawiszybu łączącego Poziom Strażnika z Poziomem Żywiciela. Korzystaliśmy z niego tylko ja i Najstarszy, ale grawiszyb, który przebiegał przez Poziom Sternika, Miasto i Poziom Żywiciela, był dostępny dla wszystkich obywateli.

Wdusiłem przycisk wikomu za lewym uchem.

- Polecenie? - spytał miły kobiecy głos.

- Sterowanie grawiszybem - odpowiedziałem.

Biiip, biiipbiiip, zapiszczało mi w uchu, kiedy wikom łączył się z interfejsem sterowania grawiszybu. Przeciągnąłem kciukiem po skanerze biometrycznym na ścianie i tuż przede mną otworzył się okrągły fragment podłogi. W dole nie było nic prócz pustki.

Poczułem, jak serce podchodzi mi do gardła - jak zwykle zresztą

- gdy robiłem krok w stronę czarnej otchłani grawiszybu, ale wikom nawiązał już połączenie z systemem grawitacyjnym statku i zakołysałem się lekko, by po chwili zacząć opadać jak moneta wrzucona do fontanny. Otoczyła mnie ciemność, kiedy leciałem przez Poziom Sternika, lecz zaraz potem światło załało mi oczy. Zamrugalem; w dole roztaczał się widok na Poziom Żywiciela, zniekształcony przez przezroczystą powierzchnię ścian grawiszybu. Przy odległej grodzi majaczyło Miasto, a w centralnej części rozciągał się zielony bezmiar pól nakrapiany snopami, krowami, owcami i kozami. Z tej wysokości Poziom Strażnika wydawał się ogromny niczym świat zamknięty na ograniczonej powierzchni. Sześć tysięcy czterysta akrów zaprojektowanych w taki sposób, by wyżywić i pomieścić trzy tysiące ludzi, wyglądało jak nieskończoność, kiedy patrzyło się z góry. Wystarczyło jednak stanąć na dole, w polu albo w samym Mieście, aby zdać sobie sprawę, że

tak naprawdę jest tam dużo ciasniej.

Grawiszyb kończył się jakieś siedem stóp nad ziemią. Przez krótką chwilę wisiałem w powietrzu, ale w moim uchu znów odezwało się biiip, biiipbiiip wikomu nawiązującego połączenie z systemem grawitacyjnym statku i opadłem na okrągłą metalową platformę pod szybem. Zeskoczyłem z niej i ruszyłem jedną z czterech głównych dróg przecinających Poziom Żywiciela. Za ledwie kilkanaście jardów dalej znajdowała się wysoka budowla z cegły - Sala Nagrań - a za nią widać było Szpital.

Maszerując do Sali Nagrań, myślałem o tym, jak bardzo w ciągu ostatnich trzech lat zmieniło się moje życie. Wcześniej mieszkałem na Poziomie Żywiciela, przekazywany z jednej rodziny do drugiej, chociaż od początku było jasne, że do nich nie pasuję. Po pierwsze, wszyscy zdawali sobie sprawę, że jestem Starszym, a ponieważ poprzedni Starszy zmarł przedwcześnie i niespodziewanie, żywicieli otaczali mnie przesadną troską. Ale to nie wszystko - po prostu bardzo się różniliśmy. Żywicieli myślą inaczej. Sprawia im radość, że mogą uprawiać pola i strzyc owce. Wydają się nieświadomi metalowych ścian, które zamykają ich w swym wnętrzu, i nigdy się nie złością, że czas płynie tak wolno. Tak naprawdę do trzynastego roku życia byłem na „Błogosławionym” nieszczęśliwy. Wszystko się zmieniło, gdy trafiłem do Szpitala, gdzie poznałem Harleya i mogłem rozmawiać z Doktorciem, a później zamieszkałem na Poziomie Strażnika. Dopiero wtedy zacząłem doceniać życie.

Czasami nie zgadzałem się z Najstarszym. Z powodu wybuchowego charakteru, który wyłąził z niego na Poziomie Strażnika, potrafił być przerażający, ale już zawsze będę go kochać za to, że wyrwał mnie z ogłupiającego życia na farmie.

Wspinałem się po schodach w kierunku wielkich brązowych drzwi, pomalowanych w taki sposób, by przypominały drewno. Sala Nagrań zawsze wydawała mi się zbyt przestronna, choć Najstarszy wielokrotnie zapewniał mnie, że dla większości mieszkańców „Błogosławionego” jest raczej zbyt ciasna. To pewnie dlatego, że zwykle chodziłem tam sam albo w towarzystwie Najstarszego. Wszyscy inni musieli przesiadywać w środku z całym swoim pokoleniem, gdy byli młodszy i wciąż uczęszczali do szkoły. A ponieważ na statku nie ma już nikogo młodszego ode mnie, szkoła stała się zbędna. Ja mam Najstarszego.

Najstarszy obserwował mnie, gdy pokonywałem kolejne stopnie. Oczywiście nie ten prawdziwy Najstarszy, lecz jego portret, namalowany jeszcze przed moimi narodzinami, kiedy Najstarszy był mniej więcej w wieku Doktorca. Obraz wielkości połowy samych drzwi wisiał w płytkiej niszy w ceglanej ścianie obok wejścia.

Prędzej czy później ściągną go i powieszą w zakurzonej kącie gdzieś na tyłach Sali

Nagrań, obok portretów poprzednich Najstarszych.

A mój portret zawiśnie przy wejściu, by doglądać malutkiego królestwa.

Namalowany Najstarszy spoglądał ponad moim ramieniem za werandę Sali Nagrań, na pola i majaczące w oddali Miasto - galimatias pomalowanych metalowych kontenerów, w których żyje większość sterników i żywicieli. Malarz obdarzył go spojrzeniem życzliwszym, niż kiedykolwiek widziałem na jego pomarszczonej twarzy, i łagodnie wykrzywioną linią ust, sugerującą dociekliwość, może nawet figlarność. A może wcale nie. Przykładałem zbyt wielką wagę do tego obrazu. Ten Najstarszy nie był moim Najstarszym; wyglądał jak mężczyzna, którego chętnie widziałbym w roli swego przywódcy. I to nie takiego, który rządzi za pomocą strachu - raczej takiego, który słucha, szanuje zdanie innych i nie odmawia im drugiej szansy. Mieliśmy identyczne wąskie nosy, wysokie kości policzkowe i oliwkową skórę, ale w jego oczach widać było władczość, w lekko wysuniętym podbródku pewność siebie, a w posturze, jakiej ja nigdy nie miałem i nie będę mieć, poczucie siły. Prawdziwy Najstarszy stał się z wiekiem ostry jak nóż myśliwego pocierany przez setki godzin osełką.

Popatrzyłem do tyłu, podążając za jego spojrzeniem, ale nie widziałem „Błogosławionego” w taki sposób, w jaki on go najwyraźniej widział. Namalowany Najstarszy wydawał się zadowolony ze swych rządów - przynajmniej tyle przebijało z wizerunku. Wyobraziłem sobie, jak wyglądała sesja malarska. Mógłbym się założyć, że Najstarszy znajdował się tu, gdzie ja. Spoglądał przez balustradę, a malarz stał na trawniku poniżej - bo gdzieżby indziej, jeśli nie poniżej - i zamaszystymi pociągnięciami pędzla nadawał farbie kształt. A gdy Najstarszy patrzył na „Błogosławionego” tak jak ja teraz, widział dokładnie to samo: wnętrze statku zbudowane na wzór amerykańskiego hrabstwa z SolZiemi, tyle że w miniaturze, uwięzione w metalowej bańce ścian. Upchnięte na jednym końcu Miasto, z kratownicą schludnych ulic i kwartałami pełnymi kwadratowych przyczep, w których toczyło się życie codzienne i handlowe. Jeden kwartał dla tkaczy, takich jak rodzice mojego przyjaciela Harleya. Jeden dla farbiarzy, jeden dla przędzarzy i jeden dla krawców. Trzy służące do konserwowania żywności,- mieszczące zakłady produkujące jedzenie w puszkach, suszarnie i zamrażalnie. Dwa kwartały dla rzeźników, cztery dla naukowców i sterników pracujących na poziomie wyżej. Każda rodzina, pokolenie po pokoleniu, rodziła się, dorastała, wydawała na świat dzieci i umierała na tej samej ulicy, w tym samym mieście, na pokładzie tego samego statku.

Czy Najstarszy myślał o tym wszystkim, kiedy pozował do swego portretu? Czy spojrzął na Miasto, by podziwiać jego elegancką wydajność, misterny plan zabudowy i nieustającą produktywność?

Czy może raczej widział to, co ja: ludzi powciskanych w kontenery, które stoją między schludnymi ulicami dzielnic uwięzionych między metalowymi ścianami statku?

O nie. Najstarszy nigdy nie pomyślałby o „Błogosławionym” jak o pudle ani o Mieście jak o klatce. Widać to było w wyrazie jego namalowanych oczu i w dumnym kroku, gdy przemierzał ulice Miasta, jakby były jego własnością. Bo właściwie są.

Nawet tutaj, gdzie pola, pastwiska i zabudowania ciągną się od Sali Nagrań aż po odległą ścianę Poziomu Żywiciela, nie da się uciec od koncepcji pudeł. Każdy skrawek terenu jest otoczony ogrodzeniem, które odmierzone wiele wieków temu na SolZiemi, jeszcze przed startem „Błogosławionego”. Poszczególne działki nie mają identycznej powierzchni, ale wszystkie przypominają prostokąty, a ich granice zostały wytyczone z wielką starannością. Wzgórza oddzielające pastwiska leżą w równych odstępach - porośnięte trawą wyrzuszenia terenu, na których pasą się owce i kozy, nieświadome, że są to tak naprawdę kopce, pieczołowicie wytwarzane z ziemi i kompostu.

Widziałem powierzchnię SolZiemi na filmach i mapach. Grunty nie były tam podzielone na równe, zadbane prostokąty. Nawet w miastach o zabudowie przypominającej szachownicę nie brakowało alejek i zaułków. Owszem, pola ogradzano, ale z pewnością nie idealnie prostymi liniami - płoty wiły się między drzewami i skręcały pod dziwacznymi kątami, by ominąć potok czy sadzawkę. A wzgórza nie wyglądały jak rzędy kopców.

Kiedy patrzyłem na pola Poziomu Żywiciela, widziałem tylko jedno - jak bardzo są sztuczne. Jak kiepsko imitują pola ze zdjęć SolZiemi.

Mógłbym się założyć, że gdy Najstarszy pozował do swego portretu, rozkoszował się jedyną rzeczą, której nie mogę znieść na pokładzie „Błogosławionego” - wszechobecną i doskonałą równością.

I właśnie dlatego nigdy nie będę tak dobrym Najstarszym, jak on.

Bo lubię odrobinę chaosu.

Otworzyłem potężne drzwi prowadzące do Sali Nagrań i natychmiast uśmiechnąłem się do modeli topograficznych, które zwisały z sufitu sporego westybulu. Przede mną, oblana światłem wpadającym przez uchylone drzwi, znajdowała się pokryta grubą warstwą kurzu SolZiemia. Wokół niej krążył „Błogosławiony”, pomniejszony w odpowiedniej skali, symulując odlot statku sprzed tak wielu lat. Obok modelu planety sprawiał wrażenie mało ważnego - wyglądał jak piłka ze skrzydłami i spiczastym nosem. Wszedłem do westybulu, zadzierając głowę. Dokładnie nade mną wisiał model przedstawiający cel podróży „Błogosławionego” - dużą okrągłą CentauriZiemie. Była większa od pozostałych modeli i umiejscowiona dokładnie pośrodku pomieszczenia. Trudno powiedzieć, czy był to celowy

zabieg projektantów, ale snop światła wpadający przez otwarte drzwi omiatał CentauriZiemie, tworząc wokół planety aureolę.

Ruszając naprzód, wyciągnąłem w górę ręce, by musnąć palcami Australię na modelu SolZiemi, która zawsze podobała mi się bardziej od CentauriZiemi. Model SolZiemi obfitował w szczegóły - wybrzuszenia gór i kręte linie fal na oceanach. Tymczasem CentauriZiemia była gładka i odpowiadała rzeczywistości wyłącznie pod względem rozmiarów. Nikt nie ma pewności, co tam zastaniemy. Góry, oceany? A może coś zupełnie innego? Wiedzieliśmy tylko tyle, że sonda oznaczyła CentauriZiemie jako „nadająca się do zaludnienia” - atmosfera obfituje w tlen, nie brakuje słodkiej wody, a ziemia z próbek nadaje się pod uprawę. Poza tym nic nie było pewne.

Jej też chciałem dotknąć, ale wisiała zbyt wysoko.

Jakby CentauriZiemia zawsze pozostawała poza moim zasięgiem.

W głowie znów rozbrzmiało mi echo słów Najstarszego: twoje zadanie nie polega na dowiedzeniu na planetę statku, lecz ludzi.

- W czym mogę ci pomóc?

Ze strachu o mało nie wyskoczyłem ze skóry.

- Och, to ty - powiedziałem, śmiejąc się z własnej płochliwości.

Orion był Nagrywaczem. Za każdym razem, gdy ktoś wymyślił, napisał lub zrobił coś odłotowego, Nagrywacz rejestrował to i przechowywał w Sali Nagrań. Kiedy byłem tu po raz ostatni, pomagałem Harleyowi, mojemu przyjacielowi, przynosić płótna. Harley to malarz - na piętrze Sali Nagrań znajduje się pokój wypełniony jego pracami, ale tym razem nie przyszedłem tu oglądać obrazów.

- Pomożesz mi znaleźć informacje o SolZiemi? - spytałem.

Orion uśmiechnął się od ucha do ucha, a mnie przeszły ciarki, bo jego zęby były żółte i poplamione.

- Oczywiście - odparł.

- Muszę dowiedzieć się czegoś o... - urwałem, zastanawiając się, jak sformułować prośbę. Nie mogłem tak po prostu spytać, co jest trzecią przyczyną niezgody, bo Orion nie miałby pojęcia, o czym mówię. - O wojnach na SolZiemi - dokończyłem wreszcie. - O konfliktach, bitwach i tak dalej.

- Jakies konkrety? - Orion ruszył pospiesznie w moją stronę, a na jego twarzy odmalowało się podekscytowanie. Doszedłem do wniosku, że skoro szkoła od dawna jest zamknięta, odwiedza go coraz mniej gości. W zasadzie, jeśli dobrze się nad tym zastanowić, nigdy nie widziałem Oriona poza Salą. Jego życie musiało być wyjątkowo samotne.

- Chodzi mi głównie o przyczyny problemów na SolZiemi.

- Och...

- Co jest?

Przez długą chwilę Orion nic nie mówił. Obserwował mnie w zamyśleniu, jakbym był układanką z brakującym elementem.

- Wydaje mi się po prostu, że to dość niecodzienny temat. Ponury.

Wzruszyłem ramionami.

- Najstarszy wysłał mnie, żebym coś sprawdził.

- Ach, rozumiem. Badania dla Najstarszego. W takim razie najłatwiej będzie zacząć od ściennych plastplejów. - Orion wskazał na cztery podłużne wyświetlacze, po dwa z każdej strony pomieszczenia, które wisiały na ścianach niczym gobeliny. Podeszedł do najbliższego i dotknął ekranu. Od razu rozjarzyły się wszystkie cztery, zalewając westybul światłem.

Obrazy wynurzały się z innych obrazów i ginęły w kolejnych: schemat reaktora prędkiego chłodzonego ołowiem, mapa systemu irygacyjnego Poziomu Żywiciela, płótna Harleya i pozostałych artystów ze statku, cyfrowe odwzorowanie prawdopodobnej rzeźby terenu na CentauriZiemi...

- Będziemy potrzebować twojego dostępu - powiedział Orion, sprawiając, że odwróciłem głowę od plastplejów. Na widok zakłopotania na mojej twarzy dodał: - Żywiciele nie mają uprawnień do oglądania obrazów z SolZiemi.

Och, całkiem zapomniałem. Te obrazy mógł oglądać każdy, ale dostęp do informacji, po które wysłał mnie Najstarszy, był ograniczony. Podeszedłem do skanera biometrycznego i przeciągnąłem kciukiem po czytniku.

- Najstarszy/Starszy, dostęp przyznany - zaświergotał komputer kobiecym głosem.

Obraz na wyświetlaczach zmienił się - pojawiła się na nich także sztuka z SolZiemi, a nie tylko z „Błogosławionego”. Ludzie nie należeli do jednej rasy, a powierzchnia SolZiemi przedstawiona była na autentycznych zdjęciach, nie zaś na trójwymiarowych renderach artystów. Cofnąłem się, wpatrzony w białą jak papier twarz kobiety o burzy upudrowanych włosów i w sukni tak szerokiej, że ledwie mieściła się na wyświetlaczu. Ciekawiło mnie, z jakich czasów i z jakiego miejsca pochodzi ta osoba, kim była za życia. Patrzyłem na twarz z innego świata, równie niedostępnego, jak CentauriZiemia.

- Może Najstarszemu chodziło o kampanię Czyngischana? - wymamrotał Orion, po czym nacisnął ekran i pomalowana na biało twarz kobiety rozplynęła się w oblicze krzyczącego mężczyzny o ciemnej karnacji, oczach w kształcie migdałów i splątanych, brudnych włosach. - A może o ludobójstwo Ormian? - Przerażającą twarz antycznego

dowódcy zastąpiła mapa SolZiemi, na której migotał obrys niewielkiego kraju, zapraszając mnie, bym go dotknął i dowiedział się więcej.

Zabrakło mi jednak refleksu i Orion nacisnął coś innego. Mapa zniknęła, a w jej miejscu pojawił się wykres. Zmrużyłem oczy, starając się odczytać słowa zapisane drobną czcionką i połączone płataniną kresek. Drzewo genealogiczne. Skakałem wzrokiem od osoby do osoby i dopiero kiedy z ust Oriona wyrwało się ciche „ups”, a obraz rozmazał się, przechodząc w kolejną mapę, dotarło do mnie, czego tam szukałem. Własnego imienia - choć wydawało się to głupie, bo to drzewo było zdecydowanie za stare.

Oddychałem głęboko, ignorując kolejną wojnę czy ludobójstwo, którymi Orion atakował mnie z ekranu.

Jako jeden ze Starszych nie mogłem poznać swoich rodziców. Wiedza, kim są ci ludzie, sprawiłaby, że byłbym stronniczy i nieobiektywny; zrodziłaby sentymentalne uczucia, utrudniając mi rządzenie i podejmowanie decyzji w roli Najstarszego. Rozumiem to. Ba, sam się z tym zgadzam.

Ale mimo to...

Chciałem wiedzieć.

- Starszy? - Orion zwrócił się do mnie z troską w głosie. - Wszystko w porządku?

Kiwnąłem głową.

- Jasne.

Przyglądał się uważnie mojej twarzy, choć trudno mi było powiedzieć, czego na niej szuka.

A wówczas ja zacząłem przyglądać się jemu, w pełni świadomy, czego szukam. Czy mamy takie same nosy? A może oczy? Usta? Tak naprawdę nigdy wcześniej nie zwracałem na Oriona szczególnej uwagi. Zawsze przemykał gdzieś w tle, zlewał się z nagraniami, które przechowywał. Ale teraz, gdy patrzyłem na niego z bliska...

Czy ten mężczyzna mógł być moim ojcem?

Złapałem oddech i musiałem potrząsnąć głową, by wreszcie wziąć się w garść. Jasne, Orion był do mnie podobny, ale na statku, na którym lecieli ludzie wyłącznie tej samej rasy, nie wydawało się to szczególnie zaskakujące. Tyle samo siebie zobaczyłbym pewnie w Najstarszym.

Gdybym tylko potrafił zobaczyć prawdziwego siebie w lustrze...

Orion uśmiechnął się do mnie, jak gdyby rozumiał, przez co właśnie przechodzę. Ale to przecież niemożliwe, pomyślałem.

- A więc - zagaił tak ojcowskim tonem, że aż się wzdrygnąłem

- Najstarszy chce, żebyś prowadził dla niego badania? Wygląda na to, że naprawdę skupił się na twoim szkoleniu.

- Aha.

- Zabierał cię już pod Poziom Żywiciela? - Orion pochylił się, a w jego oczach załśniło zainteresowanie.

- Pod Poziom Żywiciela? Przecież tam nic nie ma.

Raptem twarz Oriona stężała, zamieniając się w woskową maskę.

- Ach. - W jego głosie zabrzmiało rozczarowanie, a kąciki ust opadły. - Wróćmy do naszych poszukiwań. - Odwrócił się do wyświetlacza.

- Zaraz, zaraz! Chcesz powiedzieć, że pod Poziomem Żywiciela jest coś jeszcze?

Orion wyraźnie się zawahał. Założył kosmyk włosów za ucho, a ja dostrzegłem na jego szyi osobliwą bliznę w kształcie pajęczyny.

- Nie jestem pewien - powiedział. - Przeglądałem ostatnio plastpleje i coś zwróciło moją uwagę... - Stukając palcem w wyświetlacz, w pośpiechu przepuszczał obrazy. - Znalazłem schematy „Błogosławionego”, chociaż chyba nie powinienem był ich oglądać. Zresztą we właściwym czasie Najstarszy z pewnością wszystko ci wyjaśni. Byłem po prostu ciekawy.

Nic dziwnego - ponieważ Orion pełnił funkcję Nagrywacza, jego życie i praca ograniczały się do Poziomu Żywiciela. Tylko garstka ludzi miała dostęp do innych części statku: sternicy pracujący na poziomie wyżej oraz Najstarszy i ja, jedyni ludzie uprawnieni do przebywania na Poziomie Strażnika. Prawdopodobnie Orion spędził całe życie w tej części statku.

- Mogę zobaczyć te schematy? - spytałem.

Orion wyciągnął rękę w kierunku plastpleja, ale niczego nie nacisnął.

- Najstarszy chyba nie chciałby, żebym... - w jego głos wkradło się wahanie.

Uśmiechnąłem się w odpowiedzi.

- W takim razie pozwól, że ja to zrobię - powiedziałem. - Wtedy nikt nie będzie mógł cię za nic winić.

Miałem wrażenie, że Orion czuje się winny, ale wyglądał na podekscytowanego i zaintrygowanego, gdy odtrąciłem jego rękę i wstukałem na wyświetlaczu: „schemat »Błogosławionego«„.

Zamiast obrazu pojawiła się lista. Tylko dwie opcje - dwa różne schematy.

Przed Plagą Po Pladze

- Co to ma znaczyć? - zapytałem. - Co się stało z „Błogosławionym” po Pladze? -

Wiedziałem, że Najstarszy nadał poziomom nowe nazwy, zmienił funkcje niektórych pomieszczeń i zarezerwował Poziom Strażnika dla Starszego i Najstarszego, ale przecież poza tym wszystko zostało po staremu. A przynajmniej tak mi się dotychczas wydawało. Ta mapa gwiazd musiała być ukryta z jariegoś ważnego powodu...

Orion pochylił się do mnie.

- No właśnie, mnie też to zaciekało. Spójrz. - Wyciągnął rękę i wcisnął opcję „Po Pladze”. Na wyświetlaczu pokazał się schemat: przekrój poprzeczny statku, wielki owal podzielony na poziomy. Nie zauważyłem nic nienaturalnego. Górna część - ogólny zarys pomieszczeń, które zajmowałem razem z Najstarszym - nosiła nazwę Poziom Strażnika. Poniżej znajdował się Poziom Sternika - bardziej skomplikowany, z wydzieloną przestrzenią maszynowni, centrum dowodzenia oraz laboratoriów używanych przez naukowców. Część znana obecnie pod nazwą Poziomu Żywiciela zajmowała ponad dwie trzecie powierzchni schematu. Sam schemat musiał być dosyć stary, bo wciąż widniały na nim budynki, które wchodziły w skład oryginalnego projektu, łącznie ze Szpitalem i Salą Nagrań. Brakowało na nim ulepszeń wprowadzonych już po starcie, na przykład grawiszybów zaprojektowanych dwa pokolenia przed obecnym Najstarszym. Zamiast tego wciąż było widać schody łączące Poziom Żywiciela z Poziomem Sternika, które rozebrano po instalacji grawiszybów.

Opuściłem wzrok na dolną część schematu.

- Chodzi ci o to? - spytałem, wskazując palcem na nieoznaczony fragment statku pod Poziomem Żywiciela. - To pewnie tylko część instalacji elektrycznej albo jakieś rury.

- Też tak myślałem - przyznał Orion - ale spójrz na to. - Stuknął w wyświetlacz, by wrócić do menu i wybrać opcję „Przed Plagą”.

Na plastpleju pojawił się wprawdzie ten sam schemat, ale opisany zupełnie inaczej. Poziom Strażnika nosił nazwę Nawigacja (tak samo podpisana była plakietka, którą widziałem na ekranie chowanym pod sufitowymi osłonami). Poziom Sternika dzielił się na trzy sektory: badania technologiczne (gdzie obecnie znajdowały się laboratoria), maszynownię oraz pomieszczenie o nazwie Mostek. Jak dotąd, żadnych zmian - użyto jedynie innych nazw dla tych samych miejsc. Dopiero na Poziomie Żywiciela pojawiły się znaczne różnice. Lewa część, czyli Miasto, była opisana jako Pomieszczenia Mieszkalne (ogólne), a cała reszta jako Badania Biologiczne. Badania Biologiczne? Czyżby tak określano kiedyś uprawę roślin, wypasanie kóz i strzyżenie owiec?

Ale dopiero pomieszczenia znajdujące się pod Poziomem Żywiciela wzbudziły moją fascynację. Wszystkie puste pola z nowszego schematu miały nazwy, zupełnie jakby pod moimi stopami istniał dodatkowy poziom, o którym nigdy nie słyszałem. Najwyraźniej

mieściło się tam laboratorium genetyczne, druga pompa wodna, wielka sekcja oznaczona jako Magazyn - Ważne oraz niewielki obszar o nazwie Rezerwa.

- Co to takiego? - spytałem, wpatrzony w schemat. - Słyszałem, że po Pladze zmienili nazwy poziomów i poprzehosili kilka rzeczy, ale to? To jest coś więcej niż zwykła... reorganizacja. To jest cały poziom. - W mojej głowie zrodziło się więcej pytań, ale nie wypowiedziałem ich na głos. Dlaczego dowiaduję się o tym dopiero teraz? Dlaczego Najstarszy o niczym mi nie powiedział? Choć w zasadzie już znałem odpowiedź: bo według niego nie byłem jeszcze gotowy albo, co gorsza, godny, aby poznać sekrety statku.

- Po Pladze sporo się zmieniło - odparł Orion. - Wcześniej nie mieliśmy nawet systemu Najstarszych.

Cóż, przynajmniej to nie było dla mnie tajemnicą, ale o tym wiedzieli wszyscy. Kiedy Plaga wytrzebiła około trzech czwartych ludności statku, zmniejszając populację z trzech tysięcy do zaledwie siedmiuset osób, Najstarszy Plagi przejął dowództwo, wprowadził własne rządy i stworzył pokojowe, pracowite społeczeństwo, które istniało do dzisiaj. Kolejne pokolenia zdołały odtworzyć populację do poziomu ponad dwóch tysięcy mieszkańców, rozwinąć nowe technologie, takie jak grawiszyby, oraz utrzymać ład i pokój we wspólnocie, która odpowiadała pierwotnej wizji Najstarszego Plagi.

Nie miałem jednak pojęcia, że ten sam Najstarszy wprowadził tak wiele zmian na statku ani co te zmiany oznaczały.

- Nie chcesz wiedzieć, co jest na dole? - zapytał Orion, wpatrzony w czwarty poziom.

Jasne, teraz, kiedy mi o nim powiedział, nie myślałem o niczym innym.

- Daj mi popatrzeć. - Odepchnąłem go i zacząłem przesuwac palcami po wyświetlaczu. Trwało to kilka minut, ale w końcu znalazłem to, czego szukałem. - Spójrzmy, co umieścili tam projektanci - oznajmiłem, uśmiechając się triumfalnie.

Na wyświetlaczu pojawił się plan statku znacznie bardziej skomplikowany od ogólnego schematu. Wpatrywałem się w linie, próbując wysledzić instalacje elektryczne i kanalizacyjne, aby oddzielić je od ścian i drzwi. Plan był ogromny; musiałem go przybliżyć i przesuwac albo oddalać i mrużyć oczy.

- Nic z tego nie rozumiem - westchnąłem wreszcie, rozkładając ręce.

- Ja zacząłem od windy. - Orion przesunął plan w górę i natychmiast rozpoznałem zarys budynku, na który patrzyłem - Szpital. Tymczasem Orion wskazał na trzecie piętro. - Tu jest druga winda.

- Nie ma żadnej drugiej windy! - parsknąłem śmiechem. Spędziłem w Szpitalu sporo czasu i wiedziałem, co mówię.

- Jest, na końcu tego korytarza. Plany nie kłamią.

- Wszystkie drzwi na tym piętrze są pozamykane - upierałem się. Sam sprawdzałem. I nie miałem na myśli zwykłych skanerów biometrycznych - z nimi poradziłbym sobie jednym pociągnięciem kciuka. Te drzwi były wyposażone w staroświeckie metalowe zamki z SolZiemi. Spędziliśmy kiedyś z Harleyem tydzień, próbując otworzyć jeden z nich, aż w końcu przyłapał nas Doktorek.

Orion pokręcił głową.

- Ale nie ostatnie. Ostatnie drzwi są otwarte, a za nimi znajduje się druga winda.

Znów wybuchnąłem śmiechem.

- Wykluczone. Wiedziałbym, gdyby na tym statku istniała jakaś sekretna winda zjeżdżająca na sekretny poziom.

Orion popatrzył na mnie, a w jego milczeniu słychać było zarzut: jesteś pewien?

Najstarszy ukrywał przede mną w tajemnicy niejedną rzecz. A jeśli naprawdę istnieje jakiś sekretny poziom?

7

AMY

Chyba coś słyszę.

Skrzypienie. Otwierają się drzwi, małe drzwiczki mojej kostnicy, i w środku robi się jaśniej. Przez sklezione powieki widzę blask i czuję, jak coś, ktoś wyciąga na zewnątrz szklaną trumnę.

Podnosi się podrywa. W moim żołądku dzieje się coś dziwnego, jakby ktoś huśtał mnie na huśtawce. Próbuje chwycić się tego wrażenia, upewnić, że jest prawdziwe. Naprawdę podnieśli pokrywę? Słyszę przez lód - słyszę! - stłumione frazy rozmowy. Są coraz głośniejsze i już nie brzmią jak wibracje przenikające przez lód, ale jak autentyczne dźwięki! Rozmawiają dwie osoby.

- Jeszcze tylko trochę - mówi głos, który kojarzy mi się z Edem.

- Lód szybko topnieje.

- To chyba... - Nie słyszę kolejnych słów, bo omywa mnie świszczący dźwięk. Czuję ciepło. Czuję ciepło pierwszy raz od trzystu jeden lat! Nie lód, ale łaskotanie, pęknięcie na końcówkach nerwów - przenika mnie całą i napęnia uczuciem, które, mogłabym przysiąc, utraciłam na zawsze całe wieki temu. Ciepło!

- Dlaczego jeszcze się nie poruszyła? - pyta pierwszy głos. Nie brzmi już jak surowy, niedbały Ed, ale jak łagodniejszy Hassan.

- Więcej żelu. - Wcierają mi coś w skórę. Zdaję sobie sprawę, że po raz pierwszy od ponad trzech wieków ktoś mnie dotyka. Moje zimne ciało ugniatają czule ręce lepkie od mazi, która przypomina mi balsam Icy Hot - smarowałam nim kolano, kiedy zwichnęłam nogę podczas biegu przełajowego w pierwszej klasie. Jestem taką. szczęśliwą, że chyba zaraz pęknę.

I właśnie wtedy dociera do mnie, że nie mogę się uśmiechnąć.

- Nie działa - mówi łagodny głos. Teraz pobrzmiwa w nim smutek - Zal porażki-

- Spróbuj...

- Po co? Spójrz, nawet nie oddycha.

Cisza.

Chcę siłą woli sprawić, by płuca pompowały powietrze, zmusić pierś, by się unosiła i opadała w rytmie życia.

Coś zimnego - nigdy więcej nie chcę czuć zimna - dotyka mnie obok mostka.

- Nie ma pulsu.

Koncentruję całą wolę na sercu - bij, do cholery! Bij, bij! Ale jak zmusić serce, żeby pracowało? Ledwie zdążyłam mu powiedzieć, by się zatrzymało, zanim mnie zamrozili.

- Powinniśmy jeszcze poczekać?

Tak - TAK! Zaczekajcie, już jestem blisko. Dajcie mi trochę czasu, żebym odtajała, a ożyję i podniosę się z lodu jak lodowy feniks. Tylko nie odbierajcie mi szansy!

- Nie ma po co.

Usta. Skupiam każdą świadomą cząstkę siebie na swych ustach. Wargi, ruszajcie się! Mówcie, krzyczcie, wrzeszczcie!

- Po prostu włóż ją z powrotem.

Błat, na którym leży trumna, ugina się pod ciężarem podrywy, a żołądek wywraca mi się na drugą stronę, gdy wpychają mnie z powrotem w ciemność kostnicy.

Klika zamek w drzwiczkach.

Chcę krzyczeć, ale nie mogę.

Bo to wszystko nie dzieje się naprawdę.

To tylko kolejny koszmar.

8

STARSZY

Doktorek szedł przez lobby szpitala, pomagając pielęgniarce doprowadzić starszego mężczyznę do recepcji. Zobaczył mnie i od razu ruszył w moją stronę.

- Widziałeś Harleya? - spytał.

- Nie. - Nie potrafiłem powstrzymać uśmiechu. Harley słynął ze swoich ucieczek. Wymykał się Doktorce za każdym razem, gdy nadchodziła pora podawania leków.

Doktorce przeczesał palcami gęste włosy. Dostrzegł mój uśmiech i zmarszczył brwi.

- To naprawdę nie jest śmieszne. Harley musi przyjmować lekarstwa zgodnie z harmonogramem.

Spróbowałem zrobić poważną minę. Harley rzeczywiście bywał czasem porywczy i ponury, ale moim zdaniem wiązało się to raczej z jego artystyczną duszą niż z wariactwem, o które oskarżał go Doktorce. A poza tym to mój najlepszy kumpel i nigdy bym go nie wydał.

- Nigdzie nie idę! - krzyknął staruszek przy recepcji, a Doktorce obrócił się na pięcie. Mężczyzna wyrwał się pielęgniarkę, która pomagała mu iść, i stanął nad recepcjonistką. - Nie zmusicie mnie! Nie będę leżeć w żadnym łóżku, jestem zdrowy jak ryba! - Przypieczętował swoją wypowiedź atakiem ostrego kaszlu i splunął na posadzkę flegmą.

- Dobrze już, dobrze, proszę się uspokoić - powiedział Doktorce, wracając do mężczyzny.

Staruszek skupił na nim wzrok zmętniałych oczu.

- Gdzie jest moja żona? Trzymacie ją tutaj?

- Pani Steeli tu nie ma - odparł Doktorce, kładąc dłoń na ramieniu mężczyzny. - To pan jest chory, a nie ona.

- Nie jestem chory! - wrzasnął ile sił w płucach staruszek, ale już po chwili wyraz jego oczu się zmienił. Zaszklily się lekko, oddech zwolnił, a on sam dziwnie opadł, jakby pod ciężarem własnych ubrań. Wszystko wyjaśniło się, gdy Doktorce poruszył ręką - zauważyłem na ramieniu mężczyzny medplast. Lawendowy, lepki kawałek materiału już zaczął działać, zamieniając staruszkę w potulnego króliczka.

Na twarzy Doktorce wykwitł triumfalny uśmiech. Pomógł pacjentowi usiąść w wózku i wysłał go z pielęgniarką do windy. Przełknąłem ciężko ślinę. Doktorce to dobry człowiek, ale na każdy problem ma tylko jedną odpowiedź: leki. Nie lubi uczuć, żadnych uczuć; woli spokój i pełną kontrolę.

To właśnie dlatego trzymał się tak gzyfowo blisko Najstarszego. Obaj myślą w taki sam sposób.

- No więc co tutaj robisz? - spytał mnie, patrząc, jak staruszek wjeżdża bezpiecznie do windy w drodze na oddział.

Przestąpiłem z nogi na nogę na gładkiej, wykafelkowanej posadzce. Przecież nie mogłem mu powiedzieć, że szukam sekretnej windy, która zjeżdża na czwarty poziom. W

zasadzie nie byłem nawet pewien, czy wystarczająco ufam Orionowi, by w ogóle jej szukać.

- Chciałem tylko zobaczyć się z Harleyem - odpowiedziałem w końcu.

Doktorek zmarszczył czoło.

- Jeżeli go spotkasz, wyślij go prosto do mnie. Już dawno powinien był wziąć leki. - Spojrzał na zegar wiszący w recepcji. - A skoro o tym mowa, ty swoje wzięłeś?

Zarumieniłem się po same koniuszki uszu. Nie byłem dumny z roku, który tu spędziłem. Na drugim piętrze, nazywanym Izolatką, gdzie trzyma się pacjentów cierpiących na zaburzenia psychiczne. Wydaje mi się, że zламаło mnie życie pośród żywicieli. Kiedy byłem małym chłopcem, jeszcze tego nie czułem, ale później z każdym kolejnym rokiem coraz dotkliwiej zdawałem sobie sprawę, że jestem inny. Nie potrafiłem przejmować się polami i krowami w taki sam sposób, jak oni.

(Pamiętam, że gdy Doktor po raz pierwszy kazał mi połknąć tabletki, zapytałem: „Ale czy mogę dalej być Starszym? Przecież leczyłem się z choroby umysłowej! Spędziłem w Izolatce cały rok!”. Byłem gotów zrezygnować ze swej funkcji, ale Doktor i Najstarszy wybili mi ten pomysł z głowy).

- Wziąłem je dziś rano - wymamrotałem, czując, jak płonę. Miałem tylko nadzieję, że pielęgniarka przy biurku recepcji niczego nie słyszała; jak wyglądałby w jej oczach przyszły przywódca, który chorował na głowę?

Doktorek otaksował mnie wzrokiem.

- Coś się stało? - spytał.

Najstarszy oszukał mnie w sprawie gwiazd, na „Błogosławionym” może istnieć jakiś tajny poziom, a Orion jest do mnie bardziej podobny, niż kiedykolwiek gotów byłbym przyznać, ale nie, nic się nie stało, bo jeśli Doktor pomyśli, że się stało, nafaszeruje mnie kolejną porcją tabletek. Pokręciłem głową.

Doktorek nie wyglądał na przekonanego.

- Wiem, że ci ciężko. Jesteś inny.

- Tylko trochę.

- Och, bardziej niż trochę. Sam wiesz o tym najlepiej.

Wzruszyłem ramionami. Winda - teraz pusta - wróciła do lobby. Chciałem do niej uciec, a Doktor litościwie nie próbował mnie zatrzymać.

W środku mój palec zawisnął na chwilę nad przyciskiem z trójką, ale w końcu wcisnąłem dwójkę. Jeśli rzeczywiście Harley przestał przyjmować leki, to chyba powinienem się z nim zobaczyć, zanim wyruszę na poszukiwania tajemniczego poziomu.

Pęd windy podniósł mnie na duchu. Nawet pomimo obecności Doktora Izolatka

pozostawała jednym z moich ulubionych miejsc - mieszkali tam wszyscy moi przyjaciele. Kabiną szarpnęło i drzwi się otworzyły, ukazując świetlicę drugiego piętra. Uśmiechnąłem się tak szeroko, że aż zapiekły mnie kąciki ust.

Jeśli gdzieś na statku czułem się jak w domu, to właśnie w Izolatce, choć była pełna wariatów.

Farba ochlapała mi rękaw. Spojrzałem w bok i zobaczyłem Harleya, który z pasją atakował płótno, pozwalając pędzlowi ześlizgnąć się z jego krawędzi. Wokół miejsca, gdzie siedział, widniał szeroki pierścień czerwonych i niebieskich kleksów.

- Cześć, Harley - rzuciłem. - Doktorek cię szuka.

- Nie mam dla niego czasu - odparł Harley, podnosząc wzrok. - Czterdzieści dziewięć i dwieście sześćdziesiąt siedem - wymruczał, po czym odwrócił się z powrotem do płótna i zadał mu kolejny cios. Uśmiechnąłem się krzywo. Jeśli ktoś chciał wiedzieć, kiedy „Błogosławiony” wylądował na Centauri Ziemi, to po prostu pytał Harleya. Większość ludzi - to znaczy większość z tych, którzy mieszkają w Izolatce - śledzi czas pozostający do lądowania. Mógłbym się założyć, że Harley potrafiłby podać nie tylko liczbę lat (czterdzieści dziewięć) i dni (dwieście sześćdziesiąt siedem), ale również minut i sekund.

Uskoczyłem przed lecącą farbą i zerknąłem z zaciekawieniem na płótno. Harley malował karpia koi w błękitnym morzu, ale światło mieniące się na łuskach ryby i migoczące na powierzchni wody wydawało się łączyć, jakby ryba była częścią morza, a morze częścią ryby. Harley użył niesamowitych kolorów - nikt inny by na takie nie wpadł. Karp miał jasnozielone, prawie żółte oczy, jak nefryty skąpane w złocie. Łuski także były lśniące i jasne, ale ich krawędzie miały barwę krwi, która powinna klócić się z pozostałymi kolorami, a jednak idealnie pasowała. Czerwień w jakiś sposób sprawiała, że obraz wydawał się prawdziwszy, jakby woda miała za chwilę wylać się z płótna, a karp przepłynąć między naszymi stopami.

- Podoba mi się - stwierdziłem po chwili milczenia. - To znaczy, jest gzyfowo dobre.

Harley burknął coś pod nosem. Wpadł w artystyczny trans i jakiegokolwiek próby nawiązania rozmowy mijały się z celem. Doktorek będzie musiał porządnie się napocić, aby podać mu leki, nawet kiedy już go niechybnie odnajdzie.

Wszędzie wokół mnie kwitły subtelne formy chaosu, a cała świetlica wprost ociekała kreatywnością i sztuką. To naprawdę jedno z najfajniejszych miejsc na statku, może oprócz chwil takich jak teraz, kiedy każdy był zajęty swoimi sprawami. Zacząłem się czuć jak pospolity hucpiarz, przestępując w miejscu z nogi na nogę, podczas gdy wszyscy inni skupiali się na swych obowiązkach.

- Do zobaczenia - powiedziałem, ale Harley chyba mnie nie usłyszał.

Gdy wsiadłem do windy i wybrałem trzecie piętro, poczucie winy skręciło mi żołądek. Najstarszy chciał, żebym poznał ostatnią przyczynę niezgody, a tymczasem ja robiłem coś zupełnie innego.

Ale kłamstwa też są przyczyną niezgody - pomyślałem urażony, kiedy drzwi się zamknęły.

Na trzecim piętrze panowała cisza. Mijałem drzwi po lewej i prawej, zmierzając na koniec korytarza. Położyłem dłoń na gałce. Będą zamknięte, pomyślałem. Wszystkie drzwi na trzecim piętrze są pozamykane, już to kiedyś sprawdzałem.

Ale gałka ustąpiła pod naciskiem dłoni, tak jak zapewniał mnie Orion. Za drzwiami krył się ciasny pokój z biurkiem, na którym leżało metalowe pudełko, a po drugiej stronie...

Dostrzegłem windę.

Nad przyciskiem przywoływania znajdował się skaner biometryczny. Miałem dziwne przeczucie, że będzie zablokowany. W końcu Najstarszy pozbawił mnie już dostępu do swojej kwatery i do maszynowni na Poziomie Sternika. I choć poza tym mogłem swobodnie poruszać się po całym statku, coś mi mówiło, że tutaj Najstarszy również nie chciałby mnie widzieć. Kiedy jednak przeciągnąłem kciukiem po czytniku, drzwi natychmiast się otworzyły.

Panel windy był wyposażony w pięć przycisków - po jednym dla każdego piętra Szpitala oraz dodatkowy z literą „R”. Co miałyby oznaczać to „R”? Przypomniałem sobie plan, który pokazał mi Orion. Część ostatniego poziomu była oznaczona jako Rezerwa, ale zgodnie ze schematem ta winda zjeżdża do obszaru o nazwie Magazyn - Ważne. Dotknąłem przycisku „R”. Poglądziłem go palcem, by poczuć kształt litery. Jak to możliwe, że na statku przez cały czas istniała zupełnie nieznana winda, zupełnie nieznaną poziom?

Naparłem na przycisk całym ciężarem ciała.

Drzwi się zamknęły, a winda ruszyła. Cyfra na wyświetlaczu zmieniała się z każdym mijanym piętrem - trzy, dwa, jeden...

Wyświetlacz zgasł, gdy zjechałem pod poziom szpitala. Zacząłem odliczać sekundy. Spojrzałem na panel, ale przycisk z literą „R” był ciemny. A winda wciąż jechała. Dwa razy dłużej niż między zwykłymi piętrami, trzy razy dłużej... Minęła jakaś minuta. Jak duży był tak naprawdę „Błogosławiony”?

Kabina zatrzymała się z lekkim szarpnięciem.

Drzwi się otworzyły.

Wzięłem głęboki oddech, po czym wyszedłem na poziom, który nie powinien istnieć.

Otoczyła mnie ciemność.

- Światło - rzuciłem, manipulując przy wikomie, ale nic się nie stało.

Winda zamknęła się z szumem, odcinając dopływ bladej poświaty. Położyłem dłoń na ścianie, by się nie zgubić, i zahaczyłem palcami o wystający kawałek plastiku.

Nad moją głową zapaliła się migocząca fluorescencyjna żarówka, a za nią kolejna i kolejna, jak domino świateł na suficie. Co jest... Włącznik światła? Widziałem takie wyłączniki na plastplejach i filmach technologicznych z SolZiemi. Na długo przed Plagą na „Błogosławionym” wymieniono całą instalację, przystosowując ją do obsługi wikomów.

Pomieszczenie, które ukazało się moim oczom, było ogromne. Nienaturalnie ogromne. Przypominało Poziom Strażnika - mnóstwo miejsca i nikogo, kto mógłby je zapełnić. Dałoby się tu ustawić wszystkich mieszkańców statku, zupełnie jak w Wielkiej Sali. Po lewej znajdowały się zamknięte drzwi, a w prawo odchodziła odnoga korytarza. Królował metal i ostre krawędzie. Poza tym całość miała dziwny, niemal jajowaty kształt i zwężała się ku górze, tworząc kopułę. Nie rozumiałem, skąd taki układ - Poziom Żywiciela powyżej był płaski - ale dostrzegłem ciężkie żelazne rury wystające z krzywizn sufitu.

Całe pomieszczenie wypełniały rzędy metalowych pojemników. Podobnie jak stare regały książkowe z SolZiemi w Sali Nagrań (rzecz jasna zamknięte przed żywicielami), pięły się wysoko, tylko czekając, aż ktoś zechce zgłębić ich zawartość, która kryła się za niedużymi kwadratowymi drzwiczkami na ciężkich zawiasach. Powietrze wydawało się chłodniejsze, a ściany milczące, jakby można tu było rozmawiać wyłącznie szeptem i przebywać w niewielkich grupkach.

Ruszyłem w stronę najbliższego przejścia, mijając po obu stronach rzędy drzwiczek. Wszystkie były oznaczone, ktoś ponumerował je niedbale białą farbą. W dole widniały małe prostokąciki. Przyjrzałem się im z bliska - flagi, pół tuzina flag krajów z SolZiemi. Na końcu rzędu dostrzegłem wygrawerowane w metalu litery: GZF. Takie same, jak na gwiazdnym ekranie. A zatem wszystko to musiało być naprawdę stare, pochodzić z pierwotnego projektu statku. Chwyciłem klamkę drzwiczek z numerem trzydzieści cztery i zacząłem ją przekręcać, gdy raptem mój wzrok przyciągnął błysk czerwieni.

Jedne drzwiczki były już otwarte. Ze środka niczym długi jezior wystawał metalowy blat, na którym leżał wąski przezroczysty pojemnik wypełniony zamrożoną wodą. W skrzącym się błękitnie lodzie tkwiła dziewczyna, nieruchoma i cicha jak całe pomieszczenie.

To jej włosy działały na mnie jak magnes. Były rude, a właściwie czerwone. Nigdy wcześniej nie widziałem rudych włosów, tylko na kilku zdjęciach, ale żadne zdjęcie nie mogło uchwycić wyrazistości tych lśniących kosmyków zaklętych w lodzie. Harley ma książkę o obrazach, którą ukradł z Sali Nagrań, i jedno z przedstawionych tam dzieł to seria

stogów siana namalowanych o różnych porach dnia. Pokazał mi kiedyś ostatni z tych stogów - pokryty śniegiem i skąpany w promieniach zachodzącego słońca. Zwariował na jego punkcie, mówił, że pomysł, by malować te same rzeczy w różnym świetle, był po prostu genialny. Ja stwierdziłem, że to głupie, w końcu światło albo jest, albo go nie ma, ale Harley tylko popukał się w czoło. Wyjaśnił mi, że mieszkańcy SolZiemi mogli podziwiać prawdziwe wschody i zachody, bo ich słońce było czymś więcej niż przerośniętą lampą grzewczą na niebie i poruszało się jak żywa istota.

Włosy dziewczyny były jednak o wiele cudowniejsze od promieni uchwyconych przez artystę, którego Harley określił największym geniuszem, jakiego widział świat.

Wyciągnąłem rękę, chcąc dotknąć szkła, które więziło ją w środku, i dopiero wtedy zdałem sobie sprawę, jak bardzo jest zimne. Mój oddech zamienił się w mgiełkę, a palce przymarzły do szklanego pojemnika.

Patrzyłem na nią z góry. Była to najpiękniejsza, lecz zarazem najdziwniejsza istota, jaką kiedykolwiek widziałem. Miała bladą skórę - tak bladą, że aż niemal przezroczystą, choć nie wydawało mi się, by wynikało to wyłącznie z chłodu. Przyłożyłem dłoń do pokrywy pojemnika tuż nad sercem nieznanym, a moje ciało stało się cieniem na jasności jej ciała.

Na pewno nie należała do tej rasy, co mieszkańcy „Błogosławionego”, bo nie przypominała żadnej znanej mi osoby. Jej karnacja, włosy, ciało, wiek - taki sam, jak mój... Była niska, ale szczupła, a biodra i piersi miała kusząco zaokrąglone.

Jak taka dziewczyna wpasowałaby się w monoetniczny świat bez różnic, który według Najstarszego zapewniał nienaruszalny pokój?

Pożerałem wzrokiem jej ciało i znów skierowałem wzrok na piersi. Tuż nad nimi lód zmętniał, drażniąc moją wyobraźnię, lecz widziałem wystarczająco wiele, by stwierdzić, że są duże i jędrne. Choć skuł je mróz, zacząłem fantazjować, że gdyby je tylko rozgrzać...

- Starszy!

Odkoczyłem od przejrzystego pojemnika tak zaskoczony, jakby nieznaną piękność nagle ożyła. Ale to tylko Doktorek.

- Co ty tutaj robisz? I przede wszystkim jak się tu dostałeś? - Cisza. - Skąd w ogóle wiesz o tym miejscu?

- Przyjechałem windą. - Starąłem się wyglądać na wyluzowanego, ale serce waliło mi jak oszałałe.

- Nie powinno cię tutaj być. - Doktorek zmarszczył brwi i dotknął wikomu za lewym uchem. - Komlink: Najstarszy.

- Nie! Nie łącz się z Najstarszym! Już idę! - zawołałem, choć wcale nie chciałem iść,

chciałem patrzeć na dziewczynę z włosami jak zachód słońca.

Doktorek pokręcił głową.

- Tu nie jest bezpiecznie. Wystarczy, że przypadkiem wcisnąłbyś któryś z tych guzików - machnął ręką w kierunku niewielkiego czarnego pudełka nad głową dziewczyny - i mógłbyś ją obudzić.

Przyjrzałem się uważniej pudełku z elektroniką. Było dosyć proste - na górze znajdowały się dwa przyciski: PULS ELEKTRYCZNY i DANE, a pod osłonką z czytelnikiem linii papilarnych trzeci, podpisany jako REANIMACJA. Kable ciągnęły się od pudełka do szklanego pojemnika z lodem i dziewczyną; śledziłem je aż do jej idealnych wiśniowych ust.

- Nie będę niczego dotykać - obiecałem, ale Doktor już się odwrócił.

- Starszy jest na dole - rzucił, a ja zrozumiałem, że kieruje te słowa do Najstarszego, z którym najwyraźniej połączył się przez wikom. - Aha. - Chwila ciszy. - A skąd mam to, do gzyfa, wiedzieć?

- Znów prześwidrował mnie zimnym, dociekliwym wzrokiem. Po raz ostatni widziałem to spojrzenie, gdy byłem jego pacjentem. Dotknął wikomu za uchem, by przerwać połączenie, a ja już wiedziałem, że Najstarszy zjawi się tu lada chwila, by zatargać mnie z powrotem do Centrum Edukacyjnego.

- Kim ona jest? - spytałem. Chciałem się dowiedzieć jak najwięcej, póki jeszcze mogłem.

Doktorek zmrużył podejrzliwie oczy, ale nachylił się i spojrzał na drzwiczki.

- Numer czterdzieści dwa. Sprawdzalem dzisiaj czterdziestki. Rutynowa kontrola wizualna. Chciałem się upewnić, że wszystko jest w porządku. - Pokręcił głową. - Trzeba było dokończyć, zanim poszedłem do Izolatki... - mruknął do siebie.

- Czterdziestki?

Popatrzył na mnie.

- Wszystkie są ponumerowane.

- Tak, to akurat zauważyłem. - Przez mój głos przebijało zniecierpliwienie. - Ale co to znaczy? Dlaczego te drzwiczki są ponumerowane i dlaczego w środku leżą zamrożeni ludzie?

Doktorek przeniósł wzrok na dziewczynę z włosami jak zachód słońca.

- O to powinieneś spytać Najstarszego.

- Pytam ciebie.

Odwrócił się z powrotem w moją stronę.

- Powiem ci, jeżeli ty mi powiesz, jak się tutaj dostałeś. Wszystkie drzwi prowadzące do windy są pozamykane.

- Wszystkie oprócz ostatnich na trzecim piętrze - odparłem.

Doktorek obserwował mnie spod półprzymkniętych powiek.

- A ty zupełnie przypadkiem wpadłeś na otwarte drzwi na trzecim piętrze.

Zawahałem się.

- Znalazłem stare plany statku w Sali Nagrań i zauważyłem na nich tę drugą windę. -

Nie chciałem wsypać Oriona, w końcu to nie jego wina, że dałem się złapać.

Widziałem, jak Doktor gorączkowo analizuje sytuację, bo z jego twarzy odpłynęły wszelkie emocje.

- No więc - odezwałem się, patrząc na dziewczynę - kim ona jest?

Doktor minął szklany pojemnik i podszedł do stanowiska roboczego przy ścianie, po czym wrócił z plastplejem. Przesunął po nim palcem, aby otworzyć jakiś program, wstukał kod dostępu i przycisnął opuszkę do pola identyfikacyjnego. Po tej procedurze zaczął pisać jedną ręką.

- Numer czterdzieści dwa, numer czterdzieści dwa... Ach, ona jest zbędna.

- Słucham? - Przyklęknąłem, by zrównać się wzrokiem z twarzą nieznajomej, i znów zacząłem podziwiać jej włosy. Jakby ktoś wlał odrobinę żółtego, pomarańczowego i czerwonego atramentu do szklanki z wodą. Luźne, poskręcane pasemka spływały z jej głowy, zwijając się w pukle na dnie szklanego pojemnika. Jak ktokolwiek mógł twierdzić, że dziewczyna z włosami jak zachód słońca jest zbędna?

- Jej rodzice - ciągnął Doktor, przesuwając tekst na plastpleju

- złożyli specjalną prośbę o umieszczenie jej na statku. Wygląda na to, że są kimś ważnym - matka to inżynier biotechnologii, a ojciec stoi dość wysoko w hierarchii wojskowej. Mała szczęściara. Niewielu zbędnych załapało się na ten lot. Za mało przestrzeni ładunkowej.

Zamrugałem oszołomiony. A zatem ta dziewczyna była „ładunkiem”? I to na dodatek zbędnym?

- Dlaczego ona się tu znalazła? Dlaczego wszyscy ci ludzie się tu znaleźli? Dlaczego na „Błogosławionym” istnieje cały poziom zamrożonych ludzi?

- Cóż - mruknął Doktor, odkładając plastplej - to jest pytanie do Najstarszego.

- Tylko że jemu chyba nie mogę ufać - szepnąłem do dziewczyny z włosami jak zachód słońca, żeby przypadkiem Doktor mnie nie usłyszał.

Zastanawiałem się, jakiego koloru ma oczy. Wytężyłem wzrok, próbując dostrzec coś przez lód, i zobaczyłem rzęsy, długie i rudawożółte. Na gzyfa, nawet nie wiedziałem, że takie też istnieją! Jej powieki były jednak mocno zaciśnięte. W każdym razie jedno wydawało się

pewne - dziewczyna o tak bladej karnacji, rudych włosach i słonecznych rzęsach z pewnością miała nietuzinkowe oczy.

- Starszy.

Nie musiałem się odwracać, by wiedzieć, kto mnie woła. Mimo to położyłem rękę na szklanym pojemniku, jakbym chciał ochronić dziewczynę przed wzrokiem Najstarszego. Dopiero wtedy spojrzałem za siebie.

- Jak się tu dostałeś? - spytał lakonicznie Najstarszy. Był wściekły, ale niekoniecznie na mnie.

Nie miałem szansy się odezwać, bo pałeczkę przejął Doktorek.

- Pewnie zapomniałem zamknąć drzwi. Zupełnie się rozkojarzyłem, pielęgniarki nie potrafiły znaleźć pacjenta, który musiał przyjąć leki. Cóż, byłem nieostrożny.

Co za gzyfowe kłamstwo! Doktorek wcale nie zapomniał zamknąć żadnych drzwi - w końcu sam nie wiedział, jak tutaj trafiłem. Ale należał mu się szacunek. Trzeba było nie lada hucpy, żeby okłamać Najstarszego.

- Chodźmy - powiedział do mnie Najstarszy.

- Najpierw powiedzcie mi - zaprotestowałem - dlaczego ta dziewczyna... dlaczego wszyscy ci ludzie są zamrożeni? Po co? Skąd oni pochodzą? I dlaczego ona jest taka... inna?

Najstarszy wbił spojrzenie zimnych oczu w nieznaną z włosami jak zachód słońca. Powoli przeniósł wzrok na mnie.

- Jest inna, ponieważ pochodzi z SolZiemi - wyjaśnił. - Jak oni wszyscy. A teraz chodź.

- Ale...

- Chodź. - Odwrócił się i ruszył do windy. Kroczył szybko, przyciskając pięść do biodra nad obolałą nogą.

Poszedłem za nim, potulny jak baranek.

9

AM Y

Są też wspaniałe sny.

Piękne sny. Sny o nowym świecie.

Nie mam pojęcia, jak tam będzie. Nikt nie ma. Ale koszmary rzadko dotyczą nowego świata - w mojej wyobraźni zawsze przypomina on raj.

Miejsce, dla którego warto było porzucić Ziemię.

Ciepło. Ciepło zawsze przychodzi pierwsze.

W moich snach budzę się i jestem w domu.

Babcia smaży naleśniki. Zawsze dodaje do ciasta kapkę syropu klonowego i kuchnię wypełnia słodki, lepki aromat, który kojarzy mi się z domem.

Babcia podnosi wzrok - Uśmiecha się, patrząc w moją stronę...

I czasami właśnie w tej chwili iluzja pryska, bo odzyskanie babci wydaje się najbardziej nieprawdopodobną częścią każdego snu.

Uśmiecha się tak szeroką, że zmarszczki wydają się znikać z jej twarzy.

- Chodźmy! - woła tato. Jest ubrany w dres. Biega przez chwilę w miejscu, a jego tenisówki skrzypią na linoleum. Zaraz potem pojawia się za nim mama w krótkich spodenkach i sportowym topie...

I czasami właśnie w tej chwili powracam do rzeczywistości, bo mama nigdy ze mną nie biegała, biegaliśmy tylko ja i tato.

Więc biegniemy.

Przed nami roztacza się cały nowy świat. Zawsze jest piękny - jak to, co najlepsze w domu, tylko że zrobione jeszcze lepiej. Piasek nie ucieka nam spod stóp, kiedy pędzimy plażą, a woda nie jest niebieska, lecz złota. Wiatr w chłodnym lesie pachnie cytrynami i miodem, dziwaczne dzikie zwierzęta o miękkiej sierści bawią się z nami swobodnie, a na pustyni stoją wysokie piaskowe rzeźby, z których można czerpać słodką wodę do picia.

Nowy świat zawsze jest piękny, zawsze doskonały.

A jeśli mam szczęście, mogę w nim chwilę zostać.

Nie zawsze mam szczęście.

Ścieżką zaczyna skręcać i zwracamy w stronę domu. Widzę w oddali jego bryłę, miszmasz stylów przypominający mi dom na Florydzie, w którym mieszkaliśmy, gdy byłam młodsza, chociaż cegła przywołuje raczej wspomnienia Kolorado. Na ganku stoi babcia i macha do nas, krzycząc.

Mama zbiega ze ścieżki w stronę domu.

- Chodź - mówi tato i pędzi na ganek. Ale ja nie mogę przestać biec. Moje stopy nie chcą mnie ponieść do domu.

Nie mogę się zatrzymać.

Muszę gnać tam i z powrotem przez świat, który jest piękny, błogi i doskonały.

Próbuję zwolnić. Udaje mi się zawrócić i znów widzę dom, a w nim mamę, babcię i tatę. Jedzą naleśniki - Bywa, że jest z nimi Jason, piesek z czasów mojego dzieciństwa i moi przyjaciele ze szkoły.

Ale ja nie mogę się zatrzymać.

Bo czasami sny o nowym świecie zamieniają się jednak w koszmary.

10

STARSZY

Najstarszy musiał chyba uznać, że najlepszą karą będą dla mnie kolejne lekcje. Podczas długiej jazdy windą milczał, a gdy wypytywałem go o dziewczynę, maszerując drogą ze Szpitala do grawiszybu, tylko odburknął coś pogardliwie. Gdy tylko weszliśmy do Centrum Edukacyjnego, pchnął mnie na twarde plastikowe krzesło stojące obok wyblakłego globusa SolZiemi.

Jeszcze raz zapytałem go o nieznajomą, ale on w milczeniu opadł na krzesło po drugiej stronie stołu i poprawił się niespokojnie. Skrzywił się, opierając nogę na globusie, a jego but zasłonił Australię.

- No więc? - warknął.

- No więc co? - Mimo najszczerzych chęci nie potrafiłem stłumić zrzędlowego tonu.

- Dowiedziałeś się, jaka jest trzecia przyczyna niezgody?

- Nie - odparłem, patrząc na wybrzuszenia gór na globusie.

- Och, więc miałeś mnóstwo czasu na włóczenie się po statku iwęszenie w pomieszczeniach, w których w ogóle nie powinno cię być, ale nie zrobiłeś jednej rzeczy, o którą cię prosiłem? - Sarkazm Najstarszego wydawał mi się przesadnie okrutny; staruszek prawie pluł słowami w moją stronę.

- Dlaczego mi nie powiedziałeś, że na „Błogosławionym” znajduje się ukryty poziom pełen zamrożonych ludzi? - odwarknąłem.

- Skoro jestem przyszłym dowódcą tego gzyfowego statku, powinienem chyba o wszystkim wiedzieć!

- Och, powinieneś o wszystkim wiedzieć, tak? W takim razie może raczysz mi wreszcie wyjaśnić, jaka jest trzecia przyczyna niezgody?

- Nie wiem! - krzyknąłem.

- Więc siedź tu i ucz się! - zagrzmiał Najstarszy, po czym cisnął we mnie plastplejem, na którym mrugały slajdy z historii SolZiemi. Chciałem go odrzucić, ale Najstarszy wypadł z pokoju, przewracając globus. SolZiemia wirowała na drodze jego przemarszu - niebieskozielone nic objijające się o nogę stołu.

Doszedłem do wniosku, że jego wybuch był gwałtowniejszy niż zwykle, bo musiał się powstrzymywać, dopóki nie zostaliśmy sami. Doskonale wiedziałem, że nie odezwałby się do mnie w taki sposób, gdybyśmy nie byli na Poziomie Strażnika tylko we dwóch.

Zostawił drzwi Centrum Edukacyjnego otwarte, a mój wzrok uciekł w kierunku osłon zakrywających migoczące żarówki, które w pierwszym momencie wziąłem za gwiazdy.

Dlaczego okłamał mnie w sprawie ekranów nawigacyjnych? Dlaczego nie powiedział mi o ukrytym poziomie?

Co jeszcze było kłamstwem?

Stukałem zapamiętane palcami w blat z prawdziwego solziemskiego drewna, próbując wymyślić jakiś plan. Skoro Najstarszy nie zamierza mi powiedzieć, co się dzieje, dowiem się tego na własną rękę. Moją uwagę przyciągnęła pokrywa nad grawiszybem w kącie pomieszczenia. Mógłbym uciec, zjechać na Poziom Żywiciela i sprawdzić, czy jestem w stanie zdobyć więcej informacji. Może powinienem pociągnąć za język Oriona. W tym ciasnym pomieszczeniu nie potrafiłem się skupić... Wolałbym raczej wałęsać się między owcami po polach i pastwiskach, wędrować bez celu przez statek, którego kurs został zaprogramowany wieki temu. Zeby zebrać myśli, zobaczyć je jasno i wyraźnie.

Ale złamać rozkaz Najstarszego?

Nawet ja nie zdobyłbym się na taką hucpę.

11

AM Y

Jeszcze bardziej niż za odgłosem swego serca i oddechu tęsknię za tykaniem zegara.

Czas mija, musi mijać, ale nie mam żadnej gwarancji, że posuwa się naprzód, tak jak nie mam żadnej gwarancji, że statek przesuwa się w przestrzeni. W pewnym sensie to nawet dobrze: być może trzysta lat itrzyista sześćdziesiąt pięć dni już minęło i jutro się obudzę. Zdarzało się, że po biegach przełajowych albo po długim dniu w szkole padałam na łóżko w ciuchach i zasypiałam, nawet o tym nie wiedząc. A gdy później otwierałam oczy, miałam wrażenie, że zamknęłam je najwyżej minutę temu, choć w rzeczywistości minęła reszta dnia i pół nocy.

Tylko że...

Czasem rzucałam się na materac, zaciskałam powieki i śniłam. Potrafiłam prześnić w ten sposób całe swoje życie, lecz gdy wreszcie się budziłam, stwierdzałam z zaskoczeniem, że wskazówka zegara przesunęła się o kilka marnych minut.

A jeśli minął dopiero rok? Albo, co gorsza, nawet nie wystartowaliśmy?

Tego boję się najbardziej.

- Kiedy już tam dotrzesz, myśi o mnie za każdym razem, gdy będziesz patrzeć w gwiazdy - powiedział Jason.

- Nie zamierzam ograniczać się do gwiazd - odparłam.

Chłodny wiatr, jak tego dnia, kiedy...

Co to było?

... wtedy się spotkaliśmy. Muzyka z imprezy dudniła tak głośno, że czuliśmy pod stopami jej wibracje. W szpilkach byłam wyższa od Jasona, ale teraz ściągnęłam buty i szłam boso po trawie, która chłodziła moje obolałe stopy. Podniosłam głowę, patrząc mu w oczy.

Czyżbym się poruszyła?

Sen blednie, chłód trawy i wiatru znika, Jason odchodzi. Zapada mrok. Koszmar drażni się z moim umysłem.

Coś się dzieje.

Nie, nie, nie. Nic się nie dzieje, nic się nigdy nie dzieje. To znów ten koszmar, ten sam odwieczny koszmar. Ed i Hassan odmrożą mnie, ale ja się nie przebudzę, więc wepchną mnie z powrotem do ciasnej kostnicy. Albo statek SI? rozbije, a ja utknę w środku na wieczność i już nigdy nie odtaję. Chyba że to ten koszmar, w którym...

Bach.

...w którym o mnie zapominają. Statek ląduje na nowej planecie i wszyscy są tak podekscytowani, że zostawiają mnie w mojej trumnie.

Coś się dzieje.

Nie. Koszmary stają się coraz realniejsze i przez to coraz gorsze. Wydaje mi się, że coś słyszę. Ale przecież nie mogę słyszeć, to wszystko dzieje się wyłącznie w moim umyśle. To wszystko iluzja. Myśl o czymś przyjemnym. Myśl o Jasonie. O mamie, o tacie, o...

Klik.

Nie. Nie słyszałam żadnego kliknięcia i nie poczułam wibracji przez lód. To się nie dzieje naprawdę. To tylko koszmar... Po prostu kolejny koszmar. Nic więcej.

Gdybym mogła, zacisnęłabym z całych sił powieki. Zamiast tego próbuję wyteńczyć umysł, tak, jak kiedyś potrafiłam wyteńczyć wzrok, kiedy patrzyłam na coś z bardzo małej odległości. Wspomnienia. Wspomnienia zawsze niszczą koszmary.

Oczami wyobraźni widzę migoczące obrazy, pokaz slajdów z moich wspomnień. Piesze wędrówki po Parku Narodowym Wielkiego Kanionu. Wycieczką z klasą na plażę. Zajęcia z gimnastyki, kiedy byłam młodsza. Pierwsza jazda samochodem za kierownicą. Pierwsza rysa na samochodzie (tego samego dnia) i krzyki taty, ale potem lody i przypieczętowana uscisłkiem dłoni przysięga, że nie powiemy mamie. Wypiekanie świątecznych ciasteczek 2 mami} i babcią na rok przed tym, jak babcia trafiła do domu spokojnej starości. Biegi przełajowe. Przygotowania do maratonu.

Coś czuję. Naprawdę coś czuję. Ciepło w brzuchu. I słyszę... szum elektryczności. Po chwili dociera do mnie, że słyszę go tak wyraźnie, bo dolatuje z przewodów tkwiących w moim gardle.

Osuwam się. Nieznacznie, o ułamek cała, ale jednak.

Lód topnieje.

O mój Boże...

Bum.

Moje serce.

Bum bum.

Woda skapuje mi na rzęsę lewego oka. Szarpnię się odruchowo. Żółta skorupa, która sklejała mi powieki przez Bóg wie jak długi czas, pęka, gdy - po raz pierwszy, odkąd mnie zamrożono - poruszam się.

OmójBożeomójBożeomójBoże..

12

STARSZY

- Co ty tutaj robisz?

Podskoczyłem jak oparzony, krzywiąc się. No pięknie, chyba nie mógłbym wyraźniej zdradzić się ze swoim poczuciem winy.

- Już prawie ciemno - ciągnął Doktorek. - Czy Najstarszy wie, że tu jesteś?

- Nie, błagam! - krzyknąłem, gdy sięgnął do przycisku wikomu. - Posłuchaj... Wykradłem się. Miałem dość czytania. Daj mi trochę luzu, dobra? - dodałem, widząc, jak opuszcza rękę. - Po prostu... musiałem się na chwilę urwać.

Doktorek uśmiechnął się złośliwie. Widać było, że nie jest ze mnie zadowolony, ale przynajmniej nie wezwał Najstarszego. Mogłem odetchnąć z ulgą.

Przez chwilę staliśmy w milczeniu, ja na ścieżce prowadzącej w głąb ogrodu za Szpitalem, a Doktorek na schodach. Uwielbiałem ten ogród. Gdy Najstarszy skazał mnie na roczny pobyt w Izolatce, większość wolnego czasu spędzałem właśnie tutaj. Steela, starsza kobieta, która trafiła do Izolatki na długo przede mną, przemieniła trawnik otoczony zwyczajnym żywopłotem w najprawdziwszą dżunglę kwiatów, warzyw, pnączy i drzew.

- Szukasz inspiracji? - Doktorek kiwnął głową w stronę posągu stojącego pośrodku ogrodu.

Najstarszy Plagi spoglądał w górę, rozkładając szeroko ręce. Niczym życzliwy władca otaczał ogród opieką. Upływ czasu i planowe deszcze wygładziły mu twarz i ramiona,

sprawiając, że wizerunek naszego najwspanialszego przywódcy stał się rozmyty.

- Och, no właśnie - odparłem, czepiając się wymówki, którą podsunął mi Doktorek. - Sam wiesz, że Najstarszy każe mi się uczyć o dowodzeniu, a ja doszedłem do wniosku, że Najstarszy Plagi robił to najlepiej. - Najstarszy Plagi był pierwszym i najwspanialszym Najstarszym, a także jedyną osobą, którą mój Najstarszy kiedykolwiek podziwiał. A przecież sam był znacznie lepszym przywódcą, niż ja kiedykolwiek będę.

- Przyszedłeś tutaj podziwiać posąg?

Wypuściłem ciężko powietrze z płuc.

- Chciałem ją zobaczyć.

- Uważaj, żebyś nie dostał obsesji na jej punkcie, chłopcze. Nie wyszedłbyś na tym dobrze, ani ty, ani nikt inny. Dziewczyna jest zamrożona i na tym koniec.

- Wiem, ale...

- Nie ma żadnego ale. Zapomnij o niej.

Ogłuszający, tubalny alarm wstrząsnął powietrzem. UÅ, ur\, uroili Ostrzeżenie, że za chwilę zgaśnie słońce. Mój wzrok przyciągnął zielony błysk. Po drugiej stronie statku sternicy zjeżdżali grawiszybem z biur i laboratoriów do Miasta, gdzie mieszkali. Z tego miejsca wyglądali jak kolorowe plamy pędzące przez korytarz szybu - brązowe, zielone, białe i czarne. Doktorek uniósł głowę, zerkając w niebo. Tak naprawdę nie było tam słońca, tylko zbiornik fuzji inercyjnej - lampa solarna zapewniająca światło i ciepło na Poziomie Żywiciela, a także paliwo niezbędne dla wewnętrznego funkcjonowania statku. Pojedynczym mrugnięciem ostrzegła nas przed nadejściem nocy, a zaraz potem zniknęła pod osłonami. Zapadł zmrok. Na określenie tego zdarzenia używamy słów „zachód słońca” - zamierzchłego zwrotu pochodzącego z SolZiemi - choć tak naprawdę bardziej przypomina to wyłączenie światła. Nie ma czerwono-żółto-pomarańczowo-złotej różnorodności prawdziwego zachodu z SolZiemi.

- Chodź, chłopcze - powiedział Doktorek, po czym położył mi ręce na ramionach i pociągnął ścieżką. - Musisz się dostać do grawiszybu, zanim Najstarszy zauważy, że zniknąłeś.

- Ale...

- Wszystkie drzwi są pozamykane, nawet te na trzecim piętrze. No chodź. Nie ma sensu tak wariować na jej punkcie.

Odwrociłem się, pozwalając, by słowa Doktorka oderwały moją uwagę od dziewczyny z włosami jak schyłek bezchmurnego dnia. Najstarszy uczył mnie o starożytnych ludach, które wyznawały kult słońca. Nigdy tego nie rozumiałem - przecież słońce to tylko

kula produkująca światło i ciepło. Jeśli jednak słońce z SolZiemi mieni się barwami i światłem jak włosy tamtej dziewczyny, to potrafiłbym zrozumieć, dlaczego starożytni oddawali mu cześć.

W ciemnościach nocnej pory ścieżka wiodąca ze Szpitala do grawiszybu sprawiała wrażenie dziwnie złowrogiej. Dłoń Doktorka zacisnęła się na moim ramieniu, a palce wbiły boleśnie w ciało.

- Kto tam idzie? - syknął.

Wpatrzyłem się uważnie w mrok. Kilka kroków przed nami ścieżką maszerował jakiś człowiek. Dotarłszy do schodów Sali Nagrań, zaczął przeskakiwać po nich z beztroską radością, a w powietrzu niósł się gwizd - melodia starej rymowanki z SolZiemi.

- To pewnie Orion - powiedziałem. Tylko Nagrywacz mógł znać piosenkę z SolZiemi, ale uścisk Doktorka nie tracił na sile. - Nagrywacz.

- Ten sam, który pokazał ci plany statku?

Odwrociłem głowę. Doktorek wciąż wpatrywał się w Oriona, który, nieświadomy naszej obecności, stał przed wejściem do Sali Nagrań. Wyrwałem się z uścisku.

- Skąd wiesz, że to Nagrywacz pokazał mi plany?

Doktorek parsknął, ale jego wzrok wciąż świdrował ciemność.

- Przecież sam byś ich nie znalazł.

- Witajcie! - zawołał tymczasem mężczyzna, gdy zbliżyliśmy się do Sali Nagrań. Niski głos potwierdził moje domysły - to rzeczywiście był Orion.

- Hej! - odpowiedziałem.

- Trochę dzisiaj chłodno, nie sądzicie?

Nie rozumiałem, dlaczego o tym wspomina. Zwykle po wygaszeniu światła temperatura obniża się o dziesięć stopni, ale było jeszcze za wcześnie, by to odczuć.

Doktorek nagle przystanął, blady jak śmierć.

- Jesteś pewien, że to tylko Nagrywacz?

- Jasne - odparłem. - Orion.

Doktorek odetchnął z ulgą.

- Ma bardzo podobny głos do kogoś, kogo kiedyś znałem. Właściwie to już nawet nie pamiętam, kiedy ostatnio byłem w Sali Nagrań. Witaj, Orionie! - krzyknął. - Wpuścisz nas jeszcze dzisiaj do Sali Nagrań?

Orion nie wyszedł jednak z cienia.

Aruuu! Aruuu!

- Alarm na poziomie krio - wymamrotał Doktorek, odwracając się w kierunku

Szpitala, z którego dolatywało przeraźliwe wycie syreny. - Coś się stało!

Poderwałem się do biegu tak gwałtownie, jakby goniła mnie pustka kosmosu. Stopy ślizgały mi się na plastikowej ściółce. Przerywane okazjonalnymi epitetami ciężkie dudnienie za moimi plecami świadczyło o tym, że Doktorek depcze mi po piętach. Pielęgniarki w lobby rozglądały się w popłochu, niepewne, skąd dochodzi alarm. Przebiegliśmy obok nich w drodze do windy, ignorując padające ze wszystkich stron pytania.

Doktorek dyszał z wysiłku, kiedy jechaliśmy windą na górę. Minęliśmy drugie piętro, a on podniósł rękę do lewego ucha.

- Czekaj. - Złapałem go za nadgarstek. - Lepiej sprawdzmy, co się dzieje, zanim połączymy się z Najstarszym. Może to nic poważnego.

W odpowiedzi na moją sugestię zapadła cisza, dzięki czemu lepiej słyszałem stłumiony dźwięk alarmu - coraz głośniejszy, gdy wjeżdżaliśmy na ostatnie piętro.

Doktorek strzepnął moją rękę. Rozległ się sygnał i winda stanęła.

Drzwi na końcu korytarza były szeroko otwarte.

Doktorek rzucił się w ich stronę. Wpadł do pokoju i podbiegi prosto do biurka. Przeciągnął kciukiem po skanerze biometrycznym na metalowym pudełku, które leżało pośrodku blatu. Nic się nie działo.

- A niech to gzyf - warknął. - Skanuj - rzucił, przesuwając pudełko w moją stronę.

- Ale...

- Do otwarcia tego pudełka potrzebne są uprawnienia Starszego albo Najstarszego. A jeśli zaraz nie wyłączymy alarmu, cały Szpital zostanie odcięty. Skanuj.

Przesunąłem kciukiem po czytniku. Wieko pudełka podniosło się, ukazując panel sterowania z ponumerowanymi klawiszami i mrugającą czerwoną diodą. Doktorek wstukał kod, nareszcie uciszając ogłuszające aruuu, aruuu.

Zaraz potem wrócił do windy, wczytał dostęp i wduśli przycisk poziomemu krio, nawet na mnie nie czekając. Wbiegłem do środka w ostatniej chwili. Widziałem, że brakuje mu oddechu. Nerwowo postukiwał butem o podłogę kabiny, która zjeżdżała coraz niżej i niżej. Nie odzywał się ani słowem; kurczowo zaciskał i rozwierał pięści, jakby chciał nadażyć za uderzeniami własnego serca. Na jego twarzy malowało się napięcie.

Windą lekko szarpnęło, a drzwi się otworzyły. Nie wyszliśmy z kabiny od razu - staliśmy, patrząc, kto lub co znajduje się po drugiej stronie korytarza.

Wszystkie światła były zapalone. Wreszcie Doktorek ruszył, zaciskając pięści.

- O nie, o nie, o nie... - wymamrotał. Zrobił krok, przystanął, po czym zerwał się do biegu. Pognałem za nim. Zatrzymał się gwałtownie przed rzędem drzwiczek

ponumerowanych od czterdziestu w górę.

Numer czterdzieści dwa został wyciągnięty z zamrażarki. Szklany pojemnik leżał na stole pośrodku przejścia.

Dziewczyna z włosami jak zachód słońca wciąż znajdowała się w środku. Oczy miała otwarte - jasnozielone jak świeże źdźbła trawy - i przerażone. Rękami i nogami biła wodę, w której pływały błękitne kryształki. Teraz, kiedy się poruszała, przejrzysty pojemnik był dla niej zdecydowanie za mały; kolanami i łokciami uderzała o jego ścianki. Jej ciało podskakiwało - brzuch rozpląszczył się na wieku pojemnika, a głowa i stopy obijały o dno. Podniosła ręce do twarzy i przez chwilę miałem wrażenie, że wbija w nią paznokcie, ale w końcu dostrzegłem, że próbuje wyrwać sobie przewody z gardła, krztusząc się sokiem żołądkowym.

- Szybko! - wrzasnął Doktorek. - Musimy otworzyć komorę, zanim wyrwie te rury!

Nawet nie pytałem dlaczego. Podbiegłem do pojemnika i pomogłem Doktorkowi unieść masywną szklaną pokrywę. Przewody wystające z ust dziewczyny owinęły się wokół jej głowy i szyi, ale mimo to szarpała za nie zawzięcie. Kaszłała, a żółć z domieszką bladej, różowej krwi zabarwiła wodę wokół jej twarzy.

Jeszcze jeden wysiłek mięśni i w końcu podnieśliśmy z Doktorkiem pokrywę. Doktorek zatoczył się i na poły rzucił, na poły upuścił ją na betonową podłogę. Pękła na dwie nierówne części, zbyt twarda, by roztrzaskać się na kawałki.

Pod błękitną, nakrapianą kryształkami wodą dziewczyna wreszcie wyrwała z gardła końcówki przewodów, do których przymocowane były jakieś urządzenia. Otworzyła szeroko oczy, patrząc wprost na nas, a usta ułożone w idealny okrąg zasysały wodę.

- Co ona robi, próbuje to wszystko wypić? - spytał Doktorek, wkładając ręce w brudną ciecz, by podnieść nieznaną.

Cofnąłem się przerażony.

- Nie - odpowiedziałem szeptem. - Ona krzyczy.

13

AM Y

Ból.

Zimno, tak zimno, że aż parzy, ale nie ogniem, który przyżęga, onie - raczej ogniem, który niszczy, dziesiątkuje.

Ból.

Rozdzierający krwawiący, mrozący, łamiący, palący, rwący ból.

Mój żołądek łapia kurcze. Nie mogę zwymiotować, bo nie mam czym.

Oczy widzą tylko kleksy. Gdzieniegdzie światło, gdzieniegdzie cienie. Wszystko rozmazane.

Śluz wdziera mi się w nozdrza, spływa do gardła. Duszę się, dławię, kaszlę.

Woda zalewa mi uszy, tłumiąc dźwięki rozmowy prowadzonej przez dwa głębokie, męskie głosy.

Jakieś ręce podnoszą mnie z cieczy wypełniającej szklaną trumnę, a ja mam wrażenie, jakby ratowały mnie z ruchomych piasków.

Płyn krio przylega do mojego ciała, wciąga z powrotem do wodnego grobu, muskając zimnymi palcami skórę.

Kładą mnie na czymś zimnym, twardym i płaskim, a do twarzy przykładają maskę w kształcie lejka. Powietrze jest bardzo gorące, parzy mnie w nozdrza i przypomina moim płucom, na czym polega oddychanie. Wsmarowują mi coś lepkiego w skórę i nagle mięśnie zaciskają się boleśnie.

Dwie delikatne dłonie przytrzymują mi głowę, podczas gdy dwa szorstkie palce unoszą brutalnie powieki. Nie, myślę, nie zakrapiajcie mi już oczu. Ale już po chwili słyszę plask, plask dwie krople zimnej substancji rozbijają się o moją rogówkę. Mrugam boleśnie, a łzy mieszają się ze świństwem, które mi zaaplikowali.

Szorstkie ręce dotykają moich warg. Z początku nie rozumiem, co się dzieje, więc pozwalam, by nieznajomy swobodnie rozchylił mi usta. Dopiero po chwili dociera do mnie, że chcą mi coś zrobić, i wtedy do mojego gardła spływa zimny roztwór. Nie wiem, co to takiego, więc zaciskam zęby i kręcę głową, ale szyja odzwyczała się od ruchu i moja głowa toczy się z boku na bok jak piłka.

Znów unieruchamiają mnie delikatne dłonie. Dostrzegam nad sobą twarz, ktoś przygląda mi się z uwagą. Chłopak, mniej więcej w wieku Jasona, ale wyższy, szerszy w ramionach i lepiej zbudowany. Ciemna, oliwkowa karnacja, oczy o barwie mlecznej czekolady posypanej cynamonem, zwężające się jak migdały. Podoba mi się ta twarz. Chcę jej zaufać, ale od patrzenia na nią nagle łapie mnie ostry ból głowy. Nie jestem przyzwyczajona do skupiania na czymkolwiek wzroku.

Chłopak coś mówi i postukuje mnie palcem po zuchwie. Choć wciąż mam zatkałe uszy i nie rozumiem słów, ton jego głosu wydaje się przyjazny. Pozwalam podbródkowi lekko opaść, przytakując, i otwieram ostrożnie usta. Ciepły lepki syrop przypominający w smaku brzoskwini, ale z aromatem alkoholu, spływa po moim języku i zbiera się w gardle. Ból mięśni częściowo ustępuje.

Chłopak patrzy mi w oczy.

- Trz sprjmywstć - mówi. Nic z tego nie rozumiem. Kiwa głową, jakby chciał mi dodać otuchy, przekazać, że wszystko będzie w porządku, ale ja wiem, że to nieprawda. Nic już nie jest i nigdy nie będzie w porządku.

Czuję, jak chwyta mnie za prawą rękę, a za lewą łapią mnie czyjeś dłonie o szorstkiej skórze. Chcę poruszyć szyją, ale dwaj nieznajomi nie dają mi na to szansy, bo nagle - o nie! - podnoszą mnie do pozycji siedzącej.

Mam wrażenie, że zaraz złamię się wpół.

Kiedyś byłam lodem.

Teraz jestem bólem.

14

STARSZY

- Mamo? - wyjęczała dziewczyna zachrypniętym, słabym głosem. - Tato?

Jej lśniąca zielone oczy znów się zamknęły, a kosmyki włosów niczym zachód słońca opadły na metalowy blat, tworząc mokrą plątaninę.

- Jak długo będzie w takim stanie? - spytałem Doktorka.

- Dzień, może dłużej. Nie została pobudzona do życia tak, jak należy. Przed rozpoczęciem procesu wyciąga się pacjenta z pojemnika kriogenicznego, a następnie ogrzewa w kąpeli reanimacyjnej, a nie zostawia na stole, żeby odtajał. To cud, że ona żyje.

Przełknąłem ciężko ślinę. Jakby przez moje gardło próbował przecisnąć się kamień.

Doktorek podniósł elektroniczne pudełko zakończone przewodami, które tkwiły w żołądku dziewczyny.

- Ktoś wcisnął ten guzik - stwierdził. - Nie wolno tego robić, dopóki nie przygotuje się ciała do reanimacji, bo w ten sposób odcina się dopływ mocy. - Spojrzał na mnie. - Ktoś ją odłączył. Gdybyśmy nie dotarli tu na czas - przeniósł wzrok na dziewczynę - ona z pewnością by umarła.

Niech to gzyf. Wnętrznosci skrećily mi się w supeł.

- Tak po prostu umarła?

Doktorek przytaknął.

- Muszę zakomować do Najstarszego.

- Nie, przecież...

- Nie martw się, nie będziesz mieć kłopotów. Przecież ty jej nie odłączyłeś. Właściwie to cieszę się, że tu jesteś. Najstarszy wspominał mi wcześniej, że szkolisz się z zakresu

centralizacji władzy, a właśnie takie sytuacje nauczą cię, jak być prawdziwym, silnym przywódcą.

Popatrzyłem na dziewczynę. Jej pierś unosiła się i opadała, ale poza tym nie dostrzegałem żadnych oznak życia. To śmieszne, lecz teraz, poza lodem, jej ciało wyglądało inaczej. Wydawało się drobne, słabe, wystawione na ciosy. Jakby lód był jej pancerzem. Chciałem ją chronić, zakryć ponętne kształty, zamiast wodzić po nich palcami.

Położyłem jej dłoń na ramieniu, podziwiając różnicę odcieni naszej skóry. Otworzyła oczy.

- Zimno - wyszeptała.

Doktorek odwrócił się w jej stronę.

- Co za gzyfowy koszmar...

Chciałem zaprotestować - jaki koszmar? Jak cokolwiek może być koszmarem, kiedy ona znajduje się tak blisko? Wtedy jednak z ust dziewczyny wyrwał się cichy, przepęlniony żalem szloch, podobny do beczenia owcy, którą kiedyś się opiekowałem. W gardle znów poczułem wielką grudę.

Doktorek przyniósł koszulę szpitalną, taką bez pleców, ale dziewczyna płakała, gdy wkładaliśmy jej ręce w rękawy. Okrył ją kocem. Biedactwo nie chciało otworzyć oczu i w pierwszej chwili miałem wrażenie, że zasnęła. Dopiero jej ciężki, nierówny oddech dał mi do zrozumienia, że próbowała zachować przytomność, słuchając naszych głosów.

Nie mówiliśmy zbyt wiele.

Na poziom krio wpadł Najstarszy, przynosząc z sobą całe przerażenie, którego dopiero co się pozbyłem. Popatrzył na dziewczynę, na mnie i w końcu na Doktora.

- Czy to znów był on?

- Nie! - natychmiast zaprotestowałem.

- Oczywiście, że nie - potwierdził Doktor, po czym zwrócił się do mnie: - On nie miał na myśli ciebie. - I znów do Najstarszego: - To niemożliwe, przecież sam dobrze wiesz. Zaczynasz popadać w paranoję.

- O kim wy... - zacząłem, ale obaj mnie zignorowali.

- Zwykła usterka - ciągnął Doktor. - Spięcie w elektronice komory. - Podniósł pudełko, które ściągnął ze szklanego pojemnika numer czterdzieści dwa. Dioda wciąż migotała bladym czerwonym światłem.

- Jesteś pewien? - spytał Najstarszy.

Doktorek skinął głową.

- Oczywiście. Po co ktokolwiek miałby tu schodzić i odłączać przypadkowego

człowieka? To na pewno błąd sprzętu. Cała maszyneria jest wyjątkowo stara, ciągle muszę ją naprawiać. Dziewczyna miała pecha, przecisnęła się przez sito.

Kolejne kłamstwa. Zacząłem się zastanawiać, ile było prawdy w tym wszystkim, co mówił Doktorek. W końcu to on sprawdzał wcześniej tego dnia kriokomory, a przed przybyciem Najstarszego - kiedy powiedział mi, że ktoś odciął zasilanie - wydawał się o wiele bardziej zdenerwowany.

Leżąca na stole dziewczyna jęknęła, przyciągając uwagę Najstarszego.

- Kim ona jest?

- Numer czterdzieści dwa - odparł Doktorek.

- Czy ona...

- Zbędna.

- Amy - odezwała się dziewczyna zachrypniętym głosem.

- Słucham? - Klęknąłem i przyłożyłem ucho do jej splekanych warg.

- Mam na imię Amy.

Najstarszy przyglądał się jej czujnie. Amy na krótką chwilę otworzyła oczy - zauważyłem błysk zieleni świeżej trawy - ale od razu je zamknęła, oślepiąca blaskiem jarzeniówek.

- Twoje imię jest nieistotne, dziewczyno. - Najstarszy odwrócił się do Doktora. - Musimy się dowiedzieć, kto ją ożywił.

- Gdzie są moi rodzice? - Jej głos był szeptem tłumionym przez cierpienie, ale oprócz mnie nikt nie zwracał na nią uwagi.

- Możemy włożyć ją z powrotem do środka? - spytał Najstarszy. Doktorek pokręcił głową, a jego oczy posmutniały.

- Nie zamrażajcie mnie! - rzuciła szybko Amy. Charczała coraz głośniejsze, bo jej struny głosowe nie były przyzwyczajone do wysiłku, i zaczęła kaszleć.

- Nie moglibyśmy tego zrobić, nawet gdybyśmy chcieli - wyjaśnił Doktorek.

- Dlaczego nie? Przecież mamy wolne kriokomory. - Najstarszy spojrzał ponad jego ramieniem w stronę drzwi w głębi pomieszczenia, których wcześniej nie zauważyłem. Zarejestrowałem je w pamięci, by później sprawdzić, co się za nimi kryje.

- Zdolność organizmu do regeneracji słabnie po każdym zamrożeniu, szczególnie gdy rozmrożenie nie przebiega w prawidłowy sposób. Jeśli włożymy ją do kolejnej kriokomory, może się już nigdy nie obudzić.

- Chcę do taty - zaskomlała Amy i choć wiedziałem, że jest już bardziej kobietą niż dziewczyną, teraz wydawała się po prostu bezbronnym dzieckiem.

- Musisz się przespać - powiedział nagle Doktorek. Wyciągnął z kieszeni medplast i rozerwał opakowanie.

Amy otworzyła szeroko oczy.

- Niece! - głos jej się załamał.

Doktorek ruszył w jej stronę, a ona podniosła rękę niezdarnie jak maczugę, uderzając go w łokieć. Medplast spadł na podłogę. Doktorek podniósł go, wyrzucił do kosza i wyciągnął z kieszeni świeży.

- Poczujesz się po tym dużo lepiej - wyjaśnił dziewczynie.

- Nie chcę... - Jej źrenice wyglądały jak czarne główki od szpilek na tle jasnozielonych tarcz.

- Przytrzymaj ją - polecił mi Doktorek, ale ja tylko stałem i przyglądałem się jej twarzy. Najstarszy odepchnął mnie, po czym oparł ciężar ciała na ramionach dziewczyny.

- Nie chcę! - powtórzyła Amy. Za późno - Doktorek już przytknął medplast do jej ręki, a mikroskopijne igły nakłuły skórę niczym ostry papier ścierny, tłocząc lek do organizmu.

- Niechsssewięsejssspać - słowa Amy zlały się w niewyraźny bełkot. - Niechssse... - powtarzała. Łzy zmieszane z kroplami do oczu zawisły na jej rzęsach. - Niessspać - wyszeptała jeszcze ciszej i wolniej. - Nie... chssse... spać. - W końcu jej tęczówki uciekły pod powieki, głowa opadła w splątany gąszcz włosów czerwonych jak zachód słońca i Amy straciła przytomność.

Nie mogłem oderwać od niej wzroku i choć jej pierś unosiła się i opadała w rytm równomiernych oddechów, dziewczyna wydawała się teraz o wiele bardziej martwa niż wówczas, gdy po raz pierwszy zobaczyłem ją w lodzie.

Ciekawe, czy śniła.

15

AM Y

Byłam przytomna, ale nie przeciągałam się, nie ziewałam ani nie otwierałam oczu. Nie miałam takich odruchów - już nie - więc tylko leżałam, powoli odzyskując świadomość własnych zmysłów. Do moich nozdrzy dotarła woń stęchlizny, do uszu spokojny szelest oddechu jak u człowieka we śnie. Czułam ciepło i dopiero wtedy uprzytomniłam sobie, że nie jestem zamrożona.

Moja pierwsza myśl brzmiała: które koszmary były prawdziwe?

Nawet teraz wszystkie te sny rozmywały się, przemieniały w zamazane wspomnienia, jak każdy zwyczajny sen. Czy naprawdę śniłam przez trzy stulecia, czy tylko przez kilka

minut dzielących chwilę, w której zaczęli mnie rozmrażać, od chwili, gdy otworzyłam oczy? Miałam wrażenie, że trwało to stulecia, że koszmar nakładał się na koszmar i tak w nieskończoność, ale przecież właśnie takie są sny - czas traci w nich sens. Kiedy wycinali mi migdałki, miałam jakiś tuzin naprawdę szczegółowych snów, choć byłam pod wpływem narkozy zaledwie przez godzinę. A poza tym nie mogłam śnić, kiedy byłam zamrożona - to po prostu fizycznie niemożliwe, sny nie krążą zamrożonymi neuronami.

Ale w takim razie jak wyjaśnić, że niektóre osoby są świadome podczas operacji, mimo że im także podano narkozę?

Nie. Nie myśl o tym. To coś zupełnie innego. Mogłaś śnić wyłącznie w tym krótkim przedziale czasu, gdy twoje ciało już rozmarzło, ale duszę wciąż skuwał lód. Zwariujesz, jeśli zaczniesz się teraz zastanawiać, ile czasu minęło i czy byłaś świadoma jego upływu.

Zmusiłam się do otwarcia oczu. Teraz, gdy wreszcie odzyskałam przytomność, nie mogłam pozwolić, by prześladowały mnie koszmary - wszystko jedno, czy sprzed stuleci, czy kilku godzin.

Wrażenie, jak marszczą się moje powieki, było dla mnie zupełnie nowe. Napawałam się nim.

A zaraz potem - och! - przeciągnęłam się. Miałam wrażenie, że moje mięśnie płoną. Czułam, jak się napinają - mięśnie krzyża, łydek i nawet smukłe mięśnie przy łokciach.

Koc zsunął mi się z nóg. Usiadłam; mięśnie brzucha rozkosznie podtrzymywały moje ciało. Od ud w dół byłam naga, a na ramionach miałam zieloną koszulę szpitalną, taką bez pleców.

Obok mojego łóżka siedział chłopak. Oddychał wolno i miarowo, pochrapując, kiedy wciągał powietrze. Nakryłam się kocem po samą szyję. Nieznajomy zasnął na krześle i obsunął się do pozycji, która wyglądała na niewygodną. Musiał mnie obserwować. Nie podobała mi się myśl, że tu był, czujny i świadomy, podczas gdy ja spałam. Aż przeszły mnie ciarki.

To był ten sam chłopak, którego zobaczyłam, gdy obudziłam się w szklanej trumnie. Wyglądał łagodnie, chociaż dostrzegłam w jego twarzy pewną ostrość, która kontrastowała z niewinnością snu. Trudno powiedzieć, jakiej był rasy. Z pewnością nie czarnej, ale też nie białej; przypominał raczej Latynosa lub Azjatę. Miał jednak ładną, aksamitną cerę o kawowym kolorze, który pasował do niemal czarnych włosów. Wysokie kości policzkowe i sklepione czoło sprawiały, że w pierwszej chwili wyglądał na godnego zaufania, a nawet miłego.

- Kim jesteś? - spytałam głośno. Po raz pierwszy, odkąd obudziłam się z

kilkusetletniego snu, z mojego głosu zniknęła chryпка. Musieli coś zrobić z moim gardłem. Wypełniał mnie tępy, pulsujący ból.

Chłopak podskoczył. Skupił na mnie wzrok, a na jego twarzy pojawił się wyraz winy albo nieufności. Rozejrzał się, jakby nie mógł uwierzyć, że to ja przemówiłam, ale oprócz nas w pokoju nikogo nie było.

- Ja? Eee... jestem Starszym, przyszłym... przywódcą. Statku. Ehm. - Chciał wstać, ale ja nie zamierzałam ruszać się z łóżka, więc przysiadł niezdarnie.

Przyszły przywódca? Po co statkowi przyszły przywódca?

- Gdzie ja jestem?

- W Izolatce - odpowiedział. Trudno mi go było zrozumieć, bo jego słowa wydawały się dziwacznie posklejane i wzbogacone o melodyjną intonację. Tak naprawdę usłyszałam coś w rodzaju „wizolatse”, z zaśpiewem na końcu.

- A gdzie znajduje się Izolatka? - spytałam.

- W szpitalu. (Weszpitalu).

Rozejrzałam się. Nie takiej odpowiedzi oczekiwałam.

- Dlaczego jestem w szpitalu? I co ty tutaj robisz?

Nie skupiałam się na tym, co mówił chłopak, i część jego słów mi umknęła. W pokoju nagle zrobiło się zimno, więc przycisnęłam koc mocniej do ciała. Nieznajomy znów powtórzył coś o przyszłym przywódcy, jakby miało to jakiegokolwiek znaczenie. Przyszły przywódca statku. No tak, jasne, że musiał nim być. Przyjrzałam mu się uważniej. Miał szerokie umięśnione ramiona, ale nie jakoś przesadnie, dzięki czemu nie odznaczały się zbyt pod koszulotuniką - widać było tylko twarde wżgórki bicepsów. Był także wysoki - znacznie wyższy ode mnie i o kilka cali od większości ludzi, mimo że prawdopodobnie nie różniliśmy się zbyt wiekiem. Z wąskiej, ale atrakcyjnej twarzy patrzyła na mnie para przenikliwych oczu o kształcie migdałów. Wszystko to składało się na ten specyficzny zestaw cech, który często posiadają ludzie na wysokich stanowiskach. Zupełnie jakby Bóg wiedział, że Starszy zostanie kiedyś przywódcą, więc obdarzył go twarzą i ciałem odpowiednim do tej funkcji.

Obróciłam się i spuściłam nogi na posadzkę. Była chłodna, więc podciągnęłam kolana pod brodę, oczywiście opatulona kocem, bo szpitalna koszula nie zasłaniała zbyt wiele.

- Jak tam jest?

- Jak gdzie jest? (Jachziejes?)

- Na nowej planecie. - Choć wcale nie chciałam tu przylatywać i drżałam na wspomnienie każdej chwili z trzystu lat spędzonych pod lodem, w mój głos wkradło się

podekscytowanie, którego nie potrafiłam stłumić. Nowa planeta. Nareszcie dotarliśmy na nową planetę. Planetę, na której nigdy wcześniej nie powstała stopa człowieka.

Chłopak podniósł się z krzesła. Był taki wysoki, że nazywanie go chłopakiem wydawało się nie na miejscu, ale jednocześnie miał twarz dziecka, jakby nigdy nie widział ani nie zrobił nic, co pozwoliłoby mu wydorośleć i wyostrzyło rysy jego twarzy surowością wieku. Podszedł do ściany, odwrócony do mnie plecami. Miałam wrażenie, że z trudem mieści się w ciasnym pomieszczeniu. W pewnym, choć raczej niewielkim stopniu przypominał mi Jasona. Nie fizycznie - miał ciemniejszą karnację i był bardziej umięśniony; chodziło raczej o to, jak stoi i jak się porusza, jakby doskonale znał swoje miejsce w świecie. Oparł dłonie o ścianę, wpatrzony w kwadratowy kawałek metalu, zza którego sączyło się światło. To pewnie jakiś rodzaj okiennicy, stwierdziłam.

- Jeszeniesteśmy napalanessie - powiedział. Dopiero teraz, gdy nieświadomie zasłonił usta, dotarło do mnie, jak mylący jest jego akcent.

- Słucham?

Odwrócił się i powtórzył. Tym razem potrafiłam rozszyfrować jego słowa.

- Jeszcze nie jesteśmy na planecie.

- Ale... dlaczego? - Chłód lodu i piekła wypełnił pustkę w moim żołądku.

- Do lądowania zostało jakieś pięćdziesiąt lat.

- Słucham?

- Przepraszam, czterdzieści dziewięć lat i dwieście sześćdziesiąt sześć dni.

Przepraszam.

- To dlaczego obudziłeś mnie tak wcześnie?

- To nie ja! - zaprotestował chłopak, czerwieniąc się jak burak.

- To nie byłem ja! Dlaczego mnie o to oskarżasz?

- Chcę się tylko dowiedzieć, dlaczego obudzono nas o czterdzieści dziewięć lat i dwieście ileś dni za wcześnie! Gdzie są moi rodzice?

Chłopak spuścił wzrok. Z jakichś powodów wyraz jego oczu sprawił, że lód w moim brzuchu zaczął wrzeć.

- Nie wszy... nie wszyscy obudzili się za wcześnie - wyjąkał, błagając mnie wzrokiem, żebym zrozumiała i wreszcie przestała zadawać mu pytania.

- Gdzie są moi rodzice? - naciskałam.

- Są... na dole.

- Chcę się z nimi zobaczyć. Chcę porozmawiać z rodzicami.

- Oni...

- Co się stało z moimi rodzicami?!

- Nie zostali jeszcze przywrócenii do życia. Są zamrożeni. Wszyscy oprócz ciebie.

- Kiedy ich obudzicie? Kiedy będę mogła się z nimi spotkać?

Chłopak ruszył do drzwi.

- Może powinienem sprowadzić Najstarszego, żeby ci wszystko wytłumaczył.

- Jakiego Najstarszego? I co ma mi wytłumaczyć?! - zaczęłam krzyczeć, choć tak naprawdę miałam to gdzieś. Koc zsunął mi się z nóg. Mój umysł pracował na najwyższych obrotach, a gdy znalazł odpowiedź, rozbił się o mur słów, które miałam zaraz usłyszeć, słów, których się bałam, i słów, które chłopak musiał wypowiedzieć głośno, zanim w nie uwierzę.

- Ze oni nie mogą... to znaczy... Ze nikt ich nie obudzi, dopóki nie dotrzemy na miejsce.

- Za pięćdziesiąt lat - stwierdziłam bezbarwnym głosem.

Chłopak pokiwał głową.

- Czterdzieści dziewięć lat i dwieście sześćdziesiąt sześć dni.

Byłam zamrożona przez dwa i pół stulecia, a mimo to nigdy nie czułam się tak samotna jak w chwili, gdy dotarło do mnie, że odzyskałam życie i świadomość, a oni nie.

16

STARSZY

Amy płakała. Nie były to ciche, smutne łzy, ale łzy gniewu, jakby znenawidziła cały świat albo przynajmniej ten statek, który był teraz dla niej całym światem. Zrobiłem to, co na moim miejscu zrobiłby każdy rozsądny mężczyzna w obliczu kobiecych łez.

Uciekłem, gdzie pieprz rośnie.

W moim uchu zapiszczało znajome biiip, biiipbiiip.

- Komlink: Najstarszy - odezwał się łagodny kobiecy głos wikomu.

- Zignoruj.

Najstarszy opuścił Szpital, gdy tylko Doktorek zaczął podawać Amy środki pohibernacyjne. Nie pomógł pozawieszać kroplówek i nie patrzył, jak trzy worki płynów i składników odżywczych dostają się powoli do jej krwi. Nie było go tutaj, gdy razem z Doktorkiem przenosiliśmy ją na nowe łóżko przygotowane w Izolatce. Nie było go, gdy otworzyła oczy, i nie czekał przy niej siedmiu godzin, żeby nie obudziła się w samotności.

I dlatego nic mnie nie obchodziło, co ma mi teraz do powiedzenia.

Jedyne, co mnie obchodziło, to Amy. Może przestanie płakać, jeśli pokażę jej „Błogosławionego”? Gdybym tylko mógł dać jej kawałek domu, coś, co przypominałoby jej

SolZiemie...

Ruszyłem do ogrodu za Szpitalem. Teraz wszystko w nim kwitło, ale ja wiedziałem, czego szukam - wielkich żółtych i pomarańczowych kwiatów rosnących przy sadzawce, tych z prążkami w kolorach niemal tak pięknych jak włosy Amy.

Od razu je dostrzegłem. Zostało ich już tylko kilka - nachylały wielkie głowy nad powierzchnią wody. Klęknąłem, nie zwracając uwagi na błoto, które wsiąkało mi w spodnie, i ułamałem łodygi sześciu kwiatów. Płatki były długie jak moje palce i podkręcały się przy końcówkach, a miodowy zapach wsączał się leniwie w moje nozdrza.

- Starszy.

Szlag. Odwróciłem się do Najstarszego, ściskając łodygi w dłoni.

- Zignorowałeś mój kom - powiedział niskim, monotonnym głosem.

- Byłem zajęty.

Spojrzenie jego zimnych oczu opadło na kwiaty.

- To widać.

Bez słowa ruszyłem w stronę Szpitala, ale Najstarszy szedł tuż za mną.

- Zaniedbujesz swoje obowiązki. Musisz dokończyć zadanie, które ci wczoraj wyznaczyłem.

- To może poczekać.

Gdy postawiłem nogę na schodach prowadzących do Szpitala, poczułem, jak Najstarszy ciągnie mnie za kołnierz koszuli.

- Obowiązki przywódcy statku są ważniejsze od każdej dziewczyny.

Przytaknąłem. Miał rację.

- Przede wszystkim w ogóle nie powinno jej tu być - mruknął.

- Co za utrapienie...

Zgniotłem łodygi w dłoni.

- Utrapienie? - powtórzyłem, i teraz to mój głos zabrzmiał nisko i monotownie.

- Jej obecność ma zły wpływ na statek. Różnice. Pierwsza przyczyna niezgody.

W moim wnętrzu rozległ się krzyk protestu. Nie chciałem być takim przywódcą, tak obojętnym w stosunku do Amy. Wczoraj Najstarszy pouczał mnie, że moja rola polega na chronieniu ludzi. Nie wiedziałem, że chodzi wyłącznie o naszych ludzi.

- Wracaj na Poziom Strażnika i zajmij się swoim zadaniem.

- Nie.

Najstarszy zrobi! wielkie oczy, po czym zmrużył je podejrzliwie.

- Nie?

- Nie. - Wyrwałem się z jego uścisku i pobiegłem do windy w Szpitalu. Zanim jednak jej drzwi się zamknęły, Najstarszy wpadł do środka.

- Nie mam czasu na tę dziecinadę. Mówię po raz ostatni: wróć na Poziom Strażnika.

- Nie - powtórzyłem, uśmiechając się, choć tak naprawdę była to tylko fasada, za którą próbowałem ukryć strach. Najstarszy nienawidził buntowników, a ja nigdy wcześniej nie przeciwstawiłem mu się w tak zdecydowany sposób. Jedna część mnie chciała to wszystko odwołać, przeprosić i jak zwykle usłuchać polecenia, ale druga tylko czekała, aż Najstarszy się na mnie zamachnie, żebym mógł mu oddać.

Ale on sięgnął do lewego ucha, by aktywować wikom.

- Strażnik, sterowanie: zezwól tylko Najstarszy - zakomenderował, a mnie przewróciło się w żołądku, bo to nie wróżyło niczego dobrego. - Polecenie: zastosuj wzmacniacz dźwięku na wikomie Starszego. Zmienny ton i częstotliwość. Poziom intensywności: trzy. Wyłącz po wejściu Starszego na Poziom Strażnika.

W tej samej chwili moje ucho wypełniło brzęczenie o wysokiej częstotliwości. Przycisnąłem dłonie do skroni, ale hałas nie dolatywał z zewnątrz - jego źródło znajdowało się w środku, w wikomie. Brzęczenie na moment zamieniło się w pisk, uspokoiło i znów zaatakowało, tym razem w postaci skrzekliwego dźwięku, który wprawił w wibracje mój bębenek.

Dźgnąłem palcem przycisk wikomu.

- Unieważnij! - rzuciłem. - Polecenie: wycisz wszystkie dźwięki!

- Brak dostępu - odpowiedział uprzejmy kobiecy głos, przebijając się przez hałas gorszy od kwiczenia świni wydającej na świat potomstwo. Aaach! Wikomy nie działały tak jak skanery biometryczne, do których mieliśmy z Najstarszym identyczne uprawnienia. Były unikalne dla każdego mieszkańca i jedyne, co mogło uciszyć wycie, to polecenie wydane przez samego Najstarszego.

- Wyłącz to! - powiedziałem do niego. Brzęczenie przeszło w coś w rodzaju chlupotania. Właściwie dałoby się to wytrzymać, ale co kilka sekund wcinało się w nie krótkie wysokie iiii, a ja wzdrygałem się z zaskoczeniem.

Winda stanęła i wyszliśmy do świetlicy.

- Hałas ucichnie, gdy wejdiesz do Centrum Edukacyjnego, przygotowany do nauki - wyjaśnił uprzejmie Najstarszy. Znów aktywował wikom. - Polecenie: czwarty poziom intensywności. - Dźwięk w mojej głowie stał się głośniejszy, a Najstarszy pożegnał mnie z uśmiechem na ustach, odwrócił się i ruszył przez świetlicę do gabinetu Doktorka.

Spróbowałem wetknąć sobie palec do ucha, ale nic to nie dało, bo wikom podpina się

bezpośrednio do bębena. W mój mózg wwierał się dźwięk przypominający rozbijanie szkła, któremu towarzyszyło pianie koguta.

- Ładne kwiaty.

- Orion? - Chwilowe zaskoczenie, że widzę Nagrywacza w Izolatce, stłumiła kakofonia wibrująca w moim uchu. Zapomniałem nawet o kwiatkach, które ścisnąłem w dłoni. Zielony sok z połamanych łodyg wyciekł mi pomiędzy palców.

- Musiałem zrobić zapasy. - Orion potrząsnął plastikową buteleczką, grzechocząc tabletkami. Na pewno je podwędził. Nikomu nie wolno gromadzić większych ilości lekarstw - nawet ci, którzy nie mieszkają w Izolatce, dostają po jednym stoperze dziennie. - Lepiej, żeby Najstarszy ani Doktorek mnie nie przyłapali - dodał, chowając tabletki do kieszeni.

Przyłożyłem dłoń do ucha w daremnej próbie zagłuszenia hałasu, ale nic to nie dało.

Orion uśmiechnął się ponuro.

- Stara sztuczka. Nawet nie liczy, że uda ci się to wyłączyć. Z czasem będzie coraz gorzej. - Patrzył, jak postukuję się pięścią w skroń.

- Po prostu rób, co ci każe, bo inaczej zwariujesz.

- Skąd o tym wiesz? - wycodziłem szorstko przez zęby, ale tylko dlatego, że nie potrafiłem skupić się na niczym poza ogłuszającym wyciem.

- Daję ci tylko dobrą radę. Nie ma sensu otwarcie sprzeciwiać się Najstarszemu. To nic nie da. Najstarszy jest jak stuletni król, za bardzo przyzwyczyił się do władzy. Nie możesz dążyć do bezpośredniej konfrontacji, musisz działać podstępnie. - Orion założył niesforny kosmyk włosów za ucho, a ja znów dostrzegłem białą pajęczynę blizn na jego szyi, jakby ktoś rozerwał mu ciało, a jego fragmenty nierówno się zrosły.

- Będę robił to, co sam uznaję za słuszne - oświadczyłem i odepchnąłem go jedną ręką, drugą trzymając się za ucho.

Chwiejnym krokiem ruszyłem przez świetlicę. Nagle w mojej głowie rozbrzmiało piskliwe nierówne staccato, sprawiając, że poplątały mi się nogi. Wpadłem na płótno Harleya.

- Starszy? - zaniepokoił się Harley.

Zignorowałem go. Otworzyłem drzwi korytarza i ruszyłem w stronę pokoju Amy, zdeterminowany, by wręczyć jej te gzyfowe kwiaty, choćbym miał paść trupem na miejscu.

- Co się stało? - Harley dreptał krok za mną. Zostawił na moim ramieniu ślad w kolorze karpia koi, ale ja bez słowa strąciłem jego dłoń.

Zatrzymałem się przed drzwiami pokoju Amy i zapukałem.

Żadnej odpowiedzi.

- Co ty tutaj robisz? - Nawet pomimo wycia wewnątrz czaszki słyszałem zaczepny ton

w głosie Harleya. Wtedy sobie przypomniałem: przed Amy w tym samym pokoju mieszkała jego była dziewczyna.

- Nowa pacjentka - odparłem głośno. Słowa zadzwoniły mi w obolałym uchu. Skrzywiłem się.

Harley dotknął dłonią ściany, zostawiając na matowej białej powierzchni pomarańczowożółtą smugę. Wiedziałem, że nikt nie zwróci na nią uwagi, to tylko kolejny ślad pośród wielu innych. Odkąd Harley przeniósł się do Izolatki na stałe, kolorowe plamy podążały za nim niczym ślady tęczy.

Wikom naprawdę robił wszystko, by mnie rozkojarzyć - natężenie i ton dźwięków zmieniały się z oszalamiającą częstotliwością. Chciałem walić głową w drzwi w nadziei, że hałas wreszcie ucichnie. Powoli ogarniało mnie szaleństwo, i to takie, na które nie pomogłaby mi żadna recepta Doktorka. Szarpałem ręką za ucho, a między palcami pociekła mi krew. Bojąc się, że je sobie urwę, uderzyłem pięścią w ścianę.

Kwiaty, które tak starannie wybierałem w ogrodzie - wielkie, o jaskrawych kolorach przypominających mi włosy Amy - zgniotły się i połamały, płatki opadły na podłogę w deszczu czerwieni i złota. Rozprostowałem palce - łodygi zmieniły się w łykowatą, lepką masę, liście pozgniatały. Tylko tyle mi zostało, żalosne resztki naturalnego piękna znad brzegu sadzawki.

Do dźwiękowej tortury dołączyło rytmiczne postukiwanie w tle. Upuściłem zgniecione kwiaty pod drzwiami pokoju Amy i przycisnąłem obie dłonie do uszu, by uwięzić hałas między ścianami czaszki, po czym wybiegłem ze Szpitala. Pognałem prosto do grawiszybu, Centrum Edukacyjnego i cudownej ciszy.

17

AMY

Siedzący przede mną mężczyzna miał długie palce. Na przemian splatał je i rozplatał, aż w końcu oparł na nich głowę, przyglądając mi się tak intensywnie, jakbym była zagadką, której nie potrafił rozwiązać. Wydawał się uprzejmy, a nawet współczujący, gdy wyciągał mnie z mojego pokoju, ale teraz zaczęłam żałować, że zamknął drzwi gabinetu.

- Przykro mi, że znalazłaś się w tej sytuacji. - Choć w jego głosie było słycać szczerłość, na twarzy malowało się wyłącznie zaciekawienie.

Co prawda tamten chłopak wszystko mi już wyjaśnił, ale czułam, że muszę usłyszeć to jeszcze raz z ust tego „lekarza”.

- Czy to prawda, że łądujemy dopiero za pięćdziesiąt lat? - spytałam głosem zimnym i

twardym jak lód, pod którym byłam uwięziona, żałując, że już nie jestem.

- Tak. Mniej więcej czterdzieści dziewięć i dwieście pięćdziesiąt dni.

Dwieście sześćdziesiąt sześć, pomyślałam, przypomniawszy sobie słowa chłopaka.

- Nie można mnie jeszcze raz zamrozić?

- Nie - uciął krótko lekarz, a ponieważ milczałam, świdrując go wzrokiem, dodał: - Mamy kilka rezerwowych komór kriogenicznych...

- Więc mnie wsadźcie do jednej z nich! - rzuciłam, pochylając się. Zniosłabym kolejne stulecie koszmarów, byle tylko obudzić się razem z rodzicami.

- Gdyby reanimacja przebiegła prawidłowo, być może dałoby się to zrobić, choć ryzyko byłoby wciąż znaczne. Komórek nie można tak po prostu zamrażać i rozmrażać, wielokrotna reanimacja osłabia i niszczy organizm. - Lekarz pokręcił głową. - Powtórne zamrożenie mogłoby cię zabić. - Nie potrafił znaleźć właściwych słów, by mi to wyjaśnić. - Zmienić w wypalone mięso. Wysuszone. Martwe - uzupełnił, widząc, że nawet te makabryczne obrazy nie są w stanie osłabić mojej determinacji.

Na chwilę podupałam na duchu, ale o czymś sobie przypominałam.

- A co z moimi rodzicami?

- Co z nimi?

- Czy ich też nie dałoby się wcześniej rozmrozić?

- Och. - Lekarz rozplótł palce i zaczął przekładać przedmioty na biurku. Ustawił notatnik równoległe do krawędzi blatu, przechylił wszystkie długopisy w kubku na jedną stronę. Zwlekał, unikając kontaktu wzrokowego. - Zostałaś rozmrożona przez pomyłkę. Musisz zrozumieć, że twoi rodzice, numer czterdzieści i czterdzieści jeden, są niezastąpieni. Oboje dysponują specjalistycznymi umiejętnościami, które będą nam potrzebne po lądowaniu. Bez ich wiedzy i pomocy nie poradzimy sobie na etapie rozwoju Centauri Ziemi.

- Czyli, krótko mówiąc, odpowiedź brzmi: nie. - Chciałam usłyszeć, jak to mówi.

- Odpowiedź brzmi: nie.

Zamknęłam oczy, oddychając głęboko. Byłam zła, sfrustrowana, wkurzona jak jasna cholera, że zdarzyło się coś takiego i że nic nie mogę na to poradzić. Czułam, jak w moich oczach wzbierają laskoczące ciepłe łzy, ale nie chciałam płakać, nie teraz i na pewno nie przed tym lekarzem. Nigdy.

Mężczyzna docisnął dolny róg wielkiego notatnika do blatu, by leżał idealnie płasko. Jego długie ruchliwe palce zamarły. Wszystko na tym biurku miało swoje miejsce. Wszystko w tym gabinecie. Wszystko oprócz mnie.

- Nie jest tu aż tak źle - odezwał się nagle. Podniosłam głowę. Widok przysłoniła mi

rozmazana mgiełka i wiedziałam, że wybuchnę płaczem, jeśli zaraz nie wezmę się w garść. Pozwoliłam mu kontynuować. - Istnieją konkretne powody, dla których lepiej być teraz na tym statku niż tam za pięćdziesiąt lat. Kto wie, co znajdziemy na CentauriZiemir. Może się okazać, że - pomimo informacji z sond wysłanych przed „Błogosławionym” - ta planeta nie nadaje się do zaludnienia. Wolimy nie rozważać takiej opcji, ale wszystko jest możliwe... - Słowa zamarły mu na ustach, gdy napotkał mój wzrok.

- I co ja mam teraz zrobić?

- Słucham?

- Co mam teraz zrobić? - powtórzyłam, podnosząc głos. - Chce pan powiedzieć, że mam tak po prostu czekać, aż statek wyląduje, żeby zobaczyć się z rodzicami? - Urwałam. - Boże, przecież będę taka stara... Starsza od nich! To nie fair! - Uderzyłam pięścią w biurko. Długopisy zastukały w schludnym kubeczku i jeden z nich przekrzywił się w niewłaściwą stronę. Lekarz złapał go i ustawił z powrotem na miejscu. Z okrzykiem frustracji chwyciłam kubek i cisnęłam nim w mężczyznę. Uchylił się w ostatniej chwili. Długopisy rozleciały się na wszystkie strony niczym ptaki uwolnione z klatki, ale zaraz potem spadły na podłogę, jakby były martwe.

- Nikogo nie obchodzą pańskie głupie długopisy! - krzyknęłam, gdy lekarz zerwał się z krzesła, żeby je pozbierać. - Nikogo! Nie rozumie pan?!

Znieruchomiał z długopisami w dłoni, odwrócony tyłem do mnie.

- Wiem, że musi ci być ciężko...

- Ciężko? Ciężko?! Nawet pan nie wie, jak tam było! Nie ma pan pojęcia, jak długo cierpiałam. I po co?! Wszystko na marne! Wszystko!

Lekarz wstał i wrzucił długopisy do kubka tak gwałtownie, że dwa znów wypadły. Tym razem jednak już ich nie podnosił; pozwolił, by leżały na biurku w chaotycznym, zupełnie przypadkowym układzie.

- Nie ma powodu, żeby reagować agresją - stwierdził spokojnym tonem. - Życie na statku nie jest takie złe. Najważniejsze - dodał - by zająć sobie czymś czas.

Zacisnęłam pięści, z trudem powstrzymując chęć kopnięcia w biurko, rzucenia krzesłem albo zburzenia otaczających mnie ścian.

- Za pięćdziesiąt lat będę starsza od swoich rodziców, a pan mi mówi, że mam sobie zająć czymś czas?!

- Może jakieś hobby?

- Dooooś! - wyrwało się z mojego gardła. Doskoczyłam do biurka, gotowa zrzucić wszystko na podłogę, ale lekarz również wstał. Zamiast mnie powstrzymać, odwrócił się do

szafki za swoimi plecami. Jego ruchy były tak niepokojąco beznamietne, że na chwilę zastygłam. Otworzył szufladę i po chwili szperania wyciągnął z niej niewielkie prostokątne opakowanie przypominające chusteczki do rąk z chińskiej restauracji, do której Jason zaprosił mnie na pierwszą randkę.

- To jest medplast - oznajmił. - Mikroskopijne igielki zawarte w kleju dostarczą do twojego organizmu środki uspokajające. Nie chciałbym spędzić najbliższych pięćdziesięciu lat na podawaniu ci leków. - Położył białe opakowanie na środku biurka, po czym spojrzał mi prosto w oczy. - Ale zrobię to, jeśli będę musiał.

Popatrzyłam na medplast - linię na piasku, której wolałabym nie przekraczać - i usiadłam.

- Dobrze, a więc jeszcze raz. Masz jakieś hobby albo umiejętności? Coś, co mogłoby ci się przydać na statku?

Hobby? Hobby to coś, co mają dziewięćdziesięcioletni starszankowie, którzy z nudów majsterkują w garażu.

- W szkole zawsze lubiłam historię - bąknęłam wreszcie, chociaż wydało mi się głupie, że szkoła jako pierwsza przyszła mi do głowy.

- Nie mamy na statku szkół. - Lekarz nie dał mi czasu na rozważenie plusów i minusów życia bez szkoły, bo natychmiast dodał:

- W każdym razie nie teraz. A poza tym, to znaczy w tej chwili, całe twoje życie to, cóż...

Och, już rozumiem - całe moje życie, całe moje dawne życie, to historia. Jak by to było, zobaczyć w podręczniku do historii miejsca irzeczy, które kiedyś kochałam? Albo natrafić na znajomą twarz, przewracając kolejne strony? A jeśli natrafię na własną twarz, przyglądającą mi się ze zdjęcia w książce starszej ode mnie?

- Startowałam w przełajach - mruknęłam. Lekarz patrzył na mnie tępo, dając mi do zrozumienia, że słowo „przełaj” nic dla niego nie znaczy, co w przypadku człowieka uwięzionego wewnątrz statku nie było chyba zaskoczeniem. - Biegałam. Uprawiałam sport, w którym się biega.

Na jego twarzy pojawiło się wahanie.

- Cóż, oczywiście możesz „biegać” wszędzie, gdzie masz ochotę, ale... - Oceniał mnie wzrokiem. - Nie byłoby to raczej wskazane. Będziesz się wyróżniać na tle innych mieszkańców. Nie mogę ręczyć za twoje bezpieczeństwo, kiedy opuścisz szpital.

Strach ścisnął mnie za żołądek. Jacy ludzie lecieli na tym statku?

I co miał na myśli, mówiąc „bezpieczeństwo”? Bał się, że ktoś mnie zaatakuje?

On jednak wydawał się zupełnie nieświadomy mojego zaniepokojenia.

- Co innego mogłabyś robić? - drążył.

- Należałam do zespołu, który przygotowywał rocznik naszej szkoły. Lubię robić zdjęcia - odparłam, wciąż zastanawiając się, jak będę traktowana po wyjściu na zewnątrz.

- Hm - westchnął z dezaprobatą lekarz. - Obawiam się, że na statku nie wolno robić zdjęć, pomijając zastosowania naukowe.

Chociaż byłam zdeterminowana, by udowodnić mu, że nie potrzebuję żadnych leków na uspokojenie, parsknęłam z niedowierzaniem:

- Mówi pan poważnie?! Fotografowanie jest zabronione?

- Co jeszcze sprawia ci przyjemność? - zignorował moje pytanie.

- Nie mam pojęcia. - Rozłożyłam bezradnie ręce. - Co tutaj robią nastolatki? Chodzą do klubów? Na imprezy?

- Nie mamy szkół, klubów ani imprez - powiedział powoli lekarz, wkładając dwa zbłąkane długopisy z powrotem do kubeczka

- ponieważ nie mamy na pokładzie młodzieży. Nie w tej chwili.

- Słucham? - Pochyliłam się, jakby od tego zależało, czy zrozumieję jego słowa.

W tej samej chwili za moimi plecami otworzyły się drzwi.

Do gabinetu wszedł mężczyzna. Lekarz wstał zza biurka, by go powitać, ale ja nie ruszyłam się z miejsca. Choć nieznajomy był stary i lekko utykał, poruszał się tak, jakby to do niego należało to miejsce.

- To jest Amy - lekarz dziwnie wypowiedział moje imię - jakby nie był pewien jego wymowy, mimo że składało się z trzech liter.

- Trudno przeoczyć - odpowiedział starzec. Stanął nade mną i uśmiechnął się drwiąco.

- Mów, co wiesz o „Błogosławionym”.

- Tak nazywa się ten statek?

Kiwnął niecierpliwie głową. Zaskoczyło mnie, że nazwa była związana z religią. Przesadnie schludny gabinet śmierdzący środkami do dezynfekcji i czymś skwaśniałym ani trochę nie kojarzył mi się z Bogiem.

- Zanim mnie zamrozili, posługiwali się terminem „Projekt Arka”. Wiem tylko tyle, że na nim jestem. Lecimy na planetę w systemie Centauri, którą NASA odkryła kilka lat przed moim urodzeniem. To statek pokoleniowy - wy wszyscy mieliście się urodzić na jego pokładzie, dbać, by działał bez zarzutu i tak dalej, dopóki nie dotrzemy na miejsce, aby moi rodzice i pozostali członkowie misji mogli rozpocząć terra formowa nie nowej planety.

Staruszek przytaknął.

- Nic więcej nie musisz wiedzieć. Poza tym pamiętaj o jednym: jestem tutaj Najstarszym.

Brawo, pomyślałam. Gratulacje, że zostałeś dziadkiem.

Najstarszy odczytał moje milczenie jako zachętę do kontynuowania.

- „Błogosławiony” nie potrzebuje kapitana. Został zaprojektowany w taki sposób, by funkcjonować bez ingerencji człowieka, a jego kurs wyznaczono całe wieki temu. - Westchnął. - Jednakże fakt, że statek nie potrzebuje przewodnictwa, nie oznacza wcale, że nie potrzebują go ludzie. Jestem tutaj najstarszy. Jestem ich przywódcą.

- Podniósł z biurka przycisk do papieru w kształcie kuli, oglądając go w taki sposób, jakby trzymał w dłoni świat, a ja uzmysłowiłam sobie, że dla niego światem jest ten statek.

- Okej.

- I jako przywódca wymagam, żeby podporządkowywano się moim rządóm.

- Świetnie.

- Dotyczy to również ciebie.

- Jasna sprawa.

Najstarszy zgromił mnie wzrokiem. Z hukiem odłożył przycisk do papieru na biurko, ale w niewłaściwe miejsce. Zauważyłam, że lekarza świerzbi ręka. Chciał przesunąć przycisk, lecz chwilowo postanowił się powstrzymać.

- Z tego powodu - ciągnął starzec - nie mogę pozwolić, aby jakiegokolwiek problemy wpływały destrukcyjnie na życie moich ludzi. A ty jesteś problemem.

- Ja?

- Tak, ty. Nie wyglądasz jak my, nie mówisz jak my i nie jesteś jedną z nas.

- Ale nie jestem też jakimś cholernym odmieńcem!

- Na tym statku jesteś. Po pierwsze - mówił dalej, nie pozwalając mi zaprotestować - twój wygląd.

- Że co?

- Wszyscy jesteśmy tu monoetniczni - wyjaśnił lekarz, pochylając się nad biurkiem. - Łączą nas pewne charakterystyczne cechy: kolor skóry, włosów czy oczu. To naturalna kolej rzeczy w zamkniętym środowisku, do którego nie ma dopływu świeżej krwi. Doszło do zmieszania się naszych cech genetycznych.

Zerknęłam w dół, na rude włosy opadające mi na ramiona i bladą, przeraźliwie bladą skórę, która od słońca zawsze obsypywała się piegami. Kolosalna różnica w porównaniu z oliwkową skórą lekarza i jego siwiejącymi włosami, między którymi tu i tam wciąż było widać brązowe kosmyki. Włosy Najstarszego były praktycznie białe, ale jego karnacja i kolor

oczu wskazywały, że też musiały być kiedyś ciemne.

- Nie dość, że masz dziwny kolor włosów i przerażająco bladą skórę - uzupełnił po chwili Najstarszy - to na domiar złego jesteś nienaturalnie młoda.

- Mam siedemnaście lat!

- Zgadza się - mruknął lekarz, jakby nawet mój wiek wzbudzał w nim odrazę. - Widzisz, chodzi o to, że regulujemy także spółkowanie. - Starał się mówić spokojnym, uprzejmym tonem, ale co rusz zerkał nerwowo na Najstarszego.

- Spółkowanie? - parsknęłam, nie dowierzając. Nawet seks obwarowali zasadami?

- Musimy przeciwdziałać kazirodztwu.

- Co? Ohyda!

Najstarszy zignorował mój wybuch.

- Łatwiej zachować kontrolę w sztywno odseparowanych pokoleniach. Młodsze pokolenie, do którego zalicza się większość pacjentów Izolatki, ma teraz dwadzieścia kilka lat i znajduje się o krok od Godów. Pokolenie doktora, czyli to starsze, jest po czterdzieście.

Miałam w głowie zupełny mętlik.

- Chcecie mi powiedzieć, że na statku żyją tylko dwa pokolenia i wszyscy mają albo dwadzieścia, albo czterdzieści lat?

Starzec skinął głową.

- Istnieją drobne różnice. Niektóre dzieci rodzą się wcześniej, inne później, niektóre rodziny są wielodzietne. Wciąż dochodzimy do siebie po Pladze, która zdziesiątkowała naszą populację kilka pokoleń wcześniej.

- Po pladze?

- Wyjątkowo śmiertelnej - znów wtrącił lekarz. - Zabiła ponad trzy czwarte całej populacji statku, do dziś nie udało nam się odzyskać dawnej liczebności.

Powróciłam myślami do ostatniego roku na Ziemi. Przypomniałam sobie, jak tato zabrał mnie do obserwatorium w Utah, aby uczcić zakończenie „Projektu Arki”. Statek budowano głównie w przestrzeni kosmicznej, co wiązało się z koniecznością wystrzelenia na orbitę setek promów z materiałami i personelem obsługującym stację konstrukcyjną. Nigdy dotąd żaden kraj nie podjął się tak ambitnego projektu kosmicznego.

A mimo to przez teleskop przyszedł „Błogosławiony” wyglądał jak jasny okrągły kleks.

- Dwadzieścia pięć lat temu budowa Międzynarodowej Stacji Kosmicznej o długości trzystu stóp trwała przeszło dekadę - opowiadał tato głosem pełnym dumy - a dzisiaj mamy zbudowany w niecałe cztery lata statek, który jest większy od Iwo Jimy.

Osobiście wołałam, żeby mój dom na najbliższe trzy stulecia nie kojarzył mi się z wyspą, która zasłynęła z powodu krwawej bitwy podczas jeszcze krwawszej wojny.

Ale teraz, patrząc na dwóch mężczyzn żyjących na tym statku od urodzenia i myśląc o widmie śmiertelności z ich przeszłości, doszłam do wniosku, że to było całkiem trafne porównanie.

- Jak już jednak mówiliśmy - ciągnął lekarz - większość ludzi żyjących na pokładzie ma w tej chwili dwadzieścia kilka albo czterdzieści kilka lat.

Odwróciłam się do staruszka.

- Pan nie ma czterdziestu lat. - Mój komentarz zabrzmiał bardziej zjadliwie, niż zamierzałam. Najstarszy przewiercił mnie wzrokiem na wylot, a w jego oczach zalśnił namysł lub pogarda - sama nie byłam pewna co.

- Ja mam pięćdziesiąt sześć. - Z trudem powstrzymałam parsknięcie. Wyglądał na dużo więcej. - Jestem starszy od wszystkich pokoleń, stąd nazwa mojej funkcji oraz przywilej sprawowania władzy. Przed każdym pokoleniem rodzi się Najstarszy, który później przewodzi temu pokoleniu.

- A więc nie ma tu nikogo mającego więcej niż pięćdziesiąt sześć lat?

- Żyje jeszcze kilku siwych, wszyscy koło sześćdziesiątki, ale oni długo nie pociągną.

- Dlaczego?

- Starzy ludzie umierają. Tak już jest.

To wszystko wydawało mi się dziwne. Znaczy, jasne, sześćdziesiątka to sporo, ale... Przecież ludzie tak nagle nie odchodzą, gdy osiągną określony wiek. Mnóstwo ludzi ma więcej niż sześćdziesiąt lat. Moja prababka umarła w wieku dziewięćdziesięciu czterech.

- A ten chłopiec?

- Jaki chłopiec? - spytał Najstarszy.

- Chodzi jej o Starszego - odpowiedział lekarz.

Najstarszy chrząknął.

- Amy - zaczął lekarz - Starszy również narodził się między pokoleniami. Teraz ma szesnaście lat. Gdy nadejdą Gody, młode pokolenie połączy się w pary. Dzieci, które urodzą się z tych związków, będą podlegać Starszemu, kiedy obecny Najstarszy odejdzie do gwiazd. Chłopak, którego spotkałaś, to następny Najstarszy.

- A gdzie jest ten drugi? - spytałam.

- Jaki drugi? - Lekarz podniósł przycisk do papieru, zważył go w dłoni i delikatnie odłożył na właściwe miejsce.

- Drugi Starszy. Pan - zwróciłam się do Najstarszego - rządzi pokoleniem doktora.

Chłopak, którego poznałam, będzie rządzić pokoleniem, które się dopiero narodzi. No a co ze wszystkimi dwudziestolatkami? Kto nimi będzie rządzić?

Lekarz i Najstarszy wymienili spojrzenia.

- Tamten Starszy zmarł - wyjaśnił Najstarszy, pochmurniejąc. Spojrzałam na lekarza. Był przygnębiony, zmarszczki w kącikach jego oczu nagle stały się głębsze.

Ciekawe, jak umarł tamten Starszy.

- Nie ma się co oszukiwać - oświadczył starzec tonem zarezerwowanym dla ostatecznych wniosków. - Jesteś zupełnie inna. Cudaczny wygląd, nienaturalnie młody wiek.

- No i?

- Nie lubię różnic. Różnice są przyczyną kłopotów.

Lekarz zaczął nerwowo się wiercić i znów poprzestawiał przedmioty na biurku.

- Ojejku, jak mi przykro. Tylko że ja wcale nie chciałam się tu znaleźć.

- Tak czy inaczej, najłatwiej byłoby po prostu wysłać cię między gwiazdy.

- Najstarszy! - Lekarz wstał. Na jego twarzy malowało się zdumienie i niepokój.

- Co ma pan na myśli? - spytałam.

- Na statku są śluzы spustowe - powiedział wolno Najstarszy, jakby rozmawiał z idiotą. - Otwierają się na zewnątrz.

Znaczenie tych słów przeniknęło przez moją skórę, sprawiając, że przyswoiłam je sobie całą swą istotą.

- Chce pan wyrzucić mnie w przestrzeń? - mój głos przeszedł w szept, ale tylko na chwilę. - Przecież nie zrobiłam nic złego! Sama się nie obudziłam, pamięta pan?!

Najstarszy wzruszył ramionami.

- Tak byłoby najprościej. W końcu jesteś zbędna dla misji.

- Nie możemy tego zrobić - stwierdził stanowczo lekarz, a ja natychmiast wybaczyłam mu, że był taki upiorny i że groził mi lekami. Przynajmniej nie chciał, żebym implodowała w przestrzeni kosmicznej.

- O nie, doktorze - odpowiedział Najstarszy. - Musisz zrozumieć, a przede wszystkim ona musi zrozumieć, że owszem, moglibyśmy wyrzucić ją w kosmos. Moglibyśmy - powtórzył, wpatrując się we mnie badawczym wzrokiem.

- Ale tego nie zrobimy - lekarz nie dawał za wygraną. - Zatrzymamy ją w Izolatce, odseparujemy od populacji. Nie będzie sprawiać żadnych kłopotów, jeśli tu zostanie.

- Tak sądzisz? - spytał Najstarszy, wyraźnie się wahając.

- Jestem pewien. A poza tym już wkrótce zaczynają się Gody, ludzie nie będą myśleć o innych sprawach.

Najstarszy obserwował lekarza spod przymrużonych powiek. Jedno było pewne: usłyszał coś, co nie przypadło mu do gustu. Otworzył usta, ale nagle dostrzegł, że z zainteresowaniem przysłuchuję się tej konfrontacji.

- Chodźmy na zewnątrz - zakomenderował.

Lekarz wyglądał na zdenerwowanego, jakby dopuścił się jakiegoś przestępstwa.

- Och, chyba nie wychodzicie z mojego powodu? - rzuciłam, odchylając się na krześle. - Śmiało, możecie przy mnie mówić wszystko, co chcecie.

Najstarszy odwrócił się do drzwi.

- Doktorze - powiedział z naciskiem.

Lekarz szybkim krokiem podążył za nim na korytarz.

Gdy tylko odgrodziły mnie od nich przesuwane drzwi, zerwałam się z krzesła i przycisnęłam ucho do ich metalowej powierzchni. Cisza. Wróciłam do biurka, wyrzuciłam długopisy z kubka i przyłożyłam go do drzwi niczym bohaterka starej kreskówki Disneya. Dalej nic.

-...jak ostatnio! - wykrzyczał Najstarszy tak głośno, że ze strachu niemalże upuściłam kubek. Wyteżyłam słuch i spróbowałam jeszcze raz bez jego pomocy.

- O nie, tym razem jest inaczej - syknął lekarz. Musiał stać bliżej drzwi, bo słyszałam go dużo wyraźniej. Zaczęłam się zastanawiać, czy nie stanął tak ze względu na mnie.

Najstarszy znów ściszył głos, przez co wyłapywałam tylko strzępki jego wypowiedzi.

- Naprawdę? Zaczynają się Gody... znowu... odłączył... a ty...

- Przecież wiesz, że to nie może być on - odparł lekarz. Zaraz potem usłyszałam jakiś bełkot i grzmiący głos, ale nie zrozumiałam nic oprócz jednego słowa: „niemożliwe”.

- Acypiesz osobie? - Ich osobliwy akcent ani trochę mi nie pomagał.

- O sobie? - zdziwił się lekarz.

- A o kim? - Nawet przez metalowe drzwi słyszałam drwinę w głosie Najstarszego. - Ostatnio byłeś dla niego wyjątkowo życzliwy, i nawet nie próbuj zaprzeczać.

-...dorzecność - wymamrotał lekarz. -...równie dobrze to mogłeś być ty.

Kolejny tubalny pomruk, jakby Najstarszy warczał.

- No i co? - rzucił głośno lekarz. - Starszy mówił mi, że uczysz go o niezgodzie. Skąd miałem wiedzieć, czy to nie jest jakieś kolejne chore zadanie, które obmyśliłeś tylko po to, by go sprawdzić?

Znów bełkot - przez głupie drzwi nic nie rozumiałam - i na koniec: „jak ostatnio”.

Głos Najstarszego stał się jeszcze głębszy, ton grobowy. Zaraz potem usłyszałam szuranie i raptem drzwi się otworzyły, nie dając mi szans na ucieczkę. Lekarz wpadł na mnie,

a kubek wyleciał mi z dłoni i potoczył się po podłodze. Tylko jego stukot zakłócał ciszę, w której wszyscy troje spoglądaliśmy po sobie.

Z twarzy Najstarszego biła nieustępliwość i surowość.

- Będę uważnie śledzić tę... sytuację - oświadczył, patrząc nie na mnie, a na lekarza. Wyglądził zmarszczki na koszulotunice i odwrócił się na pięcie, by wyjść. Po namyśle przystanął jednak w pół kroku i zaszczycił mnie swym spojrzeniem. - Nie opuszczaj terenu Szpitala. Jeszcze nie zdecydowałem, co z tobą zrobię.

- Nie jestem żadnym przestępcą ani więźniem! - krzyknęłam.

- Na tym statku jesteś - odparł i wyszedł.

- Nie przejmuj się - mruknął lekarz, pocieszająco klepiąc mnie po ramieniu. Odtrąciłam jego rękę. - Na pewno nie wrzuci cię do śluzy spustowej.

- Jasne. - Jakoś trudno było mi w to uwierzyć.

- Umieściłem cię w pokoju wyposażonym we wszelkie niezbędne wygody. Będziesz tam mieszkać, dopóki sytuacja się nie zmieni. Masz jakieś pytania?

Czy ten facet naprawdę zamierzał udawać, że nic się nie stało? Ze nie słyszałam, o co się kłócili? Okej, może nie zrozumiałam wszystkiego, ale i tak całkiem sporo.

- Co się stało ostatnim razem? - spytałam.

- To znaczy? - Lekarz usiadł za biurkiem i uprzejmie wskazał mi drugie krzesło.

Opadłam na siedzisko, rzucając mu znaczące spojrzenie, ale on udał, że go nie widzi.

- Błagam!

Zaczął układać długopisy, które wyrzuciłam z kubka. Ten człowiek naprawdę cierpiał na nerwicę natręctw. Ale... zaczęłam się zastanawiać, ile jest w nim autentyczności. W moim towarzystwie wydawał się równie chłodny i powściągliwy, jak podczas rozmowy z Najstarszym. Wątpiłam, by mnie lubił, chociaż stanął w mojej obronie, kiedy staruszek zagroził, że wyrzuci mnie w przestrzeń. A jeśli chodziło o jego uczucia w stosunku do Najstarszego - cóż, odniosłam wrażenie, że czuł przed nim respekt, może nawet strach, ale przesunął się pod same drzwi, gdy podsłuchiwałam ich rozmowę. Czyżby zrobił to rozmyślnie? A teraz? Chciał mnie nakierować na właściwe pytanie czy to tylko ja próbowałam oszukać samą siebie?

- Podczas ostatnich Godów - wyjaśnił - pojawiły się pewne problemy, ale to nie ma żadnego związku z tobą.

- Może jednak. Skąd pan wie?

- Ponieważ osoba, która była ich przyczyną, nie żyje - odpowiedział. - Coś jeszcze?

Zaczął się irytować, może nawet pożałował, że obiecał zadbać o moje

bezpieczeństwo. Lubił, kiedy wszystko leżało na właściwym miejscu, a ja udowodniłam w tym gabinecie więcej niż raz, że nikt nie ustawi mnie do pionu jak długopis.

- Tak. - Nie umiałam zatuszować agresji przebijającej z mojego głosu. - Czemu zostałam obudzona tak wcześnie? Co się stało?

Lekarz zmarszczył brwi.

- Nie jestem pewien - odparł w końcu. - Wygląda na to, że ktoś cię odpiął.

- Odpiął?

- Komory kriogeniczne są podłączone do prostych urządzeń elektronicznych monitorujących temperaturę i systemy podtrzymywania życia. Ktoś po prostu... odłączył cię od zasilania. Wyciągnął wtyczkę.

- Kto?! - krzyknęłam, zrywając się z krzesła. W tej samej chwili dostrzegłam ruch - ręka lekarza przysunęła się o jakiś cal do medplastu. Usiadłam, choć serce waliło mi jak szalone i z trudem panowałam nad płytkim oddechem. Nie trzeba było geniusza, żeby połączyć tę rewelację z rozmową na korytarzu. Działo się coś niedobrego, a ja najwyraźniej trafiłam w sam środek zawieruchy.

- Nie jesteśmy pewni, ale się dowiemy - powiedział lekarz i dodał prawie niesłyszalnie: - To musiał być ktoś z dostępem. - Zerknął na drzwi za moimi plecami i już wiedziałam, że ma na myśli Najstarszego. Stwierdziłam, że to bez sensu - Najstarszemu zależało na mojej śmierci tylko dlatego, że zostałam odmrożona. Ale dlaczego ktokolwiek chciałby mnie odłączać? Żeby mnie zabić? Dlaczego akurat mnie? Przecież, jak uprzejmie zauważył lekarz, byłam zbędna.

W mojej głowie skryształizowało się jednak znacznie ważniejsze pytanie.

- A co z moimi rodzicami? Czy ten, kto mnie odłączył, będzie próbował odłączyć także moich rodziców? - Przypomniałam sobie, jak dławiłam się płynem krio i jak uwierzyłam, że utonę w tym szklanym pudle. Nie chciałam, żeby moi rodzice przechodzili przez to samo. Nie chciałam ryzykować, że stracę ich na zawsze, bo lód stopnieje za szybko i ktoś spóźni się z otwarciem komory.

- Lepiej wróć do pokoju. Odpocznij, spróbuj pozbyć się niepokojących myśli. Możesz być pewna, że twoim rodzicom - a także pozostałym zamrożonym - nie grozi żadne niebezpieczeństwo. Najstarszy na pewno zadba o odpowiednią ochronę.

Zmrużyłam oczy. Miałam dziwne wrażenie, że staruszek nawet nie kiwnie palcem, by zapewnić komukolwiek bezpieczeństwo. Pewnie uzna, że postawienie strażników przy komorach kriogenicznych będzie zbyt wielkim „zakłóceniem porządku”. A biorąc pod uwagę jego bezdusność, nie zdziwiłabym się, gdyby jednak się okazało, że to on mnie odłączył -

może chciał sprawdzić, czy mnie to zabije.

Nie mogłam tutaj spokojnie myśleć i nie wiedziałam, co dalej. Choć wcale nie miałam ochoty odpoczywać, musiałam zaszyć się ze swoimi myślami. Więc wyszłam.

Pod drzwiami mojego pokoju leżały zmięte kwiaty. Pochyliłam się i podniosłam je z podłogi. Wyglądały trochę jak tygrysie lilie, ale były dużo większe i jaśniejsze od lilii, które pamiętałam z Ziemi. Nawet zgniecione kusily pięknem i słodkim zapachem. Czułam, jak rodzi się we mnie pragnienie, by włożyć je do wazonu z wodą. W końcu jednak postanowiłam zostawić je na korytarzu. Za bardzo przypominały mi samą siebie.

18

STARSZY

- Och, tutaj jesteś - rzucił Najstarszy swobodnym tonem, wspinając się do włazu łączącego Poziom Strażnika z Poziomem Sternika.

Leżałem na chłodnej metalowej podłodze pod ekranem zakrywającym fałszywe gwiazdy. W głowie wciąż łupało mi od sztuczki z dźwiękiem. Nigdy wcześniej tak okropnie nie bolała mnie głowa. Za każdym razem, gdy nią poruszałem, miałem wrażenie, jakby wewnątrz czaszki przewalały się tony żelastwa, uderzając o jej ściany i zgniatając mózg w bezużyteczną papkę. Starąłem się więc nie poruszać.

- To była gzyfowo paskudna sztuczka - wymamrotałem, przyciskając dłonie do czoła.

- Słucham? Och, chodzi ci o zakłócacz tonalny. Cóż, następnym razem nie ignoruj moich komów.

- Mogę je sobie ignorować, jeśli mam na to ochotę! - Wiedziałem, że skarżę się jak dziecko, ale przez ten gzyfowy ból ledwie widziałem na oczy. Gapiłem się na ciemne sklepienie, szczęśliwy, że gwiazdy są zasłonięte. Sama myśl o malutkich jak główki od szpilek jaskrawych światełkach sprawiała, że ból stawał się jeszcze bardziej nieznośny.

Najstarszy przeszedł przez Wielką Salę do swojej kwatery, zniknął w środku i po chwili wrócił z jakimś przedmiotem w ręku. Rzucił nim w moją stronę. Złapałem go - lawendowy medplast - rozerwałem opakowanie i szybko przyłożyłem do czoła, a mikroskopijne igielki przyłgnęły do mojej skóry jak rzepy. Oddychałem głęboko, modląc się, by lek zaczął działać i złagodził łupanie w czaszce.

- Niech to będzie dla ciebie nauczka - głos Najstarszego odbijał się echem od ścian Wielkiej Sali. Po gzyfa się tak wydzierał? Przecież byliśmy tu sami. A może specjalnie mówił głośno, żeby spotęgować moje cierpienie? - Do obowiązków Najstarszego należy zapobieganie niezgodzie. Przez wieki osiągnęliśmy perfekcję w zapobieganiu pierwszej

przyczynie niezgody, ponieważ udało się nam wyeliminować wszelkie różnice.

- Wiem - jęknąłem, wcierając medplast mocniej w skórę. Czy naprawdę musiał wygłaszać swoje tyrady akurat w tej chwili?

Najstarszy chciał przysiąść koło mnie, ale zatrzeszczało mu w kolanie, więc wstał i zaczął przechadzać się tam i z powrotem, kuśtykając.

- Nie rozumiesz? - odezwał się wreszcie, sfrustrowany. - Ta dziewczyna nie mogłaby się bardziej od nas różnić!

- Co z tego?

Najstarszy wyrzucił w górę ręce.

- Chaos! - zawołał. - Niezgoda! Walka! Ona oznacza wyłącznie kłopoty!

Uniosłem brew, szczęśliwy, że dzięki medplastowi zaczynałem czuć się normalnie.

- Chyba trochę dramatyzujesz, co?

Opuścił ręce i spiorunował mnie wzrokiem.

- Ona mogłaby zniszczyć ten statek.

- To tylko zwykła dziewczyna.

Z jego gardła wydobył się pomruk niezadowolenia.

- Zaraz... - Usiadłem, nie spuszczać z niego wzroku. - A więc oto ci chodzi, tak? Jest dziewczyną, i to na dodatek w moim wieku. Boisz się, że my... - Urwałem, bo poczułem, że się czerwienię. To, co najwyraźniej dla Najstarszego stanowiło powód do zdenerwowania, dla mnie było raczej przedmiotem marzeń i nadziei.

- Nie bądź takim hucpiarzem - roześmiał się Najstarszy, a ja miałem wrażenie, że zaczynam płonąć. - Nawet o tym nie myślałem.

Prychnąłem, prostując się energicznie. Czyżby sądził, że nie dam rady? Może jeszcze nie osiągnąłem odpowiedniego wieku do moich Godów, ale byłem pewien, że potrafię więcej niż trzeba.

Kiedy patrzyłem na Amy... wiedziałem, co chciałem z nią robić, i wiedziałem, że mógłbym to robić. Jak on śmiał myśleć inaczej?! Nie byłem już dzieckiem, za które mnie chyba uważał!

- Odpływasz myślami - powiedział, pstrykając mi palcami przed twarzą. - To nie ma nic wspólnego z sednem sprawy. Sedno w tym, że ta dziewczyna będzie sprawiać problemy.

- I co zamierzasz z tym zrobić? - spytałem, siadając z powrotem na podłodze.

Najstarszy zmierzył mnie wzrokiem.

- Ty będziesz kolejnym Najstarszym. Jak zareagowałbyś na moim miejscu?

- Nijak. - Podniosłem głowę. - Ona nie robi nikomu krzywdy. Da sobie radę.

- Jako Najstarszy nie możesz rządzić „nijak”. - Wykrzywił usta w tym aroganckim uśmiešku, który za każdym razem sprawiał, że miałem ochotę go uderzyć. Zastanawiałem się nad jakąś zjadliwą ripostą, ale on wskazał na mnie palcem, po czym odwrócił się do mnie plecami i aktywował wikom.

- Aha - powiedział do osoby, z którą się połączył. - Rozumiem. Tak, oczywiście.

Znów spojrzał na mnie.

- Schodzę na Poziom Sternika. Zostań tutaj i poczytaj o przywódcach z SolZiemi. W Centrum Edukacyjnym zostawiłem ci plastplej.

- Ale... - Ostatnio Najstarszy spędzał na Poziomie Sternika dużo więcej czasu niż kiedykolwiek wcześniej. - Wszystko jest w porządku?

Po raz kolejny przyjrzał mi się z uwagą; rozważał, czy jestem godzien, by usłyszeć jego myśli i przejąć część odpowiedzialności za dręczące go problemy. I wtedy je dostrzegłem - w zgarbionych ramionach i w wysiłku, z jakim poruszał chromą nogą. Czuł na barkach ciężar statku, tak jak ja go czułem. O nie, czuł go dotkliwiej. Nosił ten ciężar znacznie dłużej, i to nie tylko za siebie, ale także za Starszego, który zmarł zbyt wcześnie, by przejąć jego obowiązki.

Przez krótką chwilę patrzyłem jego oczami i naprawdę widziałem Amy jako problem.

- Kiedy wrócę, będziemy musieli porozmawiać - stwierdził poważnym, dziwnie nieswoim tonem. Przesząpił z nogi na nogę, ale nie ruszył do wлізу.

- O czym?

- Zbliżają się Gody...

- Och. - Słyszałem już to i owo o Godach. Gdy się mieszkało na Poziomie Żywiciela, trudno było nie zauważyć, co łączy samców i samice. Musiałbym być głupi, żeby nie domyślić się, co robią krowy na ranczach, kozy na farmach i owce na polach. Kobiety, które mnie wychowywały, tłumaczyły mi, czym jest reprodukcja. Wydawało mi się to wtedy krępujące i obrzydliwe, ale wszystkie zapewniały mnie, że gdy nadejdzie odpowiednia pora, będę gotowy, a wówczas kobieta z pokolenia Harleya spędzi ze mną drugie Gody. Odkąd poznałem Amy, chyba już wiedziałem, co to znaczy być gotowym.

- Podczas Godów będziesz widział... ehm... - Najstarszy zamilkł.

- Wiem, czym są Gody - odpowiedziałem. Byłem równie zażenowany, jak on. Wysłuchiwanie opowieści o reprodukcji z ust postawnej farmerki było koszmarem, ale mimo wszystko wolałem taką nauczycielkę od Najstarszego.

- Mimo to powinniśmy porozmawiać... - Tym razem przerwał mu jego wikom. Najstarszy wcisnął guzik i powiedział coś tak cicho, że nie dosłyszałem.

- Halo - zawołałem. - Halo!

Uniósł palec, by mnie uciszyć, i wymamrotał coś do wikomu.

- Przestań mnie ignorować - odezwałem się głośno.

Westchnął i przerwał połączenie.

- Muszę iść.

- Nie powiesz mi, co się dzieje?

Tym razem wydał z siebie jęk, jakbym był nieznośnym dzieckiem.

- Słuchaj - zacząłem - mam po prostu serdecznie dość tych sekretów.

- Świetnie - odparł, ruszając chwiejnym krokiem w stronę wjazdu. - Teraz idź się uczyć. Porozmawiamy, kiedy wrócę.

Chciałem zaprotestować, ale już go nie było.

Medplast potrafił zdziałać prawdziwe cuda, ból głowy prawie ustąpił. Niepokoiła mnie jednak myśl, że Najstarszy mógłby z łatwością powtórzyć sztuczkę z dźwiękiem. Może powinienem zacząć nosić medplasty przy sobie?

W pierwszej chwili wpadłem na pomysł, aby zjechać do Szpitala, gdzie znajdują się zapasy leków. Doktorek trzyma je pod kluczem, ale skoro Orion potrafił zwędzić butelkę psychotropów, zdobycie kilku medplastów nie powinno stanowić zbyt wielkiego problemu. Wtedy jednak przypomniałem sobie, że to właśnie od węszenia po Szpitalu zaczęły się moje kłopoty. A może kwatery Najstarszego? Wiedziałem, że tam też trzyma zapasowe leki.

Zeby wkraść się do środka, musiałbym złamać niepisane prawo prywatności...

To prawda, sprawdzałem klamki drzwi na trzecim piętrze Szpitala (no dobra, włamałem się), ale nigdy nie wszedłem do prywatnej kwatery bez zgody jej właściciela.

Przypomniałem sobie jednak radę Oriona. Aby cokolwiek ugrać z Najstarszym, muszę działać p o d s t ę p n i e.

Stając przed drzwiami jego kwatery, wmawiałem sobie, że tylko przekręcę klamkę; że nie wejdę do środka, nawet nie pchnę drzwi. Kłopot w tym, że już w chwili, w której narodziła się ta myśl, wiedziałem, że tak naprawdę próbuję się okłamywać, aby dodać sobie odwagi.

Moja ręka drżała, gdy sięgałem do klamki.

- Komlink: Harley - zaświergotał przyjemny kobiecy głos wikomu.

- Cześć, Harley - rzuciłem z nadzieją, że wikom zatuszuje drzenie mojego głosu.

- Co się z tobą działo?

- Powiem ci później.

- Kim jest ta nowa? I skąd ona się wzięła? Myślałem, że Doktorek już dawno temu

ostemplował wszystkich czubków.

- Jestem teraz zajęty, Harley.

Harley wybuchnął śmiechem.

- Och, jasne! Zajęty! Po prostu chcesz ją mieć tylko dla siebie!

Był tak bliski prawdy, że postanowiłem przerwać połączenie.

Przede mną wciąż znajdowały się drzwi kwatery Najstarszego. Kpiły ze mnie.

Tym razem ręka mi nie drżała. Choć były wyposażone w tradycyjny zamek z SolZiemi, Najstarszy - na moje szczęście - zapomniał go zamknąć.

Rozejrzałem się. Nie tego oczekiwałem. Wyglądało na to, że Najstarszy jest raczej niechlujny - zupełnie jak ja. Uśmiechnąłem się. Przeszępując nad stertą brudnych ubrań, skierowałem się w stronę najporządniejszej części pokoju - do biurka. Leżały na nim tylko trzy rzeczy: niewielki plastikowy pojemnik podobny do tych, których Doktorek używał do przechowywania leków, duża szklana butelka wypełniona przejrzystym płynem oraz pudełko. Od razu je rozpoznałem - właśnie po to pudełko Najstarszy wrócił do pokoju tego dnia, gdy opuściłem ekrany w Wielkiej Sali, odsłaniając baldachim sztucznych gwiazd. Właśnie to pudełko chciałem wtedy zdobyć - to ono, jak mi się wydawało, zawiera klucz do mojego przywództwa.

Zerwałem wieczko, spodziewając się zobaczyć... w najgorszym razie coś odlotowego, ale w środku znalazłem tylko model z żywicy. Przypominał silnik, lecz o bardziej cylindrycznym kształcie niż te z traktorów na Poziomie Żywiciela. Zafascynowała mnie jednak precyzja jego wykonania. Z boku był jakiś guzik - nacisnąłem go, a silnik rozłamał się na pół, odsłaniając swoje wnętrze. Zacząłem dotykać różnych części. Zgodnie z moją wiedzą miałem do czynienia z modelem reaktora prędkiego chłodzonego ołowiem - taka sama jednostka napędza „Błogosławionego”. Jeśli była to prawda, nigdy dotąd nie znalazłem się bliżej serca statku, którego miałem zostać kiedyś przywódcą.

Zamknąłem silnik, może nieco zbyt mocno.

Kolejna tajemnica Najstarszego.

Przyjrzałem się butelkom na biurku. Dużą wypełniał płyn śmierdzący jak spaliny - napój, który potrafili przygotować niektórzy sternicy. Najstarszy nigdy nie pozwalał mi go skosztować. Pociągnąłem łyżeczkę i z trudem powstrzymałem się, żeby nie wypluć wszystkiego na niezaścielone łóżko. Zapieкло mnie w gardle i załaskotało w nosie, a gdy płyn dotarł do żołądka, natychmiast chciał udać się w drogę powrotną.

Mały plastikowy pojemnik zawierał jakieś dwadzieścia tabletek psychotropowych.

Teraz już wiedziałem, dlaczego Doktorek i Najstarszy nie pozwolili mi zrezygnować z

funkcji Starszego, kiedy zacząłem brać stopery. Wyglądało na to, że mój nauczyciel był tak samo szurnięty, jak ja! Zgniotłem pojemnik w dłoni. Najstarszy zdawał sobie sprawę, jak bardzo przybijał mnie fakt, że przez rok musiałem mieszkać w Izolatce. Wzbraniałem się wtedy przed przyjmowaniem leków.

Dlaczego nie przyznał, że sam też je bierze?

Nienawidzę jego tajemnic i kłamstw.

Zatrzasnąłem drzwi i ruszyłem do swojej kwatery, żeby napić się wody, która - według żony pewnego starego żywiciela - była najlepszym lekarstwem na nerwy.

Całe szczęście, że to zrobiłem, bo z włazu właśnie wyłonił się Najstarszy.

- Chodź ze mną - zawołał. - Mamy problem. ciągnąłem łyceczek i z trudem powstrzymałem się, żeby nie wypluć wszystkiego na niezaścielone łóżko. Zapiętko mnie w gardle i załaskotało w nosie, a gdy płyn dotarł do żołądka, natychmiast chciał udać się w drogę powrotną.

Mały plastikowy pojemnik zawierał jakieś dwadzieścia tabletek psychotropowych.

Teraz już wiedziałem, dlaczego Doktorek i Najstarszy nie pozwolili mi zrezygnować z funkcji Starszego, kiedy zacząłem brać stopery. Wyglądało na to, że mój nauczyciel był tak samo szurnięty, jak ja! Zgniotłem pojemnik w dłoni. Najstarszy zdawał sobie sprawę, jak bardzo przybijał mnie fakt, że przez rok musiałem mieszkać w Izolatce. Wzbraniałem się wtedy przed przyjmowaniem leków.

Dlaczego nie przyznał, że sam też je bierze?

Nienawidzę jego tajemnic i kłamstw.

Zatrzasnąłem drzwi i ruszyłem do swojej kwatery, żeby napić się wody, która - według żony pewnego starego żywiciela - była najlepszym lekarstwem na nerwy.

Całe szczęście, że to zrobiłem, bo z włazu właśnie wyłonił się Najstarszy.

- Chodź ze mną - zawołał. - Mamy problem.

19

AMY

Każdy kąt pokoju, w którym umieścił mnie lekarz, wydawał się dziwacznym połączeniem intymności i industrialnej bezosobowości. Kolory były mdłe - dominowały szarość i biel - ale wokół framugi ktoś narysował od szablonu zieloną wstęgę bluszczu, a nad listwami przypodłogowymi ciągnęło się ukwiecone pnącze. Łazienka była chłodna, udekorowana nieciekawymi białymi kafłami i chromem, ale ręczniki roztaczały zapach cytryny i lawendy.

Doszłam do wniosku, że najlepszy sposób na pozbycie się gnębiących mnie zmartwień to naprawdę gorący prysznic. Zrzuciłam z siebie ubrania, które dostałam od lekarza - brązowoszarą tunikę i czekoladowe spodnie. Wyglądały na ręcznie robione - chociaż szwy były proste i schludne, na pewno nie wyszły spod maszyny. Gładka tkanina nie drapała skóry, ale z bliska widać było malutkie skazy, które wskazywały na robotę rękodzielnika. Dziwne. Szczerze mówiąc, spodziewałam się jakichś kosmicznych kombinezonów z błyszczącego materiału. W ostatni weekend przed zamrożeniem oglądałam z rodzicami stare filmy sciencefiction - Star Trety Star Wars i Star Cośtam. Wyobrażałam sobie, że załoga statku będzie nosić jednolite uniformy, zabawne fryzury czy coś w tym rodzaju, a zamiast tego dostałam ciuchy, które równie dobrze mogłabym kupić na renesansowym targu.

Potrzebowałam dłuższej chwili, żeby rozgryźć, jak działa prysznic. Nie było tu zwykłych kurków, tylko jakieś przyciski, a gdy wciskałam je na chybił trafił, z niewielkiej kwadratowej siateczki otworów na ścianie kabiny tryskało więcej pary niż wody. Na zawieszanej wysoko półeczce leżały dwie kostki mydła. Żadnego szamponu ani odżywki, ale mydło pieniało się obficie, gdy pocierałam nim włosy.

Wypróbowywałam kolejne przyciski, by włączyć normalną wodę - para źle spłukiwała mydliny z włosów. W końcu trafiłam na właściwy i z dyszy tuż przed moją twarzą trysnął zimny strumień. Parsknęłam, a w mojej głowie pojawiły się przebliski wspomnień z tego dnia, kiedy Ed i Hassan napełniali moją komorę kriogeniczną błękitną cieczą. Musiałam sobie wmawiać, że nie tonę, że nikt nie każe mi wciągać w płuca płynu kriogenicznego i że mnie nie zamrożą. Mimo że to wszystko działo się ponad dwieście lat temu, w mojej głowie wciąż było bardzo świeże. Kolana ugięły się przede mną. Oparłam się na chwilę o ciepłe kafelki, by odetchnąć głęboko i móc stanąć o własnych siłach.

Wyszłam spod prysznica owinięta ręcznikiem. Z włosów kapiała mi woda. Pokój był cichy i pusty. Myślałam o chłopaku, który był tu ze mną, gdy się obudziłam - o Starszym - i z zaskoczeniem doszłam do wniosku, że brakuje mi jego towarzystwa. Bez niego czułam się w tym miejscu jak intruz.

Jeszcze szczerzej opatuliłam się ręcznikiem. Jeśli pominąć bluszcz wymalowany na ścianie zieloną luszczącą się farbą, nie było tutaj absolutnie nic osobistego. O książkach i telewizorze mogłam tylko pomarzyć. Było biurko, a na nim leżał kawałek miękkiego plastiku wielkości kartki A4. Kiedy pracowałam nad rocznikiem szkoły, musiałam zrobić zdjęcie kółka dramatycznego. Wszyscy uczniowie trzymali na nim barwne filtry - cieniutkie kawałki plastiku, które montuje się na reflektorach scenicznych, by zmienić kolor światła. Plastik na biurku wyglądał bardzo podobnie, ale był przejrzysty, a gdy go dotknęłam, rozświetlił się,

żądając podania numeru identyfikacyjnego. Komputer?

Na przeciwległej ścianie wisiała półka, a po prawej znajdowały się drzwi. Obok nich, tam gdzie zwykle można znaleźć włącznik światła, dostrzegłam niewielką metalową skrzynkę z poziomym wałkiem pośrodku. Dotknęłam go. Nic się nie stało, ale wałek zaczął obracać się w miejscu.

Nagle usłyszałam piskliwy kobiecy głos:

- Tożsamość nieznana. Polecenie głosowe.

- Eee...

- Polecenie nieznane - odezwał się komputer. - Polecenia aktywne: światło, drzwi.

- Wyłącz światło? - spróbowałam.

Wszystkie lampy w pokoju zgasły.

Przeciągnęłam kciukiem po wałku.

- Tożsamość nieznana. Polecenie głosowe.

- Włącz światło - nakazałam i żarówki rozblęły.

Obok kręcącego się wałka, który sterował światłem, zauważyłam dwa wbudowane w ścianę metalowe prostokąty - pierwszy, trochę mniejszy, rozmiarów karteczki samoprzylepnej, a drugi wielkości standardowej koperty. Podchodząc bliżej, dostrzegłam pod nimi przyciski. Sprawdziłam ten pod mniejszym prostokątem - metalowe drzwiczki uniosły się, ukazując zagłębienie w ścianie. Włożyłam do środka dwa palce. Pusto. Sprawdziłam drugi przycisk - nic. Spróbowałam mocniej, a wówczas w pokoju rozległo się ciche ptiiA. Zaczęłam panikować - zrobiłam coś głupiego, włączyłam alarm! - ale zaraz potem uniosły się drugie drzwiczki.

To zagłębienie nie było puste. Leżało w nim grube parujące ciastko, po którym ściekało coś gęstego. Przypominało odrobinę kanapkę Hot Pocket, chociaż żaden Hot Pocket nigdy nie pachniał tak smakowicie. Czując, jak ślina wypełnia mi usta, włożyłam do środka rękę. Dno zagłębienia zwinęło się pod moimi palcami - to chyba była serwetka. Ciastko parzyło mnie w palce, ale nie mogłam się powstrzymać; odgryzłam cztery wielkie kęsy i od razu przełknęłam.

Dopiero przy piątym poczułam smak i doszłam do wniosku, że mogłabym przeżuwać to cudo w nieskończoność. Pod ciastem kryło się mięso z sosem i warzywami. Niektóre z warzyw rozpoznałam, ale zielone kuleczki podobne do groszku były od niego znacznie większe i twardsze, a to, co z początku wzięłam za ziemniaki, przypominało raczej mięsiste tofu. Oblizalam jeden z kawałków - na języku wydawał się gumowaty i smakował równie nieciekawie. Poza tym nie czułam praktycznie żadnych przypraw. Na pewno było w tym

trochę soli i coś słodkiego jak cynamon, ale żadnego pieprzu czy innej przyprawy z prawdziwym kopem.

A samo mięso... Nigdy takiego nie jadłam. Było czerwone, ale całkowicie pozbawione tłuszczu. Każdy kawałek miał kształt idealnego sześcianu, a ja zaczęłam się zastanawiać dlaczego. Pociął je wyjątkowo sprawny kucharz czy to po prostu nie było prawdziwe mięso? Wyobraziłam sobie pojemniki na lód, do których nie wlewa się wody, ale czerwoną, kleistą, mięsopodobną substancję, i zawartość żołądka natychmiast podeszła mi do gardła. Wrzuciłam ciastko do niewielkiego pojemnika przy drzwiach, który wyglądał jak śmietnik. Jego dno niespodziewanie otworzyło się, odsłaniając wylot długiego czarnego tunelu, a powietrze wessało resztki jedzenia i serwetkę.

Po ciastku z mięsem została tylko para unosząca się z zagłębienia w ścianie i zapach nieprzyprawionego sosu - dziwnie swojski, a jednocześnie zupełnie obcy.

Pokręciłam głową. Na Ziemi nie było takich spektakularnych technologii. Kolejny znak, że nie należę do tego świata.

Szkoda, że nie miałam z kim podzielić się swymi odkryciami. Uciekłam wzrokiem w kierunku krzesła. Niemal widziałam siedzącego w nim Starszego i jego łagodne oczy. To była chyba jedyna osoba na statku, która nie marzyła, żebym jak najszybciej zniknęła z jego pokładu.

Pomyślałam o rodzicach. Też są na tym statku - niby tak blisko, a wciąż o pięćdziesiąt lat za daleko.

Zmrużyłam oczy, zmuszając się, by wyrzucić ich teraz z głowy.

Ale wtedy przypomniałam sobie, że ktoś mnie odłączył i że wciąż mógł odłączyć ich.

Wzdrygnęłam się, wmawiając sobie, że to przez chłód panujący w pokoju. Pod ścianą stała szafa, tuż obok dużej metalowej osłony, która chyba zakrywała okno - spod jej krawędzi sączyło się światło. Wiszące w środku ubrania czuć było stęchlizną, ale wyglądały na czyste i w miarę nowe, gdy je wytrzepałam. W szufladach nie znalazłam ani jednego stanika. Były za to bawełniane majtki; trochę się brzydziłam, kiedy je zakładałam, bo nie wiedziałam, skąd pochodzą i czy ktoś ich już wcześniej nie nosił, ale nie dostrzegłam żadnych śladów używania. Pozwoliwszy ręcznikowi opaść na podłogę, wsunęłam się w jasnobrązową tunikę ozdobioną lamówką ze wzorem żółtych kwiatuśzków i ciemne spodnie z takim samym akcentem. Wilgotny ręcznik wrzuciłam do stojącego przy szafie kosza na pranie. Pokrywa zatrzasnęła się automatycznie i wystrzelił spod niej kłęb pary. Po chwili kosz otworzył się, a na dnie leżał czysty suchy ręcznik.

Doszedłam do wniosku, że zbyt mało wiem o statku. Od tego powinnam zacząć: muszę

odszukać innych, nauczyć się jak najwięcej i wymyślić, jak obronić rodziców przed człowiekiem, który mnie odłączył. Bo chociaż niczego nie pragnęłam tak bardzo jak ich bliskości, nie chciałam, aby obudzili się w zimnie i odosobnieniu, tonąc w szklanym pojemniku.

Na dywan pod metalową osłoną padało wąskie pasmo światła. Jedno moje dotknięcie sprawiło, że osłona uniosła się z furkotem, odkrywając brudne okno z widokiem na zielone pola.

A więc to tutaj spędzę kolejne czterdzieści dziewięć lat i dwieście sześćdziesiąt sześć dni.

Nie było wcale tak brzydko, chociaż nie tego się spodziewałam. Przede wszystkim istniała tu zieleń. Pofałdowane wzgórza ciągnęły się wzdłuż zakurzonej drogi gruntowej aż do trawnika przed Szpitalem, a pastwiska i pola były porozdzielane żywoplotami i brązowymi parkanami. Nieopodal widziałam krowy, nieco dalej białe puszyste kulki - pewnie owce i kozy. Schludne rzędkie bujnych zielonych roślin przecinały krajobraz we wszystkie strony, tworząc patchworkową szachownicę, a w oddali, na przeciwległym krańcu statku, znajdowało się coś, co wyglądało jak przerośnięta budowla z klocków Lego - wagony towarowe poustawiane na przyczepach, które spoczywały na kontenerach transportowych, wszystko zaś pomalowane na jaskrawe kolory. Ta feeria barw kojarzyła mi się odrobinę z Disneylandem. Kiedy jako dziecko mieszkałam na Florydzie, rodzice zabierali mnie tam każdego lata. Disneyland zawsze wydawał mi się ogromny, wręcz kolosalny, niczym państwo zamknięte na terenie parku rozrywki, ale teraz dotarło do mnie, że zamek Kopciuszka bez trudu zmieściłby się na tym statku - w metalowej bańce, która była jakieś pięćdziesiąt razy większa od całego Magicznego Królestwa.

Próbowałam policzyć wszystkie te przyczepy, ale szybko straciłam rachubę. Ciekawe, ilu ludzi żyje na pokładzie. Miejsca wystarczyłoby dla co najmniej kilku tysięcy.

Ciekawe, czy Starszy mieszka w jednym z tych kolorowych pudeł...

Poszukałam wzrokiem horyzontu.

Nie znalazłam go, bo oczywiście nie było tu nieba. Nad kolorowe skupisko przyczep wyrastał zimny szary metal. Wyginał się nad miastem, rzucając na nie swój cień. W górze szarość ustępowała miejsca mdławemu błękitowi. Chyba komuś zależało, żeby stworzyć pozór nieba, ale nie wyszło mu to zbyt dobrze.

W centralnym punkcie sklepienia tkwiła kula rażącego, żółtopomarańczowego światła. Patrzenie na nią nie bolało tak jak patrzenie na słońce, ale na pewno nie było zbyt przyjemne. Gdyby nie fakt, że znałam prawdziwe słońce, być może zaimponowałoby mi to

stworzone przez człowieka źródło światła i ciepła. Kłopot w tym, że widziałam prawdziwe słońce, a ten marny, fałszywy substytut z pewnością nim nie był - o nie, był czymś znacznie gorszym. Odwróciłam wzrok, bo oczy zaczęły piec mnie od łez i zamknęłam je na chwilę dłuższą, niż było to konieczne.

Powidoki fałszywego światła tańczyły mi pod powiekami. Jak ta wielka lampa mogłaby się równać z prawdziwym słońcem?

Wszystko było zepsute. Roztrzaskane. Zniszczone.

Jak światło.

Jak ja.

Zeby zrozumieć, jak ważne jest niebo, musiałam je najpierw stracić.

Otaczały mnie ściany.

Bo przed chwilą zamieniłam jeden pojemnik na drugi.

20

STARSZY

W milczeniu jechaliśmy z Najstarszym na poziom kriogeniczny. Nie poruszaliśmy tematu skrzynki z alarmem w pomieszczeniu na trzecim piętrze, którą ktoś sforsował i zniszczył. Elektroniczne wnętrzości wytrysnęły z obudowy, rozsypując się po podłodze, zepsute i bezużyteczne.

Drzwi kabiny otworzyły się. Światła w korytarzu były już pozapalane.

- Tutaj! - krzyknął do nas Doktorek.

Najstarszy ruszył w jego stronę długim, choć nierównym krokiem i musiałem się spieszyć, żeby za nim nadążyć. Maszerowaliśmy między rzędami ponumerowanych drzwiczek. Szukałem tych z numerem czterdzieści dwa, ale szliśmy zbyt szybko, żebym mógł się zatrzymać.

Skręciliśmy i weszliśmy w rząd oznaczony numerami od siedemdziesięciu pięciu do stu.

Dostrzegłem, że jedne drzwiczki są otwarte. Błat został już wyciągnięty, a nad komorą kriogeniczną nachylał się odwrócony do nas plecami Doktorek. Chociaż zasłaniał nam widok, czułem, że coś jest bardzo nie w porządku.

Najstarszy bez wahania zbliżył się do komory.

Ja nie miałem aż tyle odwagi.

Mężczyzna był martwy, unosił się w wodzie nakrapianej niebieskimi iskierkami. Ręce miał zgięte, palce zakrzywione w szpony. Chciał wydostać się z pojemnika, kiedy lód zaczął

topnieć. Wiedziałem to; miał wybaluszone oczy, rozwarte usta przypominały czarną otchłań, a na twarzy zastygł wyraz gniewu i porażki. Zauważyłem także czerwone ślady na zbyt bladym gardle, a na podłodze pod blatem kałużę błękitnego płynu.

Najstarszy i Doktorek wspólnymi siłami ściągnęli pokrywę. Ciało mężczyzny unosiło się w płynie kriogenicznym, a jego palce, nos i kolana wystawały nad lepka powierzchnię.

- Kim on był? - spytałem.

- Numerem sto. - Ostatnim pojemnikiem w szeregu i ostatnią zamrożoną osobą.

Oczywiście dla mnie znaczyło to tyle co nic, ale Najstarszy wciągnął głośno powietrze w płuca, a Doktorek porozumiewawczo skinął głową.

Odskokczyłem przerażony, bo głowa nieboszczyka przekręciła się na bok, ale to tylko Doktorek próbował wyszarpnąć przewody z gardła mężczyzny. Z każdym pociągnięciem ciało podskakiwało gwałtownie, rozchlapując płyn. Zrobiłem krok do tyłu, ale krople wciąż spadały na moje buty, więc ruszyłem do stołu na końcu przejścia i podniosłem plastplej Doktora. Przeciągnąłem palcem po narożnej części, żeby go aktywować. Wyświetlacz rozjarzył się. Przyłożyłem kciuk do pola identyfikacyjnego i odczytałem wiadomość: „Najstarszy/Starszy rozpoznany: przyznaję pełny dostęp”. Wyświetlacz zapełnił się obrazami: ikonami, folderami, notatkami. Wyszukałem numer sto i po kilku chwilach postukiwania palcem w ekran znalazłem folder martwego mężczyzny.

Imię i nazwisko: William Robertson Numer: 100

Funkcja: Specjalista ds. dowodzenia Status: Niezbędny dla prowadzenia akcji ofensywnych □ oświadczenie: Piechota Morska Stanów Zjednoczonych, aktywna służba w wojnie...

Najstarszy wyrwał mi plastplej z rąk i jednym pociągnięciem palca wygasił ekran.

- Skup się, chłopcze - warknął. Obrócił głowę w stronę Doktora, który wreszcie dotarł do końcówek przewodów. Wyciągnął z ust nieboszczyka niewielkie urządzenie, a ciało osunęło się z powrotem pod powierzchnię płynu.

- No i? - rzucił Najstarszy. - Chcesz mi wmówić, że to też była usterka? Kolejna?

- Daj mi chwilę. - Doktorek nachylił się nad skrzynką z elektroniką. Wcisnął jakiś guzik, otwierając klapkę, i wyjął ze środka malutki okrągły przedmiot, który przykleił się do koniuszka jego palca - chyba mikroprocesor. Najstarszy podał mu plastplej, a Doktorek przyłożył mikroprocesor do wyświetlacza.

- No i co? - dopytywał się niecierpliwie Najstarszy.

- Ktoś go wyłączył - odpowiedział bezbarwnym głosem Doktorek.

- Wyłączył?

- O czym wy gadacie? - zdziwiłem się.

- O tym. - Doktorek wskazał diodę migoczącą czerwonym światłem na skrzynce przymocowanej do tylnej ścianki komory. - Ktoś musiał otworzyć pokrywę i przestawić włącznik. - Popatrzył na Najstarszego. - Ktoś z dostępem.

- A więc ktoś zrobił to celowo? - spytałem, choć odpowiedź wydawała się oczywista.

Doktorek zmarszczył gniewnie czoło, a ja miałem nadzieję, że złość bijąca z jego oczu nie jest wymierzona we mnie.

- Ktoś zjechał na ten poziom, wyciągnął komorę i przestawił włącznik. A potem odszedł, pozwalając, by lód stopniał. Człowiek w komorze powoli wracał do życia, ale tylko po to, żeby jeszcze wolniej umrzeć, tonąc w płynie kriogenicznym.

Chciałem odwrócić od niego wzrok, ale na co miałem patrzeć? Na Najstarszego, który za maską absolutnego spokoju gotował się z wściekłości? Czy może raczej na martwego mężczyznę o nieruchomych powiekach skrzących się pod powierzchnią błękitnego płynu?

- Ale kto miałby coś takiego zrobić?

- Przede wszystkim kto mógłby to zrobić? - wycedził Najstarszy głosem grzmącym za moimi plecami jak centryfuga w laboratorium.

- Niewiele osób wie o tym poziomie - zauważył Doktorek. Spojrzał gdzieś w bok, a ja już widziałem, jak wciela się w rolę chłodnego, kalkulującego lekarza - tę samą, którą zawsze odgrywał w Szpitalu i Izolatce. - My - ciągnął, patrząc najpierw na mnie, a później na Najstarszego - ale także kilku naukowców. Ci, którzy pracowali w... - urwał, a jego wzrok znów padł na mnie -...w drugim laboratorium. Oni oczywiście wiedzą.

W drugim laboratorium? Rzuciłem Doktorkowi pytające spojrzenie, ale postanowiłem ugryźć się w język. Musiałem uważać, co mówię, bo inaczej nic by mi nie powiedzieli.

- Ale dlaczego? - wróciłem do poprzedniego pytania. - Co za różnica, kto wie o tym poziomie. Dlaczego ktokolwiek miałby coś takiego zrobić? Dlaczego ktokolwiek chciałby z premedytacją zabić zamrożonego człowieka?

Cisza. A po chwili:

- Przyczyny nie mają znaczenia - odparł Najstarszy zimnym, przerażającym głosem. - Teraz ważne jest tylko to, aby znaleźć sprawcę. Wtedy podejmiemy dalsze kroki.

- Ale...

Doktorek wyminął mnie i odciągnął Najstarszego kilka kroków dalej.

- Przysięgnij mi - syknął - przysięgnij tu i teraz, że to nie jest jakiś chory sprawdzian, który obmyśliłeś dla Starszego.

Najstarszy popatrzył na Doktorka z oburzeniem, jakby poczuł się urażony jego

sugestią.

Ale nie odpowiedział.

- Zróbmy z tym porządek - rzucił do mnie. Przepchnął się obok Doktora i zaczął majstrować przy zasuwce obok blatu, której wcześniej nie zauważyłem. Podtrzymujący komorę blat na kółkach odłączył się od metalowych drzwiczek i Najstarszy przeciągnął go przez przejście. Płyn kriogeniczny przelewał się w rytm jego kroków z jednej strony na drugą, a na posadzkę spadały roziskrzane kropelki. Oprócz dudnienia stóp Najstarszego słyszałem stłumione bach, szur, bach i wiedziałem, że to ciało mężczyzny uderza o ściany pojemnika.

- Chodź - zawołał do mnie Doktor. Podążaliśmy za śladami płynu na posadzce jak za okruszkami z bajki solziemskich dzieci.

Minęliśmy rzędy ponumerowanych drzwiczek, wąskie szafki z prostymi zamkami szyfrowymi, stoły zastawione dokumentacją i schematami oraz długi korytarz, aż wreszcie dotarliśmy do solidnego metalowego wjazdu pomalowanego bladożółtą farbą. Pośrodku znajdowało się okrągłe okienko ze szkła bąbelkowego.

Zamek wyglądał na dość stary, zamiast czytnika miał zwykłą klawiaturę. Musiał pochodzić z pierwotnych projektów, ponieważ z biegiem czasu wymieniliśmy większość takich zamków na nowocześniejsze. Patrzyłem, jak Najstarszy wstukuje kod. Łatwo go było zapamiętać: Błogosławiony.

Właz otworzył się i Najstarszy wepchnął komorę do środka.

- Co ty ro... - chciałem zapytać, ale on już uniósł blat i trumna z grubego szkła spadła wraz z ciałem na podłogę. Pan William Robertson, numer sto, podskoczył, gdy ponad połowa płynu wylała się z komory, i zawisł na jej krawędzi w pozycji, która z pewnością sprawiłaby mu ból, gdyby jeszcze żył. Patrzył szeroko rozwartymi oczami w sufit, wygiętymi rękami opierając się o posadzkę.

Najstarszy wypchnął mnie z powrotem na korytarz i zatrzasnął za sobą właz.

- Co ty robisz? - powtórzyłem.

Wcisnął jakiś guzik na klawiaturze - duży i czerwony, bez żadnego oznaczenia.

Widziałem przez okrągłe okienko, jak właz po drugiej stronie pomieszczenia się otworzył. Próżnia wysłała Williama Robertsona, numer sto, na zewnątrz. I wtedy je zobaczyłem - gwiazdy, najprawdziwsze gwiazdy, miliony jasnych punkcików lśniących niczym wyrzucona w powietrze garść brokatu. Wiedziałem, że już nigdy nie dam się oszukać widokowi pospolitych żarówek.

Gwiazdy, te prawdziwe, były najpiękniejszą rzeczą, jaką kiedykolwiek widziałem. Pozwoliły mi uwierzyć, że poza tym statkiem istnieje jakiś świat.

Przez chwilę zazdrościłem Williamowi Robertsonowi, numer sto, który pływał w morzu gwiazd.

21

AMY

Ściany pokoju pochylały się nade mną coraz niżej. Nieświadomie zaczęłam przechadzać się z kąta w kąt, ale ta klitka była dla mnie zdecydowanie zbyt ciasna. Próbowałam otworzyć okno z solidną grubą szybą - nic z tego - a teraz rozciągałam mięśnie łydek, nawet nie zdając sobie z tego sprawy. Najwyraźniej moje ciało podjęło decyzję bez udziału umysłu: muszę biegać.

Nie żartowałam, kiedy powiedziałam lekarzowi, że lubię biegać. W pierwszej klasie dołączyłam do drużyny biegów przełajowych, chociaż tak naprawdę zawsze chciałam biegać w maratonach. Jason często mnie wyśmiewał - nie potrafił zrozumieć, dlaczego ktokolwiek chciałby biegać, kiedy ma się pod ręką gry komputerowe i telewizor. Wysiłek fizyczny w jego wykonaniu sprowadzał się do gier wideo.

Uśmiechnęłam się, ale kąciaki moich ust jeszcze szybciej opadły.

Nie mogłam pozwolić, aby doszły teraz do głosu myśli o Jasonie.

Musiałam biegać.

Ciuchy, które miałam na sobie - luźne spodnie, jeszcze luźniejsza tunika i do tego para butów przypominających mokasyny - nie nadawały się do joggingu. Na moją twarz znów wypłynął uśmiech. Przynajmniej mama byłaby zadowolona. Zawsze się wściekała, że biegam w naprawdę krótkich, obcisłych szortach i kusym podkoszulku na ramiączkach. Twierdziła, że przyciągam niewłaściwy rodzaj uwagi, ale mnie najzwyczajniej w świecie lepiej biegało się w takim stroju. Za którymś razem strasznie się o to pokłóciłyśmy.

Były krzyki i wrzaski, aż w końcu tato musiał wkroczyć, by nas rozdzielić. Powiedział, że mogę biegać nago, jeśli dzięki temu się zamknę. Zabrzmiało to tak głupio, że wszyscy troje zaczęliśmy się śmiać i długo nie mogliśmy przestać.

Myślenie o tym sprawiało mi ból.

Na Ziemi biegałam w krótkich skarpetkach i butach Nike; na głowie zwykle nosiłam opaskę, a w uszach miałam słuchawki. W szafie wisiały jednak wyłącznie takie same, ręcznie szyte ubrania. Rozciągnęłam stopę. Te mokasyny na pewno nie mogły się równać z butami do biegania za dwieście dolców, ale przynajmniej nie ograniczały ruchów. Musiały wystarczyć. Splotłam włosy w warkocz i związałam go sznurkiem, który oderwałam z pary znoszonych spodni.

Chwilę błędziłam, szukając wyjścia, aż w końcu trafiłam do sporego pomieszczenia ze szklanymi ścianami i wielkimi przeszklonymi drzwiami. Było to coś w rodzaju świetlicy; tu i tam stały porozstawiane przypadkowo stoliki i krzesła. Oprócz mnie znajdowała się tu tylko jednak osoba - mężczyzna z bicepsami większymi od mojej głowy. Zaczął pożerać mnie wzrokiem, zawieszając go nie tam, gdzie powinien. Znosiłam cierpliwie jego spojrzenie, aż w końcu odwrócił się do okna, chociaż wiedziałam, że obserwuje w nim moje odbicie. Dopiero gdy zamknęły się za mną drzwi windy, mogłam spokojnie odetchnąć.

Ta nieprzyjemna sytuacja przypomniła mi o ostrzeżeniu lekarza, żebym nie opuszczała terenu Szpitala.

Nie. Nie będę ich więźniem.

Na panelu windy znajdowały się cztery przyciski. W tej chwili byłam na drugim piętrze. Powtórzyłam to sobie kilka razy, żeby stworzyć w głowie coś w rodzaju mapy prowadzącej do mojego pokoju. Nie chciałam się zgubić i pytać o drogę.

Drzwi windy otworzyły się, ukazując poczekalnię. Za biurkiem siedziała przysadzista pielęgniarka, wystukując coś palcami na cienkim wyświetlaczu. Moje mięśnie były napięte, gotowe do pracy. Jeszcze nawet nie dotarłam do drzwi, a już zmuszały mnie do biegu. Drobiłam, wybijając mokasynami cichy, stłumiony rytm na zimnych kafelkach podłogi.

Zaraz za drzwiami zderzyłam się jednak ze ścianą powietrza. Było chłodne, ale moje nozdrza podpowiedziały mi, że również przetworzone, jak powietrze z klimatyzacji w Szpitalu. W budynku takie powietrze nie było niczym dziwnym. Wręcz przeciwnie - przecież każdy klimatyzowany dom na Ziemi pachniał tak samo, mechanicznym chłodem i delikatną stęchlizną. Tylko że na zewnątrz... było identycznie. Powietrze, którego nigdy nie przerzedził podmuch wiatru i które zużywano i przetwarzano przez całe stulecia. Wciągnęłam je głęboko w płuca, ale nie mogłam pogodzić się z faktem, że smakowało, jakby ktoś wycisnął je spomiędzy czterech ścian.

Rozejrzałam się. Teren Szpitala przechodził w bujny ogród. Ścieżka pod moimi stopami nie była zrobiona z naturalnej ściółki, ale z czegoś sprężystego, plastikowego. Przeszłam na trawnik i przez chwilę biegłam w miejscu, by rozgrzać mięśnie. Kątem oka widziałam szary metal, który zamykał cały poziom w wielkiej bańce.

Odwrócona plecami do najbliższej ściany, ruszyłam przed siebie, między zielone pola. Choć ta metalowa bańka była naprawdę spora, wciąż mogłam dostrzec jej drugi koniec. Miała około trzech, czterech kilometrów średnicy, czyli mniej niż pięciokilometrowy dystans, który pokonywałam w biegach przełajowych. I mimo że czułam się w niej odrobinę klaustrofobicznie, trudno było nie podziwiać rozmachu, z jakim skonstruowano ten statek.

Droga wiła się przez pola, ale postanowiłam ją zignorować. Biegłam między rzędami sięgającej mi do ramion kukurydzy i wzdłuż ogrodzonego pastwiska nakrapianego puchatymi kropkami owiec i kozami, które trzymały się z dala od parkanu. Wprawiłam w przerażenie stojącą mi na drodze grupkę kurczaków, ale kiedy kilka chwil później odwróciłam głowę, już o mnie nie pamiętały.

Lepki pot pokrył cienką warstwą moje ciało, zbierając się w zagłębieniach łokci i na szyi. Wciągałam w nozdrza chłodne przetworzone powietrze. Właściwie mogłabym sobie wyobrazić, że znajduję się w wyjątkowo wyszukanej sali gimnastycznej. Gdy skończę biegać, myślałam, wyjdę, spotkam się z mamą przy samochodzie i wrócimy razem do domu. Ta myśl sprawiła, że musiałam zwolnić, prawie ścięła mnie z nóg. Oddychałam głęboko, ale nie z powodu wysiłku; musiałam tak oddychać, żeby nie zacząć płakać.

Byli tak blisko...

A zarazem tak daleko.

Przyspieszyłam. Nie wolno mi dopuszczać do siebie takich myśli. Mogę tylko biec.

Moje nogi pracowały jak tłoki maszyny, góra-dół, góra-dół. Wydłużyłam krok, pomagając sobie rękami, by zatrudnić do wysiłku całe ciało. Mięśnie napinały się do granic możliwości i płonęły, ale ja napawałam się bólem. Chociaż lekarz musiał coś zrobić, żeby nie zanikły, wciąż wydawały mi się nieco zastępe, nie tak dobrze naoliwione jak przed zamrożeniem.

Skręciwszy, zauważyłam na ziemi człowieka pochylonego nad jakąś rośliną. Zwolniłam, a mężczyzna podniósł głowę.

- Siejdobry - odezwał się.

- Eee... - bąknęłam głupio.

Obejrzał mnie dokładnie z góry na dół, rejestrując bladą skórę, rude włosy i zielone oczy, po czym odwrócił wzrok. Mimo to wszystko było widać na jego twarzy, w podejrzliwie zmrużonych oczach i zaciśniętych ustach. Poprawił dłoń na trzonku łopatkę, chwytając ją bardziej jak broń niż narzędzie ogrodnicze.

Pożegnałam go kiwnięciem głowy i pobiegłam dalej. Odwróciłam się i zobaczyłam, że wciąż mnie obserwuje, ściskając kurczowo łopatkę.

Biegnij. Szybciej.

W końcu udało mi się osiągnąć ten stan, gdy każda część mojego ciała była skupiona na wysiłku fizycznym. Wypełnił mnie absolutny spokój. Zapomniałam o wszystkim, co mówił lekarz, o wszystkim, co utraciłam i czego już nigdy nie odzyskam.

Chodzi o to skupienie, właśnie dlatego uwielbiam biegać. Chodzi o uczucie, że jestem

samym ruchem. Próbowałam kiedyś wyjaśnić to Jasonowi, nawet poszedł się ze mną przebiec. Nie zrozumiał, ale dotarło do niego, że bardzo to lubię. Czy mogłabym życzyć sobie czegoś więcej? Wracaliśmy później wolnym krokiem do jego domu, oddalonego o niecałe ćwierć mili. Nie gadaliśmy, trzymaliśmy się tylko za ręce i mimo że nawet nie zdążyłam się spocić, moje serce waliło jak oszalałe, gdy na niego patrzyłam.

Nie myśl o tym.

Nie myśl o niczym.

Biegnij.

Gruby warkocz ocierał się o mój kark, a po twarzy spływała mi strużka potu. Niczego więcej nie byłam świadoma. Zatrzymałam się dopiero w miejscu, gdzie pole przechodziło w żwir, a dalej w chodnik. Dotarłam do miasta, które oglądałam z okna pokoju. Nie pamiętałam jednak, żebym na Ziemi kiedykolwiek widziała tak małe miasto. Mama wygłaszała kiedyś wykład na wydziale inżynierii biologicznej Uniwersytetu Stanowego Karoliny Północnej. Zabrali nas później na wycieczkę po kampusie. To miasto było podobnej wielkości jak stara część kampusu, z tą różnicą, że zamiast akademików i budynków kolegium stały tu jedna na drugiej metalowe przyczepy. Wzdłuż zakrzywionej ściany za miastem biegła rura z cienkiego plastiku. Przyglądałam się jej z zaciekawieniem, dysząc po długim biegu, i nagle zachłysnęłam się powietrzem, bo przez rurę przeleciała jakaś postać, a zaraz po niej kolejna. Ludzie - prawdziwi ludzie! - byli zasysani na wyższy poziom statku, zupełnie jak cylindryczne pojemniki z banknotami w samochodowych kasach bankowych. Jasny gwint, ale ekstra! Prawie jak latanie! To było sto razy lepsze od zwykłej windy. Podziwiałam plastikową rurę z szeroko rozdziawionymi ustami i nie zauważyłam, że nie jestem już sama. Dopiero szepty pozwoliły mi oprzytomnieć.

Mój wzrok padł na twarze gromadzących się wokół mnie ludzi. Otoczyło mnie dziesięć osób, może więcej. Zerknęłam w stronę przyczep. Ulicami prowizorycznego miasta wędrowały setki przechodniów. Mieli nade mną miażdżącą przewagę liczebną.

Byli też ode mnie nieco starsi - to pewnie pokolenie dwudziestoparolatków, o którym opowiadał mi lekarz. Wszyscy mieli ciemną skórę, ciemne oczy i włosy. I wszyscy się gapili. Sięgnęłam odruchowo w stronę mokrego od potu warkocza, który mienił się czerwienią w świetle fałszywego słońca. Moja skóra wprost oślepiała bielą. Byłam inna na każdy możliwy sposób. Byłam od nich młodsza, niższa, bledsza i żywsza. Pochodziłam z innej rzeczywistości.

Nawet stąd widziałam, że w pierwszej chwili zareagowali przede wszystkim nieufnością. Podobnie zresztą jak ja, tylko że ich było dużo więcej. Chciałam coś powiedzieć,

lecz żaden z nich nawet się nie uśmiechał. Obserwowali mnie w milczeniu upiornym wzrokiem.

W moje serce wsączył się głęboki, pierwotny strach.

- Witajcie - odezwałam się, wściekła na siebie, że drży mi głos.

- Czym jesteś? - spytał jeden z nich, mężczyzna. Nie kim. Czym.

- Jestem... Mam na imię Amy. Ja... eee... mieszkam tutaj. To znaczy nie tutaj, tylko w Szpitalu. - Wskazałam na biały budynek daleko z tyłu, ale nie czułam się na tyle swobodnie, by odwracać się do nich plecami.

- Co ci się stało? - mówił dalej ten sam mężczyzna. Kilka osób kiwało głowami, zachęcając go, by zadawał dręczące ich pytania.

Na spoconą skórę wystąpiła mi gęsia skórka. Gapiłam się na nich, a oni na mnie. Nigdy wcześniej nie czułam się taka inna, dziwaczna i samotna jak teraz. Przygryzłam wargę. Ci ludzie w ogóle nie przypominali Najstarszego. Najstarszy też przyglądał się moim włosom i skórze, ale nie robił tego ze strachu. Nie patrzył na mnie jak na cyrkowe dziwadło.

- Co tu się dzieje? - zawołał szorstki kobiecy głos. Z pół od strony miasta nadeszła nieznajoma. Popatrzyła na tłum, a potem zawiesiła wzrok na mnie. Była starsza od gapiów, starsza nawet od lekarza ze Szpitala, ale miała w sobie werwę, której brakowało pozostałym.

Zbliżyła się do mnie, wymachując koszykiem, niosła w nim brokoły, wielkie jak melony.

Zatrzymała się kilka stóp przede mną i spojrzała spode łba na tłum. Oceniała mnie wzrokiem - raz, powoli, od czubka głowy po koniuszki palców u stóp - po czym odwróciła się do mężczyzny, który zadawał mi pytania.

- W porządku - powiedziała miękkim głosem, przeciągając samogłoski. - Nie ma tu czego oglądać. Dalej, wracajcie do pracy.

A oni wrócili.

Nie kłócili się, nie protestowali - po prostu przyjęli do wiadomości to, co powiedziała, i odeszli. Nawet z sobą nie rozmawiali, każdy ruszył w swoją stronę.

- Dobrze - zwróciła się do mnie starsza kobieta. - Z tego, co słyszałam, mieszkasz w Szpitalu, zgadza się?

Przytaknęłam.

- Tak, to znaczy, ja... - Język zaczął mi się plątać. Ten świat był nienormalny. Najpierw jakiś ogrodnik chciał mnie zatłuc łopatką, a teraz starsza kobieta w pojedynkę przegoniła grupę ludzi, którzy mieli takie miny, jakby chcieli złapać za widły i zamienić się w krwiożerczą hałastrę.

Nieznajoma podniosła rękę, by mnie uciszyć.

- Jestem Steela - oznajmiła. - Nie mam pojęcia, kim ty jesteś ani skąd się tutaj wzięłaś, ale wygląda mi to na sprawkę Najstarszego. Większość osobliwych wydarzeń zaczyna się na Poziomie Strażnika.

Czyżby ona... nie przepadała za Najstarszym?

- Nie chcę się mieszać w jego sprawy. Widziałam wystarczająco wiele eksperymentów Najstarszego, kiedy mieszkałam w Izolatce. Przez trzy dekady pracowałam ciężko jako naczelny agrotechnik. - Choć starała się to ukryć, w jej głosie słychać było dumę. Na chwilę urwała, przyglądając mi się badawczo. - Nie wyglądasz na głupią.

- Słucham?

- Wyglądasz dziwnie - stwierdziła bez ogródek, aż się wzdrygnęłam - ale w Szpitalu nic nie powinno ci grozić, Izolatka też była zawsze dziwna. Tutaj bądź ostrożna. Większość żywicieli nie wie, jak reagować na coś dziwnego.

- Ale ty... Wystarczyło, że kazałaś im odejść, a oni posłuchali.

Steela przełożyła koszyk z brokułami do drugiej ręki.

- Tylko że ja jestem jedną z nich. A ty nie.

- No i?

Steela spojrzała na plecy ludzi, którzy odchodzili w różne strony miasta.

- Musisz coś zrozumieć. Żywiciele to prości ludzie. Jeśli uznają, że komplikujesz ich świat, pozbędą się ciebie, by wyeliminować problem. Jak sądzisz, dlaczego wyłapują wszystkich rówieśników, u których występują jakiegokolwiek przebłyśki kreatywności, i zamykają ich na cztery spusty w budynku po przeciwnej stronie statku?

Chciałam instynktownie zaprotestować, ale wtedy przypomniałam sobie mężczyznę na polu i sposób, w jaki chwycił łopatkę, celując we mnie jej ostrzem.

- Lepiej wracaj tam, skąd przyszedłaś - poradziła mi Steela, po czym, nie oglądając się za siebie, ruszyła w stronę miasta. Szła żwawym krokiem i wkrótce wyprzedziła mężczyznę, który zadawał mi pytania. W tej samej chwili nieznajomy odwrócił się i pochwycił moje spojrzenie.

A już po chwili maszerował w moją stronę.

Cofnąłam się o trzy kroki, potknęłam i rzuciłam do ucieczki jeszcze szybciej, niż tu przybiegłam. Tym razem nie utrzymywałam jednostajnego tempa; nie odmierzałam kroków, bo nie byłam ich świadoma, i nie liczyłam oddechów. Gnałam na oślep, jakby gonił mnie potwór, jakby deptał mi po piętach rozjuszony tłum, a mimo to miałam wrażenie, że poruszam się zbyt wolno. Przedzierałam się przez wysoką trawę, a cienkie i ostre jak papier

źdźbła cięży moją skórę, przebijałam się przez pole, łamiąc łodygi kukurydzy.

Biegłam, biegłam, biegłam...

Obok Szpitala, przez ogród, przy sadzawce.

Aż do zimnej metalowej ściany.

Zatrzymałam się, łapczywie chwytając powietrze. W uszach dudniły mi uderzenia serca. Wyciągnęłam w górę rękę i dotknęłam ściany. Moja dłoń zwinęła się w pięść, ale ręka w końcu opadła i zawisała bezsilnie przy ciele.

I wtedy dotarła do mnie najważniejsza prawda o życiu na tym statku.

Tu nie było dokąd uciec.

22

STARSZY

Właz zamknął się z hukiem. Z tyłu Najstarszy i Doktorek rozmawiali ściszonymi, ale rozemocjonowanymi głosami.

- Myślisz, że to był...

- Przecież to niemożliwe.

- A czy on wie?

Chwila ciszy.

- Oczywiście, że nie.

- Czy ty...

- Oczywiście, że nie.

Ja jednak nie potrafiłem skupić myśli na niczym innym niż na gwiazdach.

Zupełnie jakby jakiś utracony, pusty fragment mojej duszy wypełnił się światłem milionów gwiazd.

Były wszystkim, o czym zawsze marzyłem; nie były niczym, czego oczekiwałem.

Jak to w ogóle możliwe, że wziąłem światło żarówek w Wielkiej Sali za gwiazdy?

Już nigdy, nigdy nie będę taki sam.

Widziałem gwiazdy.

Prawdziwe gwiazdy.

23

AMY

Przycisnęłam twarz do chłodnego metalu, wdychając kurz, który zebrał się na nitach biegnących wzdłuż ściany. Piekły mnie oczy; wzrok miałam tak rozmazany, że nie widziałam

niczego poza szarością metalowego świata.

Coś we mnie pękło.

Nie. Dam. Rady. To mnie przerasta. Ten statek, to życie... po prostu nie mogę. Zeby oddać wszystko, co się miało, i otrzymać w zamian tylko tę metalową ścianę...

Osunęłam się, zostawiając na jej zakrzywionej powierzchni ślad potu, łez i smarków, ale miałam to gdzieś. Upadłam na kolana. Czułam, jak przez moje spodnie przenika wilgoć, i chwyciłam w garść odrobinę mokrej ziemi. W dotyku była jak prawdziwa, naturalna ziemia.

Ale ja wiedziałam, że to nieprawda.

- Wszystko w porządku?

Na ścieżce łączącej Szpital ze znajdującym się nieco dalej dużym budynkiem z cegły stał mężczyzna.

Podniosłam brudne ręce na wysokość oczu, a z moich palców odkleily się grudki ziemi. Próbowałam zetrzeć z twarzy smarki i łzy, choć byłam pewna, że muszę teraz wyglądać jak jedno wielkie ubłocone nieszczęście.

Oparłam się plecami o ścianę, by wstać.

- Pewnie pan myśli, że oszalałam - wyrzuciłam z siebie i spróbowałam się zaśmiać.

- Myślę, że jesteś bardzo przygnębiona - odparł mężczyzna, podbiegając, aby mi pomóc - ale na pewno nie szalona. Co się stało?

- Wszystko. - Pociągnęłam nosem.

- Nie może być aż tak źle.

- Naprawdę może.

Mężczyzna stał obok, nie zwracając uwagi na błoto, które rozmazałam mu na rękawie.

- Tak w ogóle to jestem Amy.

- Orion.

- Miło mi pana poznać - powiedziałam, dochodząc zarazem do wniosku, że naprawdę tak myślę. To była chyba pierwsza osoba na tym statku, która nie próbowała mnie zastraszyć, zabić albo zrobić obu tych rzeczy jednocześnie. Był ode mnie starszy, mniej więcej w wieku mojego taty, i choć to odkrycie wbiło mi cierń w serce, miało też w sobie coś pocieszającego.

Orion poprowadził mnie w kierunku ceglanego budynku. Oddalaliśmy się od Szpitala.

- Powinnaś się umyć, zanim odeślę cię w drogę powrotną. Co robiłaś pod tą ścianą?

- Szukałam wyjścia ze statku - wymamrotałam.

Orion wybuchnął radosnym, szczerym śmiechem, sprawiając, że sama się rozweseliłam. Jego oczy rozbłysły, a ja przypominałam sobie o Starszym. Nie ze względu na fizyczne podobieństwo - przez identyczną karnację i włosy wszyscy pasażerowie statku

wydawali się spokrewnieni. Nie, chodziło o dobroć - to ona kojarzyła mi się ze Starszym.

Zatrzymałam się przed schodami prowadzącymi do budynku. „Sala Nagrań” - odczytałam napis namalowany białą farbą. Obok wielkich drzwi wisiał portret Najstarszego. Spojrzenie jego lodowatych oczu podążało za mną, gdy pokonywałam kolejne stopnie, więc starałam się go unikać. Orion pobiegł przodem, mówiąc coś o ręczniku.

Naparłam na drzwi i weszłam za nim do środka. Potrzebowałam chwili, by przyzwycząić się do półmroku.

I wtedy ją zobaczyłam.

Ziemię.

Nie prawdziwą Ziemię, lecz jej gliniany model.

Rzuciłam się naprzód, wyciągając w jego stronę ręce. Był duży i wisiał w przestronnym westybulu. Widziałam Amerykę i Florydę, gdzie się urodziłam, Kolorado, gdzie poznałam Jasona... Drżały mi dłonie, kiedy wspięłam się na palce, chcąc dotknąć zakurzonej, nierównej powierzchni, choć znajdowała się daleko poza moim zasięgiem.

Orion złapał mnie za ręce, by wytrzeć je wilgotnym, parującym ręcznikiem. Miałam wrażenie, jakby zdierał mi skórę. Gdy w końcu wyrwałam się z jego uścisku, były czerwone, ale czyste. Nie miałam czasu się odezwać, bo zaczął myć mi twarz. Roześmiał się, a ja mu zawtórowałam. Już dawno nikt nie traktował mnie jak dziecka, które rozpaczliwie potrzebuje kąpieli.

- No i proszę, znowu czysta! - odezwał się wesoło, rzucając ręcznik za siebie. Podał mi szklankę zimnej wody. Wypiłam ją łąpczywie. Z moich mięśni wreszcie zniknęło napięcie, a do duszy powrócił spokój.

- Widzę, że znalazłaś nasz model SolZiemi. - Kiwnięciem głowy wskazał na glinianą planetę.

Przez SolZiemię najwyraźniej rozumiał moją Ziemię.

- A tutaj - pokazał - jest „Błogosławiony”.

Dopiero teraz dostrzegłam model, który zdawał się wylatywać z Ziemi w kosmos. Dorównywał wielkością mojej głowie, natomiast planeta była tak duża, że nie objęłabym jej rękami.

Trąciłam go lekko dłonią. Przez chwilę huśtał się na sznurku, po czym wrócił do pierwotnej pozycji, jakby nic się nie stało. To tylko statek, pomyślałam. Był mi obojętny.

- Już lepiej? - spytał Orion, jakby ciepły ręcznik mógł rozwiązać moje problemy.

- Dam sobie radę - odparłam, choć wiedziałam, że to nieprawda.

STARSZY

- Idziemy - rzucił niecierpliwie Najstarszy, a ja poznałem po jego tonie - pana, który przemawia do niewolników - że chodzi mu o mnie i o Doktorka. Oderwawszy wzrok od zamkniętego wjazdu, ruszyłem za nim pospiesznie. Doktor ek szedł za mną, ale jego krok był równy i spokojny - po korytarzu rozchodził się echem złowieszczy stukot.

Dotarłem do stolika pod ścianą na końcu rzędu komór kriogenicznych, Najstarszy zatrzymał się i popatrzył na mnie wyczekująco. Moje oczy przyciągnął jednak widok stołu. Przypomniałem sobie, jak Amy kulila się na jego zimnej metalowej powierzchni, a ja w żaden sposób nie mogłem jej pomóc.

- No więc? - bardziej szczechnął, niż powiedział Najstarszy, by zwrócić moją uwagę.

- No więc co?

- Jak zachowałbyś się w tej sytuacji jako przywódca?

- Yyy... - zająknąłem się zbity z tropu. Cały Najstarszy - jak zwykle postanowił poddać mnie kolejnemu testowi w chwili, gdy najmniej się tego spodziewałem.

- Eee, yyy! - zadrwił. - Bądź prawdziwym przywódcą! Co powinniśmy zrobić?

- Powinniśmy obejrzeć nagrania z rejestratorów. Aha - dodałem na widok szyderstwa malującego się na twarzy Najstarszego - warto by też sprawdzić lokalizatory wikomów.

Najstarszy prychnął, ale nie skrytykował mojego planu. Podał mi plastplej. Przycisnąłem kciuk do pola identyfikacyjnego, żeby przywołać wyświetlacz do życia. Wstukałem kilka poleceń, szukając klipów z poziomu krio. W końcu je znalazłem, tylko że wyświetlacz był czarny.

- Coś musiało się stać z rejestratorami wideo - stwierdziłem. Spróbowałem ponownie, ale na ekranie znów pojawiło się wielkie nic.

- Poprzednio rejestratory też nie zadziałały - burknął Najstarszy. - Byłem niemal pewien, że już się z tym uporałem, ale intruz musiał znaleźć sposób na obejście zabezpieczeń. Sprawdź lokalizator wikomów.

Wstukałem kolejne polecenie i tym razem otworzyła się mapa „Błogosławionego”, na której migotały setki punkcików. Każdy z nich reprezentował jednego z obywateli, śledzonych przez lokalizator wbudowany w wikom. Już to kiedyś robiłem. Nie znałem lepszego sposobu na wygranie zabawy w chowanego; Harley przez sześć miesięcy nie potrafił zrozumieć, jak to możliwe, że jestem w niej taki dobry - nigdy jednak nie używałem mapy lokalizacyjnej do innych celów. Tym razem wiedziałem, czego szukam, dzięki czemu

dostrzegłem pole aktywacyjne na trzecim piętrze Szpitala. Dotknąłem go. Na wyświetlaczu pojawiła się mapa poziomu krio. Mrugały na niej trzy kropki: ja, Doktorek i Najstarszy. Przyłożyłem palec do wskaźnika czasu i przewinałem o godzinę. Na mapie widać było tylko jeden punkt i był nim...

- Doktor - odezwałem się, podając Najstarszemu plastplej, by sam mu się przyjrzał. - Był tu tylko doktor.

- Kilku naukowców pracowało ze mną w drugim laboratorium. Oni też mogli tu zejść. Nie sądzę, żeby mieli z tym problem, nie eskortowałem ich do wyjścia, gdy wychodzili. Każdy z nich mógł się tu dostać. - Głos Doktorka był suchy, pozbawiony emocji i analityczny. - Wiem, co sobie myślisz, Najstarszy, ale jesteś przemęczony. To mógł być każdy z nich, mają dostęp do tego poziomu, wiedzą o komorach i wiedzą, jak się je obsługuje.

- Albo... to mógł też być on - powiedział Najstarszy.

Twarz Doktorka wyglądała jak wyciosana z lodu.

- On nie żyje - stwierdził z taką stanowczością, że, o kogośkolwiek by chodziło, jedno było dla mnie jasne - ten ktoś na pewno nie znajdował się już wśród żywych.

- Tak, to prawda - warknął Najstarszy, gromiąc Doktorka wzrokiem. - Ale nie jestem pewien, czy jego wpływy też już umarły.

Mięśnie zuchwy Doktorka napięły się. Hucpa wychodziła mu uszami i widać było, jak bardzo się stara, żeby nie powiedzieć czegoś kąśliwego.

- Tak czy inaczej - ciągnął Najstarszy - musimy coś zrobić, żeby rejestratory wreszcie zaczęły poprawnie działać. A jeśli chodzi o lokalizator... - Urwał w pół zdania i podniósł lekko głowę, wsłuchując się w przekaz z własnego wikomu.

Choć starał się mówić szeptem, i tak wyraźnie słyszałem, jak wyrzucił z siebie:

- Co robi?!

25

AMY

Wchodząc do Szpitala, z ulgą wciągnęłam w nozdrza ostrą, drażniącą woń środków do dezynfekcji. Chociaż tym powietrze w środku różniło się od powietrza na zewnątrz.

Minęłam rodzinę, która przywiozła do szpitala ojca w podeszłym wieku. Staruszek mamrotał zbyt cicho i ze zbyt zniekształconym akcentem, żebym mogła zrozumieć wszystkie słowa, ale widać było na pierwszy rzut oka, że jest wytracony z równowagi.

- Co mu się stało? - spytała zdruzona pielęgniarka z recepcji, gdy czekałam na windę.

- Ma jakieś dziwne wspomnienia - odpowiedziała młoda kobieta wypranym z emocji,

monotonnym głosem. Popatrzyłam w jej stronę. Gdybym to ja przywiozła do szpitala swojego ojca, byłabym bardziej zdenerwowana.

Pielęgniarka odkreśliła coś na cienkim kawałku plastiku.

- Ostatnio mamy coraz więcej takich przypadków wśród siwych.

Młody mężczyzna przytaknął.

- Nadchodzi ich czas.

Winda otworzyła się, ale ja tkwiłam w miejscu, obserwując całą scenę. Czyżby ten facet chciał przez to powiedzieć, że powinni już umrzeć? Nie, na pewno nie.

- Proszę pójść ze mną - zwróciła się do staruszka pielęgniarka, a on chwycił ją za rękę i razem ruszyli do windy. Młoda para wyszła, nawet się nie żegnając.

- Niech pani zatrzyma windę! - zawołała do mnie pielęgniarka. Podskoczyłam, wyrwana z zamyślenia, i szybko chwyciłam drzwi.

- Ona ma dziwne włosy - stwierdził staruszek, wpatrując się we mnie, ale za jego słowami nie kryły się żadne emocje.

- Tak, wiem - odparła pielęgniarka. Weszła do kabiny i rzuciła mi przelotne spojrzenie. - Doktor uprzedzał nas, że w Szpitalu zamieszka dziwna dziewczyna.

- Aha - wyrwało mi się. Co innego miałabym im powiedzieć? Wcisnęłam guzik drugiego piętra, na którym znajdował się mój pokój.

- Na trzecie - powiedziała pielęgniarka i zerknęła na wyświetlacz. - Niedługo będziemy podawać leki. Jeśli się pospieszymy, zdążymy położyć cię do łóżka. - Poklepała staruszka po ręce.

Drzwi otworzyły się na drugim piętrze. Wyszłam z kabiny, szczęśliwa, że uwolniłam się od ich towarzystwa. Patrząc na starszego mężczyznę, doszłam do wniosku, że już dawno powinien być się przenieść do jakiegoś domu spokojnej starości. I wcale nie chodziło o jego wiek - nie wyglądał na zniedołężniałego. Jego oczy były jednak puste, pozbawione wyrazu, a twarz nieruchoma i obwisła. Przypominał mi trochę babcię, kiedy jej alzheimer osiągnął takie stadium, że mama musiała ją oddać do domu opieki. Odwiedziliśmy ją na Wielkanoc przed jej śmiercią i dała mi wtedy w prezencie pisanekę. Zwracała się do mnie imieniem mojej mamy i nie miała pojęcia, gdzie się znajduje, ale dała mi pisanekę.

Pożegnałam staruszka bladym uśmiechem, który był przede wszystkim przeprosinami.

Gdy wychodziłam ze Szpitala, w świetlicy znajdował się tylko jeden mężczyzna, ale - jak wspominała pielęgniarka - zbliżał się czas podawania leków. Teraz świetlica była zatłoczona. Pomiędzy pacjentami spacerowały dwie pielęgniarki, rozdając niebieskobiałe tabletki. Wnioskując z niezręcznej ciszy, jeszcze przed chwilą pomieszczenie musiało tętnić

życiem - w powietrzu wciąż wydawały się wisieć nuty gitarowej muzyki. Zupełnie jakbym włączyła pauzę. Każdy, kto zwracał się w moją stronę, natychmiast zamierał.

- No - powiedział mężczyzna o przyjaznej aparycji, uśmiechając się szeroko. - Będzie ciekawie.

Za nim, oparty o wielkie okno, stał ten sam człowiek, którego widziałam rano. Uniósł lekko kąćki ust, ale w jego uśmiechu było więcej złośliwości niż serdeczności.

Zrobiłam kilka kroków w głąb pomieszczenia. Śledziły mnie wrogie spojrzenia.

- Jestem Harley - znów odezwał się przyjazny młody mężczyzna. - A ty musisz być nową pacjentką!

Jedna z pielęgniarek z kwaśną miną wręczyła mu trzy tabletki: większą, niebieskobiałą, i dwie mniejsze, różową i zieloną. Nieznajomy połknął wszystkie na raz i ominął pielęgniarkę, zmierzając w moim kierunku z jeszcze szerszym uśmiechem.

- Co z wami, ludzie? - zawołał przez ramię. - To nowa pacjentka, o której opowiadał mi Starszy!

Jakieś dziewczyny stojące przy windzie wierciły się przez chwilę niespokojnie, po czym zaczęły poszeptywać między sobą. Zaraz potem przez tłum przetoczyła się fala głośniejszych i ciszej wypowiedzianych komentarzy. Nie byłam w stanie ich zrozumieć - ten akcent bywał czasem naprawdę mylący. Mimo to nietrudno było się domyślić, o czym rozmawiali. Czulałam się jak w nowej szkole podczas przerwy na lunch - wszyscy się gapią i trajkoczą, a ja doskonale wiem, kto jest głównym tematem plotek.

- Ty, a co jej się stało? - usłyszałam, jak ktoś szepcze.

- Nic mi się nie stało - odpowiedziałam głośno.

- Te włosy - mruknął ktoś inny za moimi plecami. Obróciłam się na pięcie, wywijając warkoczem. Nie byłam pewna, kto to powiedział, ale wszyscy wpatrywali się we mnie ciemnymi oczami osadzonymi w ciemnych twarzach obramowanych ciemnymi włosami.

Przyprawiający mnie o ciarki nieznajomy obliznął usta, nawet nie próbując udawać, że nie pożera mnie wzrokiem.

- Miło mi cię poznać - powiedział Harley, przerywając niezręczną ciszę. Podał mi rękę, zostawiając na mojej skórze barwne ślady. Był chudy, wręcz patykowaty, a włosy, tu i tam posklejane farbą, sterczały mu na wszystkie możliwe strony. Miał radosną, szczerą twarz, w czym przypominał mi odrobinę Starszego.

- Ludzie, słuchajcie! To jest nowa dziewczyna, znajoma Starszego. Nowa dziewczyno, to są ludzie. - Kilka osób spojrzęło grzecznie w moją stronę, ze dwie spróbowały się nawet uśmiechnąć. Większość w najlepszym wypadku była jednak nieufna, w najgorszym zaś

zniesmaczona. Stojąca bliżej mnie pielęgniarka przyłożyła palec za ucho i zaczęła mamrotać, chyba do siebie.

- Co z nią jest? - spytałam Harleya, gdy prowadził mnie do stolika, przy którym siedział.

- Z nią? Och, nic takiego. Tu przychodzą sami wariaci.

Zachichotałam, głównie z nerwów.

- Całe szczęście, że czytałam Alicję w Krainie Czarów, bo czuję się, jakbym wpadła do króliczej nory.

- Co czytałaś? - zdziwił się Harley.

- Nieważne. - Każdy mój ruch śledziły dziesiątki par oczu. - Słuchajcie! - przemówiłam w końcu. - Wiem, że wyglądam inaczej, ale jestem takim samym człowiekiem, jak wy wszyscy. - Uniosłam dumnie głowę, patrząc wszystkim po kolei w twarz i próbując wytrzymać ich spojrzenia najdłużej, jak to możliwe.

- Aleś im dogadała! - stwierdził Harley, po raz kolejny prezentując garnitur zębów w uśmiechu Kota z Cheshire.

- Skąd jesteś? - zapytał wysoki mężczyzna, który nie mógł oderwać ode mnie oczu.

- Jak masz na imię? - rzuciłam rozzłoszczona.

- Luthe - odparł nieznajomy niskim chropowatym głosem.

- Dobra, Luthe. Przede wszystkim przestań się gapić. - Skrzyżowałam ręce na piersi, ale złośliwy uśmieszek na jego twarzy tylko się rozszerzył, a oczy wciąż pożerały moje ciało.

- Skąd jesteś? - podchwyciła kobieta stojąca obok Harleya.

Westchnęłam. Nie było sensu żądać od Luthego, by przestał się na mnie gapić, bo robili to dosłownie wszyscy.

- Pochodzę z Ziemi - wyjaśniłam. - Z odległej przeszłości.

Z twarzy zgromadzonych było niedowierzanie, choć szczerze mówiąc, nie ze wszystkich. W oczach kilku osób nagle pojawił się błysk, a ja już wiedziałam - oni również byli boleśnie świadomi faktu, że ich niebo to tak naprawdę tylko pomalowana metalowa osłona.

- Opowiedz nam o niej - poprosił Harley i podał mi krzesło. Usiadłam, ignorując kobietę, która natychmiast się odsunęła. Co mogłabym im powiedzieć o Ziemi? Jak wyjaśnić, że powietrze inaczej pachnie, że gleba jest bogatsza i że sami ludzie są inni, bo wiedzą, że mają do dyspozycji cały świat? Może powinnam zacząć od gór, których szczyty kryją się w chmurach, pod zwałami śniegu - tylko czy oni znali takie pojęcia jak „chmury”, „śnieg” i „góra”? Mogłabym im opowiedzieć o różnych rodzajach deszczu; o padającym deszczu,

najlepszym, kiedy człowiek chce się zaszyć w domu, poczytać książkę albo obejrzeć film, o ulewnym deszczu, który kłuje jak igielki, albo o delikatnym letnim deszczu, który sprawia, że pierwszy pocałunek z ukochanym jest dużo, dużo słodszy:

Wszyscy patrzyli na mnie w ciszy, z niecierpliwością czekając na opowieść o miejscu, które nazywałam domem.

Zaczęłam od nieba.

26

STARSZY

- Ta gzyfowa dziewczyna siedzi w świetlicy i opowiada pacjentom z Izolatki o SolZiemi! - krzyknął Najstarszy. - A przecież mówiliśmy jej, co się stanie, jeśli będzie zakłócać porządek. Mówiliśmy?!

- Już dobrze, Najstarszy - uspokajał go Doktorek. - Niebawem rozpoczynają się Gody, będą nimi tak przejęci, że szybko o wszystkim zapomną.

Najstarszy uderzył ręką w drzwi najbliższej komory kriogenicznej. Odskokczyłem, patrząc na niego nieufnie i zastanawiając się, kto lub co będzie następnym celem ataku.

- Świetnie. - Przeniósł gniewny wzrok na mnie. - Pierwsza przyczyna niezgody?

Co to, jakiś quiz? Teraz?

- Różnice - odparłem.

- Dokładnie. Niezgoda będzie chodzić za tą dziewczyną jak cień, będzie się za nią ciągnąć po całym statku jak ślady ubłoconych butów kapryśnego dziecka. A druga przyczyna niezgody to brak przywódcy. Kiedy różnice stają się przyczyną niezgody, jedynie przywódca może zapewnić pokój. A teraz ucz się, chłopcze.

Niemalże dźgnął palcem przycisk aktywujący wikom.

- Komlink globalny - powiedział.

- Co robisz, Najstarszy? - spytałem, kiedy w moim uchu rozległo się znajome biiip, biiipbiiip.

- Uwaga, wszyscy obywatele „Błogosławionego”. Ogłaszam ważny komunikat.

Serce podeszło mi do gardła. Najstarszy przemawiał przez wikom do wszystkich ludzi na statku, a ja już chyba wiedziałem, co zamierza powiedzieć. Mój umysł pracował na podwyższonych obrotach. Nie, na pewno nie powie im o zamrożonych ani o poziomie kriogenicznym, z którego pochodzi Amy. Nigdy by tego nie zrobił.

- Najstarszy, przemysł to - odezwałem się.

Zignorował mnie.

- Niektórzy z was, w szczególności ci, którzy znajdują się na Poziomie Żywiciela w pobliżu Szpitala, mogli zauważyć na pokładzie nowego osobnika.

- Przestań. - Rzuciłem się w jego stronę. Miałem już dość kłamstw.

Doktorek złapał mnie długimi palcami za ramię i odciągnął. Próbowałem się wyrwać, ale był zbyt silny.

- Osobnikiem tym jest dziewczyna z nienaturalnie bladą skórą i jasnymi włosami. Została ona stworzona w wyniku eksperymentu naukowego. Jego celem było rozwinięcie pewnych cech fizycznych, pozwalających lepiej znosić nieprzyjazne warunki, które mogą nas czekać na Centauri Ziemi. Jest niegroźna, ale również nieskomplikowana umysłowo i skłonna do konfabulacji. Łatwo wpada w dezorientację i nie nadaje się do pracy fizycznej, w związku z czym musi pozostać w Izolatce. Nie wymaga się od was ani nie zaleca nawiązywania z nią jakichkolwiek kontaktów. Dziewczyna jest odmieńcem i tak powinna być traktowana.

Zacisnąłem pięści. Odmieniec? Rezultat szalonego eksperymentu sterników? Cóż, na pewno nie brzmiało to niewiarygodnie. Sternicy spędzają większość czasu na wymyślaniu przeróżnych gadżetów, które mają nas chronić przed negatywnym wpływem środowiska Centauri Ziemi. Tak czy inaczej, Najstarszemu chodziło wyłącznie o to, by zatuszować prawdziwe pochodzenie Amy i trzymać ją z dala od większości obywateli.

Trząśłem się ze złości, gdy Doktorek mnie puścił, ale wiedziałem, że przemoc nic nie da. Najstarszy już skończył. Odwróciłem się i ruszyłem do windy, by wrócić do Amy.

27

AMY

- Ja natomiast zupełnie nie rozumiem, skąd wy się tutaj wzięliście - powiedziałam.

- To znaczy? - spytał mężczyzna, który trzymał na kolanach zabytkową gitarę akustyczną.

- Harley twierdzi, że jesteście wariatami. Ze to jest szpital dla umysłowo chorych.

- Och, wcale nie jesteśmy wariatami - zaprzeczył gitarzysta. Jego akcent był wyjątkowo zniekształcony i miałam ogromny problem, żeby go zrozumieć.

- Jesteśmy - wtrąciła się kobieta, która wcześniej przede mną uciekała. Harley powiedział, że ma na imię Victria i że pisze opowiadania. Trzymała w ręku bardzo starą książkę - najprawdziwszą książkę oprawioną w skórę, a nie jakiś elektroniczny gadżet. Ciekawe, gdzie ją zdobyła. - To, że jeszcze całkiem nam nie odbiło, zawdzięczamy tylko lekom.

- Ty to może i jesteś szalona - stwierdził gitarzysta żartobliwym tonem - ale ja nie.

- Jesteś - upierał się Harley. - Ona jest. Ja jestem. Wszyscy jesteśmy.

- Właśnie, że nie - oznajmiłam stanowczo.

- Gadaj za siebie.

- Mówię poważnie! Nie jesteście. Nie zachowujecie się jak wariaci. Żadne z was.

Harley się uśmiechnął.

- Potraktuję to jako komplement. Koniec końców... - chciał coś powiedzieć, ale nagle urwał i lekko przechylił głowę, jakby nasłuchiwał.

- Co jest? - spytałam.

- Ciii - uciszyła mnie Victria.

Rozejrzałam się i dostrzegłam, że wszyscy mają przekrzywione głowy i słuchają czegoś bardzo uważnie.

- Globalne połączenie - szepnął gitarzysta. - Ostatni raz Najstarszy korzystał z niego, kiedy umarł Starszy.

- Cicho! - zirytowała się Victria.

Przesuwałam wzrok od osoby do osoby. Dosłownie wszyscy, którzy przebywali w Izolatce - zarówno pacjenci, jak i pielęgniarki - wytężali słuch.

Upiorna sytuacja. W jednej chwili zamilkli, by wsłuchiwać się w jakieś niesłyszalne dźwięki. Milczeli, nieruchomi jak posągi. Zerwałam się na równe nogi i zaczęłam chodzić po zatłoczonej świetlicy, czekając w napięciu, aż czar pryśnie i powrócą do rzeczywistości.

- Stek bzdur - rzucił w końcu bezceremonialnie Harley. Pozostali wyprostowali się na krzesłach, skupiając uwagę z powrotem na realnym świecie. Nie wiedziałam, czego słuchali, ale już tego nie było.

- Co jest stekiem bzdur? - spytałam.

Harley spojrzał na mnie. Po raz pierwszy na jego twarzy nie było uśmiechu.

- Nic - odparł.

Z ust Yictrii padło pojedyncze słowo, ale nie usłyszałam go wystarczająco wyraźnie.

- Słucham? - W moim głosie niezamierzenie pojawiła się ostrzejsza nuta.

Victria popatrzyła mi prosto w oczy.

- Dziwoląg.

- Victria! - warknął gitarzysta, a ona obróciła się do niego na pięcie.

- Przecież słyszeliście Najstarszego! - parsknęła. - Ta dziewczyna to cholerny dziwoląg! Cały czas nas okłamywała, łągała w żywe oczy! Opowiada, że pochodzi z SolZiemi, że są tam niezmierzone lądy, że niebo nie ma końca... Ona jest bardziej szurnięta niż my wszyscy razem wzięci! Jak myślicie, dlaczego Najstarszy sprowadził ją do Izolatki? Razem z

jej kłamstwami?! - niemalże wypłuła to słowo. - Wmawia nam, że widziała SolZiemie! Jak śmie! Jak śmiesz?! - zwróciła się do mnie z nienawiścią w oczach.

- Uspokój się, Victria. Ta dziewczyna jest po prostu ograniczona. Uszkodzona. Nawet nie wie, co mówi - wyjaśnił jej gitarzysta.

- O czym wy gadacie? - Cofnęłam się niepewnie.

- Nie opowiadaj mi więcej o niebie, które nie ma końca - syknęła Victria. - Nie opowiadaj mi o takich rzeczach. Nigdy więcej o nich nie wspominaj. Niebo nie istnieje, jest tylko metalowe zadaszanie.

Bezwzględność jej słów sprawiła, że się wzdrygnęłam. Odwróciła się i uciekła korytarzem, ale zrobiła to zbyt wolno, by ukryć łzy, które lśniły w kącikach jej oczu.

- Co się dzieje? - spytałam. Rozejrzałam się i zauważyłam, że wszyscy oprócz Harleya obserwują mnie z tą samą pogardą i gorzkim gniewem, który wyrzuciła z siebie Victria.

- Chodź - rzucił do mnie Harley, podnosząc się z krzesła. - Wracajmy do pokoju.

- Ale dlaczego? Nic z tego nie rozumiem. Co tu się dzieje?

- Chodź - powtórzył i wyprowadził mnie ze świetlicy pełnej wrogich, milczących spojrzeń.

28

STARSZY

Kiedy wysiadłem z windy, ich głosy ścichły do szeptu. Nietrudno zgadnąć, o czym rozmawiali. Zostawiłem ich razem z ich kłamstwami. Nic mnie nie obchodziło, co sobie pomyślą, chciałem tylko wiedzieć, co teraz myśli Amy.

Na podłodze przed drzwiami jej pokoju widniała brązowa plama, jedyny ślad po zmiądzonych kwiatach, które dla niej zostawiłem.

Zapukałem.

- Proszę - rozległ się głęboki, męski głos. Harley. Poczułem w żołądku pustkę. Przeciągnąłem palcem po skanerze i drzwi się otworzyły.

Amy siedziała przy oknie. Na jej lekko uniesionej głowie lśniło światło; rozlewało się po czerwonozłotych włosach i mieniło w przejrzystych zielonych oczach. Stałem jak zaczarowany, nie mogąc oderwać od niej wzroku.

- Piękne, co nie? - rzucił Harley. Przetawił biurko spod ściany na środek pokoju, bokiem do Amy. Na blacie stała sztaluga, a na niej nieduże płótno. Zdążył już wykonać węglem szkic widocznej przed nim sceny.

- Skończyłeś malować tamtą rybę? - zapytałem z nadzieją, że gorycz bijąca z mojego

głosu nie jest dla nich równie oczywista, jak dla mnie.

- No! - potwierdził piskliwie Harley i przeciągnął pędzlem z niebieską farbą po naszkicowanej twarzy Amy, nadając jej podbródkowi delikatny cień. - Zeby było śmieszniej, używam praktycznie tych samych kolorów, co przy karpniu. Właśnie! - dodał nagle, zerkając zza płótna na Amy. - To będzie twoje przezwisko, od dziś jesteś moją Rybką!

Amy roześmiała się serdecznie z nowego przezwiska, ale ja zgrzytnąłem zębami. Jakim prawem nazwał ją „swoją” Rybką? Mimo to zauważyłem, że ma rację - czerwień, złoto i pomarańcz jej włosów były takie same jak na łuskach karpia.

- No więc, Rybko, zignoruj tego chłopca i opowiedz mi o niebie.

Zesztywniałem na dźwięk słowa „chłopiec” i sposobu, w jaki je wypowiedział. Choć to mój najlepszy przyjaciel, miałem ochotę go uderzyć.

- Od czasu gdy rodzice zabrali mnie do obserwatorium, najbardziej lubię gwiazdy.

Nie miałem pojęcia, czym jest „obserwatorium”, ale od razu dostrzegłem pewną różnicę - Amy po raz pierwszy widziała gwiazdy w towarzystwie rodziny, a ja - zmarłego.

Gdy na mnie spojrzała, ucieszyłem się, że nie czyta mi w myślach. Odłamała kawałek ciastka z mięsem, które leżało na jej kolanach, i włożyła go do ust. Połknęła szybko, a resztę wrzuciła do zsypu na śmieci. Najwyraźniej postanowili z Harleyem zjeść tutaj, a nie w stołówce. I całe szczęście; potrafiłem sobie wyobrazić, jak po komunikacji Najstarszego potraktowali ją inni pacjenci. Wypiła łyk wody ze szklanki i skrzywiła się.

- Co się stało? - zapytałem.

- Głowa mnie boli - odpowiedziała. - To jak, powiesz mi, co się stało, że nagle wszyscy zaczęli na mnie patrzeć jak na jakiegoś czubka?

- Nie mówiłeś jej? - rzuciłem do Harleya.

- Pewnie, że nie - burknął, dźgając płótno pędzlem. - Nie obraziłbym jej takimi kłamstwami i insynuacjami.

Po części cieszyłem się, że Amy nie wie, co powiedział Najstarszy. Zresztą Harley był taki, odkąd go pamiętam - zawsze uważał, że ignorancja to najlepszy pancerz, i nie rozumiał, że czasami to, co sobie wyobrażamy, jest znacznie gorsze od prawdy.

- Powiesz mi? - naciskała Amy.

Spojrzałem na nią. Czuję, jakby jej oczy mnie wciągały.

- To był Najstarszy - wyjaśniłem. - Wysłał do wszystkich globalny kom. - Urwałem. Czy ona w ogóle wie, czym jest globalny kom? - To znaczy wiadomość. Wysłał do wszystkich wiadomość.

O tobie. - Znowu zamilkłem. Nie umiałem wytrzymać spojrzenia tych wielkich

zielonych oczu. - Właściwie same kłamstwa.

Wyczuła moją niechęć do rozwijania tego tematu.

- Jakie kłamstwa? - drążyła.

- Ze powstałaś w wyniku nieudanego eksperymentu i że... eee... i że jesteś ograniczona. Umysłowo. - Kolejna pauza. - Ze jesteś odmieńcem.

Amy przyswoiła sobie te informacje. Niezadowolenie ściągnęło jej twarz. Ze sposobu, w jaki zacisnęła usta, wywnioskowałem, że zdążyła już poznać Najstarszego. Domyśliłem się, co mogła usłyszeć podczas tego pierwszego spotkania.

- Okej - powiedziała w końcu i odwróciła się do okna. Harley wyprostował się, popatrzył na nią i przeniósł wzrok na płótno. Obdarzył jej twarz malowanym smutkiem.

- Więc na niebie było dużo gwiazd? - spytał, przechodząc do nocnego nieba w tle. Słowo „gwiazdy” brzmiało dziwnie ciężko w jego ustach, jakby nie do końca przyzwyczyił się jeszcze do ich koncepcji.

- Miliony - odparła Amy. - Miliardy. - W jej głosie słychać było tęsknotę.

Harley naniósł srebrną farbę na płótno.

- Tylko że - uzupełniłem, pochylając się nad nim - są porzucane po całym niebie, a nie skupione w jednym miejscu. Musisz je rozłożyć bardziej równomiernie. I mają różne rozmiary, niektóre są całkiem spore, a inne to dosłownie punkciki. - Nagle poczułem się, jakbym puścił bąka, bo Harley spojrzał na mnie powoli, a Amy zrobiła wielkie oczy.

- Widziałeś gwiazdy? - spytał z wyrzutem.

- Ja... eee...

Amy szukała wzrokiem moich oczu, a ja wiedziałem, że pragnęła zobaczyć w nich odbicie gwiazd.

- Tylko raz - odpowiedziałem.

- Jak? - wyszeptał Harley.

- Za włączem. Za służą dla martwych.

Amy pochyliliła się w moją stronę.

- Gdzie?! - spytał Harley tonem, który po raz ostatni słyszałem podczas jego załamania nerwowego. Doktorek określał je mianem „równi pochylej”.

- Na pewno nie na Poziomie Żywiciela.

Harley zapadł się w siebie. Nie należał do grupy nielicznych szczęściarzy, którzy posiadali przepustki na inne poziomy - całe swoje życie spędził na Poziomie Żywiciela.

- Możemy je zobaczyć? - spytała Amy.

Och, jak bardzo chciałbym pokazać jej gwiazdy. Jej, ale nie jemu, nie teraz i nie z nią.

To ja muszę być tym, który zwróci Amy gwiazdy.

Tylko co powiedziałby o tym Najstarszy? Co by zrobił? Mnie? I jej?

- Nie - zaprzeczyłem. - Najstarszemu na pewno by się to nie spodobało.

Oczy Amy zamieniły się w dwie nefrytowe szczelinki.

- Spotkałam Najstarszego - wyszeptła, a jej głos ociekał wstrętem.

Harley parsknął, a ona zgromiła go wzrokiem. Wyglądało na to, że temat Najstarszego nie był dla niej powodem do śmiechu.

- Co on, na kosmos, powiedział, że tak bardzo go nie lubisz?

- Widziałeś tę służbę, o której opowiadał mi Najstarszy? - Amy z całych sił starała się utrzymać gniew na wodzy, jak człowiek szarpiący za smycz nieposłusznego psa. - Chciał mnie przez nią wyrzucić w przestrzeń, żebym, jak to ujął, nie zakłócała porządku na statku.

Harley wybuchnął śmiechem.

- Na pewno by tego nie zrobił!

Twarz Amy była nieruchoma.

- Zrobiłby - oznajmiłem. Śmiech zamarł Harleyowi na ustach.

- Może chciał ją zastraszyć, ale nigdy by nie...

- Ależ tak, zrobiłby - powtórzyłem z pewnością w głosie.

Harley znów zaatakował płótno pędzlem, marszcząc w zamyśleniu brwi.

- Ten człowiek nie lubi chaosu - wyjaśniłem Amy. - Nie lubi, gdy ktokolwiek się wyróżnia. Twierdzi, że różnice są pierwszą przyczyną niezgody.

- Dla mnie to tylko kolejny Hitler - mruknęła Amy. Ciekawe, co miała na myśli. Najstarszy zawsze mnie uczył, że Hitler był mądrym, światłym przywódcą swego ludu. Może chciała powiedzieć: Najstarszy jest przywódcą silnym jak Hitler. W jej ustach zabrzmiało to jednak dość dziwnie - kolejna różnica, która na pewno nie spodobałaby się Najstarszemu.

Amy zerwała się z krzesła przy oknie. Dwoma suchymi pędzlami upięła włosy w kok, nie dając Harleyowi czasu na zaprotestowanie. Zaczęła chodzić po pokoju, tam i z powrotem, jak zwierzę zaniepokojone ciasnotą klatki.

Harley znów parsknął śmiechem, ale mnie przed oczami pojawiły się wspomnienia: Najstarszy kroczy przez Poziom Żywiciela, prezentując przed farmerami i robotnikami twarz serdecznego dziadka, a zaraz potem wjeżdża razem ze mną na Poziom Strażnika, przeklinając ze wstrętem ich głupotę. Najstarszy wtlacza mi do głowy kolejne lekcje, podkreślając, że najważniejsza jest kontrola. Najstarszy z grymasem obrzydzenia, gdy po raz pierwszy wjechałem na Poziom Strażnika i nie zrobiłem nic złego. Oczami wyobraźni widziałem, jak rysy twarzy wykrzywia mu choroba, która musi toczyć jego duszę.

I doszedłem do wniosku, że owszem, człowiek, z którym żyłem przez ostatnie trzy lata, który był przywódcą wszystkich ludzi na pokładzie i który miał nad nimi absolutną kontrolę... potrafiłby zabić każdego i w każdych okolicznościach.

Mógł zabić.

- Ale po co miałby cię zabijać? - spytałem.

- Nie wiem - odparła Amy. - Przecież nie jestem nikim ważnym. Dlaczego ja?

Pędzel Harleya zawisł w powietrzu. W ciasnym pokoju zapadła grobowa cisza.

-

- Nie byłaś jedyna - przerwałem ją w końcu, a moje słowa przeszły powietrze jak strzały. - Niedawno zginął człowiek. Właśnie dlatego udało mi się zobaczyć służbę. Musiałem pomóc Najstarszemu i Doktorkowi wysłać ciało w gwiazdy.

- Kto? - spytała ściszym, drżącym z przerażenia głosem Amy.

- William Robertson.

- Nie znam go - westchnęła z ulgą i dopiero wtedy dotarło do mnie, że obawiała się, czy między gwiazdami nie unosi się ciało jej matki lub ojca.

29

AMY

- Jakie środki bezpieczeństwa funkcjonują na tym statku? - zapytałam, odwracając się do Starszego. - Macie tu gliniarzy albo coś w tym rodzaju?

Starszy i Harley wyglądali na zdezorientowanych.

- Gliniarzy? - powtórzył Starszy.

Przytaknęłam.

- No wiecie, policjantów. - Gapili się na mnie, oniemiaли. - Ludzi, których zadanie polega na kontrolowaniu przestępców.

- Od tego jest Najstarszy - stwierdził Harley i odwrócił się z powrotem do płótna.

Rewelacja.

- Nie potrzebujemy tutaj „gliniarzy” tak jak na SolZiemi - wyjaśnił Starszy. Dopiero po chwili dotarło do mnie, że mówiąc „SolZiemia”, miał na myśli moją Ziemię. - Na SolZiemi niezgoda była czymś powszechnym, ponieważ istniały różnice. Na „Błogosławionym” nie ma różnic, więc nie ma także problemów.

Zaczęłam się najeżać.

- Problemy na Ziemi nie wynikały z tego, że ludzie byli pod wieloma względami...

- Niewolnictwo. Krucjaty. Ludobójstwa. Łamanie praw człowieka. Apartheid. Różnice

stanowiły główną przyczynę największych tragedii SolZiemi, za które odpowiadał człowiek.

Zamarłam z rozdziawionymi ustami, bo wiedziałam, że w żaden sposób nie uda mi się wybielić plam z historii mojego świata.

- Patrz, jaki cwany - odezwał się Harley i puścił do mnie oczko.

- Starszy ma zapewnioną lepszą edukację od nas. Nasza wiedza na temat SolZiemi ogranicza się do takich rzeczy jak metody uprawy i zagadnienia naukowe. Ale Starszy to mózgowiec.

Starszy zarumienił się po czubki uszu.

Nie miałam na to czasu.

- Co robicie, żeby odnaleźć mordercę?

Obaj wpatrywali się we mnie, ogłupiali.

- Wyznaczyliście strażników na poziom kriogeniczny? Prowadzicie dochodzenie w sprawie przestępstwa? Złapaliście jakichś podejrzanych? Macie tu jakikolwiek system zabezpieczeń albo monitoringu? Robicie w ogóle cokolwiek?!

Żaden z nich nie miał mi nic do powiedzenia. Doprowadzało mnie to do szału.

- Przyznajcie, nigdy się nad tym nie zastanowiliście. Ktoś zginął, a wy zamierzacie siedzieć z założonymi rękami i patrzeć? Wydawało mi się, że masz być w przyszłości dowódcą tego statku!

- wrzasnęłam, celując palcem w Starszego. - A mimo to chcesz zignorować problem, licząc, że wszystko samo się wyjaśni? Wielki mi dowódca!

- Ja...: ja... - zająknął się Starszy.

- Nie rozumiesz, że tam na dole są moi rodzice? Bezbronni? Zamrożeni w ciasnych pojemnikach? Nie było cię tam. W tym pojemniku, kiedy go odłączyli. Nawet nie masz pojęcia, jak się czułam. W chwili, kiedy się wreszcie obudziłam, kiedy zrozumiałam, że już nie śpię. Chcesz wyrzygać te okropne kable, ale nie możesz, chcesz się wydostać na zewnątrz, ale nie możesz, chcesz oddychać, ale nie możesz!

- Dobrze już, dobrze. Uspokój się. Wypij trochę wody. - Starszy skorzystał z wymówki, by wstać i napełnić w łazience mój kubek.

- Nie potrzebuję wody! - krzyknęłam. Dlaczego nie potrafili zrozumieć, co jest teraz naprawdę ważne?

Starszy i tak podsunął mi kubek pod nos. Chwyciłam go i wypięłam łyk. Na moim języku pozostał gorzki posmak. Zaczęłam się zastanawiać, ile razy przetwarzano tę wodę. A ponieważ mój umysł na chwilę skupił się na czymś innym, złość odpłynęła i naprawdę się uspokoiłam.

- Jak byś się czuł, gdyby to byli twoi rodzice? - spytałam cicho Starszego.

Harley spojrział na nas i powoli odłożył pędzel. Wydawał się jednak bardziej skupiony na odpowiedzi Starszego niż na moich utyskiwaniach.

- Nie znam swoich rodziców - wyznał wreszcie Starszy.

- Nie żyją? - rzuciłam ostrzej, niż zamierzałam, ale ten świat bardzo się starał, by pozbawić mnie delikatności.

Starszy pokręcił głową.

- Nie. Po prostu nigdy ich nie poznałem. Starszy nie ma prawa wiedzieć, kim są jego rodzice. Powinien się czuć dzieckiem statku.

Mówił to tak bezdusznie, jakby recytował podręcznik, ale w jego słowach był też smutek, z którego chyba sam nie zdawał sobie do końca sprawy. Nagle wydał mi się bezbrony i mały. Skulił się, jakby chciał, żeby połknęło go własne ciało.

- To dlatego tu jesteś? - spytałam Harleya.

- Gdzie tam, ja znam swoich rodziców. Są tkaczami i mieszkają w Mieście. Wszystkie pokolenia mojej rodziny od czasów Plagi trudniły się tkactwem. Mama i tato byli pewnie zawiedzeni, że nie podtrzymałem rodzinnej tradycji, ale chyba nawet nie zauważyli, kiedy odszedłem. Nie umieli sprawić, żebym zaczął interesować się tkaninami, a ja nie mogłem sprawić, żeby oni zainteresowali się czymkolwiek innym. Więc przeprowadziłem się tutaj. Tylko Starszy nie ma normalnych rodziców.

- I tak powinno być - dodał ściszym głosem Starszy, nie patrząc ani na mnie, ani na Harleya. - Ale teraz zajmijmy się innym problemem - ciągnął. - Skoro nie wiemy, kto zabił Robertsona, zacznijmy od pytania, dlaczego chciał to zrobić.

Podeszłam do biurka Harleya i wyciągnęłam z jego akcesoriów malarskich najgrubszy pędzel, a także pojemniczek z czarną farbą.

- Hej! - zaprotestował Harley. Nie czekając na reakcję Starszego, dużymi literami namalowałam na ścianie obok okna „Amy”.

- Dlaczego niszczysz swoją ścianę?! - Starszy był zszokowany.

- To nie jest moja ściana - mruknęłam. Nic na tym statku nie należało do mnie.

Pod imieniem dopisałam wszystko, co mogło stanowić przyczynę zamachu na moje życie, dziewczyna, siedemnaście lat. Rude włosy. Biała. Przeciętny wygląd.

- Jesteś piękna - odezwał się cicho Starszy, ale puściłam ten komentarz mimo uszu.

Ylieistota dla misji, dopisałam.

- Dobra, teraz Robertson. - Zapisałam nazwisko obok swojego imienia i odwróciłam się do chłopaków.

Starszy podniósł z biurka cienki kawałek plastiku, który wcześniej zwrócił moją uwagę. Przeciągnął po jego powierzchni palcem, włączając go jak monitor komputera. Wystukał coś palcami i przez wyświetlacz zaczęły przelatywać obrazy.

- Najstarszy/Starszy, dostęp przyznany - powiedział kobiecy głos.

- William Robertson - zaczął czytać Starszy. - Mężczyzna, pięćdziesiąt siedem lat, Latynos, waga dwieście dwanaście funtów. Specjalista do spraw dowodzenia. Doświadczenie w Piechocie Morskiej Stanów Zjednoczonych. Zadanie: organizacja akcji ofensywnych. Opłacany przez GZF. GZF? Już to wcześniej widziałem. Na plakietce na Poziomie Sternika...
- Jego głos nagle ucichł.

- Giełda Zasobów Finansowych - wyjaśniłam, zapisując informacje o Robertsonie pod jego nazwiskiem. - Wszyscy wojskowi byli opłacani przez GZF, właśnie z ich ramienia mój tato dostał kontrakt.

Starszy przesunął palcem po wyświetlaczu.

- To już wszystko.

Zerknęłam na dziwne urządzenie.

- Jest tam coś o mnie?

Starszy zawahał się.

- No co? - zniecierpliwiałam się. - Co tam napisali?

- Jakby to...

Harley, który obserwował nas w milczeniu, wyrwał Starszemu wyświetlacz. Przesunął po nim wzrokiem, a z jego oczu zniknęło rozbawienie.

- Co jest?

- Nic takiego. - Podniósł rękę, by wykonać jakiś gest i najprawdopodobniej wyłączyć urządzenie. Tym razem to ja zdołałam mu je podkraść.

Na wyświetlaczu widniało moje zdjęcie sprzed zamrożenia, zrobione w dniu, w którym przechodziłam skanowanie zdrowotne. Pod zdjęciem znajdowały się informacje - data urodzenia, grupa krwi, wzrost, waga oraz małutkimi literkami na samym dole: ZBĘDNY ŁADUNEK.

Ach, no tak. Już prawie zapomniałam.

Byłam tylko niepotrzebnym bagażem.

Rzuciłam urządzenie na biurko i z pędzlem w dłoni odwróciłam się do ściany. Zbędna, zapisałam.

- Wcale nie jesteś... - zaczął Starszy, ale uciszyłam go jednym spojrzeniem.

Cofnęłam się, podziwiając swoje arcydzieło. Malowałam litery zbyt grubo i strużki

farby ściekały po ścianie, niektóre aż do listwy przypodłogowej, plamiąc łuszczące się zielone pnące, które zostawił po sobie poprzedni lokator. Harley obserwował ciemne ślady jak zaczarowany; patrzył, jak tłuste krople ścigają się po namalowanych kwiatach.

- Dobra - powiedziałam, przyglądając się listom - widzicie jakieś zbieżności? Dlaczego ktoś chciałby zabić nas oboje?

Cisza.

- Czegoś tu brakuje. - Przyglądałam dłońmi włosy. - Musi istnieć jakiś związek.

Jeśli jednak istniał, na razie żadne z nas go nie widziało.

Opuściłam ręce.

- W ten sposób do niczego nie dojdziemy. Musimy zjechać na poziom kriogeniczny i zobaczyć, czego uda nam się dowiedzieć.

- Zjechać na dół? - upewnił się zaskoczony Starszy.

- No. Może znajdziemy tam wskazówki.

Harley wybuchnął śmiechem, jakby chodziło o jakąś grę.

- Wskazówki?!

Popatrzyłam na niego ponuro, czekając, aż przestanie się śmiać.

- W porządku - zgodził się Starszy. Nasze spojrzenia się spotkały, a ja ze zdumieniem stwierdziłam, że już nie pamiętam, dlaczego jego twarz wydawała mi się niewinna. Teraz była z niej determinacja, gotowość do walki i przekonanie do mojej sprawy.

- W porządku? - spytałam.

- Ruszajmy.

30

STARSZY

Amy szła przez świetlicę do windy, ignorując chłodne spojrzenia pacjentów Izolatki. Głowę trzymała zadziornie uniesioną i nie patrzyła nikomu w oczy. Przypominała mi królową, chociaż dolatujące zewsząd komentarze świadczyły o tym, że inni ludzie widzą ją zupełnie inaczej. Zaciśnięm zęby. Wszystko przez Najstarszego.

Rozległ się dzwonek i otworzyły się drzwi na trzecim piętrze.

- Słyszeliście to? - spytała Amy, gdy maszerowaliśmy korytarzem.

- Ale co? - zdziwił się Harley.

Amy pokręciła głową.

- Nic. To tylko moja wyobraźnia. - Mimo to rozejrzała się z niepokojem.

Otworzyłem drzwi na końcu korytarza - nadal nikt nie zamknął ich na zamek - i

przeszedłem przez pokój, by dostać się do drugiej windy. Rozbite pudełko z alarmem zniknęło. Pewnie Najstarszy zabrał je na Poziom Sternika, żeby sprawdzić, czy da się je naprawić.

- No dobra, ale czego my właściwie szukamy? - zainteresował się Harley, gdy winda zjeżdżała na dół.

- Nie jestem pewna. - Amy przestąpiła z nogi na nogę. - Wskazówki. Czegokolwiek.

Przypomniałem sobie ostatnią wizytę na poziomie kriogenicznym. Jedynym dowodem świadczącym o morderstwie było ciało Williama Robertsona. Poza tym żadnych poszlak.

Wolałem jednak nie wspominać o tym Amy.

Winda zatrzymała się i Harley wyszedł na korytarz, rozglądając się niecierpliwie. Ruszyłem za nim. Amy wyskoczyła z windy dopiero w chwili, gdy drzwi zaczęły się zamykać.

- Gdzie jest ta śluza z gwiazdami? - spytał Harley.

Amy wyprzedziła mnie i złapała za rękaw. Szarpała za niego, dopóki się nie odwróciłem.

- Gdzie są moi rodzice? - odezwała się bardzo, bardzo cicho.

- Nie wiem - odpowiedziałem. - Ale mogę sprawdzić ich lokalizację.

Amy przygryzła wargę i pokręciła głową.

- Nie... Nie trzeba. - Popatrzyła w lewo i w prawo wielkimi przestraszonymi oczami. - Nie tym razem. Później.

- Możemy najpierw spojrzeć na gwiazdy? - Harley nie mógł ustać w miejscu.

- W tamtym kierunku znajduje się ślu... - zacząłem, ale Harley nie dał mi dokończyć i ruszył wskazanym przejściem. Odwróciłem się do Amy. - Nie zna kodu, który otwiera tę śluzę.

Amy uśmiechnęła się kącikiem ust.

- To niech spróbuje go odgadnąć, a my tymczasem rozejrzemy się trochę i poszukamy jakichś śladów. Pokaż mi, gdzie leżał ten... ehm... Robertson.

Weszliśmy w przejście oznaczone numerami od siedemdziesięciu pięciu do stu i zatrzymaliśmy się przed ostatnią komorą w rzędzie.

Amy wyciągnęła drżącą dłoń w stronę pustego blatu. Zacząłem się zastanawiać, czy oczami wyobraźni nie widzi na nim swoich rodziców albo siebie. Zanim jednak jej palce dotarły do metalowej powierzchni, szybko cofnęła rękę i przycisnęła ją do ciała.

- Masz jakieś pomysły, co dalej? - Spróbowałem oderwać jej uwagę od myśli, przez które zamykała się w sobie.

Cofnęła się i opuściła wzrok na gołą posadzkę. Przyjrzała się jej, po czym zaczęła się przechadzać po sterylnie czystym pomieszczeniu.

- W zasadzie nawet nie wiem, czego szukam - przyznała. - Myślałam, że będzie jak w tych programach policyjnych, że zejść na dół i znaleźć jakieś włókno, które będzie pasowało do koszuli Najstarszego, albo kroplę krwi, którą moglibyśmy poddać testowi DNA, chociaż w sumie nie jestem pewna, czy przeprowadzacie tu takie testy...

- Skanery biometryczne odczytują DNA - wtrąciłem, ale Amy chyba mnie nie słuchała.

- Albo gigantyczny odcisk palca. - Zamilkła. - Akcesoria malarskie Harleya... - wymamrotała. Spojrzała mi prosto w twarz. - Akcesoria malarskie Harleya!

- Słucham?

- Harley ma pędzle, a zanim zaczął mnie malować, zrobił węglem szkic. Właśnie tego mi potrzeba.

- Nie rozumiem, o co ci chodzi - przyznałem, ale jednocześnie uśmiechnąłem się, bo jej twarz wreszcie odzyskała wigor, który zniknął, gdy wyszła z windy.

- Harley! - zawołała tymczasem Amy, biegnąc na koniec przejścia. - Harley!

Nie miałem pojęcia, po co jej te rzeczy, ale jedno było pewne: stawiałbym czoła kolejnej Pladze, byle tylko pomóc jej to wszystko zdobyć. Na całe szczęście sytuacja nie wymagała aż takich poświęceń.

Aktywowałem wikom.

- Komlink, Harley - odezwałem się.

- Co jest? - zabrzmiał w moim uchu zniecierpliwiony głos Harleya.

- Przynieś to swoje pudełko na pędzle.

- Gdzie jest śluza z gwiazdami? Mnóstwo tutaj różnych drzwi i włączów, ale wszystkie są pozamykane.

- Najpierw przynieś pudełko.

- Ale pokażesz mi później, które drzwi prowadzą do gwiazd?

- Jasne.

- Stoi - rzucił Harley i przerwał połączenie.

- Co to za ustrojstwo? - spytała Amy, upewniwszy się, że już nie rozmawiam z Harleyem. - Z początku myślałam, że wszyscy nosicie jakieś miniaturowe słuchawki czy coś w tym rodzaju, ale to jest wszczepione bezpośrednio w skórę, zgadza się?

Potałem palcami przycisk wikomu.

- To wikom. Bezprzewodowe łącze komunikacyjne.

- Czy to boli?

- No coś ty - odparłem ze śmiechem.

- Supersprawa. - Amy nachyliła się, wypuszczając powietrze z płuc. Jej delikatny ciepły oddech poruszał włoskami przy moim uchu. Poczulem łaskotanie. - Coś jak telefon wbudowany w ucho.

Dotknęła wybrzuszenia pod skórą, gdzie znajdował się wikom. Oddech uwiązł mi w gardle. Amy stała tuż przede mną, prowokacyjnie blisko. Przygryzła wargę, a ja myślałem już tylko o tym, by ją pochwycić, z całych sił objąć, poczuć dotyk jej ust.

Wtedy jednak cofnęła się, opuszczając rękę. Na jej twarzy widniał grymas, którego nie potrafiłem rozgryźć.

- Doktorek może ci taki założyć - powiedziałem, próbując zignorować pragnienie, by złapać ją i przyciągnąć z powrotem do siebie.

Dłoń Amy natychmiast powędrowała w górę, a palce musnęły szyję pod uchem.

- Nie - stwierdziła. - Chyba bym jeszcze nie chciała.

Zaraz potem pojawił się Harley i położył u naszych stóp skrzynkę z pędzlami. Wyczytałem z jego twarzy, że chciałby jak najszybciej pognać do śluzy i wreszcie ujrzeć gwiazdy, ale jakaś jego część była również ciekawa, po co nam akcesoria malarskie. A skoro już o tym mowa, ja także byłem.

Amy przetrząsnęła skrzynkę, odrzucając na bok tubki z farbą, ołówki i strzępki papieru, aż w końcu wyciągnęła owinięty w papier kawałek węgla i roztrzaskała go o posadzkę.

- Hej! - krzyknął Harley. - Sam je muszę robić.

- Potrzebuję pyłu - wyjaśniła Amy, rozgniatając okruchy węgla.

- Do czego?

Amy wyszczerzyła zęby.

- Obserwujcie.

Wybrała jeden z największych pędzli o najrzadszym włosiu i zanurzyła jego końcówkę w czarnym proszku, który następnie naniosła na drzwi komory.

- Błagam, zadziałaj, błagam, zadziałaj, błagam, zadziałaj... - powtarzała pod nosem, pokrywając grubą warstwą sproszkowanego węgla powierzchnię drzwi. Wstrzymała oddech.

Na metalu ukazały się zwoje i spirale linii papilarnych.

Amy zachichotała.

- Zeby jeszcze istniał jakiś prosty sposób rozróżnienia, do kogo należą te odciski!

Tym razem to ja wyprzedziłem ją o krok.

- Spróbujmy tym. - Uklęknąłem obok niej z plastplejem ze stołu znajdującego się na końcu przejścia. Przytrzymałem cyfrową membranę nad odciskiem palca i wstukałem polecenie „Skanuj”. Po sekundzie na wyświetlaczu pojawił się nasz odcisk.

- Dobrze - wymruczałem, wybierając następną komendę - teraz wystarczy porównać go z bazą skanerów biometrycznych...

- Ale czad - szepnęła Amy, a ja uśmiechnąłem się do niej szeroko.

Z plastpleja wydobył się pojedynczy pisk.

- No i co tam? - spytał Harley, zaglądając mi przez ramię.

- Mój. Byłem tutaj z Doktorkiem, ten odcisk należy do mnie.

- Ale przecież tam jest napisane: „Najstarszy/Starszy” - zauważył Harley, wskazując na wyświetlacz. - Więc to mógł być także Najstarszy.

Amy patrzyła na mnie wyczekująco, ale ja pokręciłem głową.

- Ja i Najstarszy mamy w komputerze taki sam zakres dostępu, na skanach biometrycznych zawsze pokazuje zarówno mnie, jak i jego. Ale sprawdziłem wcześniej mapę lokalizacyjną wikomów i na pewno go tu nie było. Ten odcisk musi należeć do mnie.

- Sprawdźmy inne - zaproponował Harley, a Amy ochoczo odwróciła się do drzwi, uzbrojona w pędzel i sproszkowany węgiel. Przeskanowałem kolejne odciski, lecz z tych, które były wystarczająco wyraźne, cztery należały do Doktorka, a dwanaście do mnie. Pozostałe nachodziły na siebie albo były zbyt rozmazane.

- Znalazłam jeszcze jeden - powiedziała Amy, nanosząc proszek na górną część obudowy rzędu komór kriogenicznych. - Też twój?

- Nie przypominam sobie, żebym tam czegoś dotykał - odparłem.

W oczach Amy pojawił się błysk.

- Może należy do mordercy! - W jej głosie słychać było podekscytowanie.

Przytrzymałem plastplej nad odciskiem, by go zeskanować. Był naprawdę szeroki - na pewno zostawił go czyjś kciuk. Przez linie papilarne przebiegała cienka poszarpana linia.

- Co to takiego? - zainteresował się Harley i poprosił, żebym powiększył obraz.

Amy przyglądała się odciskowi zza moich pleców.

- Może to nic ważnego, ale wygląda jak blizna, co nie?

Biiip. Biiipbiiip. Skan zakończony. „Najstarszy/Starszy”, mrugało nad odciskiem.

- Znowu jeden z waszych. - Amy westchnęła, zwieszając głowę. Stała przed komorą i rozmazała cały proszek po jej powierzchni, jakby boleśnie jej ciążył.

- Masz bliznę na kciuku? - spytał mnie Harley.

Na wszelki wypadek obejrzałem swoje palce, choć wiedziałem, że nie mam na

opuszkach żadnych blizn.

- Może coś przykleiło ci się do kciuka, gdy dotykałeś komory - zastanawiała się Amy, patrząc w podłogę. - Przyłgnęło między jej powierzchnią i palcem.

Ale to na pewno nie byłem ja. Dałbym sobie głowę uciąć.

Amy podniosła plastplej.

- Jesteś pewien, absolutnie pewien, że to nie mógł być Najstarszy?

- Na sto procent. Sprawdziłem mapę lokalizacyjną wikomów tuż po tym, jak znaleźliśmy Robertsona. Najstarszy w ogóle tu nie schodził.

Amy sapnęła przez nos niczym rozwścieczony byk.

- Mimo to wydaje mi się, że mógł...

Urwała, bo zobaczyła, jak kręcę głową. To po prostu wykluczone. Mimo że Amy nie myliła się w sprawie jego okrutnego charakteru, w chwili morderstwa Najstarszego tu po prostu nie było.

Amy rozgoryczona odrzuciła pędzel.

- To tyle, jeśli chodzi o zdejmowanie odcisków palców.

- Przepraszam - powiedziałem nieobecny głosem, bardziej skupiony na pytaniu, kto mógł zostawić ten odcisk, jeśli tą osobą nie byłem ani ja, ani Najstarszy.

Harley wyrwał mi plastplej z rąk i rzucił go na stół na końcu przejścia.

- Czy mogę wreszcie zobaczyć tę służę? - spytał. Podniósł skrzynkę z akcesoriami malarskimi, a ja dostrzegłem, że przyniósł z sobą nieduże czyste płótno.

- Jeśli otworzę ci służę, zostaniesz tutaj na noc, żeby pilnować, czy nikt nie majstruje przy zamrożonych?

Uśmiech Amy był wystarczającym powodem, by zignorować wewnętrzny głos, który podpowiadał mi: Najstarszy nie będzie zadowolony, jeśli zostawisz tu Harleya samego.

- Jasne - zgodził się Harley.

Wy tłumaczyłem mu, gdzie znajdzie służę, i podałem poprawny kod. Podniosłem plastplej i przydzieliłem dostęp zarówno jemu, jak i Amy, żeby mogli zjeżdżać na poziom kriogeniczny zawsze, gdy okaże się to konieczne. Odblokowałem także dostęp Amy do plastplejów. Harley rzucił się biegiem do służy zaraz po przeskanowaniu kciuka, nawet nie próbując kryć entuzjazmu. Amy wciąż się śmiała, gdy przyciskałem jej palec do wyświetlacza, a gdy umilkła, raptem dotarło do mnie, że trzymam jej kciuk już dobrą minutę.

- Przepraszam - bąknąłem, szybko cofając rękę.

Uśmiechnęła się.

- Chesz zobaczyć szemnąród? - spytałem na jednym wdechu i zrobiłem wielkie oczy. Co

mnie napadło? Dlaczego zacząłem tak bełkotać?

- Słucham? - Amy rozciągnęła usta w jeszcze szerszym uśmiechu i oparła się o stół.

- Chcesz zobaczyć ze mną ogród? - spróbowałem ponownie, mówiąc znacznie wolniej, niż biło moje serce.

Przygryzła wargę i choć cały czas na mnie patrzyła, jej wzrok stał się nagle odległy i zamglony. Zaciśnęła ręce na blacie, jakby się obawiała, że wyciągnę ją z tego zimnego, ciemnego miejsca wbrew jej woli. Nietrudno było zgadnąć dlaczego. Chciała zostać blisko rodziców. Zerknęła w bok, tam, gdzie pobiegł Harley. Chciała też zobaczyć gwiazdy.

Podupadłem na duchu. Jak mógłbym z tym wszystkim konkurować?

Ale wtedy ona skupiła na mnie wzrok i uśmiechnęła się.

- Jasne.

Dostrzegłem w jej uśmiechu coś znacznie piękniejszego od gwiazd.

31

AMY

Starszy zabrał mnie do rozległego ogrodu za Szpitalem, przez który przebiegałam podczas porannego joggingu. Wtedy byłam ślepa na jego piękno, a wcześniej widziałam tylko otaczające go mury. Ale naprawdę wyglądał uroczo; miał w sobie odrobinę chaosu, jakby rósł zupełnie dziko, chociaż były tu ścieżki i klomby, między którymi nie widziałam żadnych chwastów. Wszystko wskazywało na to, że do stworzenia tej niesamowitej plątaniny piękna przyłożył rękę prawdziwy ogrodnik.

- Co to takiego? - spytałam.

- Posąg Najstarszego, który rządził w czasach Plagi.

- Więc nazywacie Najstarszym każdego, kto akurat rządzi? - Starszy przytaknął. - Wyjątkowo głupi pomysł, wszystkim musi się mieszać, kto jest kim. Ilu takich Najstarszych już tu mieliście?

- Właściwie to... nie wiem.

Podniosłam głowę, by przyjrzeć się twarzy posągu. Nie był wyciosany z kamienia, zrobiono go raczej z betonu albo jakiegoś podobnego materiału. W zasadzie trudno się dziwić - niby skąd mieliby wziąć kamień? Przecież go nie wykopią.

Kropla wody rozbiła się na moim czole. Spojrzałam w górę, przez krótką zwariowaną chwilę oczekując, że zobaczę chmury deszczowe. Kocham deszcz, ale kiedy patrzyłam na metalowy sufit, doszłam do wniosku, że nie polubię jego tutejszej wersji. Po raz kolejny uświadomiłam sobie, jak fałszywy jest „Błogosławiony”. Nie było tu chmur, a ciemnego

nieba nie przecinały błyskawice. Na „Błogosławionym” deszcz padał z systemu zraszaczy zamontowanych pod zadaszeniem. Złapałam na język kroplę. Była zimna jak prawdziwy deszcz, ale miała lekko nieświeży, przetworzony smak i pachniała olejem.

Nie padało jednak zbyt mocno. Na ziemię spadło tylko kilka kropeł, więc zbliżyłam się ścieżką do posągu.

- Dziwię się, że w ogóle macie tu deszcz - zauważyłam.

Starszy uśmiechnął się do mnie półgębkiem, jakby ze mnie kpił.

- No co? - obruszyłam się.

- Śmiesznie mówisz - stwierdził, co wydało mi się dość ironiczne, bo w jego ustach zabrzmiało to jak: „śmieszjemoufisz”.

- Ciekawe! To ty masz dziwaczny akcent.

- Dzieeewaszchny aksent - zaczął się ze mną droczyć. Pokazałam mu język, ale sama wybuchłam śmiechem.

Kilka kropeł deszczu rozbiło się o głowę posągu. Spływały po jego twarzy jak łzy, zostawiając za sobą ciemne ślady. Zmrużyłam oczy. Rysy postaci nie były tak wyraźne, jak z początku sądziłam, wyglądały raczej na zniszczone przez pogodę.

- Jak dawno temu wybuchła Plaga? - spytałam.

- Nie jestem pewien - odparł Starszy, ruszając w dalszą drogę.

- Musiałbym to sprawdzić. Dlaczego byłaś zaskoczona, że mamy tu deszcz?

- No cóóó... - przeciągnęłam to słowo, podkreślając akcent, z którego drwił Starszy. Na jego twarzy pojawił się uśmiech. - Chodzi oto, że... że to nie jest deszcz. Więc po co sprawiać, żeby tak wyglądał? Przecież moglibyście podlewać rośliny zwykłymi zraszaczami.

Starszy wzruszył ramionami.

- Statek był tak od początku zaprojektowany. - Urwał, a po chwili mruknął do siebie: -
Badania Biologiczne...

- Słucham?

- Widziałem w Sali Nagrań stare plany. Pierwotnie Poziom Żywiciela nosił nazwę Badania Biologiczne. Wtedy się nad tym nie zastanawiałem, ale... Najstarszy programuje różne schematy pogodowe. Zeby symulować warunki, jakie mogą nas czekać na Centauri Ziemi. Zmienia taki schemat mniej więcej co pięć lat. Poprzednio... poprzednio ograniczył opady do jednego deszczu na miesiąc. Naukowcy musieli pomóc farmerom rozwinąć nowe metody nawadniania. A wcześniej... - Zamyślił się, praktycznie zapominając, że tu jestem i że go słucham. - Gdy byłem mały, padało naprawdę dużo. Pomagałem kopać rów odpływowy, a mimo to pastwiska cały czas zalewało. Raz na jakiś czas Najstarszy każe

nam też zmieniać glebę, pozbawiając ją różnych minerałów.

Patrzył na mnie, ale tak naprawdę mnie nie widział.

- Poziom Żywiciela to w rzeczywistości poligon badań biologicznych. Sprawdzamy, co może nas czekać na Centauri Ziemi. W Sali Nagrań znajdują się opisy różnych usprawnień, jakie z konieczności musieliśmy rozwijać. Nie... wcale nie z konieczności. Na tym polega praca Najstarszego. To część jego zadania.

- Co oznacza, że to także część twojego zadania, zgadza się? - powiedziałam. - Będziesz przecież kolejnym Najstarszym. - Chciałam też zapytać: ale czemu w takim razie obecny Najstarszy wszystkiego cię nie nauczył? Wydawało mi się jednak, że to jedna z tych rzeczy, których nie powinnam mówić głośno. Mimo to Starszy dostrzegł wątpliwości na mojej twarzy. Skręcił w stronę sadzawki, a ja już wiedziałam, że nie odpowie na moje niewypowiedziane pytanie. Wręcz przeciwnie, sam miał ich jeszcze więcej.

Szłam za nim ścieżką. Wychylały na nią głowy wielkie kwiaty hortensji.

Znow zaczęło padać - w równomierny, metodyczny sposób, ale jednocześnie na tyle prawdziwy, że podniosłam głowę, by krople deszczu rozbijały się o moje powieki. Udawałam, że wszystko jest takie, jak powinno.

- Ten cały system Najstarszych... Nie rozumiem, jak to może działać.

- Dlaczego?

Zatrzymaliśmy się przy sadzawce wielkości basenu w moim dawnym liceum. Trochę dalej mężczyzna i kobieta usiedli na ławce, śmiejąc się głośno.

- Ten człowiek na pewno nie jest pokojowo nastawiony do świata. Założę się, że zastrasza wszystkich, żeby byli mu posłuszni. - Nie chciałam przyznać, że mnie też przeraził, ale Starszy chyba sam potrafił to odgadnąć.

- Najstarszy to wspaniały przywódca. Czasami się z nim nie zgadzam i nie odpowiadam mi jego metody działania, ale na pewno są skuteczne. Temu nie zaprzeczysz.

- Ten staruszek to dyktator, taka jest prawda - mruknęłam. Zaraz potem dostrzegłam na twarzy Starszego uśmiezek. - Co znowu?

- Podoba mi się, jak nazywasz go staruszkiem. Większość ludzi na tym statku bije przed nim pokłony.

- Mnie wydawał się zwykłym palantem. Nawet więcej niż palantem, raczej prawdziwym królem dupków. To znaczy, rozumiem, że jest twoim przywódcą i tak dalej, ale w gruncie rzeczy chciał mnie zabić.

- Może wcale nie wyrzuciłby cię przez tę śluzę.

- Serio?

Starszy wpatrywał się w rośliny u swych stóp.

- Mógłby. Tak. Prawdopodobnie by cię wyrzucił.

Kopnęłam wielkie, rosnące wokół sadzawki kwiaty, które przypominały tygrysie lilie.

Para siedząca na ławce szła na całość. Mężczyzna włożył już jedną rękę pod koszulę kobiety, a drugą w jej spodnie. Starszy podążył za moim spojrzeniem.

- Najstarszy mówił, że już niedługo rozpoczną się Gody.

- I to mają być te Gody? Ludzie nie zachowują się tak publicznie. - A przynajmniej nie robili tego w „moich” czasach. Czy właśnie tak ewoluje społeczeństwo stłoczone na ciasnym statku, czy może w świetle ich rozwiniętych standardów jestem zbyt pruderyjna?

Starszy nie patrzył już na parę obściskującą się na ławce, patrzył na mnie. Padało coraz mocniej i zaczęłam się zastanawiać, czy nie powinnam uciec do Szpitala, ale deszcz sprawił, że poczułam się uziemiona, połączona z tym miejscem i w jakiś dziwny sposób sprawiło mi to przyjemność. Choć wiedziałam, że nie jest prawdziwy, przynajmniej wydawał się taki, a ja rozpaczliwie potrzebowałam tej iluzji.

32

STARSZY

Na ławce po drugiej stronie sadzawki siedziała para. Mężczyzna i kobieta potraktowali deszcz jako wymówkę, żeby się rozebrać. Mężczyzna zerwał z kobiety koszulę, a jego towarzyszka wygięła ciało, przysuwając się do niego jeszcze bliżej.

- Obrzydliwość - stwierdziła Amy.

Nie chciałem jednak rozmawiać o Godach, nawet jeśli para na ławce dała mi pewien pogląd na sprawę. Chciałem wiedzieć, czy nienawiść Amy do Najstarszego ograniczała się do samego człowieka, czy raczej obejmowała całą funkcję.

- On wcale nie jest aż taki zły - zauważyłem. - To naprawdę bardzo dobry przywódca.
- Zbliżyłem się do niej o krok. - Rozumiem, że czasami potrafi być stanowczy, ale dzięki niemu na pokładzie chwilowo panuje porządek i zadowolenie.

Amy prychnęła.

- Więc ty też zamierzasz nienawidzić ludzi tylko dlatego, że są inni?

- Ciebie nigdy nie mógłbym nienawidzić!

To właśnie różnice - jej rude włosy, solziemskie pochodzenie czy niechęć do ślepego przestrzegania zasad Najstarszego - lubiłem w niej najbardziej.

Zaczęło lać, ale nie robiło to na nas wrażenia. Amy obserwowała mnie uważnie, jakby czekała, aż udowodnię, że nie jestem Najstarszym.

Zamiast tego sięgnąłem ręką za jej ucho i wyszarpnąłem pędzle podtrzymujące kok. Włosy opadły Amy na ramiona kaskadą czerwieni, ale zaraz potem nasiąkły wodą i zrobiły się prawie tak ciemne, jak moje. Prawie. Założyłem jej jeden z pomarańczowo-złotych kosmyków za ucho. Wzdrygnęła się, gdy poczuła na skórze mój dotyk.

- Najstarszy jest wspaniałym przywódcą - powtórzyłem. – Ale - ciągnąłem, nie pozwalając Amy zaprotestować - nie zgadzamy się w sprawie różnic. Tak się składa, że ja lubię różnice. I to nawet bardzo. - Przełknąłem ciężko. Moje usta wydały mi się zbyt mokre, a gardło zbyt suche.

I wtedy - sam nie wiem, jak do tego doszło - Amy zrobiła mały krok w moją stronę, a ja w jej, i nagle byliśmy całkiem blisko.

Dzielił nas tylko deszcz.

A zaraz potem nie dzieliło nas już nic.

Nasze usta się stopiły. Kropla deszczu spłynęła mi na wargi. Rozchyliłem je, a Amy rozchyliła swoje; kropla spadła na mój język i zniknęła na jej języku.

Przemokłem do suchej nitki. Powinno mi być zimno, ale wypełniał mnie żar jej ciała.

Objąłem ją z całych sił. Chciałem ją zmiążdżyć, złączyć nas w jedność.

Chciałem, żeby ta chwila trwała wiecznie.

Ale wtedy...

...wtedy ona zaczęła się wyrywać.

Zrobiła krok do tyłu, trzymając palce na nabrzmiałych wargach.

Oczy miała wielkie i błyszczące.

Po policzkach spływały jej krople deszczu, które tak naprawdę nie były deszczem. Po raz pierwszy poczułem na języku słony smak.

- Zawsze tak samo, zawsze w deszczu - szepnęła. - Z Jasonem też.

Kimkolwiek był Jason, chciałem go zabić.

- Przepraszam. - Cofnęła się o kolejny krok. - Nie chciałam tego...

Nie, nie, nie, to nie tak powinno być.

Nie powinienem był jej całować. W jej sercu i umyśle było zbyt dużo kogoś innego, żeby zostało miejsce dla mnie.

- Przepraszam - powtórzyłem po niej.

Wyciągnąłem do niej rękę, ale ona zaczęła uciekać.

I już po chwili jej nie było.

Woda kapała z metalowego zadaszienia ponad moją głowę. W rękę trzymałem pędzle, których Amy użyła do spięcia koka - zapomniane aż do chwili, gdy nie zostało mi nic innego.

Pędzle Harleya.

Złamałem je i wrzuciłem do sadzawki.

33

AMY

Deszcz rozpryskuje się na mojej skórze. Jest tu Jason i już prawie zaczynamy się całować. Tylko że tu wcale nie ma deszczu. To tylko woda z parowego prysznica i Starszy, a nie Jason.

Uderzyłam głową o kafelki kabiny, rozgrzane gorącą parą.

Nie wiedziałam, co robić.

Wychodząc z łazienki, owinęłam się ręcznikiem. Moją uwagę przyciągnęła lista, którą wymalowałam na ścianie. Gapiłam się na nią, pozwalając, by woda ściekała ze mnie na wydeptany dywan. Na darmo. Wciąż nie widziałam żadnego związku łączącego mnie z Robertsonem.

Nigdy wcześniej nie czułam się tak zagubiona i samotna. Wszyscy ludzie, którzy powinni teraz ze mną być - rodzice, Jason i przyjaciele - zniknęli. Bez nich statek wydawał się pusty i mały. Ja czułam się pusta i mała.

Powinłam zjechać na poziom kriogeniczny, by ich chronić. Dlaczego zostawiłam tam Harleya? To moi rodzice leżeli w komorach. On nie miał z tą sprawą nic wspólnego.

Tylko że doskonale widziałam tęsknotę w jego oczach i wolałabym nie być tą osobą, która oderwie go od gwiazd.

I nie chciałam zostać tam sama, w chłodzie wszechobecnej śmierci.

Siedziałam na skraju łóżka, ale nie miałam ochoty się kłaść.

Podeszłam do krzesła pod oknem i zerknęłam na zmiętą pościel. Pierwszej nocy Starszy czuwał właśnie na tym krześle, podczas gdy ja spałam w tamtym łóżku.

Usiadłam i podciągnęłam kolana pod brodę, obejmując nogi rękami. Jakiś czas później zasnęłam, odwrócona w stronę okna.

Nie ma tu żadnego wschodu słońca. Ogromna żółta lampa pośrodku metalowego zadaszenia zapala się i nastaje dzień.

Czułam się dziwnie otępiała, jakbym nie mogła się do końca przebudzić. Nalałam sobie w łazience szklankę zimnej wody, ale nic to nie dało. Jeśli już, to świat wydał się jeszcze bardziej rozmyty. Boże, byłam taka zmęczona. Myśleniem, zmartwieniami... Znałam tylko jeden sposób na ucieszenie bełkotu w mojej głowie.

W świetlicy nie było nikogo oprócz Luthego, wysokiego mężczyzny, który przyglądał

mi się zbyt natarczywie. Czy on kiedykolwiek spał? Miałam wrażenie, że przesiaduje w świetlicy wyłącznie po to, by wprawiać mnie w zakłopotanie. Chciałam się odwrócić i powiedzieć mu, żeby przestał się gapić, ale prawdopodobnie tylko czekał na jakikolwiek przejaw zainteresowania z mojej strony. A poza tym trochę mnie przerażał.

Dzień trwał dopiero od kilku minut. Ze względu na brak normalnego świtu nie dało się odczuć, że jest wczesny poranek - lampa słoneczna świeciła dokładnie tak samo, jak w południe czy kilka minut przed nastaniem nocy. I choć wszystko wskazywało, że mieszkańcy poziomu jeszcze śpią, wolałam trzymać się wiejskich obszarów. Biegłam obok krów i między rzędami kukurydzy o łaskoczących wiechach. Po jakichś dziesięciu minutach przyspieszyłam, starając się wprawić moje ciało w stan absolutnego skupienia.

- Dlaczego tak lubisz biegać, Ruda? - zapytał mnie Jason chyba na czwartej randce. Zdążyliśmy się już raz pocałować, ale ja jeszcze nie zdążyłam zebrać się na odwagę i powiedzieć mu, że nienawidzę ksywki „Ruda”.

- Już ci mówiłam. Uwielbiam ten moment, gdy całkowicie koncentrujesz się na biegu, gdy masz wrażenie, że jesteś tylko pracującymi nogami.

Szybciej. Musisz biec szybciej.

- Chyba kumam, o co chodzi. - Jason nachylił się, żeby mnie pocałować, ale ja byłam już zajęta wiązaniem butów i dostał tylko całusa w policzek-

Podniosłam głowę i spojrzałam na niego.

- A poza tym chcę wygrać.

- Wygrać?

Mogę prześcignąć te wspomnienia, muszę po prostu biec jeszcze szybciej. Pole kukurydzy kończyło się niskim ogrodzeniem. Zza jego przeciwnej strony patrzyły na mnie owce. Wpadłam w poślizg, skręcając, i pognałam dalej wzdłuż parkanu.

- No. Wygrać maraton nowojorski. To takie moje marzenie. - Unikałam jego wzroku, ale nie dlatego, że poprawiałam skarpetki - chodziło o to, że nigdy wcześniej nikomu o tym nie wspominałam.

- Maraton nowojorski?

- Tak - To nie byle co. Jeden z najważniejszych maratonów na świecie, ponad dwadzieścia sześć mil przez wszystkie dzielnice. Tylko żeby go przebiec - to znaczy naprawdę przebiec, a nie tylko stawić się i dotrzeć do mety - musisz być naprawdę dobry.

- Jak dobry?

- Najlepszy czas to jakieś dwie i pół godziny.

- Dwadzieścia sześć mil w dwie i pół godziny? Ja pierdziu!

- Wiem. Daleko mi do takiego wyniku. Ale... - Spojrzałam na niego. Nie żartował, jak zwykle traktował moje słowa śmiertelnie poważnie.

- Dasz radę.

- W dwie godziny robię ledwie dziesięć mil.

- Dasz radę. Serio. Nigdy się nie poddajesz, już dawno to zauważyłem. Któregoś dnia wygrasz ten maraton, a ja będę czekać na mecie. Z niespodzianką. ~ Uśmiechnął się szeroko i odrobinę szelmowsko.

- Niech zgadnę - odparłam. - Czy pod pojęciem niespodzianki rozumiesz to? - Pocałowałam go, przyciskając do jego ust całą swoją miłość i wiarę, którą sam mi dawał.

Zatrzymałam się, gdy uderzyła mnie ta myśl. Zaczęłam oddychać łapczywie, czując na języku posmak ozonu.

Nie chodziło tylko o to, że zniknął Jason. Zniknął też maraton i Nowy Jork. Cały Nowy Jork! Pamiętam, jaki był ogromny. Mieszka... Mieszkało w nim tylu ludzi. A teraz już go nie ma. Nawet jeśli jeszcze istnieje, to w niczym nie przypomina miasta, które pamiętam. Nie ma już metra ani Central Parku, maratonów ani Broadwayu. Teraz to coś zupełnie innego - kto wie, może są tam latające samochody i urządzenia do teleportacji? Nigdy go nie zobaczę i nigdy nie będzie tym, czym był. Dla mnie Nowy Jork przestał istnieć. Na zawsze.

Ale, podszeptało mi serce, jest jeszcze Starszy.

Rzuciłam się do biegu.

A kiedy zobaczyłam, jak na pola zaczynają wychodzić ludzie, zawróciłam do Szpitala.

Nie próbuj się okłamywać, myślałam.

Przecież wiesz, że chcesz się schować.

Zwolniłam, widząc w pobliżu krowy.

Nie były to jednak zwykłe krowy.

Może nie wychowywałam się na farmie, ale mimo wszystko wiedziałam, jak powinna wyglądać krowa. A te zwierzęta... Cóż, z pewnością miały to być krowy, choć nigdy takich nie widziałam.

Po pierwsze, były niższe. Dużo niższe. Głowami ledwie sięgały mi do ramion. Z łbów samców sterczały rogi, tak jak u normalnych byków, ale kształtem przypominały grzybki i były zupełnie tępe - nie dlatego, że zostały obcięte; po prostu takie wyrosły.

Dziwaczne zwierzęta wyglądały na równie zainteresowane mną, jak ja nimi. Oparłam się o płot, zdyszana i spocona, a kilka z nich ruszyło rozkołysanym krokiem w moją stronę. Miały nienaturalnie zwiększoną masę. Mięśnie ledwie się mieściły pod napiętą skórą, przez co zwierzęta były powolne, a ich nogi krzywe. Żuły miarowo pokarm, cicho pmlaskując i co

rusz parszając drobinami ziemi i trawy, które prawie przypominały mi dom.

Jedna z nich zamuczała, ale nawet ich głos brzmiał inaczej i kończył się kwiczeniem świni. Muuuuuiil

Cofnęłam się od ogrodzenia.

Krowoświnie obserwowały mnie bacznie, kiedy odchodziłam, a ich wzrok sprawiał wrażenie dziwnie złowieszczego.

Dalej ciągnęło się pole co najmniej dwukrotnie większe od tych, przez które przebiegałam, obsianych kukurydzą, zbożem i fasolą.

Rosły na nim równiutkie rzędy roślin o jasnozielonych liściach. Pochyliłam się i zerwałam jeden z nich. W dotyku był miękki i gąbczasty, ale w smaku gorzki. Ścisnęłam łodygę - gruba i twarda. To pewnie coś jak marchewka albo ziemniak, pomyślałam. Jadalna część musiała rosnąć pod ziemią.

Nagle coś usłyszałam.

Biiip!

- Numer pięćset siedemnaście zaszczepiony. - Kobiecemu głosowi towarzyszył tupot i dźwięk przypominający postukiwanie twardym plastikiem.

Za mną pole było ogrodzone niską siatką. Pochylona za nią - tak głęboko, że w pierwszej chwili jej nie zauważyłam - pracowała kilka lat starsza ode mnie dziewczyna, mniej więcej w wieku Harleya. Właśnie wypuściła z rąk przerośniętego królika o krótkich odnóżach, który uciekał, co parę podskoków potrząsając lewą tylną łapą. Kłapał groźnie zębami, a jego biały puchaty ogonek migotał w słońcu.

Chciałam coś powiedzieć, ale w tej samej chwili nieznajoma podniosła się z kolan. Następny królik skubał koniczynę kilka stóp dalej. Dziewczyna bezszelestnie skoczyła w jego stronę, pochwyciła go za tylne łapy i przycisnęła do ziemi, żeby się nie wyrwał. Sięgnęła za plecy po cienkie plastikowe urządzenie, z którego korzystał też Starszy, i machnęła nim za uchem zwierzęcia, jak kasjerka z czytnikiem kodów w sklepie spożywczym. Urządzenie pisnęło, a ona popatrzyła na wyświetlacz i odłożyła je na ziemię.

- Dzień dobry - powiedziałam.

Spodziewałam się, że będzie zaskoczona - w końcu nie dawała po sobie poznać, że mnie dostrzegła - ale ona tylko podniosła wzrok i odparła beznamiętnie:

- Dzień dobry.

Zaraz potem jednak spojrzała na mnie po raz drugi. Doskonale pamiętałam, co mówił o mnie Starszy, i zdawałam sobie sprawę, jak łatwo mnie rozpoznać. Mokra od potu włosy lepiły mi się do czoła, a ze splecionego w pośpiechu warkocza wystawały niesforne kosmyki.

Przyglądałam go dłonią, chociaż wiedziałam, że na wiele się to nie zda - w żaden sposób nie byłam w stanie ukryć tu swojego pochodzenia.

- Jesteś rezultatem eksperymentu genetycznego - stwierdziła nagle dziewczyna. Przytaknęłam. - Najstarszy mówił, że nie musimy z tobą rozmawiać.

- Jak nie chcesz, to nie musisz - odparłam, a w moim głosie pojawiła się burkliwa nuta - ale mogłabyś przynajmniej być miła.

Dziewczyna podniosła głowę, zastanawiając się. Sięgnęła do tyłu, do koszyka pełnego strzykawek. Połowa była pusta, a pozostałe zawierały złotożółty płyn, który wyglądał jak miód zmieszany z masłem.

- Co to takiego? - spytałam.

- Szczepionki. - Odwróciła się z powrotem do królika, którego przyciskała do ziemi. Zwierzę wydawało się całkowicie pozbawione woli walki. Od czasu do czasu poruszało ciężkimi tylnymi łapami, ale tak naprawdę nie sprzeciwiało się uściskowi.

- To twoje zwierzęta?

Nieznajoma popatrzyła na mnie. Widziałam, że rozważa słowa Najstarszego, zgodnie z którymi jestem głupia i ograniczona.

- Nie - odpowiedziała. - To jedzenie.

Durne pytanie. Pole było całkiem spore. Naliczyłam w pobliżu co najmniej dwadzieścia królików, a jakiś tuzin skakał nieco dalej. Za polem stał dom, w którym pewnie mieszkała dziewczyna. Wokół jego ścian ciągnęły się kojce z siatki dla kolejnych królików. Na „Błogosławionym” musiały żyć setki ludzi. Hodowanie królików, które są źródłem białka i szybko się rozmnażają, wydało mi się sensownym pomysłem.

- Widziałam, jak biegniesz - odezwała się nieznajoma, skupiona na króliku. - Przed czym tak uciekałaś?

- Po prostu biegałam.

Popatrzyła na mnie czujnie jak kot.

- Czemu?

- A czemu nie? - Wzruszyłam ramionami.

- Bo to nie jest produktywnie - powiedziała w taki sposób, jakby produktywność była świętością, jedyną rzeczą, dla której warto żyć.

- No i?

Zamiast odpowiedzieć, dziewczyna przekrzywiła głowę, a chwilę później odwróciła się ode mnie. Podniosła strzykawkę, wbiła igłę w łapę królika i puściła go wolno.

- Numer sześćset dwadzieścia trzy zaszczepiony.

Na wyświetlaczu komputeropodobnego urządzenia pojawiła się falista linia i zielone światło, a pod spodem słowa, które wypowiedziała dziewczyna.

- Przeciw czemu je szczepisz? - spytałam. Ile chorób królików mogło krążyć w zamkniętym środowisku statku kosmicznego?

- Ta szczepionka je wzmacnia. Mają dzięki niej lepsze, zdrowsze mięso. - Dziewczyna przyklęknęła. - Mieszkasz w Szpitalu, prawda?

Kiwnęłam głową.

- Mojego dziadka zabrali do Szpitala - wyjaśniła.

- Czuje się już lepiej?

- Odszedł - poinformowała suchym, rzeczowym tonem, ale jej oczy załśniły.

- Przepraszam.

- Za co? Po prostu nadszedł jego czas.

- Ale widzę, że płaczesz.

Przetarła brudnym palcem oczy, zostawiając na policzkach smugę ziemi i zielonych soków trawy. Przyglądała się łzie, zdezorientowana faktem, że emocje wyciekają jej oczami.

- Nie mam żadnego powodu do smutku - powiedziała do wiszącego na koniuszku jej palca dowodu, że jest zupełnie inaczej. Jej głos był jednak spokojny, a ja już wiedziałam, że naprawdę wierzyła w to, co powiedziała, choć jej ciało miało na ten temat inne zdanie.

Podniosła koszyk i sięgnęła po plastikowe urządzenie. Leżało jednak dalej, niż sądziła, i wysunęło się jej spomiędzy palców. Upadło tuż obok mnie, a ja dostrzegłam na wyświetlaczu dwa słowa: MODYFIKACJA GENETYCZNA.

- Co tam jest napisane? - spytałam, wskazując na urządzenie.

Nieznajoma przeczytała bez słowa protestu, co trochę mnie zaskoczyło:

- Modyfikacja genetyczna usprawniająca możliwości rozrodcze oraz przyrost masy mięśniowej - recytowała monotonna. - Przewidywany wzrost wydajności: dwadzieścia procent przy wzroście produkcji mięsa o dwadzieścia pięć procent.

- Te zastrzyki to wcale nie jest żadna szczepionka - stwierdziłam, patrząc w jej puste oczy. - Mają coś wspólnego z modyfikacją genów. Wiem to, bo moja mama była inżynierem genetycznym na... - urwałam. Ta dziewczyna uważała mnie za czubka, produkt uboczny eksperymentu naukowego przeprowadzonego na statku. - Słuchaj, nie jestem taka, jak twierdzi Najstarszy. Pochodzę z Ziemi, to znaczy z SolZiemi. Tam się urodziłam. Byłam zamrożona w komorze kriogenicznej i zbyt wcześnie się obudziłam. Na Zie... Na SolZiemi moja mama zajmowała się łączeniem fragmentów DNA. Właśnie coś takiego wstrzykujesz tym zwierzętom. To nie jest szczepionka, tylko zmodyfikowany genetycznie materiał.

Zmieniasz DNA tych królików.

Słuchała uważnie każdego mojego słowa, przytakując, jakby się zgadzała.

- Najstarszy powiedział, że jesteś ograniczona i nie rozumiesz różnych rzeczy.

- Ja naprawdę pochodzę z SolZiemi, ale nie o to chodzi! Słuchaj, chodzi o to, że te środki są niebezpieczne. Modyfikacja genetyczna to coś, czego nie wolno lekceważyć, nawet w przypadku królików, jeśli zamierzacie je później jeść. Czy ty w ogóle rozumiesz, co robisz?

- Najstarszy powiedział, że to szczepionka - odparła dziewczyna, odwracając się.

- Hej, zaczekaj... Stój! - Chciałam ją gonić, ale zatrzymało mnie ogrodzenie.

Nieznajoma przystanęła, lecz tylko po to, by przygotować się do złapania kolejnego królika.

- Wystarczy, że spojrzysz na ekran tego komputera. Przecież tam jest napisane czarno na białym, że to zmodyfikowany genetycznie materiał. Czarno. Na. Białym. - Wskazałam na urządzenie. Dziewczyna popatrzyła na nie z zaciekawieniem, jakby nie rozumiała, o co chodzi, mimo że lista, którą uzupełniała, była wyraźnie podpisana. - Tylko spójrz, przeczytaj. Widzisz tam słowo „szczepionka”?

Pokręciła powoli głową, wpatrując się w treść wyświetloną na ekranie.

- A to znaczy, że... - Czekałam, aż sama dojdzie do odpowiednich wniosków. Ponieważ jednak szło jej to bardzo opornie, podpowiedziałam: - To znaczy, że wcale ich nie szczepisz. Modyfikujesz ich DNA.

Popatrzyła na mnie wielkimi oczami i przez chwilę miałam wrażenie, że zrozumiała.

- Och, nie - odezwała się wreszcie. - Mylisz się. Najstarszy mi powiedział. Szczepionki. - Podała mi koszyk ze strzykawkami, żebym sama mogła zajrzeć do środka. - Dzięki nim króliki są zdrowsze. Silniejsze. Mają lepsze mięso.

Chciałam protestować, ale wystarczyło spojrzeć w te ogromne, puste i niewinne oczy, by zdać sobie sprawę, że dyskusja mija się z celem. Zaczęłam drzeć, chociaż nie miało to nic wspólnego z chłodem potu wysychającego na mojej skórze. Wszystko wskazywało na to, że Najstarszy sprawuje nad statkiem absolutną kontrolę. Nie wiedziałam, dlaczego ta dziewczyna jest aż tak bezmyślna, by zaprzeczać faktom tylko dlatego, że nie zgadzają się ze słowami Najstarszego. Nie mogłam też być pewna, czy to Najstarszy stał za odłączeniami komór kriogenicznych, ale jedno wydawało się pewne. Jeśli to rzeczywiście był on - człowiek, któremu ślepo wierzył każdy pasażer statku - to nie miałam z nim żadnych szans.

Następnego ranka pod drzwiami mojej kwatery migotało światło gwiazd. Ziewnąłem i przeciągnąłem się, wchodząc do Wielkiej Sali. Okazało się, że Najstarszy opuścił osłony mapy nawigacyjnej, pod którymi świeciły żarówki.

- Dzień dobry - powitał mnie. Opierał się o ścianę obok wejścia do swojej kwatery, wpatrzony w fałszywe gwiazdy. Przesunął się niezdarnie, gdy usiadłem obok niego. Usłyszałem brzęk szkła - butelki z napojem wytwarzanym przez sterników. Najstarszy próbował ją przede mną ukryć, ale zrobił to zbyt wolno.

Wpatrywaliśmy się w żarówki.

- Czasami zupełnie o tym zapominam - powiedział Najstarszy.

- O tym, jakie to trudne. Robię to już... zbyt długo - westchnął. Mimo że w powietrzu wisiała ostra, drażniąca woń napoju, nie był odurzony. Zerknąłem na butelkę - otworzył ją, ale upił co najwyżej łyk, może dwa. Musiałem wierzyć, że taka mała ilość nie pozbawi go kontroli.

- Sam wiem, jakie to trudne - potwierdziłem.

Najstarszy pokręcił głową.

- Nie, nie wiesz. Tylko ci się tak wydaje. Dla ciebie to dopiero początek. Jeszcze nie musiałeś... podejmować takich decyzji, jakie ja podejmowałem. Nie musiałeś z nimi żyć.

Co chciał przez to powiedzieć?

I co takiego zrobił?

Jakaś część mnie - ta, która wiedziała, jak to jest być Starszym przez szesnaście lat, ale nie miała pojęcia, jak to jest być Najstarszym przez pięćdziesiąt sześć - zapytała: co musiał zrobić?

Bo znałem Najstarszego i, co więcej, znałem jego obowiązki. Wiedziałem, dlaczego musimy je wypełniać. Dlaczego musimy nimi żyć. Dlaczego musimy.

- Byłoby znacznie łatwiej, gdyby poprzedni Starszy żył. Zająłby się tobą i Godami, a ja mógłbym zadbać o...

- O co? - spytałem, nachylając się.

- O wszystko inne.

Wstał, a fałszywe gwiazdy obsypały jego ciało świetlistymi cętkami. Wyglądał na bardzo starego, znacznie starszego niż kiedykolwiek wcześniej. Ale to nie wiek go postarzał.

- Nienawidzę Godów - jego głos ociekał odrazą.

Już chciałem zapytać dlaczego, ale on patrzył w inną stronę, a ja czułem, jak sztywnieje mi język. Może dlatego, że sam nie miał nikogo do pary? Nigdy nie widziałem, by patrzył na jakąkolwiek kobietę tak jak Harley na swoją dziewczynę... albo jak ja na Amy.

Może miał kogoś przede mną, w czasie swoich Godów. Może jego kobieta już nie żyła. A może... Przelknąłem ciężko ślinę. Nie powiem, że nigdy wcześniej się nad tym nie zastanawiałem. Czy to możliwe że Najstarszy był moim...

- Zapomnij o dumie - powiedział, przerywając mój tok myślowy.

- Słucham?

- Zapomnij o dumie. Rób wszystko, co musisz robić, czy ci się to podoba, czy nie. Nie masz być z czego dumny, nie jako Najstarszy. Pamiętaj, że nie istnieje jedna właściwa odpowiedź. Po prostu zadbaj, żeby przeżyli. Nieważne jak. Zadbaj, by ten gzyfowy statek nie rozpadł się na kawałki.

Podniósł praktycznie pełną butelkę i zamknął się w ciemnej kwaterze. Metalowe ekrany zasłoniły gwiazdy i ja też zostałem sam w mroku.

Godzinę później nadeszła pora dnia. Najstarszy wyłonił się ze swej jaskini. Jego ubranie było nieskazitelnie czyste, wzrok ostry, a oddech świeży. Zdaje się, że z butelki nic nie ubyło. Rozmowa pod fałszywymi gwiazdami wydała mi się snem.

Ruszył do włazu prowadzącego na Poziom Sternika. Stukot jego stóp na metalowej podłodze, nierówny z powodu chromiej nogi, był jedynym dźwiękiem zakłócającym ciszę.

- Spędziłeś wczoraj cały dzień z dziewczyną z SolZiemi - odezwał się wreszcie, podnosząc klapę włazu.

Wzruszyłem ramionami.

- Nie mam teraz czasu na twoją naukę, statek jest najważniejszy. Ale coś mi mówi, że całkowicie zignorowałeś moje polecenie, zgadza się? Nie sprawdziłeś, co jest trzecią przyczyną niezgody.

Wbiłem wzrok w podłogę. Zupełnie zapomniałem. Miałem wrażenie, że to było tak dawno temu... Kiedy podniosłem głowę, Najstarszy patrzył w bok, unikając mojego spojrzenia. Nie wiedziałem, co sobie teraz myślał, ale na pewno nic dobrego.

- Świetnie - rzucił po chwili.

- Świetnie?

- Spędzaj z nią czas. Przekonasz się na własne oczy, jakie problemy na nas ściąganie.

Zszedł włazem na Poziom Sternika, pozostawiając mnie sam na sam z pytaniami, na które i tak nie znalazłbym odpowiedzi.

Ruszyłem prosto do grawiszybu i zjechałem na Poziom Żywiciela. Kimże byłem, by kwestionować decyzje Najstarszego? A skoro sam chciałem, że bym odłożył na bok obowiązki i zaczął spędzać więcej czasu z Amy... Przed Salą Nagrań stał Orion, zasłaniając plecami portret Najstarszego. Z jakiegoś powodu sprawiło to, że się uśmiechnąłem. Pomachałem do

niego, przechodząc obok.

Chyba nigdy wcześniej ogród nie był tak zatłoczony. Zewsząd dolatywały jęki i dyszenie ludzi parzących się za krzakami, pod drzewami, u stóp posągu, a nawet na samym środku ścieżki. Żeby dostać się do Szpitala, musiałem przeskakiwać nad poruszającymi się rytmicznie, spoconymi ciałami.

Na szczęście winda była pusta, choć wypełniająca ją woń świadczyła, że od niedawna.

W Izolacie panowały przynajmniej pozory normalności. Co prawda Yictria i Bartie całowali się w kącie, a kilkoro członków trupy aktorskiej obściskiwano się pod ścianami, lecz praktycznie wszyscy mieli na sobie kompletny ubiór.

Gdy pukałem do drzwi pokoju Amy, po części spodziewałem się, że będzie dokładnie taka sama jak pozostali - a po części miałem nadzieję, że będzie. Nic bardziej mylnego. Stała ubrana przy oknie i wyglądała na zewnątrz.

- Dlaczego oni to robią? Publicznie, dosłownie wszędzie... - wyszeptała, gdy wszedłem do pokoju.

- W końcu mamy teraz Gody.

- To nie jest normalne, ludzie się tak nie zachowują. Oni się nie kochają, tylko parzą. Wzruszyłem ramionami.

- Oczywiście, że się parzą. O to chodzi. O stworzenie nowego pokolenia.

- Wszyscy jednocześnie dochodzą nagle do wniosku, że mają ochotę na seks?

Przytaknąłem. Może rodzice nigdy nie mówili jej o Godach, ale na pewno była już wystarczająco dojrzała, żeby wiedzieć to i owo. Wszystkie gatunki zwierząt przechodzą ruję. Ludzie parzą się tak jak krowy, owce i kozy.

Amy parsknęła.

- Pewnie dodali coś do wody - zaśmiała się słabo, jakby to był dowcip. Przez jej twarz znów przemknął jednak ponury cień. - Ale to nie jest naturalne - dodała szeptem, chyba głównie do siebie.

Nie odpowiedziałem. W mojej głowie kłębiły się wyobrażenia, jak to będzie, gdy oboje skończymy dwadzieścia lat i nastanie pora naszej rui. Tylko naszej.

Uświadomiłem sobie, że Amy coś powiedziała. Potrząsnąłem głową, by pozbyć się myśli, które próbowały mną zawładnąć.

- No więc? - spytała.

- No więc co?

- Zjedziemy na dół, żeby zobaczyć moich rodziców?

Wzięłem głęboki wdech i powoli wypuściłem powietrze z płuc.

- Amy, oni nadal są zamrożeni.

- Wiem - odpowiedziała miękko, opanowanym głosem. - Ale chcę ich zobaczyć. Nie wydaje mi się, żebym potrafiła trzymać tam straż, jeśli najpierw normalnie ich nie zobaczę.

Więc zjechaliśmy na dół.

Światła na poziomie kriogenicznym były pozapalane. Amy pierwsza wysiadła z windy i zaczęła rozglądać się po długich rzędach komór.

Podążyłem za nią cicho, gdy weszła w jedno z przejść. Stukała palcami w drzwiczki, a na końcu rzędu odwróciła się w moją stronę.

- Nawet nie wiem, która to komora - przyznała. Wyglądała na zagubioną.

- Mogę to sprawdzić. - Wyminąłem ją, podchodząc do stołu na końcu przejścia, i podniosłem z blatu plastplej. - Jak się nazywają?

- Maria Martin i Bob... Robert Martin.

Wstukalem ich dane przez klawiaturę dotykową na wyświetlaczu.

- Numery czterdzieści i czterdzieści jeden - powiedziałem. Nawet nie zdążyłem odłożyć plastpleja, a Amy już popędziła wzdłuż rzędu komór, odliczając pod nosem. Zatrzymała się przed parą drzwiczek oznaczonych numerami jej rodziców.

- Mam otworzyć? - spytałem.

Skinęła głową, więc zbliżyłem się do niej z wyciągniętą ręką, ale ona złapała mnie za nadgarstek. Stwierdziła, że chce sama, chociaż wcale nie otwierała. Po prostu stała, wpatrując się w zamknięte drzwiczki.

35

AMY

Chcę ich zobaczyć.

Chcę śledzić wzrokiem zmarszczki uśmiechu przebiegające przez twarz mamy. Chcę otrzeć się gładkim policzkiem o drapiącą brodę taty.

Chcę ich zobaczyć.

Ale nie chcę na nich patrzeć, gdy są zamrożonym mięsem.

36

STARSZY

- Amy?

Oboje z Amy obróciliśmy się na pięcie. Na końcu rzędu komór stał Harley.

- Co tutaj robisz? - spytałem.

Harley podszedł do nas, ziewając.

- Trzymałem straż, tak jak uzgodniliśmy. Oprócz waszej dwójki nikogo tu nie było.

- Dzisiaj ja zostanę - postanowiłem, gnębiony poczuciem winy na widok cieni pod oczami Harleya.

- Gdzie tam, nie zostaniesz. - Wyszczrzył do mnie wesoło zęby. - Nie możesz. Najstarszy by zauważył. A mnie się tu podoba, jest cicho i mogę w spokoju malować. - Dobrze znałem Harleya i wiedziałem, że czasami dostaje na jakimś punkcie fioła. Pewnie spędził więcej czasu na patrzeniu w gwiazdy niż na pilnowaniu zamrożonych.

Pochyliłem się do niego, żeby Amy mnie nie słyszała.

- Ale twoje leki...

Nie chodziło mi wyłącznie o niebieskobiałe stopery, które obaj musieliśmy przyjmować, a oprócz nas wszyscy pacjenci Izolatki. Harley brał dużo więcej leków z powodu swoich „napadów”, odkąd...

- Dam sobie radę - uciał. Nie byłem pewien, czy mogę mu wierzyć. Nie chciał jednak rozmawiać o tym w obecności Amy, widziałem to w jego oczach, gdy na nią patrzył.

- W takim razie chodź z nami - zachęciłem go. - Amy szuka swoich rodziców.

Harley zawahał się - chciał już wracać do gwiazd. Kiedy jednak dostrzegł, że obserwuję go z autentyczną troską w oczach, zmienił zdanie.

- W porządku - rzucił, choć zerknął w stronę korytarza prowadzącego do służby. W pustej czeluści jego oczu było coś, co sprawiło, że zacząłem się o niego martwić, coś w rodzaju chciwej tęsknoty. W podobną obsesję wpadł poprzednim razem.

- Ja już wszystko widziałam - odezwała się za moimi plecami Amy.

- Jesteś pewna? - zapytałem, a ona przytaknęła.

- Ale... nie chcesz sprawdzić swojego bagażu? - upewniłem się, patrząc na plastplej.

- Bagażu?

- Tego, który spakowałaś przed zamrożeniem. Tu jest napisane, że wszyscy mieliście bagaż.

Serce mi waliło, kiedy razem z Harleyem szłam za Starszym wzdłuż rzędu niedużych drzwiczek aż do ściany, pod którą stały jedna obok drugiej metalowe szafki.

Niczego nie pakowałam na tę podróż. Ani mama, ani tato nie mówili mi, że mogę coś z sobą zabrać.

Starszy otworzył szafkę. W środku znajdowało się dziesięć kufrów, każdy wielkości sporej walizki.

- Proszę bardzo - powiedział, wyciągając trzy z nich.

Harley i Starszy stali mi nad głową, gdy zwołam z trzask pierwszymu kufra. Wieko odskoczyło z trzaskiem pękających plomb próżniowych.

Ten kufer należał do mamy - gdy tylko go otworzyłam, uderzył mnie zapach jej perfum. Z zamkniętymi oczami wciągnęłam go głęboko w nozdrza, przypominając sobie, że tak samo pachniały jej ubrania, gdy się w nie przebierałam tak wiele lat temu. Wzięłam kolejny oddech i nagle dotarło do mnie, że czuję wyłącznie gorzki gaz konserwujący, którym musieli wypełnić wnętrze kufra, a woń perfum jest tylko wspomnieniem.

Podniosłam przezroczysty woreczek konserwujący, w którym znajdowały się zdjęcia.

- Co to jest? - spytał Harley.

- Ocean.

Zagapił się na niego z rozdziawionymi ustami.

- A to? - zapytał Starszy.

37

AM

- Tu byłam z rodziną nad Wielkim Kanionem.

Starszy chwycił zdjęcie. Przesunął palcem po korycie wyżłobionym w kamieniu przez rzekę Kolorado. Na jego twarzy malował się sceptycyzm, jakby nie dowierzał, że kanion za mną i za moimi rodzicami jest prawdziwy.

- To jest sama woda? - zdziwił się Harley, wskazując zdjęcie, na którym jako siedmiolatka budowałam z piasku zamek na plaży.

Roześmiałam się.

- Sama woda! Jest słona, ohydna, ale fale piętrzą się i opadają, dopływają do brzegu i odpływają. Razem z tatą skakaliśmy przez fale, sprawdzaliśmy, jak daleko uda nam się odpłynąć, a potem wracaliśmy na ich grzbietach na brzeg.

- Sama woda - wymamrotał Harley. - Sama woda.

Pozostałe zdjęcia nie były zbyt ekscytujące, a przynajmniej nie dla mnie. Na większości z nich występowałam ja - ja jako niemowlę, ja jako maluch, ja w ogrodzie dziadków między pnączami dyń. Ja w pierwszym dniu w szkole, ja na balu maturalnym w czarnej obcisłej sukience, a obok Jason, wręczający mi bukiet z chabrów.

Pogrzebałam głębiej w kufrze. Pamiętałam o pewnej rzeczy, której mama na pewno nie zostawiłaby na Ziemi. Gdy moje palce zamknęły się na czymś niedużym i twardym, serce zabiło mi mocniej. Wyciągnęłam z kufra aksamitne pudełko z okrągłym wieczkiem i położyłam je na dłoni.

- Co to? - zainteresował się Starszy. Harley ciągle gapił się na ocean.

W pudełeczku znajdował się złoty krzyżyk na łańcuszku. Krzyżyk mojej babci.

Starszy wybuchnął śmiechem.

- Nie mów mi, że jesteś jedną z tych, którzy wierzą w te bajki!

Śmiech zamarł mu na ustach, gdy patrząc mu prosto w oczy, zapięłam łańcuszek na szyi.

- Ten statek nazywa się „Błogosławiony” - przypomniałam mu, poprawiając krzyżyk, tak aby leżał pośrodku mojej piersi.

-, „Błogosławiony” znaczy po prostu „szczęśliwy”.

Odwróciłam się i popatrzyłam na zamrożone drzwiczki kostnicy.

- Znaczy dużo więcej.

Przełknęłam ślinę i włożyłam zdjęcia z powrotem do kufru. Zostawiłam sobie tylko to z rodziną nad Wielkim Kanionem.

Krzyżyk huśtał mi się na szyi, gdy sięgnęłam po kufer taty. Wypełniały go praktycznie same książki. Rozpoznałam niektóre z nich: dzieła zebrane Szekspira, Wędrowni Pielgrzymi, Biblia, Autostopem przez galaktykę. Kilkanaście książek na temat taktyk wojennych, sztuki przetrwania i nauki. Trzy czyste notatniki i zamknięta paczka ołówków. Odłożyłam na bok jeden notatnik i trzy ołówki.

Z wahaniem sięgnęłam z powrotem do kufru po Sztukę wojny Sun Tzu. Nigdy nie czytałam tej książki, ale sądząc po tytule, mogłam znaleźć w niej kilka wskazówek, jak poradzić sobie z człowiekiem, który odłączał zamrożonych. Włożyłam ją pod notatnik, licząc, że Starszy nie zwróci uwagi na tytuł. Coś mi mówiło, że za tym wszystkim krył się jego nauczyciel, Najstarszy, i miałam obawy, że kiedy przyjdzie co do czego, będę musiała stawić mu czoła w pojedynkę.

I wtedy go zauważyłam.

Mojego misia.

Wyciągnęłam go z kufru. Wielka zielona mucha wisiała krzywo na jego szyi, a z noska zdarł się filc. Na prawej łapce prawie nie miał futerka, bo jako niemowlę lubiłam ją ssać.

Przytuliłam Bursztynkę do piersi, tęskniąc za czymś, czego nie dadzą mi filc i trociny.

- Ostatni. - Starszy pchnął w moją stronę kufer, a ja zamknęłam ten należący do taty.

Wzięłam głęboki oddech i ścisnęłam Bursztynkę.

Ale kufer był pusty.

- Gdzie są twoje rzeczy? - spytał Harley, zaglądając mi przez ramię.

W oczach zebrały mi się łzy.

- Tato myślał, że nie dam się zamrozić - odparłam. - Nie spakował moich rzeczy, bo nie wierzył, że z nimi polecę.

38

STARSZY

- Nie przejmuj się - pocieszyłem ją. - Na statku jest wszystko, czego potrzebujesz. Nie musisz martwić się o ubrania czy takie tam.

Harley szturchnął mnie w ramię.

- No co?

Amy przytuliła wypchane zwierzę. Podniosła notatnik, ołówki, książkę i fotografię, które wyciągnęła z bagażu rodziców.

- Możemy wracać - powiedziała bezbarwnym głosem.

Harley pomógł mi schować kufry do szafki. Ciągłe rzucał mi te spojrzenia i marszczył brwi w stronę Amy, ale ja nie miałem pojęcia, o co mu chodzi.

KIĄ Prast. Łup.

Amy upuściła wypchane zwierzę i książki. Ołówki ze stukotem spadły na posadzkę, a za nimi opadło powoli zdjęcie.

- Znam ten dźwięk - wyszeptała i już po chwili gnała na złamanie karku w stronę komór z zamrożonymi ciałami.

- Amy, zaczekaj! - krzyknął Harley, a ja w milczeniu popędziłem za nią. Skręciła w rząd oznaczony sześćdziesiątkami.

- Pospieszcie się! - zawołała do nas.

Skręciłem za róg. Z przezroczystego pojemnika pośrodku przejścia unosiła się para.

- Ty to zrobiłaś? - spytałem, chociaż już znałem odpowiedź.

- Oczywiście, że nie! - rzuciła Amy zachrypniętym głosem, jakby chciała powiedzieć wszystko na raz. - Czy ona się teraz obudzi? Tak jak ja?

205

Zajrzałem do środka i zobaczyłem kobietę - wyższą i tęższą od Amy, z czarnymi kręconymi włosami i skórą ciemniejszą od mojej. Na szczycie pojemnika mrugała czerwona dioda. Zajrzałem do czarnej skrzyneczki z elektroniką - przełącznik był w niewłaściwej pozycji.

Wcisnąłem z całych sił guzik wikomu.

- Komlink: Doktor. Teraz!

- Co się stało? - w moim uchu odezwał się głos Doktora.

- Doktorze, jest następny! To znaczy następna komora! Nie ma czasu do stracenia!

- Zaraz, chwila, od początku.

- Na poziomie kriogenicznym! Ktoś wyciągnął jedną z zamrożonych, pali się czerwona dioda!

- Zaraz tam będę.

Doktor przerwał połączenie. Miałem nadzieję, że jest gdzieś w pobliżu - ze Szpitala mógł do nas dotrzeć w ciągu kilku minut, ale z Miasta czy Poziomu Sternika na pewno nie tak szybko.

- Co się dzieje? - spytał Harley.

- Ktoś zrobił tej kobiecie to samo, co mnie - wyjaśniła Amy. - Ktoś mnie odłączył i zostawił, żebym tu umarła.

- Więc ona się obudzi? - drążył Harley.

- Nie wiadomo - odparłem. - Może wystarczy ustawić przełącznik we właściwej pozycji i włożyć pojemnik z powrotem do środka, tyle że... Nie wiem. Boję się, że zrobię coś nie tak. Nie wydaje się to zbyt skomplikowane, ale...

- Nie pozwól jej się obudzić - szepnęła Amy. - Spanie w lodzie jest okropne, ale obudzenie się w samotności jeszcze gorsze.

Poczułem w sercu ukłucie. Nadal uważała, że jest tutaj samotna.

- Starszy? Starszy! - usłyszałem wołanie.

- Tutaj! - odkrzyknąłem. - Numer... - Spojrzałem na drzwi. - Numer sześćdziesiąt trzy!

Z przejścia wybiegł Doktor. Odsunąwszy Harleya na bok, nachylił się nad szklanym pojemnikiem i starł z niego wilgoć, która rozmywała widok zamrożonej kobiety.

- Musiała zostać odłączona stosunkowo niedawno. Lód dopiero zaczyna topnieć.

- To chyba dobrze, prawda? Prawda? - Amy przycisnęła palce do szkła, jakby chciała sięgnąć do środka i podtrzymać zamrożonej głowę.

- Dobrze - odpowiedział Doktor. Potrzącił mnie, więc się cofnąłem. Nachylił się nad pojemnikiem i sprawdził skrzynkę z elektroniką. Podpiął jeden z kabli do plastpleja i odczytał liczby, które pojawiły się na wyświetlaczu. Chrząknął, a ja mogłem tylko zgadywać, czy było to dobre, czy złe chrząknięcie. Wstukał kolejne liczby do plastpleja i odwiesił go, by ustawić przełącznik we właściwej pozycji. Dioda z czerwonej zmieniła się na zieloną.

Doktor wepchnął szklany pojemnik z powrotem do ciasnej wnęki, zatrzasnął drzwiczki i przekręcił uchwyt. Owiał nas lodowaty podmuch, jedyny ślad, że numer sześćdziesiąt trzy jeszcze przed chwilą tu była.

- Nic jej się nie stało - powiedział Doktorek. - Znaleźliście ją na czas.

- Ludzie? - zawołał Harley. Obejrzałem się ze zdziwieniem. Harley przeszedł na drugą stronę przejścia, poza zasięg mojego wzroku.

- Skąd wiedzieliście, że ktoś ją odłączył? - spytał Doktorek.

- Usłyszałam to - wyjaśniła Amy.

Na twarzy Doktorka pojawiły się zmarszczki koncentracji.

- Czyli człowiek, który to zrobił, był tu w tym samym czasie, co wy. Po co w ogóle tu zeszliście?

- Chciałem pokazać Amy bagaże jej rodziców - odparłem szybko, żeby Amy nie wygadała się, że tak naprawdę chcieliśmy zajrzeć do ich kriokomór. Miałem dziwne przeczucie, że przyznawanie się do majstrowania przy komorach nie byłoby dobrym pomysłem.

- Ludzie? - zawołał znowu Harley z któregoś z następnych rzędów.

- Nie podoba mi się to - mruknął Doktorek. - Ktokolwiek tu z wami był, musiał wiedzieć, że tu jesteście i że usłyszycie, co się dzieje. Czy poza waszą trójką ktoś tu zjeżdżał?

Spojrzeliliśmy z Amy na siebie.

- Nic o tym nie wiem - odparła.

- Ani ja.

- Ludzie! - wrzasnął Harley.

- No, co jest?! - odkrzyknąłem.

- Chodźcie do rzędu z dwudziestkami. Szybko!

Doktorek ruszył w jego stronę niespiesznym krokiem, ale my z Amy odgadliśmy, że coś się święci, i popędziliśmy ile sił w nogach. Niepokój w głosie Harleya nie był udawany.

Skręciliśmy w następny rząd i od razu stało się jasne, dlaczego Harley nas wołał.

Pośrodku przejścia leżał kolejny pojemnik, ale lód już się stopił. A w środku pływał martwy mężczyzna.

39

AMY

- Och...

Nie chciałam powiedzieć tego głośno.

Tylko że ja wiedziałam, kto to jest.

Pan Kennedy pracował z moją mamą i zawsze wydawał mi się odrobinę przerażający. Był jednym z tych mężczyzn, którzy nigdy się nie żenią, ale ze względu na swój wiek

uważają, że obłe zachowania ujdą im na sucho. Zawsze zaglądał mojej mamie za bluzkę, a mnie kazał podnosić różne rzeczy z podłogi, kiedy odwiedzałam rodziców w laboratorium. Mama zwykle się z tego śmiała, ale mnie zastanawiało, co pan Kennedy robi w domu ze wspomnieniami jej dekoltu albo zarysu moich majtek.

A teraz pan Kennedy nie żył. Unosił się w płynie kriogenicznym z otwartymi oczami o zmętniałych tęczówkach. Skórę miał ziemistą, jakby nasiąkł wodą niczym gąbka, usta obwisłe, a zwiotczałe policzki wyglądały jak dwa balony wypełnione wodą.

- Numer sześćdziesiąt trzy miał tylko odwrócić naszą uwagę - stwierdził Starszy.

- Nie sądzę - odezwał się Doktorek. - Ten człowiek nie żyje już od jakiegoś czasu. - Uniósł pokrywę szklanego pojemnika, a Harley i Starszy pomogli mu odłożyć ją na podłogę. Umoczył palce w płynie, w którym pływały zwłoki. - Woda jest chłodna, ale już nie zimna. Prawdopodobnie został odłączony wczoraj, może nawet wczorajszej nocy.

Wymieniłam ze Starszym spojrzenia. Podczas gdy my śmialiśmy się w deszczu, pan Kennedy tonął. Podczas gdy para na ławce uprawiała seks, pan Kennedy umierał. Podczas gdy ja ściągałam z siebie mokre ciuchy i stałam pod parującym prysznicem, pan Kennedy pływał we własnej śmierci.

I kolejna myśl: Harley był tutaj w tym samym czasie, co morderca.

- Ale dlaczego? - spytałam.

Doktorek wstukał coś do swojego plastikowego urządzenia.

- Numer dwadzieścia sześć, mężczyzna o nazwisku...

- Kennedy - uzupełniłam.

- Zgadza się. - Doktorek popatrzył na mnie zaskoczony.

- Znałam go przed zamrożeniem.

- Och, bardzo mi przykro - pocieszył mnie, ale w wyjątkowo bezceremonialny sposób, jakby robił to wyłącznie z grzeczności. - Numer dwadzieścia sześć...

- Pan Kennedy - poprawiłam go.

- Pan Kennedy był specjalistą w dziedzinie broni.

- Naprawdę? - zdziwiłam się. Choć pan Kennedy pracował w tym samym dziale, co moja mama, nigdy nie słyszałam, żeby zajmował się bronią. Mama na pewno się nią nie zajmowała. Jej praca polegała na cięciu i łączeniu fragmentów DNA, nie miała nic wspólnego z militariami.

Doktorek przytaknął.

- Był świetnie wykształcony w dziedzinie broni biologicznej. Tu jest napisane, że pracował dla rządu nad projektem bomby ekologicznej.

- Pytanie, kto za tym stoi - powiedział Starszy. - Kto odłącza tych wszystkich ludzi. Najpierw William Robertson, a teraz ten mężczyzna i kobieta z numerem sześćdziesiąt trzy...

- I jeszcze ja - przypomniałam mu.

Spojrzał na mnie, marszcząc czoło.

- Dwie ofiary i dwa niebezpieczne wypadki - podsumował Doktorek.

- I żadnego motywu. - Wpatrywałam się w ciemność wnęki, w której jeszcze niedawno leżał pan Kennedy. Dalej ciągnęły się długie rzędy ponumerowanych drzwiczek. Ciekawe, ile komór będziemy musieli jeszcze opróżnić, zanim w końcu złapiemy mordercę. się w deszczu, pan Kennedy tonął. Podczas gdy para na ławce uprawiała seks, pan Kennedy umierał. Podczas gdy ja ściągałam z siebie mokre ciuchy i stałam pod parującym prysznicem, pan Kennedy pływał we własnej śmierci.

I kolejna myśl: Harley był tutaj w tym samym czasie, co morderca.

- Ale dlaczego? - spytałam.

Doktorek wstukał coś do swojego plastikowego urządzenia.

- Numer dwadzieścia sześć, mężczyzna o nazwisku...

- Kennedy - uzupełniłam.

- Zgadza się. - Doktorek popatrzył na mnie zaskoczony.

- Znałam go przed zamrożeniem.

- Och, bardzo mi przykro - pocieszył mnie, ale w wyjątkowo bezceremonialny sposób, jakby robił to wyłącznie z grzeczności. - Numer dwadzieścia sześć...

- Pan Kennedy - poprawiłam go.

- Pan Kennedy był specjalistą w dziedzinie broni.

- Naprawdę? - zdziwiłam się. Choć pan Kennedy pracował w tym samym dziale, co moja mama, nigdy nie słyszałam, żeby zajmował się bronią. Mama na pewno się nią nie zajmowała. Jej praca polegała na cięciu i łączeniu fragmentów DNA, nie miała nic wspólnego z militariami.

Doktorek przytaknął.

- Był świetnie wykształcony w dziedzinie broni biologicznej. Tu jest napisane, że pracował dla rządu nad projektem bomby ekologicznej.

- Pytanie, kto za tym stoi - powiedział Starszy. - Kto odłącza tych wszystkich ludzi. Najpierw William Robertson, a teraz ten mężczyzna i kobieta z numerem sześćdziesiąt trzy...

- I jeszcze ja - przypomniałam mu.

Spojrzał na mnie, marszcząc czoło.

- Dwie ofiary i dwa niebezpieczne wypadki - podsumował Doktorek.

-1 żadnego motywu. - Wpatrywałam się w ciemność wnęki, w której jeszcze niedawno leżał pan Kennedy. Dalej ciągnęły się długie rzędy ponumerowanych drzwiczek. Ciekawe, ile komór będziemy musieli jeszcze opróżnić, zanim w końcu złapiemy mordercę.

40

STARSZY

Na prośbę Doktora zabraliśmy razem z Harleyem ciało Kennedyego do śluzy spustowej. Amy powiedziała, że na nas zaczeka, ale wiedziałem, że pod naszą nieobecność pójdzie sprawdzać następny rząd komór. Chciała się upewnić, czy te, w których leżą jej rodzice, są pozamykane na cztery spusty.

Doktor otworzył wewnętrzny właz śluzy, a my wrzuciliśmy ciało do środka. Zaraz potem właz zamknął się, odgradzając nas od kosmicznej czeluści. Harley wielkimi oczami patrzył przez okienko ze szkła bąbelkowego na drugą stronę, zachwycony perspektywą zobaczenia gwiazd. Ja jednak widziałem wyłącznie napuchnięte ciało Kennedyego.

Przyglądałem się Harleyowi, miliardom gwiazd w jego oczach; przyglądałem się, jak się nimi upaja, jak wchłania je całą duszą. Podniósł ręce do okienka i nagle uderzyła mnie krótka, ale upiorna wizja, w której Harley próbuje otworzyć właz i polecieć za Kennedym, aby dotrzeć do gwiazd. Właz zamknął się jednak, a w oczach Harleya wciąż migotał srebrzysty blask.

- Nigdy wcześniej nie widziałem nic tak pięknego - wyszeptał.

- Pewnie. Pan Kennedy z pewnością podzielił twoje zdanie - mruknąłem, ale on nie usłyszał sarkazmu w moich słowach.

- Chodźcie, chłopcy - zawołał Doktor. Zmartwienie wyraźnie pogłębiło zmarszczki pod jego oczami.

Amy przetarła twarz, gdy wróciliśmy do sali. Trzymała wypchane zwierzę, notatnik, książkę, ołówek i zdjęcie, które upuściła przy szafkach. Doktor zauważył to wszystko, ale postanowił darować sobie komentarze. Podniósł za to plastplej i zaczął przeglądać jego zawartość. Grał na czas. Przygotowywał się, by powiedzieć coś, co zaprzętało mu głowę.

No tak, wszystko jasne. Nie wiedział, w jaki sposób skontaktować się z Najstarszym i powiedzieć mu o całym zajściu. Już rozumiałem, dlaczego bawi się plastplejem - zastanawiał się, jak ze mną porozmawiać, żebym przystał na jego wersję wydarzeń.

Wyprostowałem odrobinę plecy. Jeszcze niedawno Doktor połączyłby się z Najstarszym, nawet o mnie nie myśląc i niczego ze mną nie konsultując.

- Starszy - odezwał się po chwili - wiem, że rozumiesz powagę sytuacji. Amy, Harley,

pod żadnym pozorem nie wolno wam nikomu o tym mówić. Ani o Kennedym, ani o służbie - spojrzał surowo na Harleya - ani o zamrożonych ludziach. Nikt nie może wiedzieć, że pod Szpitalem istnieje jeszcze jeden poziom. Musimy to zachować w tajemnicy.

Jeszcze tylko chwila. Czułem to. Widziałem, jak Doktorka dręczy pytanie, czy nie powinien wspomnieć o tym także Najstarszemu.

Podniósł rękę do wikomu.

Proszę bardzo. Tak jak przewidywałem.

- Nie musisz komować do Najstarszego - powiedziałem. - Ręczę za Amy i Harleya. - Stałem pomiędzy nimi a Doktorkiem. Zawsze byłem wysoki, ale teraz wyprężyłem się jak struna, zmuszając go, by spojrzał w górę.

Zawahał się, ale w końcu się zgodził.

- To ty jesteś Starszym. - Chciał przez to powiedzieć, że to ja będę odpowiadać przed Najstarszym.

- O mnie i o Rybkę nie musisz się martwić - wtrącił Harley, obejmując Amy. - Damy sobie radę.

Doktorek znów zaczął mieć wątpliwości.

- Może jednak powinienem zakomować do Najstarszego, żeby zapytać, co on o tym myśli...

- Nie - rzuciłem krótko.

- Słucham?

- Mam taki sam autorytet, jak on. Na górze trwają Gody, narodzi się z nich moje pokolenie. Doktorze, musisz nauczyć się ufać także mnie, a nie tylko Najstarszemu. A ja twierdzę, że Amy i Harley mogą o tym wiedzieć i że my możemy im zaufać. Uważam także, że powinniśmy już wracać, ale najpierw - dodałem, nie pozwalając mu zaprotestować - pokaż mi swój plastplej.

- Mój...

- Plastplej. - Wyrwałem mu z zeszywniałych palców cyfrowy wyświetlacz membranowy. Skaner zidentyfikował odcisk mojego kciuka i przyznał mi dostęp na poziomie Najstarszy/Starszy. Zaciemniwszy tył wyświetlacza, wstukałem szybko polecenia. Nie chciałem, żeby widzieli, czego szukam.

Próbowałem się dowiedzieć, kto przebywał wcześniej na poziomie kriogenicznym. Skanery przy drzwiach odczytywały odciski palców - nie powinienem mieć zbyt wielu problemów z prześledzeniem śladu kciuka prowadzącego na ten poziom, do tego rzędu komór kriogenicznych i w końcu do mordercy bezbronnej ofiar. I rzeczywiście, wszystko poszło

jak z płatka. Kiedy sprawdzaliśmy ślady za pierwszym razem, nie wiedzieliśmy, jaki zakres czasowy nas interesuje. Był tu wtedy Doktorek, Najstarszy, a także kilku naukowców z Poziomu Sternika.

Ale od tamtej chwili oprócz nas na poziomie krio przebywała tylko jedna osoba.

Gapilem się na imię, które pokazywał mi plastplej.

Najstarszy.

41

AMY

Starszy nie wszedł z nami do windy.

- Muszę tu coś jeszcze załatwić - powiedział. W jego postawie było coś mrocznego, poważnego. Dopiero teraz, gdy wreszcie stanął prosto, zauważyłam, jak bardzo się wcześniej garbił. Dowiedziałam się, że w przyszłości ma zostać dowódcą, bo powiedzieli mi o tym Doktorek i Najstarszy, ale teraz patrzyłam na niego i widziałam zdeterminowanego lidera.

Po części chciałam tutaj zostać. Chciałam chronić rodziców przed człowiekiem, który był wystarczająco sprytny, by odłączać zamrożonych nawet wtedy, gdy przebywaliśmy z nim na tym samym poziomie. Widziałam jednak, że Starszy - z sobie tylko znanych powodów - musi zostać tu sam, a ja ufałam, że ochroni moich rodziców.

- Starszy, myślę, że powinieneś z nami wrócić i spotkać się z Najstarszym - zaprotestował Doktorek.

- Och, na pewno się z nim spotkam - odparł Starszy, po czym wyciągnął rękę do panelu windy, wybrał piętro i odstał krok w tył, patrząc na zasuwające się drzwi. Widziałam przez coraz węższą szparę, jak się odwraca i rusza zdecydowanym krokiem w głąb korytarza.

- Widzieliście, jak zżera go hucpa? - odezwał się Harley tonem wyjątkowo swobodnym jak na kogoś, kto przed chwilą wyrzucił martwe ciało w kosmos.

Doktorek chrząknął znacząco.

Wpadł z windy, gdy tylko się otworzyła. Obserwowałam go, czekając, aż wciśnie guziczek za lewym uchem i doniesie na Starszego, ale on nie zamierzał tego zrobić - po prostu szedł korytarzem.

- Chcesz wrócić do Izolatki? - spytał Harley, wyciągając do mnie rękę w parodii rycerskiego gestu.

- Chodźmy do tego ogrodu, który pokazał mi Starszy - zaproponowałam.

- Och, więc już pokazał ci ogród? - Rozciągnął usta w krzywym uśmiechu i wyszedł z windy.

- To musi być dla niego dziwna sytuacja. Jest najmłodszy na statku, ale pełni też rolę kogoś w rodzaju dowódcy. Nie wiem, czy potrafiłabym wydać rozkaz starszej osobie i jeszcze oczekiwać, że ona ten rozkaz wykona.

Harley zerknął na mnie kątem oka.

- Jesteś naprawdę dziwna, Rybko.

- A to niby czemu? - spytałam i uśmiechnęłam się do niego, podejmując grę.

- Zastanawiasz się, co jest dla Starszego dziwne na tym statku, ale to przecież ty jesteś rybką bez wody.

Prychnęłam.

- Łatwiej mi myśleć o Starszym niż o sobie. - Niespodziewanie poczułam, jak do oczu napływają mi łzy. Nie sądziłam, że z moich ust wyjdą słowa tak bliskie prawdy.

W lobby Harley przytrzymał przede mną drzwi, a ja wyszłam na zewnątrz. Uderzyło we mnie jaskrawe światło i zapach trawy po lekkim deszczu.

A także kwaśna, pierwotna woń seksu.

- Niech to gzyf, całkiem zapomniałem o Godach - rzucił Harley, gdy wpadła na niego na wpół rozebrana para. Chłopak i dziewczyna byli tak pochłonięci namiętnymi pocałunkami i wzajemnym obłapianiem się, że w ogóle go nie zauważyli. - Wracajmy do środka.

- Daj spokój, po prostu pójdziemy gdzieś, gdzie nie ma tylu ludzi. Dłużej już chyba nie wytrzymam w środku. - Wydawało mi się, że już nigdy nie polubię zamkniętych przestrzeni. Gdy byłam młodsza, to znaczy przed zamrożeniem, nigdy nie miałam klaustrofobii. A teraz nawet tutaj, na zewnątrz, na skraju ogrodu, ciasne obręcze niemal wyciskały mi powietrze z płuc, a mój wzrok uciekał w kierunku ścian, które na mnie napierały. Zamknęłam oczy. Kiedy otym myślałam, było dużo, dużo gorzej.

- Tu jest niezłe światło - powiedział Harley, gdy oddalaliśmy się ścieżką od szpitala. - Szlag, szkoda, że nie zabrałem z sobą farb!

- No to leć po nie - zachichotałam. - Zaczekam.

Harley zawahał się.

- Teraz nie jest tu bezpiecznie.

Przypomniałam sobie tłum, na który wpadłam podczas pierwszej przebieżki. Wyglądało na to, że teraz jest idealny czas, by poszpendać się po okolicy - nikt nie zwróci na mnie uwagi, bo wszyscy byli zbyt pochłonięci sobą.

- Serio - powiedziałam, kiedy Harley spoglądał tęsknie w stronę Szpitala. - Poczekam przy tamtym polu pszenicy. Nikogo tam nie ma, wszyscy są w ogrodzie albo na drodze.

- Chodź ze mną - stwierdził Harley. Chwycił mnie za rękę i zaczął ciągnąć w stronę

budynku, ale ja wyrwałam się z jego uścisku.

- Naprawdę nie chcę teraz wchodzić do środka. Potrzebuję świeżego powietrza. No idź! - zaśmiałam się, popychając go. - Poradzę sobie.

Harley znów się zawahał, ale farby stanowiły dla niego pokusę nie do odparcia.

- Uważaj na siebie, Rybko - ostrzegł mnie z powagą, więc pokiwałam głową.

Popędził do Szpitala, a ja ruszyłam spacerowym krokiem w przeciwną stronę.

Miałam rację - im bardziej oddalałam się od ogrodu, tym mniej ludzi spotykałam. Ścieżka była praktycznie pusta. Tylko dzięki głośnym jękom i stęknieniom wiedziałam, że dookoła kryją się ludzie: na polach, za drzewami, w rowie przy drodze. Starłam się ich ignorować; widok ich rozwiązłości przyprawiał mnie o ciarki. Jasne, gdy żyłam na Ziemi, widziałam seks w telewizji chyba z milion razy, ale ujrzeć równie wyuzdane sceny na własne oczy to coś zupełnie innego.

- To ona.

W pierwszym instynktownym odruchu zamarłam, w drugim chciałam uciekać. Zorientowałam się po tonie głosu, że chodzi o mnie. Zaryzykowałam spojrzenie do tyłu. Szli za mną trzej mężczyźni w wieku Harleya. Dwóch nie rozpoznałam, ale z postury byli to żywiciiele wykonujący jakieś ciężkie prace fizyczne.

Krew zastygła mi w żyłach.

Trzeciego miałam już okazję poznać.

Luthe, który nie potrafił oderwać ode mnie wzroku, gdy siedział w Izolatce.

- Hej, dziwolągu! - zawołał, zorientowawszy się, że na niego patrzę. Pomachał do mnie w szyderczym geście powitania.

Przyspieszyłam, zastanawiając się, czy ktokolwiek z tłumu jęczących, spoconych ludzi zareaguje, gdy zawołam o pomoc. Jakoś w to wątpiłam.

Usłyszałam za plecami ciężkie kroki. Były dłuższe od moich - oni też zwiększyli tempo.

- Ja chyba bym nie chciał z odmieńcem - stwierdził jeden z nich.

- Ale ja chętnie - odparł Luthe.

Przestałam się przejmować tym, jak wyglądam, i rzuciłam się do ucieczki. Przebierałam nogami mocno i wysoko, a przerażenie napędzało mój organizm. Jeden z nieznajomych zaklął, a ja już wiedziałam, że pościg depcze mi po piętach. Skręciłam w pole, ale zboże tylko mnie spowolniło, a poza tym zostawiałam za sobą wyraźne ślady. Przeskoczyłam nad parą splecioną w miłosnym uścisku, która nawet nie zauważyła mojej obecności, nie wspominając już o moich kłopotach.

Zbyt blisko.

A ja byłam zbyt głupia. Potknęłam się o dwa podrygujące ciała. Wylądowałam w zbożu i potoczyłam się przez wysokie ostre łodygi. Leżąc na mężczyźnie dziewczyna popatrzyła na mnie oczami zamglonymi od pożądania i uśmiechnęła się zapraszająco. Cofnęłam się, czując, jak zboże pęka pod ciężarem mojego ciała. Próbowałam wstać - zbyt wolno.

Jeden z wielkich żywicieli dopadł mnie pierwszy.

Chciałam się wyrwać, ale gwałtowne ruchy tylko go podniecały. Przestałam poruszać ciałem i spróbowałam uwolnić same ręce. Umięśnionymi łapskami przycisnął mi jednak dłonie do ziemi.

W tej samej chwili dogonili nas dwaj pozostali mężczyźni. Drugi żywiciel złapał mnie za kostki, a Luthe usiadł obok mnie na ziemi i nachylił się nad moją twarzą. Szeroko uśmiechnięty.

Rechotali głębokimi, gardłowymi głosami, w których nie było ani krzty wesołości. Zaczęłam się miotać.

Odwrociłam głowę w stronę pary, o którą się potknęłam.

- Pomocy! - krzyknęłam.

Kobieta wygięła plecy w łuk i napała na mężczyznę biodrami.

- Pomocy!

Leżący pod dziewczyną mężczyzna patrzył na mnie, ale jego oczy były szkliste. Uśmiechnął się z rozmarzeniem, a dziewczyna dostrzegła to i wykręciła się w moim kierunku.

- Boli tylko za pierwszym razem - powiedziała. Znów docisnęła biodra do kochanka, a on jęczał i jęczał, i już po chwili w ogóle o mnie zapomnieli.

Luthe siadł na mnie okrakiem, po czym zerwał ze mnie tunikę. Zaklął na widok podkoszulka, który nosiłam zamiast stanika, i jego też się pozbył. Potargane łachmany trzymały się na moich rękach, ale piersi miałam odsłonięte. I mimo że połowa pasażerów błąkała się po statku rozebrana, w miłosnym odurzeniu, byłam zawstydzona swą nagością. I przerażona.

Luthe pochylił się i wtulił twarz w moje piersi. Próbowałam się wyrwać, ale on jęknął z pożądania i mocniej docisnął mi biodra do ziemi. Jedną ręką zaczął gmerać przy spodniach, drugą miętosząc moje piersi. Mocno. Z gardła żywiciela trzymającego mnie za ręce wydobył się pomruk. Mężczyzna zgiął się, liżąc mnie po rękach. Zaczął szczypać mnie zębami, początkowo delikatnie, ale już po chwili jego ugryzienia stały się mocniejsze. Gdyby to Jason tak mnie gryzł, nawet by mi się podobało.

Rozpłakałam się. Żywiciel patrzył mi w twarz, lecz jego oczy ziały bezdenną pustką. Był podniecony jak zwierzę w czasie rui, czego nie dało się powiedzieć o Luthem, który szczyrzył do mnie zęby w szerokim uśmiechu. Obserwował mnie od momentu, kiedy po raz pierwszy weszłam do Izolatki.

On wiedział.

Widziałam to w jego oczach. Większość ludzi - a w każdym razie większość żywicieli - zachowywała się jak zwierzęta. Ale ten facet niczego nie improwizował. Dobrze wiedział, co robi.

I czerpał z tego przyjemność.

Nie było dla mnie nadziei.

Mężczyzna trzymający mnie za kostki próbował zerwać mi spodnie.

Kopnęłam i byłam prawie pewna, że trafiłam piętą w jego zęby. Wrzasnął, tylko że tym razem nie był to krzyk podniecenia, lecz bólu. Luthe wpadł jednak na inny pomysł i zaczął szarpać za pasek moich spodni.

Otworzyłam usta, by krzyknąć, i wówczas żywiciel trzymający mnie za ręce przycisnął swoje usta do moich warg. Wsunął mi język głęboko do gardła i krążył nim wokół mojego podniebienia.

Ugryzłam, nie puszczając nawet wtedy, gdy poczułam smak krwi; zaciskałam szczęki, choć próbował wyrwać język spomiędzy moich zębów. W końcu mu się udało, a ja wypłułam krew i krzyknęłam.

- Rybko! Amy! - usłyszałam spanikowany głos Harleya.

- Harley! - wrzasnęłam ile sił w płucach. - Harley!!!

Dopadł nas i z impetem trzasnął drewnianą sztalugą Luthego.

Sztaluga złamała się, a wtedy Harley zaczął tłuc go pięściami. Zwinęłam się w kłębek, zasłaniając się własnym ciałem i dławiąc łzami. Żywiciele uciekli, lecz Luthe wstał, by walczyć. Krążyli wokół siebie z Harleym niczym dwa sępy nad padliną. Dotarło do mnie, że to ja nią jestem. Luthe trafił pierwszy, ale Harley uderzył mocniej. Luthe padł na ziemię, wciąż jednak był przytomny. Harley chwycił mnie za nadgarstek.

- Szybciej, szybciej, szybciej! - rzucił, podnosząc mnie z ziemi. Luźne spodnie zsuwały mi się z bioder. Złapałam je jedną ręką, a drugą Harleya, i pędziłam, pędziłam, pędziłam przed siebie na złamanie karku, słysząc za sobą ciężkie kroki pogoni. Choć jakiś czas później umilkły, ja wciąż biegłam, biegłam i biegłam. Trzymałam się Harleya jak ostatniej deski ratunku.

Widziałam to w jego oczach. Większość ludzi - a w każdym razie większość żywicieli

- zachowywała się jak zwierzęta. Ale ten facet niczego nie improwizował. Dobrze wiedział, co robi.

I czerpał z tego przyjemność.

Nie było dla mnie nadziei.

Mężczyzna trzymający mnie za kostki próbował zerwać mi spodnie.

Kopnęłam i byłam prawie pewna, że trafiłam piętą w jego zęby. Wrzasnął, tylko że tym razem nie był to krzyk podniecenia, lecz bólu. Luthe wpadł jednak na inny pomysł i zaczął szarpać za pasek moich spodni.

Otworzyłam usta, by krzyknąć, i wówczas żywiciel trzymający mnie za ręce przycisnął swoje usta do moich warg. Wsunął mi język głęboko do gardła i krążył nim wokół mojego podniebienia.

Ugryzłam, nie puszczać nawet wtedy, gdy poczułam smak krwi; zaciskałam szczęki, choć próbował wyrwać język spomiędzy moich zębów. W końcu mu się udało, a ja wyplułam krew i krzyknęłam.

- Rybko! Amy! - usłyszałam spanikowany głos Harleya.

- Harley! - wrzasnęłam ile sił w płucach. - Harley!!!

Dopadł nas i z impetem trzasnął drewnianą sztalugą Luthego.

Sztaluga złamała się, a wtedy Harley zaczął tłuc go pięściami. Zwinęłam się w kłębek, zasłaniając się własnym ciałem i dławiąc łzami. Żywiciele uciekli, lecz Luthe wstał, by walczyć. Krążyli wokół siebie z Harleym niczym dwa sępy nad padliną. Dotarło do mnie, że to ja nią jestem. Luthe trafił pierwszy, ale Harley uderzył mocniej. Luthe padł na ziemię, wciąż jednak był przytomny. Harley chwycił mnie za nadgarstek.

- Szybciej, szybciej, szybciej! - rzucił, podnosząc mnie z ziemi. Luźne spodnie zsuwały mi się z bioder. Złapałam je jedną ręką, a drugą Harleya, i pędziłam, pędziłam, pędziłam przed siebie na złamanie karku, słysząc za sobą ciężkie kroki pogoni. Choć jakiś czas później umilkły, ja wciąż biegłam, biegłam i biegłam. Trzymałam się Harleya jak ostatniej deski ratunku.

42

STARSZY

Orion powiedział mi, że z Najstarszym wygram tylko wówczas, gdy przechytrzę go podstępem. Nigdy wcześniej nie miałem powodów, by uciekać się do podstępu.

Co nie znaczy, że nie wiedziałem, jak to zrobić.

Gdy tylko winda się zamknęła, zabierając Amy, Harleya i Doktorka z powrotem do

Szpitala, obróciłem plastplej w dłoniach.

W pierwszej kolejności sprawdziłem logi skanerów biometrycznych. Wczoraj wieczorem winda otworzyła się po zidentyfikowaniu odcisku Harleya, który spędził tutaj całą noc. Doktorek zjechał na dół wczesnym rankiem i wrócił na górę zaledwie kilka minut później, jeszcze przed zapaleniem się lampy solarnej. Między jego a moim imieniem widniał jednak jeszcze jeden wpis.

Najstarszy/Starszy, czas 0724

Nie było mnie tutaj o 7.24 rano, myślałem. Czyli pozostaje Najstarszy.

Tylko gdzie on teraz jest?

Sprawdzenie tego nie powinno okazać się zbyt trudne. Aktywowałem dostęp skanem kciuka i otworzyłem lokalizator wikomów.

Powiększyłem widok. Doktorek siedział w swoim gabinecie. Bartie i Victria znajdowali się w świetlicy, stali bardzo blisko siebie. Harley przemieszczał się ścieżką w kierunku pół. Sądząc po jego prędkości, musiał biec. Ciekawe, dokąd mu się tak spieszyło... Amy nie było na wyświetlaczu - ona nie miała wikomu.

- Znajdź: Najstarszy - wydałem komendę. Jeden z punkcików zaczął mrugać na niebiesko.

A zatem Najstarszy znajdował się na poziomie kriogenicznym, za rzędami komór i za drzwiami po przeciwnej stronie pomieszczenia. W „drugim” laboratorium Doktora.

Drzwi były zamknięte. Nie sądziłem, by Najstarszy wpuścił mnie, kiedy zapukam. Orion powiedział mi również, że zasady nie dotyczą Najstarszego, że Najstarszy ich nie przestrzega. Co w takim razie powinienem zrobić?

Po namyśle wszedłem do środka. Natychmiast uderzyła mnie woń środków do dezynfekcji. Pod jedną ze ścian ciągnęły się długie rzędy cylindrów chłodniczych. Wszystkie były wypełnione płynem kriogenicznym i bańkami śluzu, w których pływały fragmenty jakiejś masy. Chociaż wiedziałem, że powinienem szukać Najstarszego, kuśiło mnie, by spojrzeć z bliska na dziwną galaretowatą substancję. Grudki wypełniające każdą z baniek przypominały zwinięte, zdeformowane fasolki.

- To embriony.

Najstarszy przyłapał mnie, ale nie wyglądał na wściekłego. Wręcz przeciwnie, wydawał się zadowolony z mojej wizyty. Zamiast ulgi czułem jednak podwójne zdenerwowanie.

- Kiedy już wylądujemy, będziemy je sztucznie hodować.

- Embriony czego? - Niepostrzeżenie wsunąłem plastplej do kieszeni. Najstarszy nie

musi wiedzieć, że go szukałem, skoro i tak znalazł mnie pierwszy.

- Zwierząt. Patrzysz teraz na embrion kota. Chyba pumy, a może rysia... Musiałbym to dokładnie sprawdzić.

Próbowałem sobie przypomnieć, czym jest puma. To chyba coś podobnego do lwa, ale zdjęcia, które widziałem na plastplejach w Sali Nagrań, zlewały się z sobą.

- Po co je przewozimy?

- Będą nam potrzebne po lądowaniu. Nikt nie wie, co nas czeka na CentauriZiemi. Mogą tam żyć jakieś szkodniki i wtedy wytypimy je za pomocą drapieżników, wprowadzając do środowiska gatunki z SolZiemi. Mogą tam również żyć przydatne zwierzęta, które będą wymagały rozwinięcia pewnych cech, aby mogły naprawdę dobrze nam służyć. Spróbujemy skrzyżować je z naszymi gatunkami albo zmodyfikować genetycznie.

Nie interesowały mnie wielkie kotolwy. Chciałem wiedzieć, dlaczego Najstarszy był ostatnią osobą na poziomie kriogenicznym przed utonięciem następnego zamrożonego.

Zanim zdążyłem cokolwiek powiedzieć, Najstarszy wyminął mnie i podszedł do stołu po przeciwnej stronie pomieszczenia. Stał tam tylko jeden cylinder wypełniony do połowy płynem kriogenicznym. Embriony unosiły się w nim jak bąbelki w żelu. Nachyliłem się, by spojrzeć na jeden z nich z bliska - małe płód w kształcie fasolki otoczony błonami płodowymi. Podniosłem głowę i zobaczyłem, że Najstarszy przygląda mi się w skupieniu, a na jego czole pojawiły się zmarszczki. Nie odwrócił wzroku, kiedy nasze oczy się spotkały.

- Po co tutaj przyszedłeś? - spytał w końcu. - Nie miałem pojęcia, że wiesz o tym laboratorium. Doktorek ci powiedział?

Wzruszyłem ramionami, nie chcąc wsypać Doktorce ani zdradzić swoich zamiarów.

- Wszystko jedno. Sam powinienem był przyprowadzić cię tu znacznie wcześniej. Na przygotowania zostały ci już tylko te Gody, a później będziesz musiał uczyć kolejnego Starszego, jak ma postępować.

- Jak ma postępować? - powtórzyłem.

Wziął ze stołu olbrzymią strzykawkę. Sama igła miała niemal stopę długości, a w cylindrze znajdowało się co najmniej dwadzieścia uncji płynu.

- Jak wiesz, jednym z największych problemów na statku pokoleniowym jest kazirodztwo. - Najstarszy włożył strzykawkę do koszyka, podniósł następną i umieścił ją obok pierwszej. - Jest rzeczą nieuniknioną, że przy tak małej populacji linie krwi prędzej czy później zaczną się mieszać i przenikać.

Tym razem wybrał strzykawkę z innego stosu. Wszystkie miały przy tłokach nieduże czarnożółte etykiety. Na etykietce strzykawki, którą trzymał, widniał krótki opis: „sztuki

wizualne”.

- Wiem o tym - powiedziałem. - Właśnie z tego powodu Najstarszy Plagi wprowadził Gody. Żebyś... Żebyśmy mogli monitorować przebieg reprodukcji.

- Tak, między innymi. - Najstarszy nie słuchał uważnie, zajęty wybieraniem strzykawek do koszyka. - Ale kolejny problem to przeciwdziałanie psychicznym i fizycznym ułomnościom wynikającym ze stosunków kazirodczych. A także fakt, że nasza misja jest zbyt ważna, abyśmy mogli pozwolić sobie na pokolenie pozbawione talentów i geniuszy.

Przeszedł do następnego stosu, oznaczonego jako „matematyka”, i wybrał z niego aż pięć strzykawek.

- Twórcy tego statku nigdy nie przewidywali dla nas roli biernych farmerów. Potrzebujemy wynalazców i artystów. Potrzebujemy ludzi, którzy potrafią wymyślić, opisać i stworzyć zupełnie nowe rzeczy dla statku i dla nieodkrytego świata.

Do koszyka powędrowały trzy „sztuki muzyczne”, a za nimi dziesięć „nauk biologicznych”.

- W ciągu wielu dziesięcioleci naszej podróży zyskaliśmy niemało. Stworzyliśmy wikomy i plastleje. Modyfikowaliśmy grawiszby, gdy byłem młodszy od ciebie.

Najstarszy chwycił garść „nauk fizycznych” i włożył pięć czy sześć do koszyka. Przez chwilę zastanawiał się nad czymś, po czym wyjął z niego dwie strzykawki i odłożył z powrotem na stół.

- No dobrze, więc potrzebujemy na statku mądrych ludzi. Tylko co z tego? - zapytałem.

Najstarszy podniósł strzykawkę z etykietą „analityczność”.

- W każdej z tych strzykawek - oznajmił, wymachując mi jedną z nich przed twarzą - znajduje się specjalna mieszanka, która łączy DNA i RNA, tak zwana chimera. Wytwarza połączenie z DNA płodu, gwarantując, że dziecko urodzi się z pożądanymi cechami.

Otworzyłem usta, by coś powiedzieć, ale Najstarszy nie dał mi dojść do głosu.

- Jako Najstarszy musisz analizować potrzeby statku. W twoim pokoleniu brakuje naukowców? Stwórz ich więcej. Artystów? Spraw, żeby się urodzili. Do twoich obowiązków należy zadbanie nie tylko o to, by populacja przeżyła, ale także by rozkwitała.

Czułem, jak ssie mnie w dołku. Nie byłem pewien, czy zgadzam się z Najstarszym. Wolałbym nie wyobrażać sobie statku pełnego urodzonych idiotów, jednak nie podobało mi się też przekonanie Najstarszego, że można na zawołanie tworzyć geniuszy.

Włożył ostatnią strzykawkę do koszyka i spojrzał na mnie. Na jego twarzy malowała się powaga, ale jednocześnie wyglądał na zmęczonego, jakby był zrobiony z wosku i powoli

się rozpląwał.

- Mówię to zbyt rzadko, ale wierzę w ciebie. Myślę, że będziesz dobrym przywódcą. Któregoś dnia.

Chciałem się uśmiechnąć i podziękować - nie pamiętałem, kiedy ostatnio Najstarszy tak mnie skomplementował. Prześladowało mnie jednak pytanie, czy jego pewność nie wynikała przypadkiem z faktu, że wstrzyknięto mi jakieś paskudztwo z etykietką „przywództwo”.

A jeśli wstrzyknięto, to czy na pewno wystarczająco dużo.

43

AMY

Leżałam na łóżku zwinięta w kłębek, obejmując nogi. Trzymałam moją maskotkę, Bursztynkę, w zagłębieniu pomiędzy piersią a kolanami. Jej oczy z guzików i nosek wbijały mi się w żebra, ale miałam to gdzieś.

Harley podał mi szklankę zimnej wody.

- Przepraszam - powiedział. Pod jego lewym okiem zrobił się zaogniony fioletowo-czerwony siniak wielkości mojego małego palca.

Wzdrygnęłam się, gdy dotknął mojej dłoni. Chciałam płakać, chciałam krzyczeć, chciałam uciekać, ale mogłam się tylko wzdrygnąć, bo jakiś mężczyzna zbliżył się do mnie na odległość wyciągniętej ręki.

- Przepraszam - powtórzył Harley. Podeszedł do krzesła przy biurku po drugiej stronie pokoju i przysiadł na jego krawędzi, gotów w każdej chwili rzucić mi się na pomoc. Starał się jednak trzymać ode mnie jak najdalej. Zaciśnął dłonie na podłokietnikach, żeby przypadkiem znów mnie nie dotknąć.

Uniosłam głowę.

- Nie, to nie tak. To znaczy, dziękuję. Dziękuję, że mnie uratowałeś - odezwałam się, ale on pokręcił głową.

- Zostawiłem cię samą, to było głupie. Dobrze wiedziałem, że sezon Godów wchodzi w kulminacyjną fazę. Już od wczoraj wszyscy wariowali, a mimo to zostawiłem cię samą.

- Dlaczego oni tak się zachowywali? - spytałam. Oczami wyobraźni widziałam parę o szklistych oczach, która uprawiała seks tuż obok mnie, i przypomniałam sobie, jak zignorowali moje krzyki. Jeszcze mocniej przycisnęłam do siebie Bursztynkę. Guziki znów wpijały mi się w żebra, ale ból przynosił ukojenie. Ciekawe, czy zostawią po sobie siniaki, a jeśli tak, to czy będą one pasować do tych, które kwitły na moich nadgarstkach.

Harley wzruszył ramionami.

- Takie po prostu są Gody. Na SolZiemii było inaczej? Ludzie to w końcu zwierzęta. Nieważne, jak jesteśmy cywilizowani, gdy przychodzi czas parzenia się, ludzie się parzą.

- Ale nie ty. Ani Starszy. Nie wszyscy zachowują się tak, jakby oszaleli z pożądania.

Harley ściągnął brwi i pojawiła się między nimi głęboka zmarszczka. Natychmiast ujrzałam oczami wyobraźni gęste ciemne brwi mężczyzny, który mnie przytrzymał i przyciskał biodrami do ziemi. Schowałam twarz w sztucznym futerku Bursztyнки i wciągnęłam w nozdrza jej zatęchły zapach. Jeszcze mocniej zacisnęłam ręce wokół nóg, zadowolona, że trzymam je tak kurczowo, bo w innym wypadku rozpadłabym się na kawałki jak układanka podniesiona za rogi.

Harley nie zauważył, że w środku, pod twardą zewnętrzną skorupą drżałam.

- W zasadzie całkiem sporo ludzi z Izolatki zachowuje się normalnie. Niektórzy po prostu używają Godów jako wymówki, aby robić różne... lekkomyślne rzeczy, ale większość pacjentów nie jest wcale tak...

- Szalona? - głos mi się łamał.

- Zabawne, co nie? Ci wszyscy wariaci są mniej podatni na to szaleństwo niż pozostali obywatele. Może to przez leki, które przyjmujemy. Nazywają je „stoperami”. Mają podobno hamować rozwój choroby, ale może jednocześnie hamują nasze popędy.

Nie odniosłam wrażenia, żeby zahamowały popędy Luthego. Luthe doskonale wiedział, co robi - w odróżnieniu od żywicieli. Zastanawiałam się, czy żywiciele są po prostu aż tak głupi. Bez względu na to, co wznieca w nich ochotę na seks, oni po prostu to robią - tak jak dziewczyna od królików po prostu wierzyła w to, co powiedział

Najstarszy, mimo że prawdę miała tuż pod nosem. Ludzie tacy jak Harley i Luthe, którzy nie byli bezmyślnymi półgłówkami, mieli nad sobą znacznie większą kontrolę. Mogli wybrać dobroć, tak jak Harley.

Albo z pełną świadomością zachowywać się jak Luthe.

Harley wciąż gadał, próbując odwrócić moją uwagę od całej reszty świata. Gadał, jakby gadanie mogło wszystko naprawić, ale nie mogło, nie naprawiło. Chciałam, żeby sobie poszedł.

Wstał.

- Przyniosę ci jeszcze wody.

- Nie. - Chciałam zostać sama. Chciałam, żeby wyszedł i pozwolił mi zapaść się w sobie.

- Ale wydaje mi się, że...

- Nie! - krzyknęłam. Dłonie ześlizgnęły mi się ze spoconych ramion. Odnalazłam palcami łokcie i z całych sił wbiłam paznokcie w ciało, by znów nie stracić panowania nad sobą. - Nie - powiedziałam cicho. - Błagam. Po prostu wyjdź. Zostaw mnie samą.

- Ale...

- Błagam - wyszeptałam Bursztyńce do ucha.

Harley wyszedł.

Długo jeszcze leżałam na łóżku, zwinięta w kłębek, i mimo że miałam zamknięte oczy, widziałam wszystko aż nazbyt wyraźnie.

Coraz mocniej obejmowałam nogi, boleśnie przyciskając kolana do piersi, ale to nie pomagało. Byłam już zmęczona przytulaniem samej siebie. Chciałam, żeby przytulił mnie tato, żeby powiedział: zabiję każdego, kto zrobi ci krzywdę. Chciałam, żeby mama mnie pocałowała i żeby głaskała mnie po głowie, powtarzając cicho, że wszystko będzie w porządku. Bo jeśli kiedykolwiek mam uwierzyć, że naprawdę będzie, to musi mnie o tym zapewnić jedno z nich.

W końcu rozluźniłam dłonie. Kostki były białe na brzegach, a w koniuszkach palców czułam mrowienie, gdy wracała do nich krew. Zagłębienia łokci miałam mokre od potu. Rozciągnęłam nogi, wsłuchując się w trzeszczenie kolan.

Przez chwilę leżałam płasko na łóżku, ale przypomniałam sobie o leżeniu płasko na trawie i zeskoczyłam na podłogę tak szybko, że dostałam zawrotów głowy. Podeszłam do drzwi trzema długimi i - Najstarszy, mimo że prawdę miała tuż pod nosem. Ludzie tacy jak Harley i Luthe, którzy nie byli bezmyślnymi półgłówkami, mieli nad sobą znacznie większą kontrolę. Mogli wybrać dobroć, tak jak Harley.

Albo z pełną świadomością zachowywać się jak Luthe.

Harley wciąż gadał, próbując odwrócić moją uwagę od całej reszty świata. Gadał, jakby gadanie mogło wszystko naprawić, ale nie mogło, nie naprawiło. Chciałam, żeby sobie poszedł.

Wstał.

- Przyniosę ci jeszcze wody.

- Nie. - Chciałam zostać sama. Chciałam, żeby wyszedł i pozwolił mi zapaść się w sobie.

- Ale wydaje mi się, że...

- Nie! - krzyknęłam. Dłonie ześlizgnęły mi się ze spoconych ramion. Odnalazłam palcami łokcie i z całych sił wbiłam paznokcie w ciało, by znów nie stracić panowania nad sobą. - Nie - powiedziałam cicho. - Błagam. Po prostu wyjdź. Zostaw mnie samą.

- Ale...

- Błagam - wyszeptalam Bursztynce do ucha.

Harley wyszedł.

Długo jeszcze leżałam na łóżku, zwinięta w kłębek, i mimo że miałam zamknięte oczy, widziałam wszystko aż nazbyt wyraźnie.

Coraz mocniej obejmowałam nogi, boleśnie przyciskając kolana do piersi, ale to nie pomagało. Byłam już zmęczona przytulaniem samej siebie. Chciałam, żeby przytulił mnie tato, żeby powiedział: zabiję każdego, kto zrobi ci krzywdę. Chciałam, żeby mama mnie pocałowała i żeby głaskała mnie po głowie, powtarzając cicho, że wszystko będzie w porządku. Bo jeśli kiedykolwiek mam uwierzyć, że naprawdę będzie, to musi mnie o tym zapewnić jedno z nich.

W końcu rozluźniłam dłonie. Kostki były białe na brzegach, a w koniuszkach palców czułam mrowienie, gdy wracała do nich krew. Zagłębienia łokci miałam mokre od potu. Rozciągnęłam nogi, wsłuchując się w trzeszczenie kolan.

Przez chwilę leżałam płasko na łóżku, ale przypomniałam sobie oleżeniu płasko na trawie i zeskoczyłam na podłogę tak szybko, że dostałam zawrotów głowy. Podeszłam do drzwi trzema długimi krokami. W chwili, gdy sięgałam do guzika na ścianie, zaczęła mi jednak drzeć ręka.

Oni wciąż tam są.

T 11ała, rytmiczne góra-dół, góra-dół, głod-

- Musisz tam wyjść - szepnęłam do siebie.

Ale ręka nie przestawała drzeć.

Oparłam głowę o chłodną ścianę. Dyszałam z wysiłku, jaki musiałam wkładać w stanie tak blisko bariery oddzielającej mnie od innych. Chciałam zawołać Harleya albo Starszego, ale nie miałam przycisku za uchem, którego używali do komunikacji. A poza tym Harley nie mógł za każdym razem wybawiać mnie z opresji.

Uderzyłam w przycisk. Drzwi zaczęły się otwierać. Nie pozwoliłam im otworzyć się do końca i znów uderzyłam w przycisk. Zamknęły się równie szybko.

W głowie próbowałam zaplanować trasę. Wyobrażałam sobie, jak biegnę, biegnę, biegnę tak szybko, że nikt nie jest w stanie mnie złapać. Widziałam drogę tak wyraźnie, że mogłabym ją przebiec, ani razu nie otwierając oczu.

Przesunęłam dłonią po przycisku. Na szczęście w korytarzu nikogo nie było. Otworzyłam na oścież szklane drzwi świetlicy i wstrzymując oddech, przemknęłam obok ludzi, którzy byli zbyt zajęci, by mnie zauważyć. Rozejrzałam się na wszystkie strony tak

panicznie, że moja szyja zaprotestowała. Wskoczyłam do pustej windy i po raz pierwszy, odkąd opuściłam swój pokój, spokojnie odetchnęłam. Wcisnęłam guzik trzeciego piętra.

Ten korytarz również był pusty. Odprawiłam po cichu krótką modlitwę dziękczynną. Mimo to dreptałam w pośpiechu wzdłuż rzędu pozamykanych drzwi; drżałam ze strachu, że za chwilę któreś się otworzą, ukazując pokój pełen mężczyzn, których głód nie ma nic wspólnego z jedzeniem. Rozluźniłam się dopiero w windzie, zostawiając nad sobą szaleństwo statku na rzecz martwej ciszy poziomu kriogenicznego.

Chciałam zobaczyć, gdzie leżą. To wszystko. To wszystko, wmawiałam sobie.

Z początku biegłam, ale im byłam bliżej, tym bardziej zwalniałam - najpierw do marszu, a później do miarowego bach... bach... bach... pojedynczych kroków.

Zatrzymałam się przed rzędem komór, patrząc na dwa numery w oddali: czterdzieści i czterdzieści jeden.

Zaraz potem rzuciłam się pędem do komór. Padłam na kolana i położyłam ręce na metalowych drzwiczkach, na tych po prawej i na tych po lewej. Pewnie wyglądałam, jakbym w zachwycie składała hołd jakiejś świętości, ale w środku czułam wyłącznie krzyk, który odbijał się echem w pustej skorupie mojego ciała.

Przez długą chwilę klęczałam z podniesionymi rękami i opuszczoną głową.

Chciałam ich tylko zobaczyć. To wszystko, wmawiałam sobie. To wszystko.

Wstałam. Zacisnęłam palce na uchwycie drzwiczek z numerem czterdzieści. Zamknęłam powieki i pociągnęłam za uchwyt. Nie patrząc na lodowy blok, odwróciłam się i otworzyłam także numer czterdzieści jeden.

A więc to tutaj są.

Moi rodzice.

Albo... cóż, przynajmniej są tu ich ciała. Pod lodem upstrzonym błękitnymi iskrami.

W pomieszczeniu było zimno, tak zimno, że zaczęłam drzeć. Na ręce wystąpiła mi gęsia skórka. Trumny były zmrożone i suche. Paznokcie ślizgały mi się po szklanej powierzchni, kiedy przesuwałam ręką ponad twarzą mamy.

- Potrzebuję cię - szepnęłam. Od ciepła mojego oddechu na szkle pojawiła się mgiełka. Starłam ją, a na mojej dłoni pozostała warstewka lśniącej wilgoci.

Kucnęłam, żeby zrównać się z nią twarzą.

- Potrzebuję cię! - powtórzyłam. - Tu jest tak... dziwnie, w ogóle ich nie rozumiem, i... i... i boję się. Potrzebuję cię. Potrzebuję cię!

Ale mama była lodem.

Odwróciłam się do taty. Widziałam przez lód sztywną szczecinę na jego brodzie.

Kiedy byłam mała, pocierał twarzą mój brzuch, a ja krzyczałam z radości. Oddałabym wszystko, żeby znów się tak poczuć. Oddałabym wszystko, żeby poczuć cokolwiek poza chłodem.

Komorę spowijała delikatna mgiełka, a lód nie był całkowicie przejrzysty, ale widziałam, gdzie leży ręka taty. Przesunęłam małym palcem po szkle, udając, że łączy się z jego palcem w niemej obietnicy.

Uświadomiłam sobie, że płaczę, gdy lzy zaczęły skapywać na trumnę.

- Tatusiu, nic nie mogłam zrobić. Nie mogłam wstać, tatusiu. Byli zbyt silni. Gdyby nie Harley... - głos zaczął mi się łamać. - Tato, powiedziałaś, że będziesz mnie bronić! Powiedziałaś, że nigdy mnie nie opuścisz. Potrzebuję cię właśnie teraz, tato! Potrzebuję cię!

Uderzyłam pięścią w twarde zimny pojemnik wypełniony lodem. Moja dłoń zatrzęszczała, zostawiając na szkle karmazynowy ślad.

- Potrzebuję cię! - wyrwał się z mojego gardła krzyk. Chciałam rozbić szkło i z powrotem wetrzeć życie w twarz z drapiącą szczecinę.

Poczułam, jak dopada mnie odrętwienie. Zwinęłam się w kłębek pod ich zimnymi, pozbawionymi życia postaciami i podciągnęłam kolana pod brodę. Wstrząsnął mną pusty, suchy szloch. Z wysiłkiem napelniłam płuca zbyt rzadkim powietrzem.

Wielka kropla wody ześlizgnęła się po ścianie komory i spadła na mój policzek.

Wtarłam ją w skórę, a ciepło mojej ręki wtoczyło we mnie nową siłę.

Wcale nie musi tak być. Może i obudziłam się zbyt wcześnie i może nie da się mnie ponownie zamrozić, ale to wcale nie oznacza, że nie zobaczę moich rodziców.

Wstałam. Tym razem nie patrzyłam na twarze w lodzie, tym razem szukałam wzrokiem niewielkich czarnych skrzyneczek nad głowami rodziców - tych z mrugającymi zielonymi światełkami i z przełącznikami pod obudową.

To nie może być aż tak trudne. Przetawić przełącznik - to wszystko, co trzeba zrobić. Będę tu stać i czekać, a gdy lód stopnieje, wyciągnę ich, żeby się nie utopili. Pomogę im wydostać się z trumien. Owinę ich ręcznikami i przytulę, a oni przytulą mnie. Tato szepnie mi do ucha: „Teraz już wszystko będzie w porządku”, a mama doda: „Bardzo cię kochamy”.

Oni są niezbędni, odezwał się w mojej głowie szept. Dostrzegłam rząd flag w dolnej części metalowych drzwiczek, a obok symbol GZF, Giełdy Zasobów Finansowych. Ich misja ma większe znaczenie niż ja.

Mama jest inżynierem genetycznym i biologicznym geniuszem. Kto wie, jakie formy życia zastaniemy na nowej planecie? Jej umiejętności będą nieodzowne.

Ale tato - tato leci na nową planetę z wojskiem. Jest analitykiem polowym i szóstym

ogniwem w łańcuchu dowodzenia. Niech ta piątka stojąca nad nim będzie niezbędna, niech to oni zajmą się nowym światem. Tato musi zająć się mną.

- Jestem ostatnim bezpiecznikiem - usłyszałam w głowie jego mocny, przepelniony dumą głos, tak jak tego dnia, gdy mi powiedział, że będziemy wielką zamrożoną szczęśliwą rodziną. Och, jakże byłam podekscytowana. - Na tym polega moja rola. Gdyby coś poszło nie tak, jestem jeszcze ja.

Rewelacyjny plan awaryjny. Potrzebowali go na wypadek, gdyby coś poszło źle. A jeśli wszystko pójdzie dobrze?

Jeśli zostawię im mamę, może się nie pogniewają, że zabiorę im tatę. Przecież nie jest aż tak potrzebny.

Moja ręka leżała już na skrzynce nad jego głową. Przeciągnęłam palcem po skanerze, ale wtedy zapaliła się żółta dioda. Odmowa dostępu - nie mam wystarczających uprawnień. Nie jestem dość ważna, by móc otworzyć skrzynkę, przestawić przełącznik i obudzić tatę.

Ale mogę ją połamać. Odegrałam w myślach całą scenę - dzikość w oczach i rozwichrzone włosy, gdy walę pięściami w skrzynkę, by rozbić ją w drobny mak i dostać się do przełącznika.

Komizm tej wizji sprawił, że wybuchnęłam piskliwym, histerycznym śmiechem, który wreszcie zagłuszył suchy szloch.

Nie mogę obudzić taty, on też jest potrzebny. Wiem, że jest, nawet jeśli nie chcę tego przyznać. Proszę, sama stanowią na to najlepszy dowód - gdyby nie on, nigdy nie pozwoliliby mi lecieć. Razem z mamą zdawali sobie sprawę z konsekwencji, gdy zaciągali się na statek. Oboje postanowili, że polecą, nawet jeśli będą musieli się ze mną rozstać. Tato wszystko tak zaaranżował, żebym mogła odejść, a gdy przytulał mnie tuż przed zamrożeniem, chciał mi powiedzieć: żegnaj. Nie oczekiwał, że mnie jeszcze zobaczy, nawet nie spakował mojego bagażu. Zrezygnował ze mnie, aby móc obudzić się w nowym świecie.

Nie powinnam odbierać mu tego marzenia.

Skoro on mógł pożegnać się ze mną, ja mogę pożegnać się z nim.

A poza tym nie jestem aż tak samolubna, by zapomnieć o swoim statusie. To ja figuruję w komputerze jako „zbędna”. Jeśli na nowej planecie nie będzie odpowiednich roślin albo zwierząt, mama je stworzy. Jeśli żyją tam źli kosmici, tato zrobi z nimi porządek.

Tak czy inaczej, to właśnie oni przesądzą o różnicy między całą planetą żyjących ludzi a całą planetą umierających ludzi.

Nie mogę im tego odebrać. Nie mogę zabić ich marzeń ani zamordować przyszłych mieszkańców planety, do której dolecę w dniu, gdy będę starsza od własnych rodziców.

Ale mogę poczekać. Pięćdziesiąt lat, aby znów się z nimi zobaczyć.

Wepchnęłam blaty z pojemnikami do ciemnych wnęk i zatrzasnęłam drzwiczki, po czym w milczeniu wróciłam do windy i pustego pokoju.

Mogę poczekać.

44

STARSZY

- Co to za hałas? - zapytałem, dopiero teraz słysząc niewyraźny szum.

Najstarszy obejrzał się przez ramię w kierunku wnęki po prawej stronie pomieszczenia.

- Pompa wodna - odparł.

Zmarszczyłem brwi. Przetwarzacz wody znajdował się na Poziomie Sternika, a nie tutaj. Zaraz potem przypomniałem sobie jednak o planach, które pokazał mi Orion. Zgodnie z nimi na czwartym poziomie istniała druga pompa wodna.

- To wszystko jest stare - stwierdziłem.

- Skąd o tym wiesz? - spytał Najstarszy ostrym tonem.

Zignorowałem go i ruszyłem w stronę pompy. Nie była tak duża jak ta na Poziomie Sternika. Na jej wyposażenie składały się panel kontrolny oraz zamontowana ponad nim dysza. Pompa z Poziomu Sternika służyła do przetwarzania, oczyszczania oraz rozprowadzania wody. Ta została zaprojektowana, by coś z wodą mieszać. Obok stało puste wiaderko oblepione w środku substancją o konsystencji gęstego syropu.

- Do czego służy ta pompa?

Najstarszy spojrzał na mnie z politowaniem, jakby nie mógł uwierzyć w moją głupotę.

- Do pompowania wody.

- Nie. Do tego służy pompa na Poziomie Sternika. Ta ma inne zastosowanie.

Rozciągnął usta w autentycznym, szczerym uśmiechu. Jakby był dumny, że przejrzałem go na wylot.

- To część pierwotnej konstrukcji statku. „Błogosławionego” nie da się bardziej powiększyć. Dodając do pożywienia i wody suplementy diety, możemy utrzymać populację na poziomie jednej osoby na dwa akry. Nawet przy tak niewielkim zagęszczeniu statek nie zdoła utrzymać przy życiu populacji znacznie przekraczającej trzy tysiące osób. Kontrola liczebności zawsze była jednym z priorytetów. - Dostrzegł zakłopotanie na mojej twarzy. - Kontrola urodzeń - uściślił.

- Za pomocą tego? - Wskazałem na dyszę.

Najstarszy przytaknął.

- Używamy tej pompy do rozprowadzania po statku środków antykoncepcyjnych i odżywczych. Dodaje się je bezpośrednio do zbiorników z wodą i wszyscy są zdrowi. Jak myślisz, dlaczego żony żywicieli twierdzą, że zimna woda jest najlepsza na złe samopoczucie? Przed każdymi Godami zastępujemy środki antykoncepcyjne hormonami, aby zwiększyć popęd seksualny. Sprawdza się to wyjątkowo dobrze w przypadku żywicieli.

Przypomniałem sobie, jak Amy stwierdziła, że Gody nie są naturalne. I miała rację.

- Cieszę się, że zadajesz mi te wszystkie pytania - dodał Najstarszy. - Ze w końcu zacznasz myśleć jak przywódca. - Podniósł koszyk. - Muszę być pewien, że zrobisz wszystko, co konieczne, by ten statek i jego mieszkańcy rozkwitali. Wszystko. Co. Konieczne.

- A ty? - spytałem cicho.

- Zawsze robiłem - odpowiedział tak szczerze, że nie przyszłoby mi do głowy kwestionować jego prawdomówności. - Każdą chwilę swojego życia poświęcam na starania, by ten statek był lepszym miejscem dla wszystkich obywateli. Wiem, że nie zawsze się ze mną zgadzasz, ale moje metody są skuteczne.

- Każdą chwilę, tak? - Arogancja w głosie Najstarszego sprawiła, że hucpa uderzyła mi do głowy. Wiedziałem, co próbuje mi zasugerować - że nie jestem tak oddany sprawie, jak on.

- Każdą chwilę - podkreślił z naciskiem.

- W takim razie jak chciałeś sprawić, żeby statek prosperował, gdy zszedłeś wcześniej do komór kriogenicznych? Jaką ważną decyzję musiałeś podjąć?

Najstarszy wyprostował się.

- Nie muszę się przed tobą tłumaczyć, chłopcze.

Ale ja doskonale wiedziałem, jak funkcjonuje jego umysł. Wiedziałem, jak sprawić, żeby mówił.

- Wydawało mi się, że drugą przyczyną niezgody jest brak silnego centralnego przywódcy. Jak możesz nim być, jeśli nie chcesz ujawniać ważnych informacji własnemu następcy?

Usłyszałem trzeszczenie. Najstarszy bezwiednie zgniatał uchwyt koszyka, w którym leżały strzykawki.

- Cóż, może w takim razie powiesz mi, co według ciebie powinienem był tu robić? - Nie zabrzmiało to jak pytanie, raczej jak groźba.

- Wystarczy, że powiem, czego według mnie nie powinieneś był robić. Na przykład

odłączać kolejnych ludzi z komór kriogenicznych. Ten mężczyzna zmarł. Kobieta również by zmarła, gdyby Amy jej nie znalazła.

Najstarszy odsunął od siebie koszyk. Strzykawki zagrzechotały w środku.

- Twierdzisz, że to ja otworzyłem te komory i zabiłem jednego z zamrożonych?

- Twierdzę tylko, że znajdowałeś się wyjątkowo blisko za każdym razem, gdy któryś z nich umierał.

- Nie muszę słuchać tych bredni z ust kogoś takiego jak ty! - krzyknął Najstarszy. Ruszył do drzwi, lecz z powodu chorej nogi zatoczył się i wpadł na jeden z cylindrów chłodniczych. Pływające w środku fasolki zakołysały się w swoich bańkach.

- Też mi przywódca... - mruknąłem.

Najstarszy wstał, gromiąc mnie wzrokiem.

- Trzecia przyczyna niezgody - przemówił okropnie monotonnym głosem - to myślenie jednostkowe. Żadne społeczeństwo nie może się rozwijać, kiedy pojedyncze osobniki sączą do jego organizmu truciznę, która staje się zarzewiem buntu i chaosu. A jeżeli to myślenie wychodzi od przyszłego przywódcy i jeżeli ten przywódca jest tak przepełniony nienawiścią i głupotą, że potrafi oskarżyć o mordowanie zamrożonych ludzi mnie, to modłę się do gwiazd, by choć trochę zmądrzał, zanim odejdę, a on przejmie po mnie obowiązki!

- To takie do ciebie podobne, zamieniać wszystko w lekcję, która ma mi pomóc zrozumieć, jak kiepskim będę przywódcą! - krzyknąłem. - Ciągłe nie powiedziałaś mi jednak, co tu robiłeś i jak to się stało, że Kennedy utonął dosłownie za progiem tych drzwi! - Chciałem machnąć ręką w kierunku drzwi i przypadkiem uderzyłem w cylinder chłodzący z taką siłą, że pływające w nim embryony zatrzęsły się jak owoce w galaretce.

- Jesteś głupcem! - prychnął Najstarszy. Wypadł z laboratorium jak burza, kopiąc w drzwi, które podnosiły się zbyt wolno. Strzykawki w koszyku podzwaniały przy każdym jego kroku.

- Może i jestem głupi - wymamrotałem do siebie - ale nie zaprzeczyłeś, gdy zapytałem, czy masz coś wspólnego z morderstwami.

45

AMY

Żałuję tylko jednego.

Nie wiem, dlaczego zaczęłam o tym myśleć akurat teraz. Może dlatego, że mam do wyboru wyłącznie złe i gorsze myśli.

To było podczas naszej ostatniej randki.

Już powiedziałam Jasonowi o statku. O tym, że niedługo odleczę i zniknę już na zawsze. Pożegnaliśmy się wcześniej tego wieczoru, sami w jego sypialni. Razem. Naprawdę razem. Po raz pierwszy - i ostatni.

Później zabrał mnie do wyjątkowo drogiej włoskiej restauracji o nazwie „Mała Sienna”. Było nam razem tak cudownie, że chciało mi się płakać, bo wiedziałam, że już niedługo to wszystko się skończy. Oczywiście nie pomalowałam rzęs wodoodporną maskarą i oczywiście rozmazałam ją sobie po całej twarzy, więc przeprosiłam Jasona. W lokalu była tylko jedna toaleta, przed którą stała długa kolejka.

- Przyszłaś tu z Jasonem? - zapytała dziewczyna przede mną. Kiwnęłam głową. Miała na imię Erin i była uczennicą ostatniej klasy - nic więcej o niej nie wiedziałam.

- W zeszłym roku złamał mi serce. Sama nie wiem, jak on to robi.

- Jak co robi? - Z mojej twarzy wciąż nie zniknął uśmiech, choć wydawał mi się coraz bardziej plastikowy.

- Jak sobie radzi z tymi wszystkimi dziewczynami. - Mina natychmiast mi zrzędała. - Mogłabym przysiąc - ciągnęła Erin - że przez te wszystkie miesiące byłam tylko ja. Dowiedziałam się o Jill i Stacy dopiero po naszym zerwaniu.

Miałam wrażenie, że połykam płynny ołów.

- Jason cię zdradzał?

- No jasne - odparła i zaraz potem się zaśmiała. - Ale to było w zeszłym roku. Jestem pewna, że teraz już tego nie robi. Wyglądacie razem tak słodko. Cieszę się, że udało ci się go zmienić. Masz na imię Kristen, zgadza się?

- Nie - powiedziałam beznamiętnym głosem. - Amy. - Kim jest Kristen? Dlaczego pomyślała, że mam tak na imię? Czyżby Jason spotykał się z kimś na boku?

- Och, przepraszam.

I czy to współczucie lśniło w jej oczach?

Wyszłam z kolejki. Chrzanić rozmazany tusz.

Kiedy usiadłam przy stole, Jason zaśmiał się i wyciągnął chusteczkę. Polizał jej rąbek i sam wytarł mi oczy, gładząc palcami mój policzek i wpatrując się w moje usta.

A ja przypomniałam sobie, jak się żegnaliśmy wcześniej tego wieczoru.

Jakaś część mnie chciała zająć odpowiedzi na pytanie, kim jest Kristen. Chciała się dowiedzieć, do kogo pisał wiadomość, kiedy nie pozwolił mi zerknąć na wyświetlacz telefonu. I co jego znajomi mieli na myśli, mówiąc o „wielkich planach” na sobotę, gdy mnie już nie będzie.

Ale ta druga część uświadomiła mi, że teraz już na to za późno. Bo przecież już się...

pożegnaliśmy.

Czy nie byłoby mi łatwiej wierzyć, że Jason do końca pozostał moim Jasonem, nie zaś zdrajcą i podłym draniem?

Wtedy doszłam do wniosku, że to i tak bez znaczenia.

Ale teraz żałuję, że go nie zapytałam.

46

STARSZY

- Nie ma jej tu - powiedział Harley. Siedział w świetlicy Izolatki, wpatrując się przez okno w odległe pola pszenicy.

Ruszyłem w stronę drzwi prowadzących do prywatnych pokoi.

- Nawet się nie kłopotz - prychnął Harley. - Ona chce być teraz sama. - Już otworzyłem usta, żeby zapytać dlaczego, ale wówczas dodał: - A skoro o tym mowa, ja też chciałbym zostać sam. - Potarł lewą stronę twarzy, a ja zauważyłem siniaka pod jego okiem.

W myślach ustawiłem sobie przypomnienie, by zapytać później Doktora, kiedy Harley po raz ostatni brał leki. Nie martwiłem się standardowymi stoperami - chodziło mi raczej o te drugie tabletki, które dawał mu Doktor, które odpędzały od niego czarne myśli i sprawiały, że nie wydawał się aż tak pomyłony.

Wyszedłem ze Szpitala sam. Dotarłem do posągu Najstarszego Plagi, ale tym razem się nie zatrzymałem. Nie chciałem, żeby patrzył na mnie z góry.

Zamiast tego ruszyłem ścieżką do Sali Nagrań. Po drodze wciąż mijalem ludzi zatraconych w zwierzęcej namiętności Godów. Przewracało mi się w żołądku, kiedy myślałem, że wszystko to zostało sztucznie spowodowane za pomocą pompy wodnej Najstarszego.

Zeby dostać się do schodów Sali Nagrań, musiałem przeskoczyć nad dwoma splecionymi ciałami. Victoria siedziała w fotelu bujanym na werandzie i obserwowała kochanków, od czasu do czasu zapisując coś w niewielkiej, oprawionej w skórę książce. Byłem zaskoczony, że nie spędza czasu z Bartiem i nie robi tego samego, co para na schodach, ale Najstarszy sam wspominał, że hormony wywierają najsilniejszy wpływ na żywicieli.

Przed portretem Najstarszego, obejmującego wzrokiem ogrom Poziomu Żywiciela, stał Orion. Chciałem się z nim przywitać, ale w tej samej chwili zdjął obraz z niszy w ścianie i postawił go na podłodze.

- Co robisz? - spytałem zszokowany. Bez fałszywie serdecznej twarzy Najstarszego

ściana Sali Nagrań wydawała mi się naga.

- Najwyższy czas powiesić uaktualniony portret - odparł Orion. Podniósł obraz i wszedł z nim do budynku. Właściwie to nie taki głupi pomysł. Ten portret został namalowany chyba w poprzedniej dekadzie. Najstarszy miał na nim brązowe włosy i jasne spojrzenie, a na czole pojawiła się dopiero zapowiedź zmarszczek. Ciekawe, co będzie widać na nowym obrazie. Siwe włosy? Zgarbione ramiona, opadające coraz bardziej z powodu wielu lat utykania? A może bardzo się mylę, może wiek doda mu tylko królewskiej powagi.

- Hej - zawołała do mnie Victria, nie odrywając wzroku od książki. Od dnia pojawienia się Amy nie rozmawiała ze mną zbyt wiele, choć wcześniej, kiedy mieszkałem w Izolatce, byliśmy sobie bardzo bliscy. Wyglądała jednak na bardziej złośliwą i zgorzkniałą niż przed trzema laty, gdy miała siedemnaście lat, a ja trzynaście. Była pierwszą kobietą, w której się zakochałem, choć dziś sam nie wiem dlaczego.

- Hej. Piszesz kolejną powieść? - Victria napisała już przeszło dziesięć książek i wszystkie zostały załadowane do sieci plastplejów. Są naprawdę świetne - sam nie wiem, jak ona to robi. Wspaniałe opowieści o bohaterach z czasów Plagi. Tragiczne historie. Nagle przeszły mnie ciarki. Pewnie Najstarszy podał jej przed urodzeniem świnię z etykietką „talent literacki”.

- Nie do końca. - Zamknęła książkę i wsunęła ją do wielkiej kieszeni płaszcza. Nie odwróciła się do mnie - patrzyła na kwadratowe, idealnie odmierzone pola, na których parzyli się żywicieli.

Podążyłem spojrzeniem za jej wzrokiem.

- Uważaj na siebie - ostrzegłem ją. - Gody pomieszały ludziom w głowach. - Całe szczęście, że Amy była bezpieczna z Harleyem.

- Luthe mnie tu przyprowadził - odparła Victria, nadal na mnie nie patrząc. - Teraz jest tu Orion, on może mnie odprowadzić.

Wzruszyłem ramionami. Odwróciłem się do ściany i dostrzegłem, że portret Najstarszego skrywał pod sobą plakietkę:

Pod spodem znajdowały się litery jakiegoś alfabetu - chyba greckiego lub cyrylicy, nie byłem pewien. A jeszcze niżej:

Dalej widniało osiem wersów tekstu, z czego dwa składały się z jakichś nieznanych mi symboli, ale nietrudno było odgadnąć, że to ten sam cytat w różnych językach.

- To jest stare - powiedziałem do Victrii, lecz ona nie zwracała na mnie uwagi. - Naprawdę stare. Musi tu wisieć od czasu powstania statku.

Chrzęknęła, by dać mi do zrozumienia, że usłyszała.

Znów pomyślałem o schematach, które kilka dni wcześniej pokazał mi Orion. O tym, że Poziomu Żywiciela używano przede wszystkim do badań biologicznych, a Gmach Archiwów i Badań stanowił jego centralny ośrodek. Para, nad którą musiałem przeskoczyć, gdy tu przyszedłem, jęczała donośnie.

To nie mogły być prace badawcze, o jakie chodziło twórcom statku.

Najstarszy tak często mówił o naszych postępach, o tym, ile zyskujemy dzięki monoetniczności i silnemu systemowi przywódczemu. Teraz miałem jednak wrażenie, że proste słowa Arystotelesa drwiły z nas i naszych wysiłków, których efektem było cudzołóstwo.

Zacząłem się zastanawiać, dlaczego Orion ściągnął obraz akurat w tym momencie. Już drugi raz naprowadził mnie na nowe odkrycie dotyczące przeszłości statku. Ile tak naprawdę o nim wiem? Nie byłem pewien, czy kiedykolwiek widziałem go poza Salą Nagrań - zresztą nawet tam krył się w cieniach i za książkami niczym duch pomiędzy słowami i zasobami informacji cyfrowej. Może i znam wszystkich ludzi na statku - ich imiona, a nawet twarze - ale czy tak naprawdę cokolwiek o nich wiem? Orion mógłby być kimkolwiek.

- Sądzisz, że oni się kochają? - w moje myśli wdarł się głos Victrii. Nie patrzyła na mnie, wciąż obserwowała parę parzącą się na schodach Sali Nagrań.

- Nie - odparłem.

- To jest obrzydliwe - wymamrotała. - Czy oni naprawdę nie mogą się powstrzymać? Nie, pomyślałem. Naprawdę nie mogą.

- Orion uważa, że to ludzka natura - stwierdziła, lecz ja wiedziałem, że to nieprawda. - Ale to nieprawda.

Spojrzałem na nią zaskoczony.

- Gdyby to była ludzka natura, zachowywałabym się dokładnie tak samo - wyjaśniła. Cóż, na gzyfa, miała rację. - Ale się nie zachowuję. Nie czuję... potrzeby, żeby to robić. Nie z kimś, kogo nie... - Urwała, ale ja potrafiłem odgadnąć, co chciała powiedzieć. Nie z kimś, kogo nie kocha.

Jeszcze tydzień temu wyśmiałybym te słowa. Miłość była dla mnie nie bardziej prawdziwa od „boga”, którego wyznaje Amy. Gdy uczyłem się o „miłości”, była ona dla mnie tym samym, co religie - bajkami mieszkańców SolZiemi. Wymyślali je, by poczuć się lepiej w niedoskonałym świecie, który pomagali tworzyć.

Ale dzisiaj...

- Lepiej kochać i stracić miłość, niż nie kochać wcale - oznajmiła Victria.

- To z twojej nowej książki?

Victria prychnęła. Poprawiła się na fotelu, a ja dostrzegłem stos książek - prawdziwych książek z SolZiemi - leżący obok niej na podłodze ganku. Zmarszczyłem brwi. Orion, jako Nagrywacz, powinien być jednak mądrzejszy. Nawet Nagrywaczom nie wolno bez powodu ruszać starych książek. Gdyby Najstarszy go przyłapał...

Leżąca na trawniku kobieta położyła sobie rękę na nagim brzuchu, zginając palce, jakby trzymała kurczowo coś niewidzialnego, ale bardzo cennego.

- Myślisz, że są chociaż szczęśliwi? - spytała Victria, wskazując na parę. - Bo ja - nie dała mi czasu na odpowiedź - nigdy nie jestem.

- No dobra, powieśmy ten prześliczny obrazek! - zawołał wesoło Orion, wychodząc z Sali Nagrań. Płótno, które trzymał, było tak nowe, że wciąż czułem zapach farby. Przypomniało mi o Harleyu.

Odwrócił obraz, by powiesić go na haczyku nad plakietką, a mnie oddech zamarł w piersi. Orion popatrzył na mnie, uśmiechając się znacząco.

Na płótnie nie było Najstarszego.

Na płótnie byłem ja.

- Te Gody są początkiem twojego pokolenia - oznajmił Orion, zaczepiając sznurek o haczyk i ustawiając obraz prosto. - Już prawie czas, by Najstarszy się wycofał. I oddał ci władzę.

Moja malowana podobizna spoglądała na „Błogosławionego” z tej samej pozycji, z której jeszcze niedawno patrzył Najstarszy. Stworzył ją Harley - poznałem jego styl - mimo że nigdy mu nie pozowałem. W takim razie musiał malować z pamięci, co zresztą tłumaczyło, dlaczego dodał mi cechy, których tak naprawdę nie miałem - pewność siebie w lekko uniesionej głowie, tak charakterystyczną dla Najstarszego, ale na pewno nie dla mnie; takie same przejrzyste oczy, taką samą dumę bijącą z postury. Ten człowiek raczej nie był do mnie zbyt podobny. Czyżby takim widział mnie Harley? To wcale nie byłem ja.

- Uderzające podobieństwo - oceniła Victria. Wstała z fotela bujanego, by podziwiać portret zza mojego ramienia.

- Wyglądasz na nim jak prawdziwy przywódca - dodał Orion.

Przywódca? O nie. Przywódca wiedziałby, co zrobić.

potrafiłam zetrzeć z nóg i rąk siniaków ani wypłukać z pamięci złych wspomnień.

Na polach było coraz mniej ludzi. Prawie wcale.

Ludzie to zwierzęta, powiedział Harley.

Nie mylił się. Luthe i dwaj żywiciela potwierdzili jego teorię. A także mężczyzna i kobieta leżący tuż obok, którzy widzieli, co się działo, i nawet nie zareagowali.

Starszy pocałował mnie w ogrodzie tuż po tym, jak rozpoczęły się Gody. Zaczęłam się jednak zastanawiać, czy był to szczery pocałunek, czy może Starszy zadowoliłby się jakimikolwiek kobiecymi ustami. Dla mnie ten pocałunek był szczery, ale dla niego chyba nie.

Nie obchodziło mnie, jaka plaga dotknęła ten statek ani jakie zasady wymyślił przez nią Najstarszy - Gody nie były normalnym ludzkim zachowaniem. Musiała istnieć jakaś zewnętrzna przyczyna. Pewnie dodają coś do jedzenia albo wpuszczają chemikalia do przetworzonego powietrza. Może to jakiś rodzaj choroby, który sprawia, że ludzie zachowują się jak zwierzęta podczas rui.

I wtedy sobie uświadomiłam: lekarz. On powinien wiedzieć, że to nie jest normalne. Powinien wiedzieć, jak odizolować - i wyeliminować - przyczynę, która przemienia ludzi w barbarzyńców.

Zeskoczyłam na podłogę i ruszyłam do drzwi, ale ręka mi zadrżała, gdy wyciągnęłam ją w stronę przycisku. W pokoju byłam bezpieczna. A tam...

Nie.

Nie będę tkwić tutaj jak przestraszony zając w norze. Przecież chcę odnaleźć Doktorka właśnie po to, by udowodnić, że ludzie nie są zwierzętami, więc nie mogę sama chować się jak zwierzę.

Cóż, najwyraźniej Doktorek mógł. Nie było go ani na drugim, ani na trzecim piętrze. Pielęgniarka z recepcji skierowała mnie na pierwsze.

- Ale jest zajęty! - zawołała za mną.

W korytarzach na pierwszym piętrze tłoczyły się dziesiątki kobiet. Niektóre miały na sobie szpitalne koszule i siedziały pod drzwiami pokojów, najwyraźniej czekając na badanie, a inne, w prostych tunikach i spodniach o szerokich nogawkach, trzymały schludnie poskładane koszule, czekając, by się przebrać. Całe piętro wyglądało jak jeden wielki gabinet ginekologiczny. W salach stały łóżka ze strzemionami, prawie wszystkie pozajmowane. Skąd tyle kobiet w gabinecie ginekologicznym? One chyba nie myślą, że już są w ciąży? Na pewno nie po jednym dniu. Pokręciłam głową. Skąd ta pewność? Na statku, gdzie telefony wszczepia się za ucho, a cienkie jak papier kawałki plastiku służą jako komputery, nie byłoby chyba

niczym szalonym, gdyby już teraz wiedziały, czy zaszły w ciążę.

Żadna z kobiet nie odzywała się ani słowem.

- Proszę stanąć w kolejce - powiedziała do mnie jedna z pielęgniarek, podając mi koszulę.

- Och, ale ja przyszłam zobaczyć się z doktorem... - zaczęłam. Szybko umilkłam. To chyba jasne, że przyszłam zobaczyć się z doktorem - jak wszystkie inne kobiety. - To znaczy - dodałam na widok grymasu zniecierpliwienia na twarzy pielęgniarki - nie z ginekologiem, tylko z drugim doktorem, tym, który zwykle urzęduje na drugim piętrze.

- Mamy tu tylko jednego doktora - poinformowała mnie pielęgniarka. Przyjrzała się moim rudym włosom i bladej skórze. - Domyślam się, że nie przyszłaś tu z powodu Godów?

- Nie!

Westchnęła.

- Chodź za mną.

Poprowadziła mnie korytarzem między grupkami kobiet. Wiele z nich oglądało się i patrzyło na mnie z zaskoczeniem, tak jak ktoś patrzyłby na dziwnego pasażera w autobusie. Nic nie mówiły - mimo wszystko nie wydawały się zbytnio przejęte moją obecnością.

- Tylko jeden doktor na tak wielu pacjentów? - spytałam pielęgniarkę.

- Ma nas, pielęgniarki, i pomocników. Od kilku lat jest bezpośrednim zwierzchnikiem kilku naukowców. - Znów westchnęła.

- Ale nie wybierze żadnego z nich na swojego ucznia. Należy do raczej nieufnych ludzi.

Ciekawe, co zaufanie ma wspólnego z koniecznością zatrudnienia pomocy. Chciałam o to zapytać, ale pielęgniarka zatrzymała się przed salą i pokazała, żebym weszła do środka. Otworzyłam drzwi. Doktorek siedział na krześle między strzemionami łóżka, na których opierała nogi jedna z pacjentek. Wszystko, czego nie powinnam widzieć, było na wierzchu.

- O mój Boże, przepraszam! - Zasłoniłam oczy i odwróciłam się pospiesznie. Dlaczego pielęgniarka pozwoliła mi wejść do sali, w której właśnie odbywało się badanie, i to na dodatek wyjątkowo szczegółowe?

- Nic się nie stało - powiedział Doktorek. - O co chodzi?

- Tej pani chyba się nie spodoba, że...

- Jej to nie przeszkadza. Przeszkadza ci to? - Zerknął na twarz kobiety spomiędzy jej nóg.

- Gdzie tam, oczywiście, że nie - odparła nieznajoma znudzonym głosem.

Cóż, gdybym to ja leżała na łóżku ginekologicznym z rozłożonymi nogami, a

wszystkie moje „intymności” byłyby wystawione na widok publiczny, chyba spaliłabym się ze wstydu. Mama zmusiła mnie, żebym poszła do ginekologa, gdy zaczęłam na poważnie umawiać się z Jasonem, i to było najbardziej niezręczne pół godziny mojego życia. Nie chciałam, żeby w gabinecie znajdował się ktokolwiek, wliczając w to lekarza, pielęgniarkę i mamę, a co dopiero kogoś obcego.

Ale ta kobieta niczym się nie przejmowała. Zaryzykowałam i otworzyłam oczy. Spojrzałyśmy na siebie - jej wzrok był spokojny. Nie wydawała się ani trochę zmieszana moją obecnością.

- Ja... eee... - Starłam się zignorować widok jakiejś przejrzystej mazi i metalowego narzędzia w rękach Doktorka, które chyba pochodziło z sali tortur. - Chciałam spytać o Gody.

- Ach tak - odparł, jak gdyby nigdy nic kontynuując badanie. Naprawdę nie mógł na sekundę się wstrzymać?

- Czy Gody zmieniają ludzi? - wyrzuciłam z siebie jednym ciągiem, by załatwić to jak najszybciej.

- To znaczy?

Metalowy przyrząd wślizgnął się do pochwy kobiety. Pacjentka skrzywiła się, ale nie powiedziała. Gapiła się pustym wzrokiem w sufit.

Szkliste oczy i bezwolność, z jaką leżała na łóżku ginekologicznym - wszystko to przypominało mi zachowanie pary, która uprawiała obok mnie seks, gdy zostałam zaatakowana. Apatia tamtych ludzi nie była normalna... i tej kobiety też nie. Szczerze mówiąc, wszystkie pacjentki czekające w korytarzu wyglądały na dziwnie nieobecne. Siedziały tak cierpliwie, tak cicho, tak... beznamyślnie. A przecież, biorąc pod uwagę długie kolejki do badań, powinny być raczej zniecierpliwione. Powinny rozmawiać, powinny się niepokoić, irytować, oburzać - powinny okazywać jakiegokolwiek uczucia.

- Jak ma pani na imię? - zapytałam kobiety. Przechyliła lekko głowę, żeby mnie widzieć. Mogłabym przysiąc, że o mnie zapomniała, ale nie była tym zbytnio zakłopotana.

- Filomina - odpowiedziała spokojnym głosem, choć biorąc pod uwagę, co robił jej lekarz, powinna się skręcać z zażenowania.

- Jesteś szczęśliwa? - Wiedziałam, że to dziwne pytanie, ale przyszło mi na myśl jako pierwsze.

- Nie jestem nieszczęśliwa.

- Amy, czego chcesz? - zniecierpliwził się Doktorek.

- Jakby w ogóle nie była człowiekiem - stwierdziłam. - Nie widzi pan? Przecież jest pan lekarzem! Powinien pan wiedzieć, że to nie jest normalne.

- Co nie jest normalne? - zdziwił się, gdy kobieta przesunęła głowę z powrotem na środek poduszki. Wpatrywała się beznamiętnie w sufit i tylko po mruganiu powiek można było poznać, że żyje.

- To - rzuciłam. - Ona.

Doktorek wycisnął na brzuch kobiety żel nawilżający i roztarł go ręcznym przyrządem z płaską końcówką. W pierwszej chwili pomyślałam, że będzie wykonywać badanie ultrasonograficzne, ale obok łóżka nie było żadnego monitora, który mógłby pokazywać zamazany, czarnobiały obraz płodu. Po chwili zapiszczał jednak niewielki wyświetlacz z tyłu urządzenia.

Stan: poziom hormonów optymalny Prawdopodobieństwo genetyczne mutacji fizycznych:

ŚREDNIE

Prawdopodobieństwo genetyczne mutacji psychicznych: średnio wysokie

Wpływ stosunków kazirodznych na sekwencję DNA: wysoki

- Filomino, wygląda na to, że jesteś w ciąży - oznajmił Doktor, odkładając przyrząd.

Kobieta westchnęła z zachwytem, po raz pierwszy okazując autentyczne emocje.

- Skąd pan to wie? - zainteresowałam się.

Lekarz odwrócił się do stolika przy łóżku.

- To znaczy?

- Przecież one to robią dopiero od kilku dni. Czy nie trzeba poczekać paru tygodni, żeby móc sprawdzić, czy kobieta jest w ciąży?

Doktorek zmył żel z brzucha Filominy, po czym natarł jej skórę czymś, co pachniało alkoholem. Sięgnął w stronę gablotki stojącej obok łóżka i wyjął z szuflady strzykawkę długości mojego przedramienia. Szklany cylinder był wypełniony bursztynowym płynem. Przy tłoczku znajdowała się etykieta. Widniały na niej jakieś słowa, ale stałam zbyt daleko, by móc je odczytać.

- Jej poziom hormonów wskazuje, że ma całkiem sporą szansę na zapłodnienie. A jeśli nawet nie była w ciąży wcześniej, to będzie już za chwilę. Poczujesz lekkie ukłucie - dodał doktor, zwracając się do Filominy.

Wbił igłę głęboko w jej ciało, domyśliłam się, że aż do samej macicy.

Wzdrygnęłam się z przerażenia, ale Filomina wydała z siebie tylko ciche „auć” i już było po wszystkim. Doktor naciskał tłoczek, wstrzykując bursztynowy płyn w jej ciało.

- To świństwo jest po to, żeby zmienić dziecko - odezwałam się zduszonym szeptem.

Spojrzał na mnie, dociskając tłoczek.

- Dzięki temu dziecko będzie silniejsze, zdrowsze.

Zaschło mi w ustach. Pamiętałam, co dziewczyna z pola mówiła mi o „szczepieniach”.

- To dlatego te kobiety są takie dziwne? Bo zmieniliście je, zanim się urodziły?

- Wszystko, co robię - wyjaśnił Doktorek, wyciągając igłę z podbrzusza Filominy - to zapewnienie dziecku dodatkowej sekwencji DNA, aby ta część łańcucha, która jest słabsza z powodu kazirodztwa, mogła być odbudowana. Nie wpływam na ich osobowość.

- Wpływa pan, skoro zmienia pan DNA.

Igła wyszła z ciała kobiety. Nie mogłam oderwać wzroku od lśniącej perełki krwi, która utworzyła się w miejscu nakłucia.

Doktorek wyrzucił strzykawkę do kosza i wreszcie skupił na mnie uwagę.

- To wszystko jest absolutnie normalne - oznajmił, przeciągając słowa. - Nie dzieje się tu nic złego. Tacy są normalni ludzie.

- Aha, właśnie tak - powiedziała Filomina płaskim głosem. - Normalne. Jestem normalna.

Cofnęłam się, złapałam za klamkę i wypadłam z pokoju. Popędziłam korytarzem, i choć wiedziałam, że stłoczone pacjentki nie zwracają na mnie uwagi, ich bezdusność napelniała mnie trwogą, której nie potrafiłam wyjaśnić.

48

STARSZY

Migu migu, mały gacku. Aż mi dziw, że tak Poehwacku...*

* Lewis Carroll, Alicja w Krainie Czarów, s. 58, przeł. Robert Stiller, Warszawa 1990.

- Słucham? - spytałem z uśmiechem.

- To tylko fragment tekstu z SolZiemi - odparł Orion, odwracając się z powrotem do plastpleja, który trzymał w dłoni.

Nie spodziewałem się, że zobaczę jeszcze Oriona w świetlicy Izolatki, ale ucieszyłem się, że przyszedł. Zawsze to jakaś znajoma twarz. Wczoraj Harley zakomował do mnie i powiedział, że przejmie moją zmianę na poziomie kriogenicznym. Praktycznie cały dzień musiałem spędzić z Najstarszym.

- Widziałeś gdzieś Harleya albo Amy?

Pokręcił głową.

- Co tu w ogóle robisz? Wydawało mi się, że nie chciałeś, by przyłapał cię tutaj Doktorek albo Starszy.

Orion wybuchnął śmiechem.

- Nic się nie martw, obaj na pewno są bardzo zajęci. - Miałem wrażenie, że próbuje przekazać mi oczami jakąś tajną wiadomość, ale nawet jeśli była to prawda, nie potrafiłem jej rozszyfrować. Westchnął i spojrział na wyświetlacz. - Te teksty z SolZiemi są fascynujące. - Postukał palcem w plastplej, przeglądając pliki.

- Powinieneś uważać. Jeśli Najstarszy zorientuje się, że dałeś Yictrii książki z SolZiemi... Jesteś Nagrywaczem. Sam wiesz najlepiej, że książki z SolZiemi nie mogą opuszczać Sali Nagrań i że nie powinni ich oglądać żywiciele. - Spróbowałem zajrzeć mu przez ramię, by zobaczyć, co czyta.

Pokazał mi plastplej - widniała na nim rycina uskrzydłonego mężczyzny z trzema twarzami.

- To historia o piekle. Najniższe poziomy składają się z samego lodu.

Nie patrzyłem już na plastplej, patrzyłem na Oriona.

- Och, dostęp? - rzucił. - Nic się nie martw, mam dostęp.

Swoboda, z jaką to powiedział, dała mi do myślenia.

- Mów, co wiesz - odezwałem się w końcu ściszym głosem, żeby nikt nas nie usłyszał. To Orion pokazał mi stare plany statku, dzięki którym odnalazłem Amy, a teraz opowiadał o piekielnym lodzie.

Orion wyprostował się. Zbyt blisko. Odsunąłem się o krok, ale on nachylił się ku mojej twarzy.

- Aco ty wiesz? - spytał. - Wiesz, że jestem twoim przyjacielem?

49

AMY

Wróciwszy do pokoju, uderzyłam ze złością w przycisk od rolety. W pokoju zapadł półmrok. Świetnie. Im więcej ciemności, tym lepiej.

Ktoś zapukał do drzwi.

Zignorowałam go. Czy był na tym statku ktokolwiek, z kim miałabym ochotę rozmawiać?

- Amy? - odezwał się Harley. - Widziałem, jak weszłaś do środka. Chciałem sprawdzić, jak się czujesz.

- W porządku - zawołałam przez drzwi.

- Wcale nie w porządku. Otwórz.

- Nie.

- Doktorek ma główny klucz. Pójdę po niego, jeśli będę musiał. Podskoczyłam i

pognałam do przycisku otwierającego drzwi.

Lekarz to teraz ostatnia osoba, którą chciałabym oglądać.

Harley wszedł do środka i rozejrzył się po pokoju.

- No co? - zniecierpliwiłam się.

- Nic. Pomyślałem tylko, że... że ktoś tu z tobą jest.

- Niby kto?! - prychnęłam.

Harley podszedł do biurka i usiadł na krześle.

- Pomyślałem, że Starszy.

- A dlaczego miałby do mnie przychodzić? - Opadłam na łóżko.

- Bo cię lubi.

Przyjrzałam mu się uważnie, ale nie dostrzegłam żadnych oznak nieszczerości.

- Nie wydaje mi się, żeby na tym statku ktokolwiek lubił kogokolwiek. - A w każdym razie nie w ten sposób.

- Skąd taki wniosek? - Harley sprawiał wrażenie szczerze zaskoczonego.

- A co, nie widziałeś wczoraj tych mężczyzn? To nie miało nic wspólnego z lubieniem, to było... ech! A w dodatku przed chwilą...

- Urwałam. Nie miałam ochoty gadać o Filominie.

- Bardzo mi przykro za wczoraj - powiedział Harley. Wiedziałałam, że mówi szczerze. - Na szczęście Gody już się skończyły. To się więcej nie powtórzy. - Usłyszałam groźbę w jego głosie. Miałam nadzieję, że będę w pobliżu, kiedy spotka Luthego. - No dobrze, ale co stało się dzisiaj? Gdzie byłaś?

- Na pierwszym piętrze. - Harley czekał, aż powiem coś więcej.

- Tamte kobiety...

- Och, chodzi ci o żywicielki. Przyszły na badania.

- Były przerażające.

- Skąd, są całkiem normalne. - Jego dobór słów sprawił, że się wzdrygnęłam.

- Nie są normalne - wyrzuciłam z siebie wściekle. - Normalni ludzie nie zachowują się w ten sposób. Normalni ludzie nie są bezmyślnymi wołami!

Harley pokręcił głową.

- Mówisz tak, bo odkąd zostałaś rozmrożona, spędzasz czas w Izolatce. To my jesteśmy nienormalni. Ludzie powinni być tacy jak one: posłuszni, spokojni, przystosowani do pracy w grupie. To my nie pasujemy do wzorca, bo nie potrafimy skoncentrować się na zadaniu, nie pracujemy razem, nie możemy zajmować się obowiązkami żywicieli ani sterników - to my jesteśmy nienormalni. To my musimy łykać tabletki, żeby nam całkiem nie

odbiło.

Gapiałam się na niego, oniemiała. Nie miałam pojęcia, co się dzieje, ale chyba wszyscy postradali zmysły. Zwykli ludzie to „wariaci”, podczas gdy ci, którzy utracili zdolność odczuwania, są „normalni”. A te Gody... Znów nawiedziło mnie wspomnienie szyderczych oczu Luthego. Poczulałam, jak gotuje się we mnie krew.

- Czy mieszkańcy tego statku naprawdę nie mają żadnych uczuć?

- Oczywiście, że mają. Na przykład teraz jestem głodny. Pójdziemy do stołówki?

- Nie. Mówię poważnie. Macie tutaj miłość czy tylko Gody?

Zmarszczki uśmiechu w kącikach oczu Harleya nagle się wygładziły.

- Być może Gody nie świadczą o nas najlepiej, ale bądź łaskawa zauważyć, że ja się tak nie zachowywałem.

- Ale dlaczego? - spytałam sfrustrowana. - Co się dzieje na tym statku? Dlaczego niektórzy ludzie uprawiają zwierzęcy seks na ulicach, podczas gdy inni są całkiem normalni?

Harley zaczął się bawić ołówkami leżącymi obok notatnika, tymi, które znalazłam w bagażu taty.

- Może tak naprawdę wiem dużo mniej, niż ci się wydaje.

- Więc mi powiedz!

- Byłem kiedyś zakochany. Raz.

Przez to „raz” na chwilę zapomniałam języka w gębie. Może dlatego, że ja także byłam zakochana tylko raz. A dziś oboje myśleliśmy o tym w czasie przeszłym.

- Prawdopodobnie właśnie dlatego jestem odporny na wpływ Godów. Po co miałbym się wiązać z inną kobietą? - Uciekł wzrokiem w stronę ozdobnego bluszczu, wijącego się wokół framugi drzwi. - Namalowałem to dla Kayleigh.

Bałam się głośniej odetchnąć. Bałam się zrobić cokolwiek, żeby żaden ruch czy dźwięk nie przerwał spowiedzi Harleya.

- Minęły już trzy lata. Byłem wtedy mniej więcej w tym samym wieku, co teraz Starszy. My po prostu... pasowaliśmy do siebie. Nie moglibyśmy bardziej się różnić, a mimo to pasowaliśmy do siebie. Ja lubiłem sztukę, ona mechaniczne gadżety. Gdy ja malowałem, ona majsterkowała.

- I co się stało? - zapytałam, gdy Harley zamilkł.

- Nie żyje.

Te słowa zawisły w powietrzu. Byłam ciekawa, w jaki sposób, ale nie chciałam dawać Harleyowi kolejnych powodów do smutku. Nagle zaczęłam czuć się niezręcznie w ubraniach z grubej wełny. Przypomniałam sobie, jak pierwszej nocy znalazłam je w szafie.

Pamiętałam również, że dotykałam ukwieconego bluszczu oplatającego drzwi, przesuując palcami po delikatnych płatkach. Oczami wyobraźni widziałam młodszego Harleya; malował kwiaty dla roześmianej Kayleigh - pozbawionej twarzy, ale ubranej w te same ciuchy, które miałam teraz na sobie.

- Kayleigh nie była stworzona do życia pod sztucznym słońcem. Potrzebowała prawdziwego nieba, takiego, o jakim mi opowiadałaś. Czuła się uwięziona między ścianami statku. Wszyscy wiedzieliśmy, że pewnego dnia wylądujemy na nowej planecie - że będziemy pokoleniem, które zejdzie z pokładu i zamieszka w nowym świecie. - Harley podniósł z biurka mojego misia i przytulił go do piersi, jakby chciał przypomnieć sobie dotyk Kayleigh. - Ale ona nie mogła tak długo czekać.

Nie musiał dodawać, że popełniła samobójstwo. A ja doskonale ją rozumiałam.

50

STARSZY

Załomotałem do drzwi pokoju mocniej, niż zamierzałem. W głowie wciąż słyszałem słowa Oriona.

Otworzył mi Harley.

- Gdzie jest Amy? - Przepchnąłem się obok niego do środka.

Amy siedziała na łóżku. Zacząłem się zastanawiać, o czym rozmawiali. Sami. W jej pokoju. Na łóżku.

- Czego chcesz? - spytała. Chociaż nie sprawiała wrażenia zniecierpliwionej, odniosłem wrażenie, że chce się mnie pozbyć, żeby zostać sam na sam z Harleym.

Harley zniknął w łazience i po chwili wrócił z kubkiem wody.

- Dlaczego jesteś smutna? - zwróciłem się do Amy.

- To nic takiego - odpowiedziała i wypila wodę.

Usiadłem na krześle przy biurku, a Harley obok Amy na łóżku. Trzeba było zostawić mu krzesło, pomyślałem.

- Dlaczego ktokolwiek chciałby zabijać zamrożonych? - zapytałem. Oboje wyglądali na zaskoczonych bezceremonialnością mojego pytania, ale po rozmowie z Orionem miałem serdecznie dość owijania w bawełnę. - Nie żyją już dwie osoby. Nie żyją. I to bez żadnego wyraźnego powodu.

- A co powiedział Najstarszy, gdy go znalazłeś? - odezwał się Harley.

Pozostawiłem to pytanie bez odpowiedzi na chwilę wystarczająco długą, by sami zrozumieli, że coś jest nie tak. Nie chodziło oto, że chciałem być jakoś przesadnie tajemniczy

- po prostu nie wiedziałem, co im powiedzieć. Ze chyba nie mogę dłużej ufać Najstarszemu? Harley znał wyłącznie jego dobre, opiekuńcze oblicze

- widział Najstarszego jako mądrego przywódcę. Jak miałem im powiedzieć, że ze wszystkich ludzi żyjących na statku to właśnie jego podejrzewam o morderstwa?

- Przede wszystkim musimy odkryć, dlaczego zamrozeni są celem ataków - stwierdziłem w końcu. - Motyw jest kluczem do tej sprawy, to na nim należy się skupić. Ale na razie chciałem wam pokazać coś innego... - Wziąłem z biurka Amy plastplej i aktywowałem dostęp, po czym uruchomiłem lokalizator wikomów. - To jest poziom kriogeniczny. - Podałem mapę Amy. Musnęliśmy się palcami, a ja czułem ciepło jej dotyku jeszcze długo po tym, jak nasze ręce się rozłączyły.

- Co to takiego? - Amy wskazała na niebieską kropkę na mapie.

- Naciśnij.

Nacisnęła, a wówczas na wyświetlaczu pojawiło się imię.

- Najstarszy/Starszy? Ale przecież ty jesteś tutaj.

Skinąłem głową.

- Oznacza to, że na dole jest teraz Najstarszy. Mamy identyczny zakres dostępu, więc komputer oznacza nas w taki sam sposób, pamiętacie?

Amy zacisnęła dłoń w pięść, zgniatając róg plastpleja.

- Wiem, co sobie teraz myślisz, ale on siedzi w laboratorium. Komory kriogeniczne znajdują się w tym miejscu - wyjaśniłem, ale ona nie wyglądała na przekonaną.

- Spójrz. - Harley wskazał na niebieską kropkę na mapie, która przesuwała się i po chwili zniknęła z ekranu.

- Co się stało? - zdziwiła się Amy.

- Tutaj jest winda. Za chwilę pokaże się na Poziomie Żywiciela. W każdym razie pomyślałem, że chciałabyś to sobie zostawić. Zmieniłem ustawienia, żeby program działał z twoim odciskiem palca, który wcześniej zeskanowałem. Dzięki temu będziesz wiedzieć, kto i kiedy wchodzi na poziom kriogeniczny.

- Dziękuję - powiedziała Amy - ale... to nie wystarczy. Musimy tam czuwać. Cały czas. Musimy zjechać na dół. - Wstała, choć wyglądała na zagubioną. - Teraz. Jeśli nie będziemy ich chronić... To właśnie dlatego ci ludzie umierają! Bo ich nie chronimy!

- Nie - odparłem spokojnym, pewnym głosem. - Ci ludzie umierają, bo ktoś ich morduje.

Amy otworzyła usta. Prawdopodobnie chciała nalegać, żebyśmy zjechali na poziom kriogeniczny, ale Harley podsunął jej kolejny kubek wody. Skupiłem się na niej tak bardzo,

że nawet nie zauważyłem, kiedy wstał i wyszedł do łazienki.

- Nie przesadzaj z tą wodą - ostrzegłem ją, przypominając sobie o pompie, którą Najstarszy ukrywał na dole, ale Amy wypila duszkiem cały kubek. Kiedy odstawiła go na stolik, jej blada skóra nie była już pokryta czerwonymi plamami, a oddech zaczął się uspokajać. Harley z wahaniem przysiadł na skraju łóżka, gotów w razie potrzeby pognać po następny kubek wody.

- Zjadę na dół pilnować komór, gdy tylko będę mógł - obiecał Amy. Oczy miał dziwnie nieobecne. Zastanowiłem się, czy oferuje jej pomoc z powodu gwiazd skrytych za śluzą spustową. Ciekawe, ile razy już ją otwierał, żeby móc wyjrzeć w przestrzeń.

W mojej głowie pojawiła się niepokojąca myśl. Tej nocy, kiedy zginął Kennedy, Harley był cały czas na dole. Mógł otworzyć komorę i pozwolić, by mężczyzna się rozmroził. Potrafiłem to sobie wyobrazić: Harley stoi nad nim i patrzy, jak umiera. Mógł to zrobić.

Tylko po co?

Kolejny wewnętrzny podszept przypominał mi o depresjach Harleya, o dodatkowych lekach, które kazał mu brać Doktorek, i o tym, że z powodu całego zamieszania od jakiegoś tygodnia chyba w ogóle ich nie łykał.

Wziąłem głęboki oddech, by oczyścić umysł.

Harley nie jest mordercą.

Prawda?

Nie... na pewno nie. Harley nigdy by...

- A czemu... - zaczęła Amy.

Buip, biiipbiiip.

Poderwałem rękę do przycisku wikomu i dostrzegłem, że Harley robi dokładnie to samo. Popatrzyliśmy na siebie. Nieczęsto się zdarzało, żeby dwie osoby otrzymywały kom w tej samej chwili.

- Co znowu? - spytała Amy, spoglądając to na mnie, to na niego. Zaraz potem moje ucho wypełnił głęboki starczy głos.

- Uwaga, wszyscy obywatele „Błogosławionego”. Ogłaszam ważny komunikat.

51

AMY

- No, co jest? - zapytałam po raz drugi. Chłopcy znów słuchali z przechylnymi głowami, tak jak wtedy, gdy z powodu globalnego komunikatu wszyscy pacjenci ze świetlicy Izolatki zaczęli na mnie krzywo patrzeć. Poczułam, jak serce podchodzi mi do gardła, a

mięśnie drętwieją. A jeśli Starszy i Harley także odwrócą się do mnie plecami? Tylko oni mi zostali.

- Powiecie mi? - powtórzyłam niecierpliwie. Starszy zbył mnie machnięciem ręki niczym natrętną muchę. Odwróciłam się do Harleya, ale on marszczył w skupieniu brwi, jakby słuchał czegoś, od czego zależy jego życie. Gdy chciałam go złapać za ramię, strącił moją dłoń. Starszy zgromił mnie wzrokiem.

Nie mogłam pozwolić, żeby zaczęli mnie nienawidzić. Nie wiedziałam, czego słuchają, ale z pewnością nie było to nic dobrego. Obaj mieli grobowe miny. Starszy przyglądał mi się badawczo, a jego wzrok był ponury. Nie mogłam pozwolić, żeby mnie znienawidzili. Nie pozwolę im na to.

Chwyciłam leżącą na biurku Bursztynekę i przytuliłam ją do piersi. Dotarło do mnie, że przygryzłam wargę, bo poczułam w ustach żelazisty posmak krwi.

Podniosłam pusty kubek i popędziłam do łazienki, by go napełnić.

Wypiłam wodę w pięć sekund, nalałam jeszcze raz i znów wypić.

W matczynych radach Harleya musiało tkwić ziarnko prawdy - ta woda rzeczywiście mnie uspokoiła. Jakbym wzięła głęboki oddech przed ustawieniem się do biegu w wyścigach.

Wróciłam do pokoju.

Starszy i Harley wyprostowali się. Skupili na mnie wzrok.

Wiedziałałam. Już mnie nienawidzą.

Bez względu na to, jakie słowa rozbrzmiały w ich uszach, jedno było pewne - rozkazały im, by mnie znienawidzili, i teraz obaj naskoczą na mnie jak wszyscy inni pacjenci z Izolatki. Skóra między moimi oczami ściągnęła się, a płuca miały coraz większy kłopot z pompowaniem powietrza.

- Co jest? - nie wytrzymałam napięcia.

- Nic dobrego - odparł krótko Starszy.

- Nie możesz tego wiedzieć - stwierdził Harley.

Starszy odwrócił się w jego stronę.

- To nie może być nic dobrego.

- Ale co?!

- Najstarszy ogłosił komunikat globalny. Znowu. Wszyscy mamy wjechać na Poziom Strażnika. - Kąciki jego ust opadły i twarz wykrzywiły mu zmarszczki zaniepokojenia.

- Właściwie to czuję się podekscytowany. - Harley zerwał się na równe nogi i energicznie ruszył do drzwi. - Zawsze się zastanawiałem, jak wygląda Poziom Strażnika. - Przypomniałam sobie, że życie większości pasażerów ograniczało się do tego poziomu.

Czysty absurd - nie dość, że byli uwięzieni między metalowymi ścianami, to na dodatek nie mieli prawa wstępu do innych części statku.

Wcisnął guzik otwierający drzwi i wypadł na korytarz. Chciałam iść za nim, ale Starszy nie miał zamiaru się ruszyć. Przystanąłam.

- Mam złe przeczucia - powiedział.

- No, szybciej! - zawołał z korytarza Harley.

Starszy i Harley sprzeczekali się, prowadząc mnie ścieżką za Szpital, obok Sali Nagrań i aż do metalowej ściany otaczającej Poziom Żywiciela.

- Nie może jechać grawiszybem, nie ma wikomu - upierał się Harley.

- To jak dostanie się na Poziom Strażnika? - spytał Starszy.

- Nie możecie po prostu mnie tu zostawić? - wtrąciłam się. Tak byłoby chyba najlepiej. Okropnie bolała mnie głowa, a poza tym miałam wrażenie, jakby ktoś wypchał mi czaszkę watą. Coś w słowach Harleya o wikomie nie dawało mi spokoju, ale przez tę dezorientację nie byłam w stanie normalnie myśleć.

- Wykluczone. - Starszy uniósł rękę, jakby chciał mnie przytrzymać, ale w ostatniej chwili zmienił zdanie.

- Niech poleci z tobą - zaproponował Harley, choć w jego głosie brzmiała niepewność.

- Poleci? - zdziwiłam się.

Harley wyszczerzył zęby.

- Złapiesz się mocno Starszego, a on zabierze cię przez grawiszyb na górę.

- Ale... - Starszy zarumienił się po same uszy.

- No dalej. - Harley chwycił mnie za nadgarstek i przyciągnął do Starszego. - Obejmij go. O, właśnie. Ale bliżej, bliżej! Starszy, ty musisz złapać ją w pasie. Nie, nie tak, bez dotykania się nie obejdzie. - Przycisnął niepewną rękę Starszego do mojej talii. Znajdowaliśmy się teraz bardzo blisko siebie, czułam zapach ziemi i trawy na jego skórze. Było mi całkiem przyjemnie.

- Wszystko w porządku? - zapytał Starszy.

Uśmiechnęłam się słabo. Nie byłam do końca pewna, czy wynikało to ze zdenerwowania, czy z zupełnie innego powodu, ale miałam wrażenie, jakby w żołądku przelewało mi się wiadro wody. Do licha, biorąc pod uwagę, że przed chwilą wypłam kilka kubków kranówki, chyba nie powinnam być tym szczególnie zdziwiona.

- Wydaj grawiszybowi polecenie - powiedział Harley rzeczowym tonem.

Dłoń Starszego zadrżała, gdy podniósł ją do przycisku za uchem.

- Poziom Strażnika. - I dodał: - Będziesz musiał użyć szybu w Mieście, do tego nie

masz dostępu. Najstarszy otworzył dla wszystkich włącz prowadzący do Wielkiej Sali. - Harley kiwnął niecierpliwie głową i machnął, żebyśmy już lecieli. - Szerokiej drogi!

- rzucił i wepchnął nas pod wielką przejrzystą rurę.

Miałam jakąś sekundę, by spojrzeć w górę na wirujące wiatry. Poczułam, jak włosy stają mi dęba, i wciągnęłam skompresowane powietrze w płuca, a zaraz potem zaczęliśmy się unosić.

Starszy mocniej owinął ramię wokół mojej talii. Instynktownie przyciągał mnie coraz bliżej. Zamknęłam oczy, pozwalając, by mnie trzymał; ufałam jego silnej ręce. Przez krótką chwilę unosiliśmy się na falach owiewającego nas wiatru niczym boje na powierzchni oceanu, jakby wir powietrza sprawdzał naszą wagę. I mimo że chyba powinnam być przerażona, na widok uśmiechniętych oczu Starszego mogłam odpowiedzieć jedynie uśmiechem.

Wiatr zaczął się wzmacniać. Poczułam szarpnięcie w żołądku, gdy porwało nas w górę. Przyspieszaliśmy coraz bardziej i bardziej, mknąc przez przezroczystą rurę, a od pędu powietrza włosy przylgnęły nam płasko do skóry.

- Co się dzieje? - krzyknęłam, z trudem unosząc głowę z ramienia Starszego, by spojrzeć mu w oczy.

- Wszystko jest w porządku! - odpowiedział. Jego słowa przefrunęły obok moich uszu niczym kolibry.

Wiatr pędził tak szybko i głośno, że dalsza rozmowa mijała się z celem. Znowu poczułam, jak ręce Starszego zaciskają się wokół mojego ciała. Wtuliłam twarz w jego pierś.

Choć powietrze świszczało, a nasze ubrania łopotały, słyszałam bicie jego serca.

Rura wyginała się wzdłuż zakrzywionej ściany, a my lecieliśmy z prędkością strzały przecinającej serce huraganu. Ujrzałam w dole zieleń rozmazanych pastwisk. Mięśnie mojej szyi walczyły z przeciążeniem, gdy próbowałam wyprostować kark, a robiąc to, dostrzegłam daleko po przeciwnej stronie poziomu umykające barwne plamki przyczep Miasta.

I nagle rura gwałtownie zakręciła, przyprowadzając mnie o mdłości i zawroty głowy. Przez kilka sekund wznosiliśmy się w mroku, aż w końcu przelecieliśmy przez otwór w podłodze wyższego poziomu. Zatrzymaliśmy się.

Wzrok miałam zamglony, a oczy załzawione. Dziwnie się czułam, jakbym była chora. Spróbowałam stłumić to wrażenie. Byłam skołowana, ale nie umiałam powiedzieć, czy wynikało to z jazdy grawiszybem, czy z czegoś innego.

- Witaj na Poziomie Strażnika - odezwał się Starszy. - Oto mój dom.

STARSZY

Jej chłodna dłoń zamknęła się wokół mojej. Ścisła ją tak mocno, że koniuszki moich palców, zmarznięte po przejeździe grawiszybem, zupełnie zdrętwiały. Ale nie przeszkadzało mi to. Zupełnie mi to nie przeszkadzało. Była zdyszana i uśmiechnięta, a ja żalowałem, że nie możemy zostać w Centrum Edukacyjnym sami, że nie mogę założyć jej za ucho tego niesfornego kosmyka włosów ani pocałować tych roześmianych ust. Słyszałem już jednak dolatujący zza drzwi gwar rozmów obywateli, którzy wchodzili do Wielkiej Sali przez właz z Poziomu Sternika.

Kiedy nasze spojrzenia się spotkały, dostrzegłem na jej oczach szklistą mgiełkę, jakby Amy dopiero co przebudziła się ze snu. Ale wystarczyło, że rozciągnąłem usta w uśmiechu, a ona w odpowiedzi zrobiła to samo. Trzymaliśmy się za ręce, przechodząc z Centrum Edukacyjnego do Wielkiej Sali. Byłem zaskoczony - nie sądziłem, że pozwoli mi się trzymać tak długo - ale jej uśmiech wyglądał na nieobecny, jakby zapomniała, że nasze ręce są złączone.

Ludzie gromadzili się w Wielkiej Sali. Dopiero teraz zdałem sobie sprawę z jej prawdziwych rozmiarów. Zmieścili się chyba już wszyscy, chociaż przez właz ciągle ktoś wchodził. Przyszedł Harley, a za nim Bartie i Victria. Stanęli razem przy włazie, ale Harley mrugnął do mnie, kiedy zauważył obok mnie Amy. Jej oczy były wielkie jak spodki; chłonęły widok nowych twarzy, które pojawiły się w Wielkiej Sali. Żywiciele tłoczyli się z jednej strony niczym kurczaki, a sternicy czekali ze stoickim spokojem na obrzeżach pomieszczenia. Ciekawe, ile wiedzą. Najstarszy z pewnością nie zdradziłby im swoich zamiarów, ale sposób, w jaki się ustawili - ramię w ramię w równiutkim szeregu - podpowiadał mi, że mają jakieś informacje, do których Najstarszy jeszcze mnie nie dopuścił.

Może Doktorek też coś wiedział. Przeszukałem wzrokiem tłum, ale nigdzie go nie było.

Prawie wszyscy patrzyli w górę. Sztuczne gwiazdy, zwykle zakryte metalowymi ekranami, lśniły i migotały, a czerwona kropka symbolizująca nasz statek mrugała. Już tylko czterdzieści dziewięć lat i dwieście sześćdziesiąt cztery dni dzieliło nas od lampki, która reprezentowała Centauri Ziemię. Dom.

- Tylko spójrz na te gwiazdy... - powiedział farmer z Poziomu Żywiciela do stojącej obok kobiety. Podeszli odrobinę bliżej, stykając się ramionami. Kobieta położyła sobie rękę na brzuchu i rozcapierzyła palce. Rozmawiali z mężczyzną szeptem, ani na chwilę nie spuszczając wzroku z gwiazd.

Miałem wrażenie, że wszyscy w Wielkiej Sali zaczęli łączyć się w pary i że na pewno

więcej niż jedna kobieta trzymała dłoń na swoim brzuchu. Nachyliłem się do Amy, dotykając jej ramieniem, ale ona już nie chwyciła mnie za rękę.

Strumień ludzi napływających przez właz osłabł i w końcu wysechł.

Kilku sterników zebrało się przy kwaterze Najstarszego. Stali wyprostowani, rzucając ukradkowe spojrzenia w stronę tłumu. Pacjenci z Izolatki trzymali się razem, a ich głosy wybijały się ponad gwar. Gdy jednak spojrzałem na nich, zauważyłem, że Harley milczy. Patrzył w górę - chyba już się zorientował, że te gwiazdy nie są prawdziwe. Czy ktokolwiek mógłby zresztą pomylić prawdziwe gwiazdy z tą wystawką światełek?

Otworzyłem usta, by zapytać Amy, co o nich myśli, ale w tej samej chwili rozwarły się drzwi kwatery Najstarszego.

Wyszedł ubrany w oficjalny strój swojego urzędu - ciężką wełnianą togę z milczącymi, nieruchomymi gwiazdami wyszytymi na ramionach oraz zielonymi kłosami na brzegach. Obie te rzeczy były symbolem nadziei wszystkich ludzi żyjących na pokładzie statku.

- Przyjaciele - przemówił swoją najlepszą imitacją głosu serdecznego dziadka - czy może raczej rodzino.

Żywiciele wzdychali, a kobiety uśmiechały się do nich, gładząc się po brzuchach.

- Zaprosiłem was tutaj z konkretnego powodu. Po pierwsze, chciałem wam pokazać gwiazdy. - Podniósł wysoko rękę i zatoczył nią luk, a wszystkie głowy podążyły za jej ruchem, wszystkie oczy zatrzymały się na lśniących jasno „gwiazdach”.

- Widzicie ślady, które ciągną się za gwiazdami? - kontynuował Najstarszy. Żywiciele kiwali głowami. - Te ślady obrazują, jak szybko porusza się nasz statek, gdy mkniemy przez kosmos w drodze do nowego domu.

Zerknąłem na Amy, ale ona wpatrywała się pustym wzrokiem w światełka. Chyba jeszcze nie dotarło do niej, że to nie są prawdziwe gwiazdy. Odwróciłem się do Harleya. Patrzył na mnie przez całe pomieszczenie, a czoło miał porane głębokimi zmarszczkami. On rozumiał, co jest nie tak.

- Jak zapewne wiecie, wy, młodzi, jesteście pokoleniem, które wyląduje na CentauriZiemi. - Najstarszy urwał i westchnął dramatycznie. - Niestety, nie będzie wam to dane.

Podniósł się szum. Czerwona kropka symbolizująca „Błogosławionego” cofnęła się na swojej trasie i zaczęła się oddalać od CentauriZiemi.

- Silniki naszego drogiego „Błogosławionego” są już zmęczone, przyjaciele, i statek nie może lecieć szybciej. Mieliśmy wylądować za pięćdziesiąt lat...

- Czterdzieści dziewięć i dwieście sześćdziesiąt cztery dni! - przerwał mu okrzyk z tłumu. Wszyscy odwrócili się do Harleya, który patrzył na Najstarszego. Krew odpłynęła mu z twarzy, a blada skóra kontrastowała z ciemnym sińcem pod okiem.

Najstarszy uśmiechnął się uprzejmie.

- Dokładnie tak. W każdym razie miało to nastąpić za waszego życia, przyjaciele. Boję się jednak, że rzeczywistość może wyglądać inaczej. Od lądowania dzieli nas dzisiaj więcej niż pięćdziesiąt lat.

- Ile? - spytał Harley przestraszonym i już nie tak donośnym głosem.

- Pozostaje nam jedynie nadzieja, że nauka kłamie, a Centauri Ziemia znajduje się bliżej, niż pierwotnie zakładaliśmy.

- Ile?

- Siedemdziesiąt pięć lat, zanim dotrzemy do celu - odparł Najstarszy krótko. - Dwadzieścia pięć lat więcej niż myśleliśmy.

W Wielkiej Sali zapadła cisza. Dwadzieścia pięć lat więcej?! Nie będę nawet staruszkami, kiedy wylądujemy - będę od dawna martwy! Złapałem nieświadomie dłoń Amy, a ona zacisnęła na niej palce tak delikatnie, że ledwie czułem ich dotyk.

- Dwadzieścia pięć lat dłużej?! - krzyknął Harley, przepychając się przez zgromadzonych w stronę Najstarszego. - Dwadzieścia pięć?!

Bartie i Victria zatrzymali go. Przełknął ciężko ślinę, jakby miał zwymiotować. Usłyszałem, jak mamrocze: „siedemdziesiąt cztery i dwieście sześćdziesiąt cztery, siedemdziesiąt cztery i dwieście sześćdziesiąt cztery...”.

- Dwadzieścia pięć lat dłużej - zagłuszył go Najstarszy. - Przykro mi, ale nic nie mogę na to poradzić. Dla was będzie za późno, żeby zobaczyć nową planetę, ale wasze dzieci...

Otoczające mnie kobiety przycisnęły dłonie do brzuchów.

- Nasze dzieci - rzuciła ta stojąca obok mnie do swojego mężczyzny. - Nasze dzieci zobaczą nowy świat.

Jej słowa rozprzestrzeniły się jak ogień i już po chwili wszystkie żywicielki mruczały do zarodków w swoich brzuchach słowa nadziei i pocieszenia. Nie martwiły się o własny los, martwiły się wyłącznie wzrastającymi w nich dziećmi i przyszłością.

- W przypadku podróży, która trwa kilka wieków, pomyłka wielkości dwudziestu paru lat nie jest niczym wielkim, przyjaciele - stwierdził Najstarszy. Niektórzy żywiele zaczęli przytakiwać.

- Jest! - ryknął Harley, uwolniwszy się z uścisku Bartiego i Victrii. - Obiecałeś nam ziemię, obiecałeś nam dom, obiecałeś nam prawdziwe gwiazdy, a teraz chcesz powiedzieć, że

wszyscy umrzemy, zanim otrzymamy szansę posmakowania świeżego powietrza, które nie jest przetwarzane od kilku stuleci?!

- Ale nasi potomkowie - powiedziała jedna z żywicielek. - Nasi potomkowie będą mieli Ziemię. Nie potrzebujemy niczego więcej.

- Potrzebujemy! - wrzasnął Harley. Był już prawie na przedzie, tam, gdzie stał Najstarszy. - Potrzebujemy solidnego gruntu pod stopami, nic innego się nie liczy!

Najstarszy zastąpił mu drogę. Kiwnął na niego palcem, a Harley, pomimo swej złości, nachylił się, by wysłuchać, co staruszek chce powiedzieć. Najstarszy szepnął mu coś do ucha. Harley zbladł jak ściana, a w jego oczach pojawiły się smutek i śmierć. Zaraz potem, gdy tylko Najstarszy zamilkł, Harley rozejrzał się po zgromadzonych i w końcu wybiegł z Wielkiej Sali. Wygramolił się przez właz na niższy poziom. Nikt nic nie mówił, wszyscy w milczeniu wsłuchiwali się w dudnienie jego kroków, aż w końcu i ono ucichło.

Popatrzyłem na Amy, spodziewając się ujrzeć na jej twarzy podobny gniew. Była już wystarczająco wściekła, gdy usłyszała, że do lądowania pozostało pięćdziesiąt lat - jak musi się czuć teraz, wiedząc, że minie ich siedemdziesiąt pięć, zanim statek dotrze na nową planetę? Serce łomotało głucho w mojej piersi. Gdy jej rodzice zostaną odmrozeni, ich córka będzie już martwa. A Amy nigdy się z nimi nie pożegna.

Twarz miała bladą, ale nie dostrzegłem w jej oczach gniewu, ichociaż głowę trzymała wysoko uniesioną, nie było w tym ani odrobiny buńczuczności.

- Amy? - szepnąłem. Odwróciła się do mnie. - Co o tym myślisz?

Chwila ciszy.

- To smutne - odpowiedziała, choć w jej głosie wcale nie pobrzmiewał smutek. - Żałuję, że tak się stało, ale chyba sobie z tym poradzę - dodała ze stoickim spokojem.

- Dobrze się czujesz? - spytałem.

- Dobrze. - Zamrugnęła, jakby miała problem z ostrością widzenia. - Te gwiazdy są piękne.

- To nie są prawdziwe gwiazdy! - syknąłem jej do ucha. - Nie widzisz?

- Podobają mi się te ogonki, wyglądają przez nie jak komety.

Nachyliłem się do niej jeszcze bliżej.

- Przecież widziałas prawdziwe gwiazdy, więc musisz zdawać sobie sprawę, że te są fałszywe! Dodali im ogonki, żeby stworzyć pozór szybkiego ruchu statku!

- Och, to prawda, lecimy bardzo szybko - stwierdziła Amy i wskazała na Najstarszego.

- On tak powiedział.

Cofnąłem się, mierząc ją wzrokiem. Stała lekko przygarbiona, ramiona miała

opuszczone. Nawet jej włosy wydawały się oklapnięte.

- Co ci się stało? - spytałem.

Amy zamrugła.

- Ciii - uciszyła mnie. - Nasz Najstarszy przemawia.

Wybałuszyłem oczy. Nasz Najstarszy? Nasz?!

- Przyjaciele - mówił tymczasem Najstarszy - wiem, że nie jest wam łatwo pogodzić się z tymi wieściami. Mimo to chciałem, żebyście przyszli tutaj zobaczyć gwiazdy. Gdy wasze dzieci przyjdą na świat, będziecie mogli opowiadać im o niebie, które na nich czeka!

O świecie, który będzie ich domem!

Ludzie zaczęli wiwatować. Autentycznie wiwatować.

A razem z nimi Amy.

53

AMY

Zabawnie się czuję.

Nie „ha, ha” zabawnie. Dziwnie zabawnie.

Biegnij, mówi ciało mojemu umysłowi. Kiedy coś jest nie w porządku, biegnij. Dzięki bieganiu czujesz się lepiej. Normalnie.

Ale dlaczego miałabym biec? Dokąd? I po co?

Bieganie wydaje się głupie.

Równie dobrze mogę tu chwilę postać.

I czekać.

Mam wrażenie, że świat zwolnił.

Jakbym szła przez wodę.

Jakbym tonęła.

** *

Głośne wiwaty omywały mnie niczym ciepła fala radości, więc dołączyłam do nich, podnosząc głos i stając się częścią tłumu. Starszy spojrzał na mnie zabawnym wzrokiem (nie „ha, ha” zabawnym, ale dziwnie zabawnym) i w ogóle nie wiwatował. Ciekawe czemu.

- Dlaczego się nie cieszysz? - spytałam.

Długo myślał nad odpowiedzią, a kiedy wreszcie otworzył usta, już prawie nie pamiętałam pytania.

- Bo nie mam z czego.

A po co człowiekowi powód, żeby się cieszyć? Nie lepiej po prostu się... cieszyć?

Ludzie zaczęli schodzić z Poziomu Strażnika. Stałam nieruchomo, obserwując, jak idą. Ich marsz sprawiał, że podłoga lekko falowała, jak powierzchnia wody, kiedy rzuci się w nią kamyczkiem. Zamknęłam oczy, próbując poczuć świat przez stopy.

Na chwilę przypomniałam sobie Ziemię. Widziałam zmarszczki na sadzawce.

Wspomnienie zbladło. Jestem tutaj i teraz. Nie tam.

Po co myśleć o Ziemi?

Starszy dotknął mojego ramienia. Otworzyłam oczy. Wszyscy już zniknęli, zostali tylko Starszy i Najstarszy. I ja.

Starszy ruszył w kierunku Najstarszego. Odwrócił się do mnie.

- No chodź - rzucił. - Idziesz?

Och, oczywiście. Podreptałam za nim.

Najstarszy skupił na mnie wzrok. Moje ciało zareagowało szybciej niż umysł. Strach skręcił mi żołądek, zrobiło mi się niedobrze. Zatoczyłam się - dlaczego nogi nie chcą mnie ponieść bliżej Najstarszego? Dlaczego z trudem łapię oddech, a serce wali mi jak oszalałe?

Dlaczego nie lubię Najstarszego?

Potrząsnęłam głową, aby oczyścić umysł. Oczywiście, że lubię Najstarszego. Dlaczego miałabym go nie lubić? Przecież to mój przywódca.

Podskoczyłam, przestraszona głośnym dźwiękiem. Dobiegł od strony Starszego.

Musiała mnie ominąć część ich rozmowy. Zmrużyłam oczy, próbując się skupić, bo z jakiegoś powodu uznałam, że zrozumienie ich jest teraz najważniejsze. Czulałam, że powinnam ich zrozumieć, powinnam się nimi zainteresować.

- Co im zrobiłeś?! - wybuchnął Starszy.

Dlaczego krzyczy?

- Nic, czego ty sam nie zrobiłbyś na moim miejscu - prychnął Najstarszy.

- Nigdy nie będę taki jak ty! Nigdy! To wszystko są kłamstwa!

- Podążyłam wzrokiem za jego ręką. Gwiazdy. Takie piękne. Lśniące i migotliwe. Nie takie jak w domu.

Oddech na chwilę uwiązał mi w gardle, a serce zamarło. W domu? To jest mój dom. Po co myśleć o innych gwiazdach? Te mi wystarczą. Są piękne. Lśniące i migotliwe.

- W co ty próbujesz ze mną pogrywać?! - krzyknął Starszy, a ja uświadomiłam sobie, że znowu zapomniałam słuchać.

A powinnam ich słuchać.

Tylko... dlaczego? To nie ma nic wspólnego ze mną.

Ma, odpowiedział mi szept w głowie.

Co? - spytałam.

Żadnej odpowiedzi.

- Ty gzyfowy hucpiarzu - rzucił Najstarszy, pochylając się do Starszego. - Oni potrzebują nadziei, zgadza się? Więc muszą czasem popatrzeć sobie na te migotliwe cudeńka.

Podniosłam głowę i spojrzałam na migotliwe cudeńka. Były cudowne. I migotliwe.

Zamrugałam. Gdzie zniknęły ich głosy?

Starszy i Najstarszy przypatrywali mi się uważnie.

Powinnam im coś powiedzieć? Wyglądali, jakby chcieli, żebym coś powiedziała.

Ale co?

- Amy? - odezwał się cicho Starszy.

Najstarszy wyszczerzył w uśmiechu garnitur zębów. Znow skręcił mi się żołądek, a na języku poczułam smak żółci, ale wykrzywiłam usta, by odpowiedzieć na jego uśmiech. Tym razem pochylił się w moją stronę i pogłaskał mnie po policzku. Gdy wyciągnął ręce, z trudem powstrzymałam impuls, by się wzdrygnąć. Cóż za głupstwo, dlaczego miałabym się wzdrygać? Stałam nieruchomo, a on położył obie dłonie na mojej twarzy i przyciągnął mnie do siebie.

- Zabierz te ręce - warknął do niego Starszy.

- Nie rozumiesz? - powiedział Najstarszy. Wydawało mi się, że przemawiał do Starszego, choć patrzył na mnie. - Ludzie żyjący na „Błogosławionym” mają proste potrzeby i zachcianki. Daj im migoczące światełka, a nazwą je nadzieją. Daj im nadzieję, a zrobią dla ciebie wszystko. Będą pracować nawet wtedy, kiedy im się nie chce. Będą się mnożyć, kiedy statek tego potrzebuje. I przez cały ten czas będą się szeroko uśmiechać.

Uniósł kąciki ust, patrząc na mnie ciepłymi i kojącymi brązowymi oczami.

Uśmiechnęłam się.

54

STARSZY

Coś było nie w porządku. Amy źle się czuła.

- Co się stało? - zapytałam.

Mrugnęła.

- Nic.

Postanowiłem zabrać ją do Doktora. Nie wiedziałem, czy mogę mu ufać, ale nikt inny nie zdołałby jej pomóc. W każdym razie było gzyfowo pewne, że nie mogłem zaufać Najstarszemu.

W pośpiechu wyprowadziłem Amy z Poziomu Strażnika, jak najdalej od Najstarszego. Strach i ożywienie po jej pierwszej przejażdżce grawiszybem zniknęły, zastąpione łagodną apatią. Podążała za mną ścieżką prowadzącą do ogrodu za Szpitalem posłusznie jak pies. Patrzyła przed siebie, nie na kwiaty i nie na posąg Najstarszego Plagi

- po prostu przed siebie. Zadałem sobie pytanie, czy cokolwiek widzi.

Na parterze Szpitala tłoczyło się co najmniej kilkanaście osób. Połowę z nich stanowili ludzie starsi, a reszta wyglądała jak ich młodsze kopie - synowie i córki, którzy przyprowadzili tu ojców i matki.

- Już po niej - westchnął mężczyzna pochylony nad pielęgniarką o zwiotczałych ramionach, która kierowała oddziałem urazowym. - Jest za stara, żeby przemieszczać się grawiszybem, ale powiedziałem jej o spotkaniu, no wiesz, o zgromadzeniu na Poziomie Strażnika. Zupełnie zbiło ją to z tropu. Wszystko jej się pomieszało.

- Nic mi się nie pomieszało - zaprzeczyła łamiącym się głosem stojąca za nim starsza kobieta. - Pamiętam to jak dziś, gwiazdy, które zostawiają za sobą ogony światła. Widziałam je tylko raz.

Pociągnąłem Amy za rękę, jakby była rozkojarzonym dzieckiem, chociaż tak naprawdę sam czułem się dużo bardziej rozkojarzony.

Pielęgniarka o zwiotczałych ramionach pokiwała głową do młodego mężczyzny.

- To nie twoja wina, starsi często miewają problemy z jasnym myśleniem. Na trzecim piętrze są dla nich specjalne pokoje. Wyślę ją tam i poproszę doktora, żeby do niej zajrzał.

- Dziękuję - powiedział mężczyzna. Odniosłem wrażenie, że te słowa wyleciały z jego ust wraz z westchnieniem ulgi. Odwrócił się, żeby zamienić z matką kilka słów, i po chwili przekazał ją pielęgniarce, a ta poprowadziła ją do windy, gdzie czekałem z Amy.

- Jesteś Starszym. Tym, który nie umarł - stwierdziła na mój widok kobieta. - A ta dziewczyna to dziwoląg, o którym mówił Najstarszy.

- Dzień dobry - odezwała się Amy z uśmiechem, wyciągając do kobiety rękę. Jeśli wcześniej jeszcze się łudziłem, że wszystko z nią w porządku, to moja ostatnia nadzieja właśnie prysła. Amy - normalna Amy, którą miałem okazję poznać - nigdy by nie pozwoliła, by ta staruszka nazywała ją dziwolągiem.

- Mówią, że jestem chora - wyjaśniła kobieta.

- To w końcu Szpital - odparła Amy z dziwnie dziecinną, infantylną intonacją, prosto i bezpośrednio.

- Nie wiedziałam, że choruję.

- Jesteś zdezorientowana, kochanie - oświadczyła pielęgniarka.

- Przeszłość miesza ci się z terażniejszością.

- To niedobrze - powiedziała Amy, robiąc wielkie oczy.

Drzwi otworzyły się i wszyscy weszliśmy do kabiny. Wcisnąłem guzik z dwójką, a pielęgniarka sięgnęła do tego z trójką.

- Co jest na trzecim piętrze? - spytałem. Czasami Doktorek zabierał na ostatnie piętro pacjentów - z tego, co zauważyłem, praktycznie samych siwych - ale nie widziałem tam nic ciekawego, jeśli pominąć ukrytą windę.

- Mamy tam pokoje dla starszych pacjentów - odpowiedziała pielęgniarka. - Czasami stan zdrowia nie pozwala im samodzielnie o siebie zadbać i wtedy oddajemy im jeden z tych pokoi. Starsi potrzebują odpoczynku i wyciszenia, a na trzecim piętrze mamy na to różne leki. - Poklepała pacjentkę po ręce, a pooraną głębokimi zmarszczkami twarz staruszki rozjaśnił ciepły uśmiech.

Zmarszczyłem brwi. Dlaczego wszystkie drzwi na trzecim piętrze były pozamykane, jeśli to tylko zwykłe pokoje, w których relaksują się starsi?

Winda otworzyła się, ukazując świetlicę Izolatki. Wyszedłem z kabiny.

- Nie zapomniałeś o czymś? - zawołała za mną pielęgniarka.

Amy wciąż stała w kabinie, gapiąc się tępo na wyświetlacz z oznaczeniem piętra.

- Dwa - oznajmiła uroczyście, odczytawszy numer.

- Zgadza się - potwierdziłem. - A teraz chodź. - Chwyciłem ją za rękę i pociągnąłem do świetlicy. Siedziało w niej całkiem sporo pacjentów. Ich twarze były ponure, a spojrzenia nieprzyjazne.

Amy skrzywiła się. Popatrzyłem w dół i mój wzrok przykuły zielonofioletowe plamy na bladej skórze.

- Ja ci to zrobiłem? - zdumiałem się, delikatnie podnosząc jej rękę, by przyjrzeć się siniakom z bliska.

- Nie - odparła krótko Amy.

Te stłuczenia nie były świeże, miały przynajmniej dzień, może więcej.

- Co się stało?

- Jacyś faceci przyparli mnie do ziemi - wyjaśniła. - Ale nic się nie stało.

Serce zaczęło walić mi jak młotem.

- Jacyś faceci przyparli cię do ziemi, a ty twierdzisz, że nic się nie stało?!

- Aha.

- A... ale... - zająknąłem się.

Amy mrugała, jakby nie mogła pojąć, dlaczego denerwuję się z powodu takiej

błahostki.

- Nic cię to nie obchodzi, co? - zapytałem.

- Co?

- Wszystko.

- Obchodzi mnie - odpowiedziała znudzonym tonem.

- Pamiętasz, jak ci to zrobili? - Podniosłem zdrętwiałą rękę Amy i pomachałem nią przed jej twarzą. Na chwilę skupiła wzrok na sińcach, ale zaraz potem straciła koncentrację. Kiwnęła głową. - Przypomnij sobie, jak się później czułaś. Jak zareagowałaś?

- Pamiętam, że... płakałam, ale to było niemądre. Nie warto płakać z powodu takich głupstw. Wszystko jest w porządku.

Nie mogłem się powstrzymać - puściłem nadgarstek Amy, złapałem ją za ramiona i zacząłem nią potrząsać. Jej głowa kiwała się bezwolnie z jednej strony na drugą, jakbym trzymał szmacianą lalkę. I bez względu na to, jak długo nią potrząsałem, nie potrafiłem tchnąć życia z powrotem w jej zielone oczy.

- Co ci się stało? - krzyknąłem, dając za wygraną.

- Nic. Czuję się dobrze.

- Znajdę jakiś sposób, żeby to naprawić.

- Nie jestem zepsuta - stwierdziła Amy, a jej głos był równie beznamiętny, jak wyraz oczu.

Poprowadziłem ją korytarzem, wepchnąłem do pokoju i przykazałem, żeby nigdzie nie wychodziła. Byłem przekonany, że posłucha mojego rozkazu.

W końcu udało mi się znaleźć Harleya. Wrzucał kamyczki do sadzawki w ogrodzie.

- Co Najstarszy wyszeptał ci do ucha? - Stałem obok niego.

Nie spojrzał na mnie.

- Nie powiem ci - burknął.

Nie miałem czasu na jego humory.

- Coś się stało Amy.

Harley poderwał głowę.

- Co?!

- Zaczęła się zachowywać jak... jak jedna z żywicielek - wyjaśniłem, a on odwrócił się z powrotem do sadzawki.

- Och... - I po chwili: - Może tak jest nawet lepiej.

- To znaczy?

- Przecież oni w ogóle się nie przejęli, że nie wylądujemy. Tylko takie czubki jak my

robią z tego wielkie halo.

To prawda. Tylko Harley, który widział prawdziwe gwiazdy, głośno zaprotestował, ale pozostali pacjenci z Izolatki także wydawali się poruszeni wiadomościami i na pewno nie byli z nich zadowoleni.

- Należało się tego spodziewać - stwierdziłem. - To normalne, że tylko my się przejmujemy. Właśnie dlatego trafiliśmy do Izolatki, zgadza się? Bo nie potrafimy się podporządkować, nie słuchamy rozkazów. I musimy łykać stopery. - Mówiąc to, przypomniałem sobie jednak parę z trawnika przed Salą Nagrań - tę, która nie znała miłości i na pewno nigdy nie czuła prawdziwego żalu.

- Może Amy będzie teraz szczęśliwsza... - mruknął Harley. - Ja pewnie też bym był, gdybym nie musiał się zastanawiać, kiedy wreszcie zejdziemy z tego gzyfowego statku.

Chciałem powiedzieć, żeby się tym nie martwił, bo prędzej czy później zejdziemy, ale wiedziałem, że to puste słowa i że żadna ilość fałszywej nadziei nie nada im znaczenia.

- Tylko że Amy z początku taka nie była, była taka jak my. I nagle zaczęła się zachowywać jak jedna z żywicielek...

Harley wzruszył ramionami.

- No i co z tego? To znaczy, że teraz jest normalna. Tak będzie dla niej lepiej.

- Wcześniej podobała mi się dużo bardziej - mruknąłem bardziej do siebie niż do Harleya, a on wstał i ruszył ścieżką.

- Zjadę popilnować komór na poziomie kriogenicznym.

Patrzyłem, jak odchodzi. Jego słowa uwierały mnie, bo były prawdziwe. Spędzałem w Izolatce i sam na sam z Najstarszym tyle czasu, że nieraz zapominałem o innych obywatelach żyjących na pokładzie „Błogosławionego”. Ci ludzie byli spokojni i zadowoleni, nie zachowywali się jak wariaci. Takie rzeczy, jak fałszywe gwiazdy czy opóźnienie lądowania nie spędzały im snu z powiek. Byli szczęśliwi.

Czy Amy byłaby szczęśliwsza, gdyby została pusta w środku?

Czy ja byłbym szczęśliwszy, gdyby nie dokuczała mi świadomość, że całe moje życie spędzę zamknięty między ciasnymi ścianami statku?

To bez znaczenia. Wiedziałem, że gdyby Amy mogła sama o sobie decydować, nigdy nie wybrałaby ślepej ignorancji, nawet jeśli wydawała się ona błogosławieństwem. Amy się zmieniła, przez coś lub przez kogoś, a ja zamierzałem sprawdzić, kto za tym stoi.

Siedzę w pokoju.

Ktoś otwiera drzwi.

- Co robisz? - pyta Starszy.

- Siedzę w pokoju - odpowiadam.

- Na co tak patrzysz?

- Na ścianę.

- Dlaczego patrzysz na ścianę?

Starszy zadaje mnóstwo pytań.

Podchodzi do mnie i podnosi moją rękę. Dotyka palcami siniaków.

- Chodźmy - mówi. Wstaję i ruszam za nim.

Idziemy, żeby się w końcu zatrzymać.

Starszy wciska guzik. Drzwi się otwierają. Wchodzę za nim do środka. Prowadzi mnie do krzesła.

Siadam.

** *

- Amy - słyszę głęboki głos. Unoszę głowę i widzę lekarza. Znajdujemy się w jego gabinecie. Siedzi za biurkiem. - Co ci dolega?

Mrugam.

- Nic. Wszystko jest w porządku.

- Nic nie jest w porządku! - krzyczy Starszy.

Patrzę na niego.

- Wszystko jest w porządku.

Siedzę na niebieskim krześle z twardego plastiku. Biurko doktora jest całkiem interesujące. Każdy przedmiot ma na nim swoje miejsce, a ołówki stoją w równym rzędzie.

- Co ci się stało?! - krzyczy Starszy.

Podskakuję nerwowo. Zapomniałam, że tu jest. Patrzę na niego.

Warczy jak pies. Całkiem zabawnie. Uśmiecham się.

- Nic jej nie dolega, Starszy - stwierdza doktor. - Chyba przyzwyczyłeś się do przebywania wśród pacjentów oddziału dla psychicznie chorych. Może byłoby lepiej, gdybyś spędzał więcej czasu z normalnymi ludźmi. Jeśli mogę ci coś poradzić...

Doktor cały czas mówi i mówi... Wiem to, bo jego szczeka unosi się i opada, a z ust wylewa się potok dźwięków, ale brzęczące słowa zaśmiejają mi głowę. Notatnik na biurku ma czyste, równe krawędzie. Są gładkie - tak gładkie, że papier przecina mi skórę. Wąska strużka krwi pojawia się na mojej opuszcze. Och, doktor ma drugi notatnik po swojej stronie

biurka. Jaki ładny, symetryczny. Lubię symetrię. Symmetrja. Śliczne słowo. Wypowiadam je głośno.

- Symmetrja. - Tak, rzeczywiście brzmi bardzo ładnie.

Starszy gapi się na mnie takim wzrokiem, jakbym oszalała. Ha, ha, co za wariactwo, przecież to on ciągle przesiaduje w szpitalu dla umysłowo chorych.

Ściany są pomalowane na przyjemny, niebieski kolor. Przypomina zamglone niebo.

Słyszę grzechotanie. Oglądam się. Doktor stawia na biurku brązową buteleczkę z pigułkami. Przekrzywiam głowę, wpatrując się w nie. Leżą na dnie pojemnika i wyglądają trochę jak cukierki.

Doktor i Starszy rozmawiają.

- Masz rację - mówi doktor - jej stan jest wyjątkowo poważny. Czy ostatnio była narażona na stresujące zdarzenia? Przeżyła szok albo traumę? Coś, co mogło spowodować podwyższone tętno? Takie sytuacje czasami sprawiają, że reakcja przebiega zbyt gwałtownie.

- Reakcja na co? - pyta podniesionym głosem Starszy.

Doktor zabawnie się krzywi.

- Na statek. Musisz zrozumieć, że nasze otoczenie różni się od środowiska SolZiemii. Mamy inne lekarstwa, inne jedzenie, inne suplementy diety i witaminy.

- Witaminy? - Starszy podchwytuje to słowo. - Takie jak te, które Najstarszy dodaje do wody?

- Taaak - odpowiada doktor, zabawnie przeciągając samogłoskę.

Chichoczę.

Starszy odwraca się do mnie i z niego też się śmieję.

-I hormony. Najstarszy dodaje do wody hormony. Z powodu Godów.

Doktor kręci głową.

- Raczej nie miałyby na nią wpływu. Skumulowanie w organizmie właściwej dawki hormonów wymaga czasu. Kilka tygodni, ponad miesiąc, żeby zaczęły efektywnie działać.

- Ale ona pije ostatnio dużo wody. - Starszy patrzy na moje posiniaczone nadgarstki.

-I może rzeczywiście przeżyła jakąś traumę.

Starszy gapi się na mnie takim wzrokiem, jakbym oszalała. Ha, ha, co za wariactwo, przecież to on ciągle przesiaduje w szpitalu dla umysłowo chorych.

Ściany są pomalowane na przyjemny, niebieski kolor. Przypomina zamglone niebo.

Słyszę grzechotanie. Oglądam się. Doktor stawia na biurku brązową buteleczkę z pigułkami. Przekrzywiam głowę, wpatrując się w nie. Leżą na dnie pojemnika i wyglądają trochę jak cukierki.

Doktor i Starszy rozmawiają.

- Masz rację - mówi doktor - jej stan jest wyjątkowo poważny. Czy ostatnio była narażona na stresujące zdarzenia? Przeżyła szok albo traumę? Coś, co mogło spowodować podwyższone tętno? Takie sytuacje czasami sprawiają, że reakcja przebiega zbyt gwałtownie.

- Reakcja na co? - pyta podniesionym głosem Starszy.

Doktor zabawnie się krzywi.

- Na statek. Musisz zrozumieć, że nasze otoczenie różni się od środowiska SolZiemi. Mamy inne lekarstwa, inne jedzenie, inne suplementy diety i witaminy.

- Witaminy? - Starszy podchwytuje to słowo. - Takie jak te, które Najstarszy dodaje do wody?

- Taaak - odpowiada doktor, zabawnie przeciągając samogłoskę.

Chichoczę.

Starszy odwraca się do mnie i z niego też się śmieję.

- I hormony. Najstarszy dodaje do wody hormony. Z powodu Godów.

Doktor kręci głową.

- Raczej nie miałyby na nią wpływu. Skumulowanie w organizmie właściwej dawki hormonów wymaga czasu. Kilka tygodni, ponad miesiąc, żeby zaczęły efektywnie działać.

- Ale ona pije ostatnio dużo wody. - Starszy patrzy na moje posiniaczone nadgarstki.
-I może rzeczywiście przeżyła jakąś traumę.

Mrugam, uświadamiając sobie, że gdzieś uciekł mi czas. Przez chwilę zastanawiam się, co mnie ominęło, ale to chyba bez znaczenia; nic się nie zmieniło, wciąż tu jestem, a oni wciąż rozmawiają.

Mrugam. Znów na chwilę odpłynęłam.

Mrugam.

Naprawdę jest mi o wiele łatwiej, kiedy tracę świadomość. Nie potrafię nadążyć za słowami Starszego i doktora. Zbyt wiele w nich emocji. Czym oni się tak ekscytują?

Przecież wszystko jest w porządku.

Starszy pstryka mi palcami przed twarzą.

- Amy, doktor uważa, że potrzebujesz leków - mówi głośno.

- Ona jest rozchwiana psychicznie, a nie głucha - upomina go doktor.

Starszy podnosi z biurka pojemnik z pigułkami.

- To są stopery, tabletki pomagające na zaburzenia psychiczne. Podam ci jedną z nich i zobaczymy, czy ci to pomoże, w porządku?

Otwieram usta, a Starszy kładzie mi pigułkę na języku. Czuję, jak rozplywa się na nim

coś gorzkiego.

- Połknij - przypomina mi doktor.

Połykam.

- Pamiętasz tę noc, kiedy mnie poznałaś? - odzywa się Starszy.

- Rzucałaś się w pojemniku kriogenicznym, za żadne skarby nie chciałaś nas do siebie dopuścić. Musiałem cię trzymać, żeby doktor mógł ci podać krople, dzięki którym nie oślepałaś. A teraz siedzisz na krześle i połykasz tabletki posłusznie jak pies. Nie rozumiesz, jakie to smutne?

- Nie - odpowiadam. Co w tym takiego smutnego?

- Ile czasu minie, zanim leki zaczną działać? - pyta doktora Starszy.

- Trudno powiedzieć - mówi doktor. - Jak już wspominałem, jej stan psychiczny jest znacznie poważniejszy niż u żywicieli. Jeśli lek w ogóle zadziała, to najprawdopodobniej w ciągu najbliższych kilku godzin.

- Jeśli? - Starszy prawie dławi się tym słowem.

Jego głos zamienia się w brzęczenie, a ja odpływam.

56

STARSZY

Zostawiłem ją na noc z Doktorkiem.

Naprawdę nie chciałem tego robić, ale Doktorek podał jej dożylnie jakieś leki, po których straciła przytomność. Teraz spała; co by mi przyszło z czuwania przy niej? Przez większą część nocy kręciłem się niespokojnie, raz zachodząc nawet nad sadzawkę w parku, ale tak naprawdę próbowałem odwlec to, co nieuniknione.

Musiałem się spotkać z Najstarszym.

Wszedłem do grawiszybu dopiero nad ranem. Poziom Strażnika był teraz pusty, choć wciąż dało się wyczuć wczorajszy tłum. W powietrzu wisiała woń potu i ziemi.

Najstarszy siedział przy drzwiach swojej kwatery. Opierał się o ścianę, wpatrzony w fałszywe gwiazdy.

- I co, jesteś z siebie dumny? - spytałem, przypominając sobie, że poprzednio zastałem go tutaj w takiej samej sytuacji.

Nie spojrzał na mnie.

- Nie - odpowiedział krótko.

- Jak ci to przechodzi przez usta?! - krzyknąłem. - Jak możesz ich tak okłamywać?

- Och, zam... zamknij się wreszcie - burknął Najstarszy i wstał. Wtedy to wyczułem -

ostry, przenikliwy zapach. Nigdzie nie widziałem butelki, ale na pewno leżała gdzieś w pobliżu i prawdopodobnie była już pusta. Tylko dlaczego? Dlaczego miałby się teraz upijać? Wyznał ludziom straszliwą prawdę, a oni wciąż go kochali. To raczej moment jego triumfu. Co musiał oplakiwać tym alkoholem?

- Nawet nie wiesz, jak to jess... Ale się dowiesz. W końcu... w końcu się dowiesz... - Pochylił się do mnie, a jego oddech palił mnie w nozdrza.

Nie miałem teraz czasu na jego pijackie głupoty.

- Co się stało z Amy? - zapytałem, podchodząc jeszcze bliżej. Nie bał się mnie, widziałem to po nim, ale ja też nie zamierzałem się cofnąć.

Prychnął - wydał z siebie świszczący, mokry dźwięk, na który na trzeźwo nigdy by sobie nie pozwolił.

- Amy, Amy, Amy... - zaczął się ze mną drażnić. - Wystarczy pchnąć w twoją stronę pierwszego lepszego zdiwo... dziwoląga z bladą skórą i od razu hucpa wyłazi ci nosem! Zapomniałeś ostatku, zapomniałeś o owo... ozo... obowiązkach! - rzucił, kładąc nacisk na każdą sylabę ostatniego słowa i dźgając mnie przy tym palcem w pierś.

- Pytałem, co się z nią stało! - krzyknąłem.

- A sso się stało tobie? - wybełkotał Najstarszy, nie przestając się droczyć. - A mnie? A sso się stało temu całemu gzyfowemu statkowi?

- Tylko mi powiedz. Ty jej to zrobiłeś?

- Sso zrobiłem? - spytał nieufnie.

- Nafaszerowałeś ją czymś, żeby zachorowała? - Potrafiłby to zrobić, tego byłem pewien. Przed Godami podawał żywicielom hormony, by nabrali siły i ochoty na seks. Wstrzykiwał nienarodzonym dzieciom jakieś świństwo, żeby były takie, jakie są dzisiaj. Co w takim razie podał Amy? I w jaki sposób?

Najstarszy odrzucił głowę do tyłu i wybuchnął śmiechem.

Więc go uderzyłem.

Przestał się śmiać, a na jego policzku wykwitła czerwona plama.

- Ty zrobiłbyś dokładnie to samo - syknął, a jego oddech śmierdział tak bardzo, że z trudem powstrzymałem torsje. - Jesteś do mnie bardziej podobny, niż ci się wydaje.

Wyszedłem. Ten pijany głupiec nie miał dla mnie żadnych odpowiedzi.

Kiedy wróciłem, Amy była już przytomna.

W pewnym sensie.

Leżała na łóżku wyprostowana jak struna, z rękami ułożonymi wzdłuż ciała, z palcami u stóp sterczącymi w górę i ze wzrokiem wbitym w sufit.

Znów zacząłem się zastanawiać, kiedy zadziałają jej leki.

Nie używałem słowa, które padło z ust Doktora. Jeśli.

Uderzając się buteleczką z tabletkami w udo, spacerowałem tam i z powrotem po niewielkim pokoju. W końcu usiadłem przy biurku i wziąłem do ręki plastplej. Według mapy lokalizacyjnej wikomów na poziomie kriogenicznym nie było nikogo oprócz Harleya. Stał nieruchomo w korytarzu, na którego końcu znajdowała się śluza spustowa. Kusiło mnie, by do niego zakomować i przypomnieć mu, że powinien pilnować zamrożonych, ale nie chciałem wszczynać kolejnej kłótni. Nic im nie będzie.

Zaczęła mnie jednak martwić jego obsesja na punkcie gwiazd. Nie zachowywał się tak od śmierci Kayleigh, kiedy Doktor zwiększył dawki jego leków.

Zerknąłem na Amy. Kiedy wreszcie tabletki sprawią, że wydobrzeje?

Jeśli.

Odwrociłem się do niej plecami, w stronę listy ofiar na ścianie. Amy zdążyła ją uaktualnić - doszły dwa numery: sześćdziesiąt trzy, kobieta, którą udało się nam uratować, oraz dwadzieścia sześć, mężczyzna, który nie miał aż tyle szczęścia. Ponieważ jej informacje na temat tych osób były dość skąpe, nie dopisała zbyt wiele - numer sześćdziesiąt trzy to czarna kobieta (przeżyła), a numer dwadzieścia sześć to Theo Kennedy, biały mężczyzna z Kolorado, specjalista do spraw broni biologicznej (martwy).

Sprawdziwszy w plastpleju ich dane, chwyciłem pędzel i dopisałem kolejne szczegóły. Numer sześćdziesiąt trzy nazywała się Emma Bledsoe, miała trzydzieści cztery lata i służyła w Piechocie Morskiej na stanowisku taktyka. Theo Kennedy, lat sześćdziesiąt sześć, zawdzięczał swój pobyt na „Błogosławionym” środkom Giełdy Zasobów Finansowych.

Cofnąłem się, analizując zebrane informacje. Cechy wspólne dla poszczególnych ofiar były połączone liniami, ale brakowało linii, która połączyłaby wszystkie osoby. Robertson i Kennedy to mężczyźni, na pewno jednak nie była nim Amy. Pod względem wieku każdą z ofiar dzieliła od pozostałych co najmniej dekada, każda urodziła się w innym miesiącu. Podobieństwa, nawet jeśli jakieś istniały, były bardzo słabe. Przeciągnąłem linię od doświadczenia zawodowego Emmy Bledsoe w Piechocie Morskiej do Kennedy ego. Zarówno Amy, jak i Kennedy pochodzili z Kolorado. Zawahałem się, trzymając kapiący farbą pędzel w powietrzu, i dopiero po chwili połączyłem tę dwójkę, chociaż w jakimś sensie wydawało mi się to niewłaściwe. Dziwnie to wyglądało - imię Amy połączone z imieniem martwego mężczyzny. Nic jednak nie łączyło wszystkich czterech ofiar. Wpatrując się w gryzmoły pokrywające ścianę, stwierdziłem, że Amy musiała dojść do podobnego wniosku - tak naprawdę te zbieżności to wyłącznie kwestia przypadku. Z jednej strony było ich zbyt wiele,

a z drugiej zbyt mało; zbyt wiele nic nieznaczących i zbyt mało na tyle ważnych, by naprowadzić nas na trop mordercy.

Odwrociłem się do Amy, żeby zapytać, co ona o tym sądzi.

Ale Amy ciągle gapiała się w sufit.

Zapytam, kiedy już dojdzie do siebie.

Jeśli.

Odkładając pędzel na biurko, kątem oka dostrzegłem coś niebieskiego: notatnik, który Amy wyciągnęła z kufra ojca. Chciałem po niego sięgnąć, ale w mojej głowie odezwał się alarm. Wewnątrz ciasnej przestrzeni statku jedną z najwyższej cenionych wartości była intymność, a ja nigdy wcześniej nie pogwałciłem jej świadomie. Uśmiechnąłem się złośliwie pod nosem. Pomijając ten jeden raz, gdy włamałem się do kwatery Najstarszego.

Najwyraźniej Amy zainspirowała moją przemianę w zupełnie innego człowieka.

W myślach wciąż słyszałem echo słów Najstarszego: różnice są przyczyną niezgody. No i dobrze, temu statkowi przydałaby się odrobina niezgody.

Na pierwszej stronie notatnika znajdowała się lista osób, którą otwierał Najstarszy. Amy wielokrotnie poprawiała jego imię, przez co było wyraźniejsze od pozostałych, a później zaznaczyła je kółkiem i podkreśliła chyba z dziesięć razy. Poniżej widniał „lekarz” i znak zapytania, a obok drobne szare kreseczki, jakby stuknęła ołówkiem w papier, rozmyślając. Pod Doktorciem ciągnęły się dopisane w pośpiechu imiona i krótkie opisy, w kolejności: ja, Harley (choć jego imię zostało skreślone), Luthe (podkreślone z taką siłą, że grafit rozdarł papier), „złośliwa dziewczyna” (otoczona znakami zapytania i rysunkiem naburmuszonej twarzy) oraz Orion (także wykreślony).

Wpatrywałem się w listę imion, próbując odgadnąć, jakie jest jej znaczenie i dlaczego Amy postanowiła zapisać ją w specjalnym notatniku.

Aż w końcu doznałem olśnienia.

To była lista podejrzanych.

Zacisnąłem usta. Amy odrzuciła Harleya i Oriona, a ponadto wahała się w przypadku „złośliwej dziewczyny” (Victoria? Może). Ale mojego imienia nie wykreśliła. Wciąż uważała mnie za podejrzanego - a jeśli nie teraz, to przynajmniej w chwili, gdy sporządzała listę.

Ciekawe, co takiego zrobił Harley, że zasłużył na wykreślenie, i co ja muszę zrobić, by dostąpić tego samego zaszczytu?

Kiedy Amy wreszcie się obudzi, udowodnię jej, ile jestem wart. Jeśli.

To po prostu kolejny sprawdzian, lecz tym razem oblałem. W jakiś sposób udowodniłem Amy, że nie jestem wystarczająco dobry, podobnie jak w oczach Najstarszego

nigdy nie byłem wystarczająco dobry, by zająć stanowisko przywódcy.

- Och... - jęknęła Amy.

Odrzuciłem notatnik i ołówek na biurko i podbiegłem do łóżka. Amy przycisnęła palce do nasady nosa, po czym opuściła rękę, a ja ujrzałem w jej oczach dawny blask.

- Okropnie łupie mnie w czaszce - stęknęła, zaciskając powieki, ale na jej twarzy malowało się w tej chwili więcej emocji niż podczas całego dnia. - Co się stało?

- A jak ci się wydaje?

- Jezu, nie mam pojęcia. Pamiętam, że dostaliście z Harleyem komunikat. Później lecieliśmy w rurze i było całkiem fajnie, ale kiedy dotarliśmy do tego wielkiego pomieszczenia ze świetłkami, poczułam się... dziwnie otumaniona.

- Doktorek powiedział, że to była reakcja na statek. Podał ci tabl... stopery.

- Stopery? Czyli te same pigułki, które łykasz ty, Harley i wszyscy inni „wariaci”? - Amy odepchnęła mnie na bok, żeby usiąść.

- Cóż... tak.

- Ze co?! - zapiszczała i zeskoczyła z łóżka, zaciskając pięści.

- Ten statek jest totalnie pochraniony! Nie jestem szalona! Ani ja, ani ty, ani Harley!

Nic nie powiedziałem, bo po części się z nią zgadzałem, ale ona wzięła moje milczenie za sprzeciw.

- Jak to się stało, że wszyscy pasażerowie tego durnego statku uważają takie rzeczy, jak... jak pieprzenie się po kątach z kim popadnie, jak egzystowanie niczym bezmyślnie roboty... jak to się stało, że uważacie to za normę?!

Wzruszyłem ramionami. Przecież zawsze tak było. Jak miałem wytłumaczyć dziewczynie, która urodziła się w świecie bez przywódców, w świecie różnic, chaosu i wojen, że w taki sposób funkcjonuje każde normalne społeczeństwo? Pokojowe społeczeństwo, które nie tylko zdołało przetrwać - podobnie jak jej społeczeństwo

- ale które jednocześnie rozkwitało i rosło w siłę, mknąc przez kosmos w kierunku nowego świata?

Amy zbliżyła się do biurka i podniosła plastplej.

- Jak się obsługuje to cholerne urządzenie? - mruknęła, majstrując przy wyświetlaczu.

- To jest coś jak komputer, zgadza się? Nie macie tu informacji o Ziemi? Pokażę ci, jacy są prawdziwi, normalni ludzie! Pokażę ci, jaki pokręcony jest ten statek!

Źle się do tego zabierała. Kreśląc palcem po ekranie, zdołała przywołać lokalizator wikomów, który jej wcześniej pokazywałem, ale nie wiedziała, jak uruchomić pozostałe funkcje. Najpierw stuknęła palcem w wyświetlacz, potem zaczęła go dźgać, aż w końcu

uderzyła pięścią w biurko. Wstałem, podszedłem do niej i delikatnie wyjąłem jej plastplej z rąk. W jej oczach błyszczały łzy.

- Dłużej tego nie zniosę - wyszeptala. - Nie zniosę tych ludzi, nie zniosę tego... świata. Nie mogę tu żyć. Nie mogę spędzić w tym miejscu reszty życia. Nie mogę. Nie mogę.

A zatem część przemowy, którą Najstarszy wygłosił na Poziomie Sternika, przeniknęła do jej świadomości. Już wiedziała, że jest tutaj uwięziona - że wszyscy jesteśmy.

Miałem ochotę przytulić ją z całych sił, ale wiedziałem, że ona pragnęła czegoś zgoła innego. Chciała być wolna, a ja chciałem uwięzić ją w swych ramionach.

- Chyba wiem coś, co może ci pomóc - oznajmiłem.

57

AMY

Oddalaliśmy się ścieżką od Szpitala. Starszy zachowywał się bardzo tajemniczo; nie chciał mi nic powiedzieć i chyba właśnie dzięki temu udało mu się podnieść mnie na duchu. Przypominał trochę małego chłopca, który nie może się doczekać, by pokazać koledze nową zabawkę. Już sam ten fakt wystarczył, żebym wreszcie zapomniała odziwczym, rozmytym i wlokącym się niemiłosiernie dniu.

Para siedząca na ławce nad sadzawką pomachała do nas, gdy przechodziliśmy obok. Kobieta była rozpromieniona. Opierała głowę na piersi partnera, a na jej twarzy malował się wyraz absolutnej błogości. Mężczyzna kołysał ją delikatnie, a ona trzymała prawą rękę na brzuchu.

Pochyliła się i zaczęła coś mówić, a ja spostrzegłam, że nie kieruje słów do swojego towarzysza, lecz do nienarodzonego dziecka:

- A za gwiazdami ciągnęły się wstęgi światła, które na nas świeciły, na nas i na ciebie.

- Najstarszy powiedział mi, że one nie są dla mnie - stwierdził cicho Starszy, gdy poszeptywanie pary ucichło.

Spojrzałam na niego pytająco.

- Gwiazdy w Wielkiej Sali. Kiedy odkryłem, że tak naprawdę to tylko zwykłe żarówki, a nie prawdziwe gwiazdy, Najstarszy powiedział, że one nie są dla mnie. - Odwrócił ode mnie wzrok i dodał prawie niesłyszalnie: - To było tego dnia, gdy się obudziłaś.

Jego słowa zawisły między nami w powietrzu. Oboje mieliśmy wrażenie, że to musiało się wydarzyć dawno, dawno temu.

Starszy kiwnął głową w stronę pary na ławce.

- Powiedział, że gwiazdy są dla nich.

- Och, już rozumiem. - Jakie to charakterystyczne, że Najstarszy pragnął kontrolować nawet gwiazdy. Wykorzystywał je do manipulowania ludźmi żyjącymi na statku; chciał złagodzić im ból świadomości, że w chwili lądowania od dawna będą martwi, oferując w zamian miraż gwiazd i możliwość opowiadania o nich dzieciom. Obejrzałam się przez ramię na kobietę, która trzymała delikatnie dłoń na swoim brzuchu i szeptała do nienarodzonego dziecka o gwiazdach; obiecywała mu, że spędzi życie pod prawdziwym niebem.

- To okrutne - odezwałam się - zwodzić ich obietnicą życia na zewnątrz, a później odbierać im nadzieję.

Starszy pokręcił głową.

- To nie tak. Dzięki temu, że zobaczyli gwiazdy, mają co opowiadać dzieciom. W taki sposób przekazuje się nadzieję kolejnym pokoleniom.

Popatrzyłam na Starszego.

- W zasadzie się z nim zgadzasz, co? - rzuciłam.

- W zasadzie tak.

Zirytowałam się. Najstarszy był dla mnie jak rozpieszczone dziecko, które rzuca zabawkami. Tylko czekał na wymówkę, by móc nas złamać; wypatrywał najmniejszych oznak, że nie zamierzamy podporządkować się regułom gry. Jego wiecznie czujne oczy przypominały mi oczy Luthego. I wcale nie pomagał ludziom, jak najwyraźniej wierzył Starszy - przekręcał fakty, by pasażerowie przestali się martwić, że będą martwi albo cholernie starzy, kiedy wreszcie wylądujemy na nowej planecie. Miałam zamiar uświadomić to Starszemu, ale on w tej samej chwili oznajmił:

- Jesteśmy na miejscu!

Nadał się z dumy. Nie miałam serca wyznać mu, że to nie będzie moja pierwsza wizyta w Sali Nagrań. Choć z drugiej strony wtedy byłam w zupełnej rozsypce, ubłocona i zalana łzami. Pamiętałam mężczyznę, który mi pomógł - Oriona. Tylko dzięki jego dobroci nie oszalałam.

Jeden z foteli bujanych huśtał się lekko na ganku, jakby jeszcze przed chwilą ktoś na nim siedział, ale wokół nie było żywego ducha. Starszy wyciągnął rękę do klamki, by otworzyć mi drzwi. Wyczułam czyjś wzrok i uśmiechnęłam się, sądząc, że to Orion, ale zamiast niego zobaczyłam portret, który patrzył na mnie z ceglanej ściany.

- Och! - wyrwało mi się. Wyciągnęłam szyję, by przyjrzeć się obrazowi z bliska. Ponure oblicze Najstarszego zastąpiła twarz jego następcy.

- No... - Starszy sprawiał wrażenie zmieszanego. W pierwszej chwili pomyślałam, że chciał się pochwalić tym obrazem - tak zrobiłby Jason, od razu zaczęłby błaznować - ale jego

mina świadczyła o czymś innym. Wolałby, żebym w ogóle nie zauważyła tego portretu.

- Chodź do środka - bąknął. Byliśmy zupełnie sami w cichej i mrocznej Sali Nagrań. Starszy pokazał mi model Ziemi i statek, który już widziałam. Udawałam, że go słucham, ale moją uwagę przyciągnęły obrazy migoczące na ścianach. Kiedy przyszedłam tutaj z Orionem, były wygaszone.

- Ścienne plastpleje - wyjaśnił Starszy, dostrzegając źródło mojego rozkojarzenia. - Właśnie takie rzeczy robiliśmy na „Błogosławionym”, kiedy ty spałaś.

Wyszczrzył do mnie zęby, ale ja ledwie zauważyłam jego uśmiech. Byłam zbyt zafascynowana błyskającymi przede mną obrazami: diagramem, który przedstawiał sposób działania wikomu, schematem grawiszybów... Znajdowała się tu także sztuka: mogłam obejrzeć skany prac Harleya - kilka z nich przedstawiało karpie koi, najwyraźniej jego ulubiony temat - a także zdjęcia rzeźb, ceramiki, szkiców czy ręcznie wyszywanych narzut. Jeden z plastplejów zawierał listę funkcji pełnionych na statku. Gdy wybrałam „Starszego”, w westybulu rozbrzmiała muzyka.

Po raz pierwszy, odkąd się obudziłam, poczułam, że mogłabym pokochać to miejsce. Nie była to co prawda Ziemia - co to, to nie

- ale miałam okazję zobaczyć sztukę, wynalazki i życie, których ludzie na Ziemi nigdy nie poznają.

Wszystko to powstało, gdy ja śniłam swoje koszmary tuż pod stopami wielu pokoleń pasażerów. Nie wiedzieli o moim istnieniu więcej niż ja o ich.

- Dziwne... - mruknął Starszy, postukując pięścią w jeden ze ściennych plastplejów.

- Co takiego?

- Ten obraz nie chce się zmienić.

Gdyby nie opis na górze - PROTOTYP REAKTORA PRĘDKIEGO CHŁODZONEGO OŁOWIEM - nie wiedziałabym, na co patrzę. Niezeby nazwa wiele mi mówiła.

- Jest zablokowany - wyjaśnił Starszy. - Zobaczmy, czy mógłbym... - Podeszedł do zamontowanej w ścianie czarnej skrzyneczki i potarł o nią kciukiem.

- Najstarszy/Starszy, dostęp przyznany - zaświergotał głos z komputera.

Na wyświetlaczach wokół nas zmieniały się obrazy - zdjęcia z Ziemi zastępowały te z „Błogosławionego”. Pejzaż Szpitala i ogrodu zniknął pod fotografią Monument Valley. Choć nigdy tam nie byłam, krajobraz z fotografii przypominał mi okolice laboratorium kosmicznego, jakąś godzinę drogi na zachód od Kolorado, gdzie poznałam Jasona. To było ostatnie miejsce, które nazywałam swoim domem.

- Większość ludzi nigdy tego nie widziała - oznajmił Starszy, wciąż próbując zmusić ścienny plastplej, by wyświetlał coś więcej niż tylko schemat silnika. - Kiedy rodzi się nowe pokolenie, uruchamiamy szkołę. Pokazujemy uczniom model SolZiemi i statku, ale obrazów z SolZiemi nie wolno im oglądać.

- Dlaczego? - spytałam, muskając palcami ekran z fotografią Monument Valley w tej samej chwili, w której zastąpił ją widok egipskiego Sfinksa.

- Najstarszy uważa, że ludzie nie powinni zagłębiać się w historię SolZiemi. Ze mają myśleć o przyszłości, a nie o przeszłości.

- Ale tobie pozwala je oglądać.

Starszy odwrócił się do wyświetlacza i przez chwilę patrzył prosto w oczy Kim Dzong Iłowi, który zaraz potem zniknął pod wizerunkiem jednego z dawnych prezydentów. Nie pamiętałam, który to z nich - w każdym razie był gruby i miał bujne wąsy.

- To część mojej edukacji. Najstarszy uczy mnie o SolZiemi, żebym nie powiełał błędów jej mieszkańców. Dlaczego ten gzyfowy grat nie chce działać?!

Chciałam powiedzieć, że na Ziemi nikt nigdy nie popełniał błędów, ale wiedziałam, że to bzdura. Chciałam powiedzieć, że metody Najstarszego są niewłaściwe, ale nie miałam takiej pewności. Tyle było jeszcze aspektów życia na tym statku, których nie rozumiałam...

- Orion! - zawołał Starszy. - Jeden z plastplejów nie chce działać!

- On gdzieś tu jest? - Rozejrzałam się, ale nie widziałam nikogo oprócz nas.

Na wyświetlaczu za plecami Starszego zmieniały się twarze kolejnych prezydentów.

- Jak już mówiłem, Najstarszemu zależy, żebym uczył się o SolZiemi. Mieliście wielu przywódców z głowami nie od parady, ale ludzie nie chcieli ich słuchać. O, na przykład on.

Zerknęłam na wyświetlacz.

- Kto, Abraham Lincoln?

Starszy przytaknął.

- Szesnasty przywódca państwowy Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej, położonych na północnej półkuli SolZiemi pomiędzy Oceanem Atlantyckim i Spokojnym. Był także dowódcą podczas wojny secesyjnej, która poróżniła wiele stanów.

- Tak, wiem - odpowiedziałam podejrzliwie. Zimny, machinalny sposób, w jaki Starszy mówił o Abrahamie Lincolnie, wzbudził moją podejrzliwość - albo on coś wiedział, albo ja czegoś nie wiedziałam. Dostrzegłam ruch w cieniu przy drzwiach.

- Abraham Lincoln był właśnie takim przywódcą, jakim chciałby mnie widzieć Najstarszy. - Portret zaczął blednąć, ale Starszy dotknął wyświetlacza, dzięki czemu Lincoln nie zniknął. Czekałam, nie chcąc mu przerywać. - Gdy między stanami wybuchły konflikty,

Lincoln okazał się silnym centralnym przywódcą, który zdołał zapewnić ich jedność.

- Taaak - mruknęłam. Część mojej uwagi była teraz skupiona na drzwiach. Zastanawiałam się, kto nas podsłuchuje. Orion? A może ktoś inny? I dlaczego po prostu nie wyjdzie z cienia i z nami nie porozmawia?

- A gdy różnice dzielące niektóre stany okazały się zbyt silne, Lincoln wyeliminował przyczynę niezgody.

- Słucham?

- Monoetniczność. Wojna wybuchła, ponieważ dwie rasy nie mogą współistnieć w jednym kraju. Lincoln wysłał czarnych z powrotem do Afryki i tym samym zażegnał konflikt.

- O czym ty gadasz? - parsknęłam. - Nic takiego się nie wydarzyło!

Starszy stuknął palcem w ekran, zastępując portret Lincolna tekstem. Zaczął czytać, a w jego głosie dźwięczała nuta zachwyty:

- „Lat temu osiemdziesiąt siedem ojcowie nasi na tym kontynencie dali początek narodowi poczętemu z wolności i w przekonaniu, że wszyscy ludzie rodzą się równymi. Dziś toczymy wielką wojnę domową będącą dla nas czasem próby, której celem jest odpowiedź na pytanie, czy naród ma szansę na przetrwanie, jeśli ludzie równymi nie są. Spotkaliśmy się dzisiaj na tym wielkim polu bitwy, aby określić przyszłość jednego kraju, jednego narodu wolnego od niezgody, który osiągnął pokój przez odrzucenie różnic. Nasz naród odkryje siłę jedności i jednorodności”.

Starszy przesunął tekst i nabrał powietrza w płuca, by czytać dalej.

- Stop.

Spojrzał na mnie zaskoczony.

- To nie jest przemowa gettysburska.

- Ależ oczywiście, że jest.

- Nie.

- W takim razie jak brzmi prawdziwa przemowa?

Zaczęłam grzebać w szufladkach umysłu, próbując sobie przypomnieć.

- Część o narodzie poczętym z wolności brzmi tak samo, ale zgodnie z tą wersją wszyscy ludzie powinni być identyczni. W oryginale tego nie było.

- A co było?

- Eee... Lat temu osiemdziesiąt siedem ojcowie nasi... hm... Dobra, posłuchaj. Nie znam tego na pamięć, ale wiem, że ta wersja jest nieprawdziwa.

Starszy patrzył na mnie z powątpiewaniem, a ja uświadomiłam sobie, jak słabo muszę brzmieć moje argumenty. Jak mogłaś opuścić Ziemię, nie wiedząc tak podstawowej rzeczy? -

sarknęłam w myślach.

- Ten... ten tekst to w zasadzie pochwała rasizmu - stwierdziłam, ale Starszy chyba nie rozumiał, czym jest rasizm. - Przemowa, którą czytałeś, mówiła o rozdzieleniu ras. Tylko że prawdziwa przemowa gettysburska była o czymś innym. A poza tym spójrz na siebie. - Wskazałam na jego jasnobrązową skórę, oczy w kształcie migdałów, wysokie kości policzkowe i ciemne włosy. - Jesteś ostatecznym efektem wymieszania rasowego.

Sprawiał wrażenie jeszcze bardziej zdezorientowanego. Nie docierała do niego koncepcja, że rasa jest elementem tożsamości - on widział tylko różnice, i to takie, które należy wyeliminować.

I nagle do mnie dotarło - przecież właśnie takiego myślenia chce Najstarszy.

Odniosłam wrażenie, że słyszę śmiech, cichy chichot dolatujący od strony drzwi. Odwróciłam się, ale nikogo nie zobaczyłam. Był ze mną tylko Starszy, który wciąż niczego nie rozumiał. A zresztą, jak miałby zrozumieć? Przecież nie mógł czerpać przykładów z historii, jeżeli cała historia została zmieniona.

Tylko ja o tym wiedziałam, ale to wciąż za mało, by cokolwiek naprawić.

Dlaczego mieliby mi uwierzyć, nawet gdybym spróbowała?

58

STARSZY

Amy wpatrywała się w wyświetlacz, równie przygnębiona, jak przed naszym przybyciem do Sali Nagrań. Nie tak to sobie zaplanowałem. Przyprowadziłem ją tutaj, żeby znów mogła być szczęśliwa. Dotknąłem palcem plastpleja i Lincoln zniknął. Pooraną zmarszczkami twarz zastąpiło zdjęcie ludności niemieckiej z czasów hiperinflacji; taczki z pieniędzmi na chwilę stopiły się ze zmierzwioną fryzurą dawnego przywódcy SolZiemi.

- Powinniśmy już wracać - stwierdziła Amy. - Harley pilnuje komór wystarczająco długo. Teraz ja go zmienię.

Było tu jeszcze tyle rzeczy, które chciałem jej pokazać: pokój pełen książek, najprawdziwszych książek z SolZiemi; pomieszczenie z relikdami, gdzie trzymaliśmy modele i stare przedmioty z SolZiemi, takie jak oryginalny traktor, na podstawie którego stworzyliśmy własny; archiwum nagrań naukowych, gdzie można było zobaczyć, jak stworzyliśmy system wikomów i grawiszyby... Ale ona nie chciała niczego oglądać, więc po co się starać?

- Znam tego człowieka - rzuciła nagle Amy, a w jej głosie słychać było wyraźny podziw i szacunek. Odsunęła mnie na bok, żeby lepiej widzieć wyświetlacz.

Przyjrzałem się fotografii. Przedstawiała mężczyznę w średnim wieku - starszego od Harleya, ale młodszego od Doktora. Choć miał ciemne włosy i oczy, wyraźna odmienność w jego wyglądzie sprawiała, że nie dałoby się go pomylić z mieszkańcami statku. Ten człowiek nie był monoetniczny i wyglądał po prostu... inaczej. Siedział przed przyczepą, trzymając na kolanach grube dziecko. To na pewno nikt ważny, myślałem, nikt, o kim kazałby mi się uczyć Najstarszy.

- To Ed.

- Kto?

- Ed. Poznałam go dosłownie na chwilę przed zamrożeniem. Był jednym z techników, którzy zamrozili mnie i moich rodziców.

Jakoś nie wydawało mi się, żeby to był wystarczająco istotny powód do umieszczenia jego zdjęcia zaraz za portretem Abrahama Lincolna. Wyciągnąłem rękę nad ramieniem Amy i dotknąłem wyświetlacza. Zdjęcie Eda zamarło, a gdy dotknąłem wyświetlacza po raz drugi, pojawił się jego opis.

- Edmund Albert Davis junior - przeczytałem na głos. - Pierwsze dziecko urodzone na pokładzie „Błogosławionego”. Tutaj razem z ojcem, Edmundem Albertem Davisem seniorem - jednym z solziemskich rekrutów, którzy zaciągnęli się na misję.

- Znałam go - powtórzyła Amy. Przechyliła lekko głowę, wpatrując się w Edmunda Alberta Davisa seniora, jakby wciąż żył i jakby to z nim rozmawiała. - Nie wiedziałam, że on też opuścił Ziemię na „Błogosławionym”.

Mnie jednak bardziej interesował Edmund Albert Davis junior i fakt, że był pierwszym człowiekiem narodzonym w zamknięciu. Ciekawe, jak się czuł, dorastając wśród ludzi, którzy żyli na Ziemi, i jednocześnie zdając sobie sprawę, że sam nigdy jej nie zobaczy.

- Szkoda, że dowiaduję się o tym dopiero teraz - ciągnęła Amy.

- Szkoda, że dłużej z nim nie rozmawiałam. I że nie zapytałam, dlaczego postanowił dołączyć do załogi. Kiedy go poznałam, wydawał się taki... rozgoryczony. Ale może to tylko... - Odplynęła myślami, patrząc na wyświetlacz, ale go nie widząc. Nagle wybuchnęła śmiechem. - Tylko pomyśl! Poznałam tego człowieka przed kilkoma stuleciami, a dziś mogłabym odszukać na statku jego potomków! Potomków mężczyzny, który mnie zamroził! Wyobrazasz sobie coś równie odjechanego? - Odwróciła się i spojrzała na mnie oczami wielkimi jak spodki. - A gdyby się okazało, że jego krew płynie w twoich żyłach? To by dopiero był zbieg okoliczności!

Zaśmiałem się tylko dlatego, że ona się śmiała.

- Ciekawe, czy to możliwe. - Przenosiła wzrok ze zdjęcia na mnie i z powrotem.

- Co?

- Ze jesteś potomkiem Eda.

- Nie mam pojęcia.

- Och, błagam! - rzuciła niecierpliwie Amy. - Przy całej tej zaawansowanej technologii na pewno macie dostęp do drzew genealogicznych. Mogę się założyć, że Najstarszy i Doktorek dysponują takimi informacjami, skoro tak bardzo martwią się kazirodztwem.

- Wszystkie nagrania są przechowywane w tym budynku. Do tego służy Sala Nagrań - odparłem. Amy nie zwróciła uwagi na mój beznamiętny ton głosu. Owszem, mogliśmy szukać potomków Eda, ale wiedziałem, że mnie wśród nich nie znajdziemy. Wszystkie informacje dotyczące pochodzenia Starszych są ukryte. Moglibyśmy prześledzić całą linię krwi Eda od dziś aż po czasy SolZiem, ale nie byliśmy w stanie cofnąć się o jedno rozgałęzienie na moim drzewie genealogicznym.

- Och, daj spokój! Sprawdźmy, czy jesteś spokrewniony z Edem!

- Amy złapała mnie za rękę. Nie widziałem jej tak podekscytowanej, odkąd... Nie, poprawka, nigdy nie widziałem, żeby była tak podekscytowana. Zapomniała o brzemieniu, które dźwigała na swoich barkach, nawet jeśli tylko na chwilę, a ja wiedziałem, że zrobię wszystko, by ta chwila trwała jak najdłużej.

- Cóż, chyba nie powinniśmy mieć wielu problemów z wyśledzeniem jego potomków - powiedziałem. - Wziąwszy pod uwagę, że jego syn był pierwszym człowiekiem, który urodził się na statku, na pewno zachowano gdzieś jego dane.

Moje palce przemknęły między punktami aktywacyjnymi plastpleja. Wecisnąłem pole informacyjne, a następnie wstukałem słowa kluczowe. Amy obserwowała mnie z niemałą fascynacją. Przyspieszyłem. Palce zaczęły mi się plątać i urządzenie zawyło ostrzegawczo, a ja musiałem zacząć poszukiwania od nowa.

Aż wreszcie...

- Jest!

Amy odchyliła się, by przeczytać napis na samej górze wyświetlacza.

- Ed senior prowadzi do Eda juniora... - wymamrotała. Przesuwała wzrok coraz niżej i niżej, aż w końcu podniosła głowę, zdezorientowana. Wydawało mi się, że chce mnie o coś zapytać, ale zamiast tego jeszcze raz spojrzała na wyświetlacz, licząc: - Jeden, dwa, trzy... - W końcu popatrzyła na mnie, marszcząc brwi. - Trzydzieści pokoleń. To drzewo genealogiczne składa się z trzydziestu pokoleń. Od Eda juniora aż do Benity zarejestrowano trzydzieści pokoleń narodzonych na pokładzie statku.

- No i?

Zaczęła spacerować od wyświetlacza do modelu SolZiemi i z powrotem.

- Ile pokoleń może się urodzić w ciągu jednego stulecia? Cztery, może pięć? A więc trzynastcie pokoleń oznaczałoby mniej więcej trzy stulecia, zgadza się?

Przytaknąłem.

- Okej, w takim razie spójrz na to. - Amy wskazała na dolną część wyświetlacza.

Tuż pod imieniem Benity widniał wpis: „Zginęła w czasie Plagi”.

- Kiedy wybuchła Plaga?

- Dawno temu - odparłem powoli. Przypomniałem sobie stojący w ogrodzie posąg Najstarszego Plagi. Słońce i deszcz prawie całkiem zatarły rysy jego twarzy.

- Ale jak dawno? - naciskała Amy. Zaczęła mi się udzielać jej niecierpliwość.

- Jeszcze przed obecnym Najstarszym. I przed poprzednim.

- A więc jakieś sto lat. To by oznaczało, że Benita, trzynaste pokolenie... że musiała się urodzić mniej więcej trzysta lat po starcie „Błogosławionego”. Ale zginęła podczas Plagi... która wybuchła ponad stulecie temu. Ten statek leci już sto lat dłużej, niż powinien.

- Jak to, przecież miał wylądować dopiero za pięćdziesiąt - zaproponowałem. - Czyli lecimy dopiero dwieście pięćdziesiąt lat.

Amy zatrzymała się, świdrując mnie spojrzeniem wielkich oczu.

- Jesteś pewien? Może lepiej sprawdzimy rejestry prowadzone od czasów Plagi. Jeżeli policzymy, ile pokoleń urodziło się po Pladze, być może uda nam się ustalić, jak długo tak naprawdę trwa ta podróż.

Nagle ogarnęło mnie dziwne wrażenie, jakbym miał w żołądku ogromny kamień, który ciągnął mnie w dół, a wraz ze mną cały statek.

- Nie ma żadnych drzew genealogicznych z czasów po Pladze. Właśnie sobie przypomniałem, co powiedział mi jakiś czas temu Doktorek. Podobno Plaga uśmierciła tak wielu ludzi, że prowadzenie rejestrów stało się bezcelowe.

- Gody - szepnęła Amy bardziej do siebie niż do mnie. - Czy tradycja Godów nie powstała przypadkiem zaraz po Pladze? - Wpatrywała się intensywnie w przestrzeń. - To nie może być zbieg okoliczności. Trzynaste pokolenie - pokolenie Benity - miało wylądować na nowej planecie. Już wtedy statek musiał się znajdować w przestrzeni prawie trzysta lat. Ale wybuchnęła Plaga, ktoś wprowadził tradycję Godów, a wasi przywódcy nagle przestali prowadzić rejestry urodzeń.

-1 jednocześnie zakazano robić zdjęcia - dodałem. - Ostatnie fotografie statku pochodzą z okresu o rok poprzedzającego Plagę. Parę lat temu byłem zafascynowany Plagą -

moje pierwsze lekcje z Najstarszym dotyczyły właśnie tamtych wydarzeń, ale nigdy nie widziałem żadnych zdjęć ani filmów, na których by je uwieczniono. A obecnie tylko naukowcy z Poziomu Sternika mogą robić zdjęcia, i to wyłącznie w celu dokumentowania nowych odkryć.

- Podczas Plagi musiało się coś wydarzyć - powiedziała powoli Amy. - Coś tak strasznego, że ktoś zniszczył stare zdjęcia i nagrania. A wszystko, co zaczęło się później - Gody, nienaturalne zachowanie mieszkańców statku - wszystko to prowadzi z powrotem do Plagi...

59

AMY

Starszy chciał coś powiedzieć, ale w chwili gdy otwierał usta, ktoś wpadł do Sali.

- Starszy! - Między ścianami przestronnego pomieszczenia odbił się echem chłodny, mocny głos Najstarszego.

Starszy rzucił się do panelu kontrolnego, by wygasić wszystkie zakazane zdjęcia ludzi i miejsc pochodzących z mojego domu. Razem z nimi zniknęło wiele mówiące drzewo genealogiczne, zbladł nawet schemat silnika na ściennym plastpleju.

- Nie wysilaj się - warknął Najstarszy. Przycisnął palec do miejsca za lewym uchem, gdzie znajdowało się jego urządzenie komunikacyjne. - Bardzo uważnie śledzę, czego uczysz się na tym statku, i wiem, w jaki sposób korzystasz ze swych uprawnień dostępu.

- Przepraszam - wymamrotał automatycznie Starszy, ale ja widziałam, że niczego nie żałuje, może oprócz tego, co właśnie powiedział. Szybko jednak wyprostował się i odzyskał pewność siebie. - Ale od jak dawna mnie śledzisz? Zresztą jestem zaskoczony, że cokolwiek zauważyłeś. Kiedy cię ostatnio widziałem, byłeś pija...

Błyskawicznie odwróciłam się do Najstarszego. Pijany? Starszy chciał powiedzieć, że Najstarszy się upił?

Najstarszy nie wyglądał jednak na zbitego z tropu.

- Prawdziwy przywódca nigdy nie traci nad sobą kontroli i nigdy się nie upija - stwierdził, kierując słowa do Starszego. Potem przeniósł wzrok na mnie. - Jeśli mnie pamięć nie myli, uznałem cię za potencjalną przyczynę zakłócenia porządku na tym statku. Cóż, najwyraźniej miałem rację.

- Nic nie zrobiłam - burknęłam. Przez mój głos przebijała się narastająca we mnie panika. Doskonale pamiętałam groźby Najstarszego.

Uciszył mnie machnięciem ręki.

- Wystarczy twoja obecność. Wystarczyła, by zupełnie rozkojarzyć mojego... ucznia - ostatnie słowo wypowiedział z drwiną, jakby uczeń był dla niego tym samym, co nieznośny, ujadający chihuahua. Spojrzał na Starszego. - Najwyższy czas, żebyś wrócił do nauki. Byłem zajęty Godami i pozwoliłem ci uganiać się po statku za tą dziewczynką, ale skoro masz czas przeglądać to, co przed chwilą przeglądałeś, to chyba powinniśmy wykorzystać twój zapal w bardziej produktywny sposób.

Ruszył do drzwi, a Starszy przygryzł wargę, zastanawiając się, czy za nim iść, czy zostać.

- Chwila!

Najstarszy obejrzał się przez ramię, ale nie zawrócił.

- Do cholery, należą mi się chyba wyjaśnienia - rzuciłam, robiąc krok w jego stronę. - Oboje dobrze wiemy, że na tym statku dzieją się jakieś dziwne rzeczy. Najpierw te całe Gody, teraz lekarz nazywa mnie wariatką i każe mi łykać tabletki, które bierze Starszy, a to miejsce...

- Wystarczy - przerwał mi Najstarszy władcym tonem. - Mówiłem ci, że masz nie zakłócać porządku. A ty mnie nie posłuchałaś.

- Wydaje mi się, że temu statkowi przydałoby się trochę nieporządku!

- Ostatni człowiek, który tak myślał, już nigdy więcej niczego nie pomyśli.

W Sali Nagrań zapadła cisza. Usłyszałam, jak Starszy wciągnął ze świstem powietrze. Przymierzaliśmy się do konfrontacji - Najstarszy przy drzwiach, ja obok glinianych planet, a Starszy pomiędzy nami, niczym znacznik pośrodku liny, którą będziemy przeciągać w grze o prawdę.

- Idziemy, Starszy. - Najstarszy odwrócił się w stronę drzwi.

- Co się stało podczas Plagi?! - krzyknęłam za nim. - Czego nie chcesz nam powiedzieć? Ty wiesz, przyznaj, że wiesz! Dlaczego po prostu nie powiesz nam prawdy?

Najstarszy zawrócił i trzema długimi krokami pokonał dzielący nas dystans.

- Ten statek jest zbudowany z tajemnic, tajemnice są jego paliwem - wysyczał, a z jego ust trysnęły drobinki śliny. - Jeśli nie przestaniesz o nie wypytywać, przekonasz się, co jestem zdolny zrobić, żeby moje tajemnice nie wyszły na jaw. Wracaj do kwatery. Osobiście poproszę doktora, żeby się tobą zajął. Starszy, idziemy! - krzyknął. Starszy podskoczył i podreptał za nim do wyjścia. Rzucił mi skruszone spojrzenie, ale zaraz potem zatrzasnął drzwi, zostawiając mnie zupełnie samą w mrocznej sali z zakurzonymi modelami.

Dopiero gdy rozluźniłam dłonie i rozprostowałam palce, dotarło do mnie, że cały czas zaciskałam pięści. Trzęsłam się z wściekłości. Jedno jest pewne, pomyślałam. Dowiem się, co

skrywa przed nami Najstarszy, a później zadbam, żeby wszyscy mnie usłyszeli.

60

STARSZY

Żadnych niespodzianek - Najstarszy zaprowadził mnie prosto do grawiszybu i do Centrum Edukacyjnego. Usiadłem przy stole, jakbym był gotów na wysłuchanie kolejnej lekcji, choć w głowie miałem zupełny mętlik.

Amy z pewnością uważała, że uciekłem z podkulonym ogonem, pogałem za Najstarszym jak posłuszny pies za swym panem. Widziałem rozczarowanie w jej oczach, gdy zostawiałem ją samą w Sali Nagrań. Musiałem pozwolić jej myśleć, że jestem słaby. Musiałem poświęcić swój wizerunek.

Bo właśnie tak powinien zachować się przywódca.

Nie wolno mi jeszcze przerywać tej gry. Musiałem polegać na przekonaniu Najstarszego, że jestem głupi i niedouczony; na jego pogardzie dla moich słabości. Ale tylko przez jakiś czas - dopóty, dopóki nie uda mi się skruszyć ściany, którą zbudował między mną a moją rolą przywódcy statku.

Najstarszy był coraz słabszy. Kłótnia z Amy, kłopoty z opanowaniem nerwów, krzyki i niespodziewane wybuchy agresji, które pojawiły się wraz z Godami - wszystko to świadczyło, że fasada spokojnego, ciepłego dziadka pękała, odsłaniając prawdziwą, małosłowną i żądną władzy naturę Najstarszego.

Gdy kłócił się z Amy, wyglądał śmiesznie. Był tylko starym człowiekiem, który trzymał się władzy najmocniej, jak potrafił. Aby go pokonać, wystarczyło stuknąć w jedną z tych szczelin, a wówczas skorupa rozpadnie się na kawałki i zobaczę, co tak długo przede mną ukrywał i dlaczego zawsze uważał, że nie może podzielić się ze mną tajemnicami tego statku.

Mimo że urodziłem się jako Starszy, po raz pierwszy w życiu czułem, że pewnego dnia będę mógł przejąć funkcję Najstarszego.

Po drugiej stronie stołu Najstarszy szczypał skórę u nasady nosa.

- Dlaczego szukałeś takich informacji?

- Jakich?

- Solziemskiej historii, schematów silnika, dokumentów na temat Plagi... Co chciałeś tam znaleźć? - Mówił przez ściśnięte gardło, z trudem panując nad głosem.

- A jakie to ma znaczenie?

- Ogromne!!! - ryknął, uderzając pięścią w stół. Udało mi się nawet nie drgnąć.

Walczyłem z sobą, by zachować spokój. Jeśli czegoś się dziś nauczyłem, to tego, że człowiek, który traci nad sobą panowanie, wygląda głupio i dziecinnie. Staralem się mówić powoli i wyraźnie, jakbym tłumaczył Najstarszemu coś oczywistego:

- Szukałem informacji, których ty nie chciałeś mi udzielić. Pewnego dnia mam zostać Najstarszym. Jeśli mi nie powiesz, co mam robić albo co muszę wiedzieć, by skutecznie rządzić, dowiem się tego w inny sposób. A za to, że na własną rękę szukam odpowiedzi, możesz winić wyłącznie siebie. Potrafisz tylko stać beczynnie i się wściekać, mimo że to ty powinieneś być wszystkiego mnie nauczyć.

Najstarszy zbladł jak ściana, a po chwili zrobił się purpurowy.

- I nigdy nie przyszło ci do głowy, że mam ważne powody, by ukrywać przed tobą pewne sprawy?

- Nie - uciąłem krótko. - Znam cię od maleńkości, osobiście przyłożyłeś rękę do każdego etapu mojego wychowania. Trzy ostatnie lata spędziliśmy wspólnie na tym poziomie. Nie rozumiem, co cię powstrzymuje od powierzenia mi informacji na temat statku.

- Wydaje ci się, że pozjadałeś wszystkie rozumy - burknął Najstarszy. - Tak naprawdę ciągle jesteś tylko dzieckiem.

- Władza wymyka ci się z rąk - stwierdziłem spokojnie, pochylając się w jego stronę.
- Zaczynasz tracić kontrolę. Spójrz na siebie - ciągle się wściekasz. Nie jesteś w stanie rządzić.

- A ty jesteś?! - niemal krzyknął Najstarszy boleśnie piskliwym głosem.

Wzruszyłem ramionami.

- Musieliśmy z Amy trafić na jakiś trop, skoro tak się zdenerwowałeś. Tylko jaki...

Najstarszy gotował się ze złości. Doszedłem do wniosku, że Orion nie miał racji. Nie trzeba działać podstępnie, by wygrać z Najstarszym. Wystarczy doprowadzić go do gzyfowej gorączki.

- Na pewno nie chodziło o plastpleje historyczne, już mi je pokazywałeś. Plaga.

Najstarszy podniósł głowę i popatrzył mi w oczy. Ukrył swój gniew głęboko w środku, połknął jak rozżarzony węgiel, żeby go nie widział.

- Od dawna z nikim o tym nie rozmawiałem...

Wstrzymałem oddech.

- Od śmierci poprzedniego Starszego? - Najstarszy przytaknął.

- Czy on zmarł, czy ty go... - Nie potrafiłem zmusić się do zadania tego pytania.

- Chcesz wiedzieć o Pladze? - Głos Najstarszego był nieznośnie monotony. - Świetnie. W takim razie opowiem ci o Pladze.

Zerwał się z miejsca, ale musiał przenieść ciężar ciała na zdrową nogę. Oparł pięści o blat i nachylił się nade mną, a ja mogłem tylko spojrzeć potulnie w górę.

- Może zacznijmy od tego, że nigdy nie było żadnej Plagi.

61

AMY

Stałam całkiem sama w ciemnościach Sali Nagrań. Nie byłam pewna, dlaczego Starszy wyszedł ze swoim nauczycielem. Nie ufałam Najstarszemu i dotychczas wydawało mi się, że Starszy podziela moje zdanie w tej kwestii.

Poza tym wszystkim głęboko w środku czułam pulsujący strach o rodziców, nieustanne pragnienie chronienia ich i odnalezienia mordercy, równie fundamentalne dla mojego istnienia, jak bicie serca. Zalała mnie fala strachu. Nogi mi drżały, a ja nie wiedziałam, czy brakuje im biegania, czy po prostu zamierzają odmówić mi posłuszeństwa.

- Amy?

Z trudem powstrzymałam okrzyk zaskoczenia.

- To ja, Orion - odezwał się mężczyzna, wychodząc z cienia modelu Ziemi.

- Gdzie byłeś? - spytałam. - Wydawało mi się, że cię widziałam...

Orion uśmiechnął się do mnie z zażenowaniem.

- Sprawdzałem akurat lokalizator wikomów, tak tylko, dla zabawy. I zauważyłem w pobliżu Najstarszego. Powiedzmy, że... że nie najlepiej się z nim dogaduję. Pomyślałem, że będzie lepiej, jeśli się na chwilę schowam.

- Ciebie też nienawidzi, co? - rzuciłam, a on przytaknął. - Co mu zrobiłeś?

- Chodzi głównie o to, że istnieję.

- Aha. To tak jak ze mną.

Odgarnął włosy z twarzy, a ja dostrzegłam białą bliznę biegnącą wzdłuż lewej strony jego szyi.

- Chciałem cię o coś zapytać. Widziałem, jak biegasz, i... zastanawiałem się, przed czym tak uciekasz.

To już druga osoba, która zadała mi to pytanie, ale coś mi mówiło, że Orionem kierują inne intencje niż dziewczyną z hodowli królików.

- Sama nie wiem - odparłam. - Ale już się zmęczyłam bieganiem.

- Jasne. - Spojrzał za siebie, na Salę Nagrań. - Ja też.

- Powinna już chyba iść - stwierdziłam, choć tak naprawdę nie wiedziałam, dokąd miałabym się udać. Byłam tylko pewna, że tu nie zostanę - nieruchoma, wystraszona, ukryta

w cieniu niedostępnych planet.

- Do zobaczenia wkrótce - zawołał za mną Orion.

Nie biegłam do Szpitala. Szłam. Nie potrafiłam osiągnąć stanu, w którym moje ciało weszłoby w trans i wyssało myśli z głowy. Zmusiłam nogi do powolnego ruchu, by umysł mógł pracować na zwiększonych obrotach.

Powietrze w ogrodzie przy Szpitalu było wilgotne. Na Ziemi pomyślałabym, że zaraz spadnie deszcz - ale to nie Ziemia, a tutaj deszcz to tylko woda ze zraszaczy na niebie.

- Zostaw mnie - usłyszałam za plecami starczy głos. - Umiem chodzić po schodach. - Odwróciłam się z ciekawością, bo jego intonacja kojarzyła mi się z mądrością i wnikliwością. Natychmiast rozpoznałam jego właścicielkę: to była Steela, staruszka, która rozpędziła tłum żywicieli, gdy dobiegłam do miasta pierwszego dnia po przebudzeniu.

- Tak, matko - odpowiedziała młoda kobieta, która w ogóle nie przypominała jej córki. Głos miała wyprany z emocji i monotony, tak jak Filomina, gdy patrzyłam na nią podczas badania.

Steela dostrzegła mnie mętными oczami barwy mleka zmieszanego z błotem. Przez chwilę przyglądała mi się podejrzliwie, ale w końcu rozciągnęła pomarszczone usta w jeszcze bardziej pomarszczonym uśmiechu. Zęby miała poplamione i krzywe, a w jej oddechu czuć było woń cebuli, ale mimo to podobał mi się jej uśmiech. Był szczery.

- Matko - powtórzyła młoda kobieta.

- Och, zamknij się wreszcie - ofuknęła ją Steela. - To potrwa tylko chwilę.

- Dobrze, matko. - Kobieta zamarła w absolutnym bezruchu, niczym zabawka, której trzeba dokręcić sprężynę. Nie wydawała się poruszona słowami matki i wyglądała na bardzo zadowoloną z faktu, że może sobie postać w miejscu.

- Miło mi znów panią spotkać - powiedziałam, wyciągając rękę.

Uścisk Steeli był zaskakująco silny.

- Szkoda, że nie mogę powiedzieć tego samego. Nie znoszę tego miejsca.

- Matko - odezwała się uprzejmie córka Steeli. - Powinnyśmy już iść do Szpitala.

Steela sprawiała wrażenie osoby zarazem pokonanej i zbuntowanej.

- Matko - głos kobiety był natarczywy, ale miły. Nieskończenie miły. Nieskończenie przerażający.

- Idę już, idę! - burknęła Steela tonem rozzłoszczonego dziecka, choć tak naprawdę była tylko smutną staruszką w zbyt podeszłym wieku, by samodzielnie podejmować decyzje.

- Ja ją zaprowadzę - rzuciłam bez zastanowienia. - To znaczy itak szłam do Szpitala, więc nie ma problemu...

Córka Steeli zamrugnęła.

- Jeśli ty na to przystajesz, matko...

- Tak, tak, przystaję. A teraz idź. - Steele obserwowała, jak jej córka odchodzi. - Co za gzyfowa przykrość, patrzeć, jak twoja córka staje się jednym z nich. - Otworzyłam usta, chcąc zapytać, kim są oni, ale Steele wyprzedziła mój tok myślenia. - Jednym z tych bezmyślnych bęcwałów. Powiedzieli mi, że jestem wariatką, gdy miałam dwanaście lat, a potem wyszkolili mnie na agrotechnika. - Patrzyła na ogród za Szpitalem, kiedy prowadziłam ją do schodów.

- To ja stworzyłam ten ogród. Przedtem rosły tu krzaki i chwasty. Od tego czasu łykam te niebieskobiałe tabletki, ale nie przeszkadza mi to. Lepiej być wariatką i brać lekarstwa, niż zamienić się w takie puste stworzenie. W zasadzie żałuję, że moja córka też nie jest wariatką. Może wtedy bardziej bym ją lubiła.

Puste stworzenie. Bardzo trafny opis.

- Słyszałam o tobie przez wikom. - Chwyciła mnie za ramię. Jej powykręcane reumatyzmem palce były zadziwiająco silne. - Ale nie wydaje mi się, żeby to była prawda.

- A mnie się wydaje, że jesteś jedną z najmądrzejszych osób na tym statku.

Steele prychnęła.

- Nie jestem mądra. - Spojrzała w górę, gdy dotarliśmy do drzwi. - Ani trochę. Jestem tylko przerażona, to wszystko. - Jeszcze mocniej zacisnęła dłoń, trafiając paznokciami tam, gdzie skóra na moim ramieniu była najcieńsza. Chciałam strącić jej rękę, ale zerknęłam na Steele i zobaczyłam, że trzyma się mnie kurczowo jak koła ratunkowego, a ja nie chciałam jej zawieść.

- A czego tu się bać? - spytałam.

Steele patrzyła przed siebie niewidzącym wzrokiem.

- Jestem jedną z ostatnich. - Dostrzegła brak zrozumienia na mojej twarzy. - Z mojego pokolenia. - Automatyczne drzwi rozsunęły się przed nami, więc weszliśmy do środka, ale Steele stawiała kroki coraz wolniej i wolniej, aż w końcu zatrzymała się parę stóp od wejścia do lobby. - Nikt nigdy stąd nie wraca.

- Nie bądź śmieszna - roześmiałam się. - Sama wyszłam stąd dziś rano.

Steele spojrzała w dół, na gładką skórę mojej ręki.

- Wciąż o nich pamiętam, nigdy nie zapomniałam. O Sunestrze, Everardzie i Albie... Wszyscy trafili tu dzięki uczynności kochającej, bezmyślnej rodziny i nikt nie wrócił.

Przygryzłam wargę, szczerze zmartwiona.

- Nigdy ich tu nie spotkałam - przyznałam uczciwie, ale jednocześnie przypominałam sobie staruszkę, którą tu niedawno widziałam. Poszły gdzieś razem z pielęgniarką, ale dokąd?

Zaprowadziłam Steelę do recepcji i odchrząknęłam, by zwrócić na siebie uwagę pielęgniarki.

- Słucham? - rzuciła ozieble, patrząc na Steelę nieprzyjaznym wzrokiem.

- Przyproceedziła ją córka - powiedziałam.

Pielęgniarka kiwnęła głową i wyszła z za biurka.

- Zabiorę ją na trzecie piętro.

- Ale nawet pani nie zapytała, co jej dolega.

Kobieta przewróciła oczami.

- Co ci dolega?

- Nic - odparła Steela.

- Czy córka wspominała ci, że miewasz omamy?

- Tak, wspominała... - odpowiedziała markotnie Steela.

- To nic takiego. - Poklepałam ją pocieszająco po rękę. - Starsi ludzie miewają problemy z jasnym myśleniem. Nie warto się tym przejmować. - Odwróciłam się do pielęgniarki. - Chyba nie ma potrzeby zatrzymywać jej w Szpitalu. Odprowadzę ją do domu.

- Jakiego rodzaju omamy? - spytała znudzonym tonem pielęgniarka.

Steela spochmurniała. Na jej twarzy malowało się przygnębienie i strach.

- Chodzi o to, że... wydaje mi się, że pamiętam... - wymamrotała.

- Co takiego? - ponagliła ją pielęgniarka, pisząc coś na plastpleju.

- Gwiazdy - szepnęła Steela, a ja bezwiednie zacisnęłam palce na jej rękę..Wcześniej, gdy Najstarszy powiedział... - Umilkła, ale nie musiała kończyć.

- Ale...

Wszystko wokół zniknęło, została tylko Steela. Widząc, jak się trzęsie, doszłam do wniosku, że chce nam powiedzieć coś niezwykle ważnego. Pielęgniarka ziewnęła.

- Ale pamiętam, że to się działo już wcześniej. Kiedy byłam w ciąży z moją córką...

- Tak ci się wydaje - przerwała jej pielęgniarka. - Wielu siwych mówi dokładnie to samo. Przeszłość miesza się im z terażniejszością.

Steela nastroszyła się.

- Nie mów mi, co pamiętam, a czego nie!

- Podręcznikowy przykład urojeń spowodowanych wiekiem - stwierdziła pielęgniarka rzeczowym tonem. - Proszę za mną.

Wyciągnęła rękę, ale staruszka chwyciła mnie mocniej, nie zamierzając się ruszyć.

- Gdzie ją pani zabiera? - zapytałam.

- Na trzecie piętro.

Biłam się z myślami. Powinnam zastąpić Harleya na poziomie kriogenicznym i skupić się na rozwiązaniu zagadki tajemniczego mordercy, ale kruche dłonie Steeli drżały. A ja obiecałam sobie, że jej nie zawiodę. Mogłam poświęcić jej jeszcze trochę czasu, żeby nie została sama jak palec. A poza tym cholernie chciałam wiedzieć, co się kryje za tymi pozamykanymi drzwiami na trzecim piętrze.

- Ja zaprowadzę ją na górę - zaproponowałam. Steela z ulgą wypuściła powietrze z płuc.

- Chyba nie powinnam...

- Naprawdę nie mam nic przeciwko.

- Skonsultuję się z doktorem. - Pielęgniarka podniosła rękę do lewego ucha.

- Nie, proszę się nie kłopotać. Już tam kiedyś byłam, na pewno się nie zgubimy.

Zawahała się, ale w końcu skinęła głową, a gdy dreptałyśmy do windy, obserwowała nas oczami jak paciorki. Wyraźnie czekała, aż rzucimy się do ucieczki, ale ja wcisnęłam guzik windy.

- Możemy się stąd wydostać - mruknęłam do Steeli. - Wiem, gdzie jest tylne wyjście, nawet nas nie zauważą. - W zasadzie sama nie byłam pewna, dlaczego oferuję jej pomoc. Jeśli naprawdę wymagała fachowej opieki, potrzebowała doktora. Tylko że całą jej żywiołowość zastąpił strach, a ja nie mogłam tego znieść.

Steela pokręciła głową.

- Ciągle widzę, jak stoję w Wielkiej Sali, w ciąży z moją córką, i patrzę na gwiazdy. Jakby to było wczoraj. Ale to się nie mogło wydarzyć, prawda? Pielęgniarka mówiła, że wielu z nas ma urojenia. Może to przez mój wiek. Chyba powinnam zobaczyć się z doktorem.

Winda się otworzyła. Dopiero w kabinie puściłam rękę Steeli. Mój palec zawisł nad przyciskiem z dwójką; zastanawiałam się przez chwilę, ale w końcu wybrałam trójkę. Ruszyłyśmy do góry, a ja poczułam, jak żołądek skręca mi się w supeł. Obie milczałyśmy.

Windą lekko szarpnęło. Według wyświetlacza zatrzymałyśmy się na trzecim piętrze.

- Zostań ze mną - wyszeptła Steela, gdy drzwi się otworzyły.

62

STARSZY

- Jak to - nie było żadnej Plagi? - zapytałem zdumiony, próbując zebrać myśli. Przecież to jedna z tych rzeczy, o których wszyscy się uczyliśmy - ja, żywicieli, sternicy, po prostu wszyscy. Tak brzmi pierwsza lekcja każdego dziecka na tym statku: musimy być pracowici i trzymać się razem, bo w innym wypadku ryzykujemy wybuch kolejnej Plagi.

Plaga jest tak mocno zakorzeniona w naszym życiu, że przyklejamy sobie medplasty już po pierwszym objawie choroby, a każde kichnięcie trzeba zgłaszać Doktorce.

- Nie było żadnej Plagi. Owszem, pojawiały się różne choroby - niektóre naprawdę wyniszczające - ale nigdy nie mieliśmy do czynienia z prawdziwą epidemią.

- Ale ci wszyscy, którzy umarli... Przecież cały czas dochodzimy do siebie po stratach, jakie spowodowała Plaga. Minęło już tyle czasu, a wciąż nie udało się nam odzyskać dawnej liczebności. - Pomyślałem o pustych przyczepach w Mieście i o tym, że na „Błogosławionym” wciąż było miejsce dla kolejnych mieszkańców, choć nikt już dzisiaj nie pamiętał czasów Plagi. - Uczyłeś mnie otym. Mówiłeś mi, że zmarło wtedy trzy czwarte całej populacji. - Nie potrafiłem pozbyć się z głosu tonu oskarżenia. Chociaż w zasadzie nie powinienem być zaskoczony - żarówki udające gwiazdy w pomieszczeniu obok świadczyły o tym nad wyraz dobitnie.

- Ludzie umierali. Ale nie z powodu Plagi.

- To znaczy? - Role się odwróciły: teraz to Najstarszy był spokojny, a ja czułem, że za chwilę zacznę panikować. Czy naprawdę całe moje życie zostało zbudowane na kłamstwach?

- Chodź. - Najstarszy westchnął, jakby wołał niczego mi nie pokazywać, więc czym prędzej wstałem z krzesła i ruszyłem za nim, obawiając się, że może zmienić zdanie. Opuściliśmy Centrum Edukacyjne, przeszliśmy przez Wielką Salę i przedostaliśmy się włazem na Poziom Sternika. Buty Najstarszego wystukiwały na płytkach podłogowych nierówny rytm, przez co jeszcze wyraźniej widać było, jak utyka. Ignorował zarówno mnie, jak i sterników, którzy na jego widok stawali na baczność.

Poziom Sternika w dziwny sposób przypominał mi poziom kriogeniczny, na którym znalazłem Amy. Nie było tu żadnych kwater mieszkalnych - wszyscy sternicy żyli w Mieście na Poziomie Żywiciela i przylatywali tu grawiszybem. Ten poziom, podobnie jak poziom kriogeniczny, wykonano z metalu. Korytarze rozgałęziały się w kierunku drzwi laboratoriów i biur wyposażonych w skanery biometryczne, choć tu i tam wciąż widać było prawdziwe staromodne zamki z SolZiemi. W większości przypadków nie miałem pojęcia, co się kryje w tych pomieszczeniach - Najstarszy nigdy nie poświęcił czasu na wytłumaczenie mi zawłośliwości pracy naukowców i sterników. Słyszałem tylko, że znaczenie każdej funkcji jest uzależnione od tego, gdzie się ją sprawuje. Biura w pobliżu grawiszybu są najmniej istotne; ich pracownicy zajmują się między innymi sterowaniem pogodą i analizą gleby. Jednak idąc w głąb korytarza, dociera się do ważniejszych laboratoriów. Jak dotąd nie zdarzyło mi się jeszcze zawędrować dalej niż mniej więcej do jego połowy, gdzie prowadzone są badania nad lampą solarną.

Najstarszy maszerował jednak na sam koniec korytarza. Moja noga nigdy tu nie powstała, a co dopiero za tymi drzwiami. Ponieważ jednak nie raz i nie dwa oglądałem plany statku, wiedziałem, co znajduje się po drugiej stronie: siłownia, gdzie naukowcy analizują problemy fizyki nuklearnej, prowadząca prosto do maszynowni i potężnego silnika, który napędzał „Błogosławionego”. Dalej była kabina nawigacyjna. Najstarszy mówił, że mogą tam wchodzić tylko najważniejsi sternicy - ci, którzy już za czterdzieści dziewięć lat i dwieście sześćdziesiąt trzy dni... Zaraz, nie, za siedemdziesiąt cztery lata i dwieście sześćdziesiąt trzy dni posadzą statek na nowej planecie. Siedemdziesiąt cztery lata... Niech to gzyf.

Najstarszy zeskanował odcisk kciuka przy drzwiach siłowni.

- Najstarszy/Starszy, dostęp przyznany - odezwał się miłym głosem komputer.

Przystanąłem. Nigdy tu nie byłem, ale Najstarszy skierował się prosto do drzwi po przeciwnej stronie pomieszczenia. Gdy je otworzył, do moich uszu dobiegł niski, głęboki pomruk pracujących maszyn.

Wreszcie na własne oczy ujrzę silnik.

W maszynowni było gorąco jak w piekarniku. Szarpnąłem za kołnierz koszuli i podciągnąłem rękawy, ale Najstarszy nie sprawiał wrażenia, że źle się tu czuje. Wokół nas biegali naukowcy. Niektórzy trzymali jakieś fiolki albo metalowe pojemniki i prawie wszyscy nosili pod pachami plastpleje, na których wyświetlały się poważnie wyglądające wykresy i diagramy.

- No chodź - zawołał mnie Najstarszy.

Ale ja stałem jak zaczarowany.

Widziałem teraz wyłącznie kolosa znajdującego się pośrodku maszynowni - wpuszczony w podłogę ogromny silnik.

Z jakiegoś powodu nigdy nie próbowałem sobie wyobrazić, jak wyglądał silnik w maszynowni. To znaczy, jasne, wiedziałem, że tu stoi, ale nigdy o nim zbyt wiele nie myślałem. Podczas jednej z lekcji Najstarszy tłumaczył mi, że jest to właściwie reaktor jądrowy zasilany uranem. Urządzenie, które przed sobą widziałem, przypominało raczej olbrzymią probówkę; z jej szczytu wychodziły metalowe rury, które okręcały się wokół metalowego korpusu. Pracy silnika towarzyszyło nieprzerwane wrrrszastwrrrszast. Tak brzmiał puls „Błogosławionego”.

- Jest głośny - stwierdził Najstarszy, dostrzegłszy powód mojego rozkojarzenia. - I na dodatek śmierdzi.

Dopiero teraz wyczułem dziwny zapach smaru i środka do czyszczenia.

- Jest piękny...

Najstarszy parsknął śmiechem, przyglądając mi się w skupieniu.

- Nie jest. - Przeniósł wzrok na silnik. - To najbrzydsza rzecz, jaką kiedykolwiek widziałem - powiedział płaskim głosem. - Wiesz, jaki to rodzaj silnika?

- Jądrowy.

Przewrócił oczami.

- A konkretniej?

Przypomniałem sobie schemat z Sali Nagrań.

- Reaktor szybki chłodzony ołowiem? - próbowałem zgadnąć.

Najstarszy wyciągnął z kieszeni model silnika, który znalazłem na biurku w jego kwaterze, gdy wkradłem się do środka. Otworzył go, żebym mógł się przyjrzeć miniaturowym wnętrzościom maszyny. Z żyłami, organami i niespiesznym warkotem życia silnik wyglądał jak żywy organizm.

- Wykorzystuje do działania uran - wyjaśnił Najstarszy - który wchodzi tędy do silnika i przechodzi tutaj... - Wskazał na niewielką skrzynkę za korpusem przypominającym probówkę, podłączoną do niego za pomocą rur i kabli. - Uran jest przetwarzany w końcowej części jądrowego cyklu paliwowego, co powinno nam pozwolić korzystać z tych samych zasobów paliwa praktycznie bez końca.

Mojej uwadze nie umknęło kluczowe słowo: „powinno”.

- A w rzeczywistości jest inaczej? - spytałem.

- Faza przetwarzania cyklu paliwowego nie działa tak, jak zakładaliśmy - odparł Najstarszy. - A to właśnie ona ma zapewnić, że paliwo nie straci swojej wydajności.

- Ale nie zapewnia?

Pokręcił głową.

- Dlaczego? - naciskałem. Zauważyłem, że chce odwrócić wzrok, ale patrzyłem mu prosto w oczy.

- Tak w skrócie? Lecimy coraz wolniej i wolniej. Z początku zwolniliśmy do osiemdziesięciu procent maksymalnej prędkości, następnie do sześćdziesięciu. Obecnie udaje się nam czasem osiągnąć pułap czterdziestu procent, ale zwykle jest gorzej.

- To dlatego potrzebujemy trochę więcej czasu, żeby dotrzeć na nową planetę?>

Najstarszy prychnął - po raz pierwszy, odkąd weszliśmy do maszynowni, zdradzając jakiegokolwiek emocje.

- Trochę? Chodzi ci o te dwadzieścia pięć lat? Zeby tylko... Nie pokonaliśmy nawet połowy drogi. W tej chwili mamy dwieście pięćdziesiąt lat opóźnienia.

AMY

Na trzecim piętrze czekał na nas Doktorek. Nie był zaskoczony naszym widokiem, w związku z czym doszłam do wniosku, że pielęgniarka z recepcji musiała się z nim skontaktować za pomocą guzika za uchem. Wiedziałam, że nie można jej ufać.

- Steela, co słyszeć? - spytał fałszywie radosnym tonem. - Amy, poradzę sobie sam, mozesz wrócić do swojej kwatery.

- Dzięki, ale ja zostaję - oświadczyłam, czując, jak Steela zaciska palce na moim ramieniu.

- Słucham? - Doktorek był wyraźnie zaskoczony.

- Zostaję ze Steelą.

- Ale...

- Chcę, żeby ze mną została - odezwała się nagle Steela drżącym głosem.

Doktorek zmarszczył brwi.

- Nigdzie się stąd nie ruszam - rozwiąłam jego nadzieje. Jego usta zbieleły.

- Świetnie - mruknął i popatrzył na plastplęj, który trzymał w ręce. - Łóżko numer trzydzieści sześć jest wolne. - Odwrócił się w stronę trzecich drzwi w głębi korytarza. Nie było przy nich skanera biometrycznego i lekarz wyjął z kieszeni spory żelazny klucz.

Weszliśmy do dużej sali. Mieściło się w niej dziesięć łóżek - pięć pod jedną i pięć pod drugą ścianą. Doktorek zaprowadził Steelę do łóżka na końcu sali, jedyne, które nie było zajęte.

- Czekaliśmy na ciebie - powiedział do Steeli. Dreszcz przebiegł mi po plecach. - O wiele łatwiej jest załatwić całą salę od razu - mruknął.

Wskazał na starannie poskładaną koszulę szpitalną, która leżała na łóżku. Steela spojrzała na mnie. Trzymała się kurczowo mojego ramienia, a ja nie chciałam, żeby puściła. A kiedy w końcu rozluźniła palce, miałam wrażenie, że się ze mną żegna.

Tymczasem Doktorek stał pośrodku sali, jakby wszystko było w porządku. Steela drżącymi dłońmi rozpięła pierwszy guzik tuniki.

- Nie sądzi pan, że ona ma prawo do odrobiny prywatności? - syknęłam do Doktora, ale on chyba nie zarejestrował moich słów, więc złapałam go za ramię i obróciłam. Przyglądałam mu się badawczo, czekając, aż Steela się przebierze. Przekładał jakieś narzędzia na stole pod ścianą, odwrócony do mnie plecami. Wiedziałam, że nie chodziło mu o podglądanie Steeli. Po co miałby to robić? Przecież była taka stara. O nie, on po prostu

zapomniał, że Steela może czuć się skrępowana, odsłaniając przed nim nagie ciało. Nie patrzył na nią jak na istotę ludzką, która ma uczucia, bo zbyt wiele czasu spędził między prostymi żywicielami i już nie pamiętał, jak zachowują się normalni ludzie.

- Już - odezwała się Steela szeleszczącym głosem.

Usiadła na szpitalnym łóżku, wyprostowała nogi i naciągnęła na nie prześcieradło. Rozejrzała się po sali - zauważyłam, że wszyscy inni pacjenci robili dokładnie to samo, choć byli, jak powiedziałyby to sama Steela, bezmyślnymi bęcwałami. Naśladowała ich zachowanie, być może nie do końca świadomie.

Jej tunika i spodnie leżały poskładane w kostkę na końcu łóżka. Pod szpitalną koszulą, o wiele cieńszą od zwykłych ubrań, Steela wydawała się drobniejsza, słabsza i bardziej schorowana. I o wiele, wiele bardziej przerażona. Trzęsa się na całym ciele, ale coś mi mówiło, że wcale nie z powodu chłodnego przeciągu.

- Co to takiego? - zapytała z przejęciem.

- Zwykle kroplówki. - Doktor wyciągnął w jej stronę woreczki z płynami. - Ze... składnikami odżywczymi.

- Nie może pan użyć medplastu? - zapytałam.

- Medplasty sprawdzają się tylko w przypadku takich dolegliwości jak ból głowy czy brzucha. To jest poważniejsza sprawa.

- Ale nikt inny nie ma tu trzech kroplówek - zaproponowała Steela.

Na sali panowała taka cisza, że na chwilę zapomniałam o pozostałych pacjentach. Starsi ludzie leżący w łóżkach wpatrywali się potulnie w sufit. Sami żywiele. Ale Steela słusznie zauważyła, że mieli po dwie kroplówki: jedną wpiętą do żyły w lewej dłoni i drugą w lewym przedramieniu.

- Trzecia jest wyjątkowa, bo ty jesteś wyjątkowa.

- Terefer.

Doktor uśmiechnął się krzywo.

- Chodzi o to, że jako jedyna przyjmujesz leki na schorzenia umysłowe.

Steela przygryzła wargę. Zupełnie jak Starszy, uwierzyła, że jest szalona, bo lekarz wmawiał jej to przez całe życie. I nagle zaczęła mieć wątpliwości - może rzeczywiście powinna tu być, zamknięta razem z dziewięcioma innymi osobami, które wpatrują się tępo w sufit.

- Nawet jej pan nie zbadał - rzuciłam.

- Hm? - Doktor pocierał skórę Steeli gazikiem ze środkiem dezynfekującym.

- Chce pan w nią wbijać igły kroplówek, a nawet jej pan nie zbadał. O co tutaj chodzi?

- spytałam niskim głosem. Ciekawe, czy ten człowiek wiedział, że właśnie tak brzmi mój głos, kiedy zacynam się naprawdę poważnie wkurzać.

- Pielęgniarka z recepcji poinformowała mnie o jej stanie.

- Jakim stanie? - Spiorunowałam go wzrokiem. Na próżno, bo nawet nie podniósł głowy, ale Steela bacznie mnie obserwowała.

- Ma urojenia. Tak jak wszyscy inni pacjenci. - Doktorek wbił dwie igły w lewą rękę Steeli, po czym okrążył łóżko, żeby dostać się do prawej. Ujął między palce fałdę skóry na łokciu i wkłuł igłę „wyjątkowej” kroplówki głęboko w grubą niebieską żyłę. Steela zachłysnęła się z bólu powietrzem.

I choć lekarz mówił, że będzie jej podawać środki odżywcze, do woreczka na końcu plastikowego przewodu zaczął spływać strumień gęstej ciemnej krwi.

Bez zastanowienia uderzyłam w Doktorka barkiem. Wpadł plecami na ścianę, a ja przycisnęłam go do niej ramieniem. Może i byłam od niego mniejsza, ale za to na moją korzyść działała adrenalina.

- Co pan robi?! - wrzasnęłam. - Mówił pan, że to jest zwyczajna kroplówka, a to nieprawda! Dlaczego pan kłamie? Co próbuje pan przede mną ukryć?

W sali zapadła cisza. Dziewięciu otępiiałych pacjentów nadal wpatrywało się w sufit, jakby nie byli świadomi, co się właśnie wydarzyło.

Kątem oka dostrzegłam, jak Steela mruga, przewiercając wzrokiem pustą przestrzeń. Nie słyszała moich krzyków z odległości niecałego jarda.

- Steela? - szepnęłam.

Żadnej reakcji.

64

STARSZY

Siedzieliśmy z powrotem w Centrum Edukacyjnym. Czuję się pusty w środku, jak model „Błogosławionego”, który wisiał w Sali Nagrań; i mnie, i jemu brakowało paliwa, by brnąć przez życie.

- Dwieście pięćdziesiąt lat opóźnienia? - powtórzyłem. Słowa odbijały się echem wewnątrz mojej czaszki, zastępując wrrrszastwrrrszast silnika, które dzwoniło mi w uszach.

Najstarszy wzruszył ramionami.

- Mniej więcej. Mieliśmy wylądować około stu pięćdziesięciu lat temu, ale teraz wygląda na to, że nie dotrzemy do celu wcześniej niż za sto lat. Może. Jeżeli systemy przetwarzania paliwa wytrzymają. Jeżeli nie stanie się nic złego.

- A jeśli się stanie?

- Wówczas statek zawisnie w przestrzeni jak na powierzchni wody, jeśli można tak powiedzieć. Aż w końcu reaktor się wychłodzi. Zgaśnie lampa solarna i zapadną ciemności. Umrą rośliny, a my umrzemy po nich.

Żyjąc na pokładzie statku w otoczeniu wciąż tych samych ludzi, ceniliśmy sobie nasze ciasne, ale własne pokoje i chwile samotności. Dopiero teraz zrozumiałem jednak, jak naprawdę byliśmy samotni. Nie istnieje nikt prócz nas. Zawsze miałem wrażenie, że żyjemy na drodze pomiędzy dwiema planetami i nawet jeśli nie dotrzemy do nich już dziś, to one gdzieś tam są, na jednym i drugim końcu niewidzialnej liny. A teraz już wiedziałem, że wcale ich nie ma. Jeśli poniesiemy klęskę, pomoc znikąd nie nadejdzie, a jeśli zginiemy, nikt nie będzie nas opłakiwać.

- Czy teraz już rozumiesz? - spytał Najstarszy. Jego wzrok ściągnął mnie z powrotem na pokład statku.

Przytaknąłem odruchowo, nawet go nie słuchając.

- I właśnie dlatego ty - ty! - musisz zostać przywódcą. Silnym, pewnym siebie przywódcą. Plaga nie była chorobą. Pod tą nazwą kryją się wydarzenia, do których doszło tuż po tym, jak ówczesny przywódca powiedział ludziom prawdę o opóźnieniach w podróży. Kiedy usłyszeli, że nie zobaczą nowej planety - że nie zobaczą jej nawet ich dzieci i wnuki, i że być może nikt jej nigdy nie zobaczy - statek z dnia na dzień praktycznie wymarł.

Podniosłem głowę, spoglądając na Najstarszego przez łzy.

- Co się stało?

- Samobójstwa. Morderstwa. Zamieszki, chaos, bunt i wojna... Gdyby tylko mogli, przedarliby się przez poszycie okrętu prosto w przestrzeń.

- A więc to była Plaga? Trzy czwarte ludności wymarło? Trzy czwarte ludności, która dowiedziała się prawdy?

Najstarszy przytaknął.

- I wtedy jeden człowiek, najsilniejszy przywódca, wziął sprawy w swoje ręce i został pierwszym Najstarszym. Pracował razem z tymi, którzy ocaleli. Wspólnie sfabrykowali historię Plagi, aby móc wyjaśnić przyczynę śmierci tak wielu ludzi następnym pokoleniom.

- Jak udało im się przetrwać? - Jak ktokolwiek mógł przetrwać, dysponując wiedzą, którą właśnie przekazał mi Najstarszy? Nagle świadomość, że nigdy nie zobaczą nowej planety, wydała się o wiele gorsza niż wcześniej.

- Pierwszy Najstarszy zorientował się, że ludzie, którzy przetrwali, to przede wszystkim członkowie rodzin i kobiety w ciąży. Człowiek dla swojego dziecka jest w stanie

znieść praktycznie wszystko.

Nic już z tego nie rozumiałem. Przekrzywiłem głowę, próbując poskładać kawałki informacji w całość.

- Mówisz, że w wielu przypadkach ci, którzy przetrwali, spodziewali się dziecka. Ale czy całe pokolenie kobiet nie było wtedy w ciąży? Skoro właśnie zakończyły się Gody...

Najstarszy przewrócił oczami.

- Wydawało mi się, że po tym, co powiedziała ci ta dziewczyna, sam zrozumiesz. To dopiero Najstarszy Plagi wprowadził tradycję Godów. Wcześniej ludzie łączyli się w pary wtedy, kiedy mieli na to ochotę. Niektóre kobiety były w ciąży, inne nie. Pokolenia się mieszały. Najstarszy Plagi wpadł na pomysł stworzenia Godów, aby wszystkie kobiety zachodziły w ciążę w tym samym czasie. Co drugie pokolenie, zawsze po Godach, mówimy ludziom, że nie zobaczą nowej planety. Ale za to zobaczą ją ich nienarodzone dzieci. Ta motywacja wystarczy, żeby stłumić w nich skłonność do buntu. Wystarczy, żeby zaakceptowali opóźnienie jednego pokolenia. A później kolejnego, kolejnego i kolejnego...

- A pompa wodna na poziomie kriogenicznym? - spytałem, analizując informacje. - Czy ona nie była częścią oryginalnego projektu statku?

- Była, za jej pomocą dostarczano witaminy bezpośrednio do populacji, ale Najstarszy Plagi wymyślił dla niej inne przeznaczenie...

Uśmiechnął się krzywo, podchodząc do kranu. Wyciągnął szklankę z szafki nad umywalką i napełnił ją wodą, po czym wrócił i postawił przede mną na stole.

Patrzyłem na nią. Woda była czysta, spokojna i nieruchoma. Zupełnie inna niż ja. W końcu wszystkie żywicielki używały jej do uspokajania dzieci i kojenia nerwów dorosłych.

Otworzyłem szeroko oczy.

- W tym są nie tylko hormony, zgadza się? - Wpatrywałem się w nieszkodliwie wyglądający płyn. - Jest coś jeszcze.

Najstarszy usiadł po drugiej stronie stołu. Szklanka wody dzieliła nas niczym ściana.

- Fidus.

- Co takiego?

- Fidus. Środek, który został wymyślony po Pladze.

- I jak on działa?

Najstarszy położył na stole dłonie, wewnętrzną stroną do góry, jakby błagał o łaskę lub przebaczenie, chyba że sam chciał mi ich udzielić.

- Fidus sprawia, że instynkt przetrwania zawsze bierze górę nad uczuciami. Pozwala kontrolować najsilniejsze emocje i zapobiegać wybuchom agresji, które doprowadziłyby do

śmierci i zniszczenia.

Poczułem w gardle smak żółci. Tak nie można. Za każdym razem, gdy Amy chodziła nerwowo po swojej ciasnej kwaterze, głośno protestując przeciwko nieprawidłowościom życia na statku, próbowałem ją pocieszać, nie zdając sobie sprawy, co tak naprawdę miała na myśli. A teraz już wiedziałem. Zalała mnie fala gniewu i na krótką chwilę dosłownie wszystko wokół stało się czerwone.

- Skoro w wodzie jest ten fidus, który tłumi najsilniejsze emocje, to dlaczego mam wrażenie, że zaraz eksploduję? - Chwyciłem za krawędź blatu. Czułem pod palcami twarde, gładkie drewno i zastanawiałem się, czy mam wystarczająco dużo siły, żeby przewrócić stół na Najstarszego.

- Jesteś zły? Dlaczego?

- Bo to jest nie w porządku! Nie możesz tak po prostu odbierać ludziom uczuć! Nie możesz zniszczyć jednego uczucia, nie niszcząc wszystkich innych! To przez ciebie żywicieli są zupełnie wyprani z emocji! Przez ciebie i przez to świństwo!

- Fidus nie działa na wszystkich.

- Przecież wpuszczasz go do wody! - krzyknąłem. Uderzyłem pięściami w stół, sprawiając, że na wodzie w szklance zaczęły tworzyć się zmarszczki. - Wszyscy pijemy wodę!

Najstarszy przytaknął, potrząsając długimi siwymi włosami.

- Ale statkiem nie mogą rządzić idioci. Potrzebujemy żywicieli, żeby produkowali jedzenie, nie zadając pytań, i potrzebujemy ludzi takich jak ty, którzy będą myśleć, naprawdę myśleć.

- Szpital - wymamrotałem, zmuszając umysł do pracy na najwyższych obrotach. - I wszyscy pacjenci, którzy są podobno nienormalni. Nic nam nie dolega, po prostu fidus nie działa na nasze organizmy. Tylko dlaczego... - Wyjaśnienie pojawiło się jeszcze przed odpowiedzią Najstarszego. - No tak, pigułki na zaburzenia psychiczne! Stopery hamują działanie fidusa. Sprawiają, że nie ma na nas żadnego wpływu.

- Nie obylibyśmy się bez kreatywnych ludzi - wyjaśnił Najstarszy. - Potrzebujemy ciebie i potrzebujemy twórczych naukowców, żeby rozwiązać problem systemów przetwarzania paliwa. Dostarczamy wybranym jednostkom odpowiednie geny - widziałeś już replikatory DNA - a później podajemy im stopery, aby uchronić ich przed działaniem fidusa. Ci ludzie muszą jasno myśleć.

- Ale dlaczego artyści? - spytałem, myśląc o Harleyu, Bartiem i Victrii.

- Artyści również mają swoje przeznaczenie. Między innymi zapewniają żywicielom

odpowiedni poziom rozrywki. Owszem, uczucia żywicieli są tłumione, ale nawet mały czasem się nudzą. Poza tym niektórzy artyści rozwijają sposób myślenia wykraczający poza charakterystykę replikowanego DNA. Od wielu dekad pracujemy nad problemem silników i pomimo intensywnych badań wciąż nie udało nam się go rozwiązać. Nie wiemy, w jaki sposób zmanifestuje się kreatywność poszczególnych artystów. Na przykład twój przyjaciel, Harley, otrzymał geny wyobraźni wizualnej i przestrzennej. Zainteresował się malarstwem, ale równie dobrze mógł zostać projektantem lub nawet, przy odpowiednim rozwoju pragnień umysłowych, inżynierem.

- A zatem jesteśmy tylko pionkami. Środkiem do osiągnięcia celu. Zabawkami, które sam tworzysz, żeby prowadzić swoją grę.

- Ta gra toczy się o życie, ty hucpiarzu! - Najstarszy podniósł głos. - Nie rozumiesz? My po prostu próbujemy przetrwać! Gdyby nie Gody, ludzie nie mieliby po co żyć, gdyby nie fidus, w ślepej furii roznieśliby statek na strzępy, gdyby nie replikatory DNA, wszyscy rodziłibyśmy się durniami! Musimy przetrwać!

- A jeśli jeden z tych bezmyślnych żywicieli mógłby rozwiązać problem silników? - spytałem. - Ale jest tak nafaszerowany fidusem, że nie potrafi sklecić dwóch sensownych myśli? Dlaczego nie pozwolisz myśleć im wszystkim, żebyśmy mogli wspólnie pracować nad rozwiązywaniem problemów?

Najstarszy zmrużył oczy.

- Czyżbyś zapomniał, czego cię uczyłem? Jakie są trzy główne przyczyny niezgody?

- Po pierwsze, różnice - odparłem automatycznie. Nie chciałem dać się wciągnąć w jego grę, ale odpowiadanie na jego pytania weszło mi w nawyk.

- A poza tym?

- Brak silnego przywódcy. - Teraz chciałem już tylko wiedzieć, do czego zmierza.

- I?

Westchnąłem.

- Indywidualne myślenie.

- Otóż to. Fidus eliminuje indywidualne myślenie u wszystkich oprócz wybranych jednostek, które zostały stworzone specjalnie po to, by nam pomóc. To jest nasza jedyna szansa na przetrwanie. - Najstarszy pochylił się nad stołem. Zastukał palcami w blat, czekając, aż spojrzę mu w oczy. - Musisz to zrozumieć - powiedział z naciskiem, świdrując mnie wzrokiem. - To nasza jedyna szansa na przetrwanie.

Na chwilę zamilkł.

- Jedyna szansa.

AMY

Doktorek odtrącił moją rękę.

- Coś ci pokażę - powiedział.

- Ale co się dzieje? - zapytałam stłumionym głosem.

Zerknął obojętnie na nieruchome ciało Steeli.

- Ach, o to ci chodzi.

- O to? O to?! - krzyknęłam. - Przecież ona jeszcze przed chwilą była świadoma! Co pan jej zrobił?!

Przeszedł na drugą stronę łóżka i postukał palcem w jedną z kroplówek.

- W tym płynie występuje duże stężenie fidusa. Fidus to lek - wyjaśnił, zanim zdążyłam zapytać. - Sprawia, że człowiek staje się bierny.

Przypomniałam sobie Filominę i córkę Steeli.

- Odurza pan pasażerów statku lekami - szepnęłam.

Doktorek wzruszył ramionami.

- Większość pasażerów - sprecyzował.

- Ale dlaczego?

- Medycyna potrafi zdziałać cuda - stwierdził, ściskając kroplówkę. - Kiedy pojawia się jakiś problem, nawet w całym społeczeństwie, medycyna może go rozwiązać.

- Pan jest złym człowiekiem. - Wniosek sformułował się w mojej głowie w tej samej chwili, w której wypowiedziałam te słowa.

- Jestem realistą.

Zacisnęłam palce na dłoni Steeli, zimnej i pozbawionej życia.

- Co się z nią dzieje? - Puściłam jej rękę i cofnęłam się z odrazą.

Lekarz nie zwracał uwagi ani na mnie, ani na pacjentów, za bardzo skupiony na kroplówce.

- Już ci mówiłem. Fidus sprawia, że człowiek staje się bierny.

- Co to znaczy? - Z moich słów przebijała panika.

- Ze jest spokojny. Zrównoważony. Opanowany.

- Ale przecież ona w ogóle się nie rusza! - krzyczałam coraz głośniejszym głosem. - Nawet nie mruga, tylko gapi się w przestrzeń!

Doktorek wydawał się zaskoczony moim zdenerwowaniem.

- Naprawdę nie rozumiesz, że zarówno Steela, jak i pozostali pacjenci są

bezużyteczni? Ani ona, ani inni siwi nie nadają się do fizycznej pracy tak jak przedstawiciele młodszych pokoleń. Psychiczenie również nie są już sprawni - przyjmowanie fidusa przez długi czas wyniszcza mózg, nawet w przypadku osób takich jak Steela, które przyjmują stopery. Ich neurony próbują w pewnym sensie omijać fidusa. Z tego powodu prawda miesza się im z urojeniami albo, gdy uwalniają się spod wpływu leku, narasta w nich skłonność do buntu. Tak czy inaczej, stają się ciężarem dla społeczeństwa. Więc zabieramy im wszystko, co może się jeszcze przydać. - Ruchem głowy wskazał na woreczek z krwią Steeli. - W jej DNA zakodowana jest wyjątkowa spostrzegawczość i inteligencja. Być może zdołamy powielić te cechy. A gdy wyciągniemy z siwych wszystko, co najlepsze, pomożemy im zasnąć.

Steela nie wyglądała, jakby spała. Wyglądała, jakby umarła.

Wciąż pamiętałam szczeniaczka, którego dostałam od rodziców, gdy miałam osiem lat. Zachorował na parwowirozę i mama powiedziała mi, że musimy go uspić.

- Zabijacie ich? - wyszeptałam przerażona.

Lekarz wzruszył ramionami.

- Technicznie rzecz biorąc, tak.

- Technicznie?! - wrzasnęłam. - Albo się umiera, albo nie, nie ma nic pośrodku!

- Żyjemy w zamkniętym środowisku - powiedział - i musimy dbać o odnawialność zasobów. - Przeniósł wzrok ze Steeli na mnie.

- Potrzebujemy nawozu.

Przełknęłam żółć, która podniosła mi się do gardła.

- Wyciągnij te igły! - krzyknęłam, rzucając się w stronę kroplówek.

- Za późno. Lek dostał się już do jej organizmu.

Wyrwałam wenflony z ręki Steeli, ale dotarło do mnie, że Doktorek nie kłamał. Z igły kapnęła pojedyncza kropla krwi, to wszystko. Woreczki były już opróżnione. Ręka Steeli zsunęła się z krawędzi łóżka, ale ona nawet tego nie zauważyła.

- Amy - zaczął lekarz opanowanym tonem. - Mówię ci to, żebyś zrozumiała, jak wygląda rzeczywistość na pokładzie tego statku. Wiem, że kwestionowałaś decyzje Najstarszego i że dużo rozmawiałaś ze Starszym. Musisz zrozumieć, co cię czeka, jeśli będziesz sprawiać kłopoty i jeśli nadepniesz Najstarszemu na odcisk. Śluz spustowa to tylko jedna metoda, za pomocą której Najstarszy może się ciebie pozbyć. Ten człowiek jest groźny, Amy, bardzo groźny i postąpiłabyś rozsądniej, schodząc mu z drogi.

Westchnął, a ja po raz pierwszy zastanowiłam się, czy ma dla tych ludzi choć odrobinę współczucia i czy w ogóle cokolwiek czuje.

- Gdy Starszy przyprowadził cię do mojego gabinetu, wiedziałem, że fidus zaczął działać na twój organizm. Razem z Najstarszym jesteśmy odpowiedzialni za rozprowadzanie leku do wszystkich mieszkańców „Błogosławionego”. To jeden z naszych obowiązków. Moim zdaniem fidus pozwala zagwarantować pokój na statku, ale nie uważam, żeby był najlepszy dla wszystkich. - Spojrzał mi prosto w oczy. - Jeśli jednak będziesz zakłócać porządek, Najstarszy każe mi zabrać cię na to piętro, a ja wbiję ci w żyły igły tych kroplówek. Z początku będziesz czuć ciepło, ulgę i radość.

Odwrócił się do Steeli, więc podążyłam za jego wzrokiem. Na pomarszczonych ustach staruszki igrał niewyraźny uśmiezek.

- Kiedy fidus uspokoi twój umysł, uspokoi się także twoje ciało. Mięśnie zwiotczą i będziesz się czuć bardziej odprężona niż kiedykolwiek wcześniej.

Steela zapadła się w poduszki. Kąciki jej ust opadły, ale nie z powodu smutku - po prostu mięśnie twarzy odmawiały jej posłuszeństwa.

- Wyciszysz się do tego stopnia, że twojemu sercu przestanie zależeć na biciu, a płucom na oddychaniu.

Obserwowałam Steelę uważnie, wodząc wzrokiem po jej ciele. Wyobraziłam sobie, że pierś staruszki unosi się i opada, że słyszę prawie bezgłośny rytm uderzeń jej serca.

Ale to były tylko pobożne życzenia.

Ręka mi się trzęsła, gdy zamykałam wpatrzona tępo w przestrzeń oczy Steeli.

- To miłosierna śmierć - kontynuował Doktorek - ale mimo wszystko śmierć. Jeśli Najstarszy uzna, że jesteś bezużyteczna - albo, co gorsza, szkodliwa - czeka cię taki sam los.

66

STARSZY

Usłyszałem przez drzwi jej szloch. Przeciągnąłem kciukiem po skanerze biometrycznym i drzwi otworzyły się w tej samej chwili, w której dotarło do mnie, co właśnie zrobiłem - wszedłem do jej pokoju bez pozwolenia. Ale teraz to bez znaczenia - liczył się tylko fakt, że Amy leżała na łóżku, a jej ciałem wstrząsał konwulsyjny płacz.

- Co się stało? - spytałem, podbiegając do niej.

Podniosła na mnie wzrok; para zielonych oczu przypominała stopione nefryty. Z jej gardła wyrwał się żaloszny szloch. Rzuciła się na mnie i objęła w pasie, wtulając twarz w mój brzuch. Czulem przez tunikę ciepłą wilgoć jej łez.

Przez chwilę stałem w bezruchu. Amy trzymała się mnie kurczowo, a ja nie wiedziałem, co zrobić z rękami. Aż w końcu tylko cicho łkała, a ja odruchowo chwyciłem ją i

przycisnąłem do siebie, stanowiąc siłę, której potrzebowała, by wstać.

Najstarszy uważał, że władza jest kontrolą, że najlepszy przywódca to człowiek, który wymusza posłuszeństwo. A teraz, kiedy trzymałem Amy tak blisko, wreszcie dotarła do mnie prosta prawda - władza nie jest kontrolą; jest siłą i możliwością dzielenia się tą siłą z innymi. Nie jest przywódcą ten, kto zmusza ludzi, by czynili go silniejszym, lecz ten, kto z chęcią odda część własnej siły, aby ci ludzie mogli stanąć na własnych nogach.

To właśnie tej wiedzy brakowało mi od chwili, gdy zrozumiałem, że urodziłem się, by zostać przywódcą „Błogosławionego”. Rola przywódcy statku nie ma nic wspólnego z udowadnianiem, że jest się od kogoś lepszym, z rozkazywaniem, narzucaniem swojej woli i manipulowaniem. Najstarszy nie był przywódcą - był tyranem.

Przywódca nie tworzy pionków - tworzy ludzi.

Amy oderwała się ode mnie i popatrzyła mi w oczy. Na jej bladej skórze pojawiły się ciemne rumieńce, oczy miała przekrwione i podkrążone, a z nosa ciekła strużka śluzu. Wytarła twarz ręką, rozmazując łzy i smarki po policzkach.

Ale dla mnie nigdy nie była piękniejsza.

- Co się stało? - spytałem ponownie, siadając obok niej na łóżku. Amy podkuliła nogi i oparła głowę na mojej piersi. Natychmiast zapomniałem o fidusie, Najstarszym i wszystkich problemach tego gzyfowego statku, bo ogarnęła mnie nagle, pierwotna potrzeba popchnięcia jej na łóżko i całowania z niej wszystkich problemów.

- Już wiem, co się dzieje za tymi pozamykanymi drzwiami na trzecim piętrze Szpitala - wyjaśniła Amy, łkając. - To po prostu okropne.

Opowiedziała mi o wszystkim, a gdy doszła do tematu fidusa, ja też zrelacjonowałem jej, czego dowiedziałem się od Najstarszego.

- Właśnie tak się wtedy czułam - przyznała Amy. - Kiedy byłam taka otępiała i oszołomiona. To przez ten lek. Ten sam, który... - zachłysnęła się powietrzem - który podali Steeli.

Pokiwałem głową.

Amy złapała mnie za rękę i ścisnęła tak mocno, jak wcześniej musiała ścisnąć rękę Steeli.

- Starszy, musimy coś zrobić. Przecież tak nie można. To nie fair, to są ludzie, nawet jeśli Najstarszy i lekarz uważają inaczej. Ten środek jest zły. Nikogo nie wolno w taki sposób kontrolować.

- Patrzyła gdzieś w przestrzeń, a ja wiedziałem, że już jej ze mną nie ma - myślami wróciła na trzecie piętro. - Ten środek sprawia, że ludzie stają się posłuszni. Najstarszy i

Doktorek próbują w ten sposób kontrolować cały statek.

Część mnie, bardzo mała część mnie, którą schowałem tak głęboko, żeby Amy nigdy jej nie zobaczyła, pomyślała, że nie wszystkie decyzje Najstarszego i Doktorka są złe. W końcu ich metody działały. „Błogosławiony” przemierzał bezpiecznie kosmos od dziesięcioleci.

Ale wtedy przed oczami stanęło mi wspomnienie martwego wzroku Amy, gdy była odurzona fidusem, i razem z dotykiem jej dłoni ten widok pozwolił mi zepchnąć wątpliwości jeszcze głębiej.

- A poza tym... O nie! - Z oczu Amy pociekły kolejne strumienie łez. - Właśnie sobie przypomniałam! Moi rodzice ciągle są na poziomie kriogenicznym! Przez cały dzień ani razu tam nie schodziłam! A jeśli coś się stało?

Poderwała się, jakby chciała wstać, ale szybko chwyciłem ją za rękę. Z delikatnym szarpnięciem opadła z powrotem na łóżko.

- Jak mogłam o nich zapomnieć?! - zapłakała.

Położyłem jej dłonie na policzkach i uniosłem jej głowę. Spojrzała mi w twarz.

- Spokojnie - powiedziałem najbardziej opanowanym tonem, na jaki mogłem się zdobyć. - Harley był cały czas na dole, nie musisz się o to martwić. Zastąpię go i będę czuwać w nocy.

Amy wpatrywała się we mnie załzawionymi, rozbieganymi oczami.

- Jestem bezużyteczna - jęknęła. - Jedyne, co potrafię, to chować się i beczeć jak mała dziewczynka. Spójrz na mnie! - Patrzyłem, ale chyba nie widziałem jej w taki sposób, w jaki ona postrzegała teraz siebie. - To wszystko jest bez sensu! Nie uratuję rodziców, nawet nie wiem, kto zabija zamrożonych, a ten statek, to jest najgorsze - utknęłam na nim do końca życia, otoczona przez odurzonych ludzi, którzy w końcu trafiają na trzecie piętro, gdzie umierają i zamienia się ich w nawóz!

Zauważyłem, że znów coś w niej pękło - zupełnie jak ta szklana pokrywa, którą Doktorek zrzucił z komory kriogenicznej Amy tej nocy, gdy się obudziła. Przez moment miałem wrażenie, że wszystkie części jej ciała są luźne, niepołączone. Zaraz potem, poczynając od oczu i drżących ust, zaczęły rozsypywać się na kawałeczki. Przycisnęła dłonie do skroni, a palce wsunęła we włosy. Uderzała się niezbyt mocno po głowie, próbując zmusić się do myślenia, szarpała za kosmyki włosów, najwyraźniej zupełnie nieświadoma bólu, który sprawiała sobie sama. Ująłem ją za ręce, delikatnie wyplątałem włosy spomiędzy palców i położyłem jej dłonie na kolanach.

- Coś wymyślimy - próbowałem ją pocieszyć, pochylając głowę, żeby uchwycić jej

spojrzenie. - Nie poddawaj się. Nie jesteś bezużyteczna.

Zerknąłem na ścianę na drugim końcu pokoju i na wielką czarną listę, którą zapoczątkowała Amy.

- Wymyślisz coś, rozwiązesz tę zagadkę. Rób dalej to, co robiłaś. Spróbuj odnaleźć coś, co ich łączy. - Sięgnąłem do biurka, by podać Amy pędzel i pojemniczek z czarną farbą. - Uda ci się.

Amy odwróciła się do pomazanej ściany i na chwilę skupiła na niej uwagę. Zaraz potem jednak rysy jej twarzy wykrzywił grymas frustracji i zniechęcenia. W pośpiechu, żeby znów nie pękła, zerwałem się z łóżka i podszedłem do listy. Chciałem zająć czymś jej myśli.

- Nie przestawaj nad tym pracować... - Urwałem. - Zastanów się, co może łączyć wszystkie te osoby - dodałem, wskazując po kolei na wszystkich oprócz niej samej. - Pamiętaj - ty się obudziłaś, ale przeżyłaś. Może wcale nie miałaś zostać odłączona. Może to był tylko wypadek. Właściwie tylko ty nie pasujesz do tej listy. Zastanów się, co może łączyć ich wszystkich po skreśleniu ciebie.

Amy wpatrywała się jeszcze przez chwilę w ścianę, po czym powoli przytaknęła.

Wahałem się, ale w końcu pocałowałem ją w czubek głowy. Podniosła wzrok, a ja miałem wrażenie, że serce chce wyrwać mi się z piersi. Choć na jej twarzy wciąż widać było resztki zwątpienia, zacząłem patrzeć w naszą wspólną przyszłość z nadzieją.

- Zjadę na dół i popilnuję twoich rodziców. Ty musisz odpocząć.

- Dotknąłem jej policzka, a ona wtuliła twarz w moją dłoń. - Będzie dobrze - powiedziałem z nadzieją, że mi uwierzy.

Z nadzieją, że sam uwierzę.

67

AMY

Moje palce były poplamione czarną farbą. Przyjrzałam się liście podejrzanych, ale niewiele miałam przy niej roboty. Za morderstwami musiał stać sam Najstarszy lub Najstarszy razem z Doktorciem.

Ale dlaczego? Jeśli uda mi się znaleźć motyw, będę wiedziała, co dalej.

Gapiałam się na ścianę tak długo, że słowa i linie zaczęły się zlewać w czarną plamę. Dopisałam wszystkie informacje o ofiarach, nawet te, które wydawały się pozbawione znaczenia. Na pewno nie było w tym przypadku. Najstarszy i Doktor nie działali przypadkowo.

Zasnęłam z mokrym pędzlem w dłoni.

STARSZY

Na poziomie kriogenicznym panowała cisza; głęboka, przenikliwa cisza. Poczulem się przez to jak intruz na terenie prywatnym.

- Harley? - zawołałem. Gdzie on się podział? Przecież miał trzymać straż przy komorach, chronić zamrożonych.

Żadnej odpowiedzi.

Wszedłem spokojnie między komory, ale już po chwili zacząłem truchtać, a docierając do rzędu z siedemdziesiątkami, gnałem ile sił w nogach, nawołując Harleya. Moje przerażenie wzmagał ciężar rodzący się gdzieś w żołądku. Z każdym głośnym krokiem zadawałem sobie to samo pytanie: a jeśli morderca znów zaczął budzić zamrożonych?

Skręciłem za róg, prawie pewien, że znajdę ciało Harleya na podłodze, kałużę krwi i mordercę uciekającego z miejsca zbrodni.

Przejsie było puste.

Ale ze mnie dureń, pewnie znów stoi przy słuzie. Serce waliło mi jak młotem. Ścierając pot z czoła, zahaczyłem palcem o guzik wikomu. Wcisnąłem go pospiesznie.

- Komlink: Harley - udało mi się wydyszeć, gdy zmierzałem w stronę śluzy.

Biiip, biiipbiiip. Serce nie zwalniało swojego rytmu. Jeśli nie odpowie, wrócę do komór, znajdę jakiś plastplej i zlokalizuję go na...

- Czego? - odezwał się ponuro i niecierpliwie Harley.

- Gdzie jesteś?! - krzyknąłem.

- Na poziomie kriogenicznym.

- Też tu jestem. Gdzie dokładnie?

- Przy śluzie.*

Z ulgą wypuściłem powietrze z płuc. No jasne. No jasne, że przy śluzie. Czułem się jak ostatni dureń, myśląc o swoim wybuchu paniki, ale jednocześnie gotowałem się ze złości. Skręciłem w korytarz i proszę, już go widziałem - przyciskał nos do okienka ze szkła bąbelkowego.

- Co tutaj robisz?! - krzyknąłem. - Dlaczego nie pilnujesz zamrożonych?

- Zostawiliście mnie tutaj na cały dzień! - warknął Harley. - Cholera, po prostu się nudziłem, okej?

- Tam są rodzice Amy i wszyscy ci bezbronni ludzie! Prosiłem tylko, żebyś miał ich na oku, ale zdaje się, że za dużo od ciebie wymagam.

Harley przymknął powieki.

- Nie bądź już taki hucpiarz - odparł. - To, że kiedyś zostaniesz Najstarszym, nie daje ci jeszcze prawa do rozstawiania wszystkich po kątach.

- Nawet nie zaczynaj. Jak długo ich pilnowałeś, zanim w końcu postanowiłeś pooglądać sobie gwiazdy? A może przyszedłeś tu od razu? Sprawdziłeś chociaż, czy któryś z nich się nie topi, zanim odwróciłeś się do nich plecami? Jeśli mnie pamięć nie myli, to na twojej zmianie zmarł ostatni zamrożony!

Harley podbiegł do mnie, złapał mnie obiema rękami za kołnierz koszuli i pchnął na ścianę naprzeciwko wjazdu.

- Jak długo je przede mną ukrywałeś? Kiedy Najstarszy ci je pokazał?

- Co, gwiazdy?

- Gwiazdy, gwiazdy, oczywiście, że gzyfowe gwiazdy!

- Pierwszy raz zobaczyłem je kilka dni temu.

- Kłamiesz! - Harley napierał na mnie coraz mocniej. Wykręciłem się, próbując walczyć, ale chociaż drapałem go paznokciami po rękach, on nie zwalniał chwytu. - Ty i Najstarszy zawsze jesteście tak blisko...

- Jakbym miał wybór!

- Gdyby zobaczyła gwiazdy, to może by nie umarła! - wykrzyczał mi prosto w twarz. Jego rysy były wykrzywione gniewem, a w oczach lśniły łzy.

- O czym ty... Ale kto? Kto by nie umarł? - Wciąż nie rozumiałem, co się dzieje.

- Kayleigh - burknął Harley w przypiływie rozżalenia. Puścił mnie, a ja osunąłem się o kilka cali na chłodnej metalowej ścianie.

- Kayleigh. Może by się nie poddała, gdyby zobaczyła gwiazdy.

Cofnął się w stronę śluzy. Położył dłonie na włączniku i znów przycisnął twarz do okienka.

- Tak nie może być, tak nie może być... - wymamrotał.

- Co nie może być? - wreszcie udało mi się opanować głos. Przypomniałem sobie, jak poprzednim razem Doktor zamknął Harleya na kilka tygodni, podejrzewając, że będzie próbował odebrać sobie życie, by dołączyć do Kayleigh. Pielęgniarki bardzo wtedy pilnowały, by przyjmował wszystkie leki, a Doktor podawał mu dodatkowe tabletki.

- Harley, może chcesz wrócić na górę? Ja spędzę tu noc. Wracaj do swojego pokoju, odpocznij.

- Chcesz je mieć wyłącznie dla siebie, co? - warknął.

- Słucham? Nie!

Zmarkotniał.

- Wiem, wiem. Jesteś moim przyjacielem. Wiem. - Odwrócił się do włazu. - Ale to i tak nie ma sensu. Żadnego gzyfowego sensu.

- Co nie ma sensu?

- Nieważne, jak długo będę im się przyglądać, i tak nigdy nie wylądujemy. Zgadza się, Starszy? Nigdy nie zejdziemy z pokładu tego gzyfowego statku, już zawsze będziemy żyć i umierać w metalowej klatce. Siedemdziesiąt cztery lata i dwieście sześćdziesiąt trzy dni... Za długo, o wiele za długo. Już nigdy nie będę bliżej świata na zewnątrz.

Chciałem mu powiedzieć, że się myli, ale musiałbym skłamać. Wreszcie zacząłem rozumieć - och, jak dobrze rozumieć! - dlaczego Najstarszy kłamał i dlaczego tak bardzo mu zależało, aby ludzie wychowywali dzieci w nadziei, że chociaż one wylądują na nowej planecie. Jeśli i tego nam zabranie, jaki będzie cel naszego życia? Czy to naprawdę ma znaczenie, że trzyma nas przy życiu kłamstwo? Utrata nadziei zmieniła Harleya w pustą skorupę.

Harley opadł na podłogę. Obok niego leżało płótno, ale było zasłonięte muślinem, a ja nie miałem serca pytać, co malował. Zostawiłem go ze świadomością, że nigdy nie będzie bliżej wolności.

Nie chciałem być tym, który zabierze mu gwiazdy.

Wróciwszy do komór, zrzuciłem na stertę parę fartuchów laboratoryjnych i jakiś zbłąkany koc, tworząc coś w rodzaju legowiska przed wejściem do dużego pomieszczenia. Wiedziałem, że nie wytrzymam już długo bez snu, ale miałem nadzieję, że sama moja obecność wystarczy, by spłoszyć mordercę, a jeśli nie, to może przynajmniej obudzi mnie szum windy. Czuję się zmęczony - tak okropnie zmęczony! - a ciężar statku, gwiazd, beznadziei, fidusa, Amy oraz Harleya spadł na mnie w jednej chwili i zupełnie mnie przytłoczył.

Obudził mnie zapach farby.

Harley, pomyślałem.

Zacząłem się szarpać z fartuchami, na których leżałem. Ich rękawy ściągały mnie w dół, ale w końcu udało mi się z nich wyplątać.

- Harley? - zawołałem, oddychając głęboko.

Odwróciłem się w stronę komór kriogenicznych.

W pierwszej chwili byłem przekonany, że widzę krew, ale z bliska dostrzegłem, że to tylko czerwona farba - gęsta, jeszcze nie całkiem zaschnięta. Na drzwiczkach komór - ale nie wszystkich - widniały wielkie, ociekające farbą krzyże. Dotknąłem najbliższego, na numerze

pięćdziesiąt cztery, i zostawiłem na nim wyraźny odcisk palca. Spoglądając w głąb rzędu, naliczyłem jeszcze pięć oznaczonych komór. W następnym były tylko trzy, lecz w kolejnym aż dwanaście.

Natychmiast doszedłem do wniosku, że to robota mordercy - że w ten sposób oznaczył następne ofiary.

Zaraz potem pokręciłem jednak głową. Czy morderca mógłby tu wejść, gdy spałem obok windy? Raczej nie. W takim razie to musiał być Harley.

Ale tak na wszelki wypadek...

Zajrzałem do każdego przejścia, chcąc sprawdzić, czy oprócz mnie na pewno nikogo tu nie było. Przeliczyłem oznakowane drzwiczki - w sumie trzydzieści osiem, ale przy żadnych nie znalazłem wskazówki, kto mógł je pomalować.

Wyobraziłem sobie mordercę bezszelestnie oznaczającego drzwiczki ofiar, gdy spałem. Znów potrząsnąłem głową. Farba równa się Harley. Chciał się zemścić za naszą kłótnię poprzedniego wieczoru; próbował mnie nastraszyć albo po prostu przyszedł mu do głowy jakiś durny pomysł.

Harley, to musiał być Harley.

Na pewno nie pozwoliłem mordercy prześlizgnąć się obok mnie. Na pewno.

- Harley? - zawołałem.

Cisza.

Skręciłem w korytarz prowadzący do służy i od razu zobaczyłem, że coś jest nie w porządku. Przykryte muślinem płótno zniknęło. Przez krótką, ale przerażającą chwilę miałem wrażenie, że patrzę na miejsce zbrodni - że rozmazana po ścianach i podłodze czerwona ciecz to krew, ale w końcu się opamiętałem. Gdyby to było miejsce zbrodni, leżałoby tu ciało Harleya.

Panel kontrolny wjazdu był zniszczony.

Ktoś wyrwał klawiaturę, z elektroniki zamkniętego wjazdu wystawały cienkie kable.

Po drugiej stronie stał Harley. Trzymał klawiaturę w dłoni, wstukując kod.

Załamotałem pięścią w okienko.

- Mogę być jeszcze bliżej - usłyszałem, jak mówi Harley.

- Nie rób tego! - krzyknąłem.

Odwrócił się w stronę wylotu służy. Potwierdził kod i zewnętrzny wjazd się otworzył, a próżnia wyssała Harleya na zewnątrz.

Spojrzał na mnie przez ramię. Pożegnał mnie uśmiechem i odwrócił się do gwiazd.

A zaraz potem już go nie było.

Właz zatrzasnął się, pozostawiając po sobie pustkę.

Harley odszedł.

69

AMY

Obudziłam się z pędzlem przyklejonym do twarzy. Harley uśmiełby się do łez, gdyby mnie teraz zobaczył, i nazwałby mnie swoją Malowaną Rybką.

Przy drzwiach migotała kwadratowa czerwona lampka. Przycisk niewielkiej wnęki obok tej, którą można zamawiać jedzenie. Gdy go nacisnęłam, miniaturowe drzwiczki otworzyły się i ze środka wypadła niebieskobiała tabletka. A więc o to chodzi.

Tędy rozsyłają do pacjentów stopery. Leki, dzięki którym jeszcze nie zwariowałam.

Wpatrywałam się z obrzydzeniem w kolorową tabletkę. Przykleiła mi się do gardła, gdy próbowałam ją przełknąć. Piekła, spływając przełykiem, a gdy dotarła do żołądka, wypełniło mnie uczucie wstrętu. Zrobiło mi się niedobrze. Wcisnęłam guzik wnęki z jedzeniem i po chwili pojawiło się w niej ciasto wypełnione czymś, co wyglądało prawie jak jajko i ociekało czymś, co wyglądało prawie jak ser. Miałam dość po pierwszym kęsie. Nie chciałam namiastek, chciałam czegoś prawdziwego.

Podeszłam do ściany. Pamiętając o radzie Starszego, zignorowałam listę wskazówek wymalowanych pod moim imieniem. I tak w żaden sposób nie potrafdabym powiązać siebie z morderstwami.

A gdy moje imię zniknęło, jedno słowo wybijało się na tle pozostałych tak wyraźnie, jakby było namalowane innym kolorem.

Wojsko.

Każda z ofiar - nawet kobieta, która przeżyła - pracowała dla wojska. Taktyk, akcje ofensywne, broń biologiczna - wszyscy ci ludzie byli potrzebni, ponieważ potrafili zabijać, a teraz sami stali się celem ataków.

Ale dlaczego ja? Dlaczego zostałam odłączona? Ja nie miałam z nimi nic wspólnego.

Przypomniałam sobie słowa Starszego: „Może wcale nie miałaś zostać odłączona. Może to był tylko wypadek”.

Wypadek...

A jeśli morderca próbował zabić kogoś innego?

Kogoś, kto również jest w jakiś sposób powiązany z wojskiem.

Jak tato.

Podskoczyłam i popędziłam do drzwi. Serce waliło mi jak szalone. Jeżeli założyć, że

celem mordercy był tato, a nie ja, to nagle wszystko miało sens. Zabijał ludzi z doświadczeniem w walce.

Drzwi otworzyły się i wpadłam na Oriona.

Chciałam wymamrotać przeprosiny i ominąć go, by jak najszybciej dostać się na poziom kriogeniczny i opowiedzieć Starszemu o moich odkryciach, ale Orion z siłą imadła złapał mnie za rękę.

- Puść - rzuciłam niecierpliwie. Zacisnął dłoń w tym samym miejscu, w którym trzymali mnie żywicieli, zanim Harley przybiegł mi z pomocą. Jego palce wpijały się boleśnie w siniaki.

- Harley to namalował - oznajmił ściszym głosem Orion. Przestałam się wrywać, dostrzegłszy zakryty muślinem obraz, który trzymał w drugiej ręce. - Powiedział mi, żebym ci to dał, kiedy przyniosłem mu kawałek drutu.

- Co to takiego? - spytałam z ciekawością.

- Obraz. Dla ciebie.

Puścił mnie i wepchnął mi płótno w rękę. Patrzyłam na nie, a on zniknął w ciemnościach.

Wróciwszy do pokoju, ustawiłam płótno na biurku i ściągnęłam z niego muślin, który przylepił się do wilgotnej farby. To był chyba najpiękniejszy obraz, jaki kiedykolwiek widziałam. Autoportret Harleya, unoszącego się w centralnym kadrze w otoczeniu nieba i gwiazd. Ze skierowanej lekko ku górze twarzy bila szalona radość. Rozłożył szeroko ręce i nogi, jakby chciał pochwycić mnie w ramiona i przytulić. Między gwiazdami obok jego stóp pływał malutki karp koi.

Wyciągnęłam drżącą dłoń w stronę Harleya, ale szybko ją cofnęłam. Farba jeszcze nie wyschła. W wyrazie jego twarzy dostrzegłam jednak coś, co wcześniej widziałam tylko raz - wtedy, gdy opowiadał mi o Kayleigh.

I raptem gdzieś spod farby przebiła się wiadomość; już wiedziałam, co chciał przekazać, dając mi ten obraz.

Chciał się pożegnać.

Kiedy chwilę później do mojego pokoju wpadł Starszy, żeby opowiedzieć mi o jego śmierci, nie byłam zaskoczona.

70

STARSZY

W Amy było coś jeszcze oprócz łez i rozpacz. Przytakiwała tępo, jakby już

wiedziała, co się stało. Posmutniała, ale nie rozpadała się na kawałki tak jak poprzedniej nocy. Cofnęła się, żeby wpuścić mnie do środka.

I wtedy to zobaczyłem.

- Harley - szepnąłem. Ręce zaczęły mi drżeć.

- Orion mi to dał - wyjaśniła Amy. - Harley... On chyba zrobił to wcześniej...

Amy nawet się nie domyślała, jak prawdziwy był ten obraz. Kiedy śluza się otworzyła, pęd przykleił Harleyowi włosy do głowy, a na jego twarzy było więcej zaskoczenia i, niestety, bólu. Mimo to jednak na sekundę przed tym, jak właz się zamknął, statek obojętnie minął Harleya, kosmos zaś pochłonął jego ciało, wyglądał właśnie tak - była z niego właśnie taka radość.

- Możesz go wziąć - odezwała się Amy. - Byliście sobie bliżsi. Sama nie wiem, dlaczego dał go akurat mnie.

Zauważyłem małą rybkę pływającą obok stóp Harleya.

Amy zawsze myślała, że Harley nazywał ją Rybką z powodu jej włosów, czerwonych jak karp koi, którego malował w dniu, gdy się poznali. Nigdy jednak nie wyjaśnił jej, dlaczego malował karpie i obwieszał nimi swoją kwaterę. A robił to, ponieważ te rybki były ulubionymi zwierzątkami Kayleigh.

- Chciał, żebyś to ty go zatrzymała - stwierdziłem. - Przypominałaś mu pewną osobę.

Przez chwilę milczeliśmy, chłonąc piękno obrazu i rozmyślając o decyzji Harleya, o tym, jak nas zostawił. Odszedł w pojedynkę, ale wciąż dumnie wyprostowany, gdy odlatywał.

- Wreszcie znalazłam rozwiązanie - oznajmiła nagle Amy, wskazując na ścianę i sprowadzając mnie z powrotem na ziemię.

- Już wiem, co ich łączy. Doświadczenie w walce. Morderca zabija wyłącznie ludzi, którzy są powiązani z wojskiem.

Przyjrzałem się liście.

- Ojciec pracował w wojsku. Pomyślałam, że zabójca odłączył mnie przez przypadek.

- Głos jej drżał, a ja zastanawiałem się, czy z powodu ojca, Harleya, czy może ich obu.

- Kiedy się obudziłem - powiedziałem - zauważyłem, że ktoś oznaczył farbą dziesiątki komór kriogenicznych. Z początku myślałem, że to Harley, ale... Może to morderca wskazuje na kolejne ofiary.

- A komora mojego taty? Była oznaczona? - spytała niespokojnie Amy.

- Nie... nie pamiętam. - Nie szukałem wtedy komory jej ojca, szukałem Harleya.

- Musimy to sprawdzić! - Amy pobiegła do drzwi.

Złapałem leżący na biurku plastylej i popędziłem za nią. Na korytarzu zeskanowałem

odcisk kciuka, a następnie wstukałem kod dostępu. W chwili, gdy otwierały się drzwi windy, komputer poinformował mnie o przyznaniu dostępu. Kabina ruszyła w górę, a ja włączyłem mapę lokalizacyjną wikomów.

- Co robisz? - spytała Amy, wpatrzona w wyświetlacz nad drzwiami.

Cofnąłem wskaźnik czasu do poprzedniej nocy, szukając punkcików oznaczających poszczególne osoby.

Na poziomie kriogenicznym migotał delikatnym światłem punkcik Harleya - głównie przy śluzie, choć od czasu do czasu przesuwał się wzdłuż korytarza i raz okrążył salę z komorami. Oprócz niego na poziomie kriogenicznym nikogo nie było, aż w końcu pojawiłem się ja. Biegałem między rzędami komór, a po chwili mój punkcik zlał się ze znacznikiem Harleya obok śluzy. Przypomniałem sobie naszą kłótnię. Ostatnią kłótnię...

Amy patrzyła mi przez ramię na wyświetlacz. Mój punkcik oddalił się od Harleya i zamigotał obok windy, tuż przed pomieszczeniem z komorami. Harley nie ruszał się spod śluzy. Ciekawe, co robił podczas swoich ostatnich chwil. Malował? Planował?

Przewinałem dalej. Wczesnym rankiem pojawiły się punkciki Doktorka i Najstarszego, ale nawet nie zwolniły przy komorach, przesuając się prosto do laboratorium po drugiej stronie poziomu kriogenicznego. Zmieszany, spojrzałem na Amy.

- Zasnąłem - wymamrotałem niewyraźnie. Ciekawe, czy Doktorek i Najstarszy mnie zauważyli.

Amy pokręciła głową.

- Ale w takim razie to nie byli oni, zgadza się? W ogóle nie zbliżali się do komór.

Patrzyliśmy na mapę wikomów. Mój punkcik krążył szybko między kolejnymi rzędami komór - właśnie znalazłem krzyżyki namalowane czerwoną farbą.

A teraz przesuwał się w stronę śluzy.

Byłem ja, obok Harley.

Punczik Harleya nagle zniknął.

Po prostu ześlizgnął się poza krawędź mapy i już na nią nie powrócił. Z trudem przełknąłem ślinę, a oczy zaszyły mi łzami. Amy wciągnęła gwałtownie powietrze i na długą chwilę wstrzymała oddech, aż w końcu usłyszałem stłumione „och”.

- Nikt inny nie schodził na dół - odezwałem się, kiedy winda stanęła na trzecim piętrze - więc to musiał być Harley.

- Ale po twoim przybyciu Harley ani razu nie oddalał się od śluzy.

Popatrzyliśmy po sobie. Harley nie mógł namalować znaczników na komorach.

- To urządzenie - Amy wskazała na plastplej - śledzi wyłącznie osoby, które mają

wszczepione za ucho te przyciski, zgadza się?

Przytaknąłem.

- Więc mnie by nie widziało?

- Nie widziałyby.

- A Orion? To on przyniósł mi obraz Harleya. Musiał tutaj zejść, ale to by oznaczało, że nie ma swojego wszczepu. Nosi długie włosy - zakrywa nimi bliznę na szyi, która ciągnie się aż do głowy. Mogę się założyć, że on nie ma przycisku. Ze jest niewidzialny - stwierdziła Amy.

I chyba miała rację.

71

AMY

Drzwi na końcu korytarza były zamknięte.

- I c... co my teraz... - wyjąkałam. - Co teraz zrobimy?

Starszy wyważył je kopniakiem.

Przeciągnął kciukiem po skanerze, uderzył pięścią w przycisk i już po chwili zjeżdżaliśmy boleśnie powoli na dół.

Pocierałam mały palec, aż zaczął mnie boleć. Myślałam o wszystkich obietnicach, które złożyłam tacie.

- Co robisz? - spytałam Starszego, gdy winda mijała parter.

- Sprawdzam logi skanerów biometrycznych - odparł, stukając palcem w wyświetlacz plastpleja. - Harley zjechał na dół wczoraj w południe, ja po wygaszeniu lampy solarnej. Dziś rano pojawili się tu Doktorek i Najstarszy. Wygląda na to, że jeszcze nie wrócili z laboratorium. Ale spójrz, w skanerze windy nie ma wpisu z odciskiem palca Oriona - pokazuje za to drugi raz Najstarszego, chociaż Najstarszy był wtedy w laboratorium.

Starszy podał mi plastplej. To prawda - Najstarszy/Starszy zeskanował swój kciuk w tej samej chwili co Doktorek, ale kwadrans później na skanerze pojawił się ten sam odcisk.

- Orion musiał wymyślić jakiś sposób na oszukanie skanera - powiedziałam. Do cholery, czy ta winda naprawdę nie mogła jechać szybciej?!

- To niemożliwe - wymamrotał Starszy, wsuwając plastplej do kieszeni. - Skaner biometryczny sprawdza twoje DNA, nie da się go oszukać.

Drzwi otworzyły się i w jednej chwili uderzył w nas podmuch zimna.

Na blatach wyciągniętych z komór leżały dziesiątki zamrożonych. Skraplająca się para zamgliła już szklane trumny, zasłaniając znajdujące się w środku ciała. Na wszystkich

otwartych drzwiczkach widniały świeżo wymalowane krzyżyki. A zatem Starszy miał rację: morderca oznaczał kolejne ofiary, szykując się do ostatniego, okrutnego ataku, aby pozbawić życia wszystkich ludzi, którzy służyli w armii.

W głowie miałam tylko jedną myśl.

- Tato! - krzyknęłam, przeciskając się obok Starszego. Popędziłam do komór kriogenicznych, wpadłam w rząd z czterdziestkami i od razu dostrzegłam zamrożone ciało mojego taty. Starłam wilgoć ze szklanej ścianki i przez chwilę przyglądałam się jego twarzy.

Trzymałam za zimną pokrywę pojemnika. W moich żyłach krążyło teraz tyle adrenaliny, że byłabym w stanie podnieść wieko i rzucić je na betonową podłogę. Chciałam to zrobić. Chciałam obudzić tatę i uwolnić go spod lodu, chciałam, żeby mnie przytulił i ogrzał swoim ciepłem.

Naprawdę tego chciałam.

Rzuciłam okiem na pudełko z elektroniką nad jego zamrożoną głową. Tym razem świeciła się zielona, a nie czerwona dioda. Orion wyciągnął blaty z komorami na zewnątrz, ale nie odłączył ich od zasilania, tak jak w moim przypadku.

Słyszałam dolatujące ze wszystkich stron dudnienie i łomot. To Starszy biegał między rzędami komór, wsuwając zamrożonych z powrotem do wnek i zatrząskując za nimi drzwiczki. Wepchnęłam blat z tatą na miejsce i zamknęłam go w mroku. Czerwony krzyżyk drwił ze mnie, gdy przekręcałam uchwyt. Jeszcze raz spojrzałam na drzwiczki z numerem czterdzieści jeden, po czym pobiegłam w głąb przejścia.

Już niebawem wszystkie drzwiczki były pozamykane, a zamrozeni bezpieczni w swych komorach.

Oriona nigdzie nie było widać.

- Dlaczego to zrobił? - spytałam, dysząc z wysiłku.

Spomiędzy warg Starszego wydobywała się niewyraźna mgielka.

- Wszedłem mu w drogę - odparł. Połączył w głowie fakty i na bieżąco wypowiadał na głos wnioski. - Gdyby zaczął otwierać wszystkie drzwiczki, kiedy wciąż tu byłem... narobiłby mnóstwo hałasu i na pewno by mnie obudził. Więc tylko je pozaznaczał... Wiedział, że od razu pobiegnę do ciebie, a on będzie mieć mnóstwo czasu, żeby powyciągać pojemniki...

- Ale po co? Po co się tak wysilać? Na pewno się domyślał, że od razu tutaj zbiegniemy, żeby sprawdzić, co się dzieje. Zresztą nikogo nawet nie odłączył, po prostu wyciągnął komory na zewnątrz.

Starszy zastanawiał się nad czymś.

- Jakby nas sprawdzał - stwierdził w końcu.

- Co masz na myśli?
 - Pokazuje nam swój plan i patrzy, jak zareagujemy. Pozwolimy im odtajać czy pozamykamy ich z powrotem w środku?
 - Przecież nie pozwoliłabym, żeby mój tato się roztopił!
- Starszy patrzył na mnie.
- Ten sprawdzian raczej nie był przeznaczony dla ciebie.

72

STARSZY

- Ciii! - syknąłem. - Słyszysz to?
 - To, czyli co? - wyszeptła Amy, ale ja machnąłem ręką, żeby ją uciszyć.
- Miałem wrażenie, że do moich uszu dolatuje niewyraźne wrrrrszastwrzrast, które przypominało odgłos pracy silnika, ale to przecież niemożliwe, bo znajdowaliśmy się dwa poziomy pod maszynownią.
- To chyba gdzieś w laboratorium.
- Ruszyliśmy przez poziom kriogeniczny. Amy zerkała nerwowo za siebie.
- Zostawię drzwi otwarte - uspokoiłem ją, widząc, że martwi się o ojca.
 - Co to za miejsce? - spytała szeptem, gdy weszliśmy do laboratorium. Warkot był coraz głośniejszy i ledwie ją słyszałem.
 - Drugie laboratorium - odpowiedziałem równie cicho. Panowała tu atmosfera tajemniczości, a poza tym wciąż pamiętałem, że Doktorek i Najstarszy są w pobliżu, o ile oczywiście lokalizator wikomów nie kłamał. Trzymaliśmy się blisko ściany.
 - Widziałam je już wcześniej. - Amy wskazała na ogromne strzykawki oznaczone nazwami cech, które Najstarszy zaszczepiał mieszkańcom statku.
 - Właśnie tym się tutaj zajmują.
 - Co to takiego? - Teraz wpatrywała się w jeden z wielkich bursztynowych cylindrów ciągnących się od podłogi aż po sufit, w których pływały pęcherzyki powietrza wypełnione żywą materią.
 - To wygląda prawie jak... - Przechyliła głowę. - Jak embriony?
- Spojrzałem na okruchy unoszące się w bursztynowym płynie, zaskoczony, że Amy tak szybko je rozpoznała. Widziałem kiedyś płód krowy, która poroniła, ale był znacznie większy, zakrwawiony i raczej nie przypominał małych baniek wielkości palca u nogi.
- Poprowadziłem Amy na tyły laboratorium, do schowanej za załomem ściany wielkiej pompy wodnej, którą Najstarszy pokazał mi, gdy byłem tu po raz pierwszy. To ona wydawała

głośny warkot przypominający hałas silnika. Trzęsła się i pojękiwała, podczas gdy jej mechanizmy wtłaczały fidusa i gwiazdy wiedzą co jeszcze do instalacji wodnej.

Przy pompie stał Najstarszy, trzymając wiaderko pełne przezroczystej lepkiej cieczy.

Po przeciwnej stronie krzątał się Doktorek.

Złapałem Amy za rękę i odskoczyłem za róg. Nie zauważyli nas

- jeszcze. Przyłożyłem palec do ust, a Amy kiwnęła głową na znak, że zrozumiała.

Pochyliłiśmy się i wyjrzeliliśmy zza zakrętu. Krzesło zasłaniało nam widok, ale jednocześnie zapewniało częściową osłonę.

- Przepraszam! - Doktorek przekrzykiwał warkot pompy.

- Nie trzeba było pozwalać jej patrzeć! - Potrząsając wiaderkiem, Najstarszy ruszył gniewnie w jego stronę. Doktorek przyglądał mu się niespokojnie.

- Myślałem, że będzie bardziej posłuszna, kiedy to zobaczy.

- Tylko fidus pomoże ci wymusić na niej posłuszeństwo. Dlaczego dałeś jej stopery?

Najstarszy postawił wiaderko na podłodze.

- Rozmawiają o mnie - szepnęła mi do ucha Amy.

Doktorek coś odpowiedział, ale był odwrócony do nas plecami i nie zrozumiałem.

- W takim razie pójdziemy po nią dzisiaj wieczorem i zabierzemy ją na trzecie piętro - stwierdził Najstarszy. Podniósł wiaderko i ruszył z nim do pompy.

- Myślę, że to nie jest... - zaczął Doktorek.

Najstarszy upuścił wiaderko. Przezroczysta ciecz zachlupotała w środku, ale była gęsta jak syrop i nie przelała się przez krawędzie.

- Wiesz co?! - krzyknął Najstarszy, podchodząc do Doktora. - Mam gdzieś, co sobie myślisz! Gdybyś posłuchał mnie za pierwszym razem, nie byłoby teraz problemu!

- Nie rozu...

- Och, rozumiesz, i to doskonale! Starszy! Pozwoliłeś mu przeżyć!

Amy złapała mnie za rękę. Wychylałem się coraz mocniej, sporo ryzykując, ale nie chciałem, żeby umknęło mi choć jedno słowo.

- Starszy jest w porządku - mruknął Doktorek.

- Nie ten Starszy. Poprzedni.

Doktorek patrzył na Najstarszego z beznamiętną, pozbawioną wyrazu twarzą, ale ja wiedziałem, że w środku tłumi gniew. Jego wargi lekko zbieleły, a mięśnie żuchwy się napięły.

Najstarszy nie dostrzegł jednak tych drobnych zmian.

- Starszy, który powinien w tej chwili pełnić moje obowiązki, żebym wreszcie mógł

odejść na zasłużony odpoczynek, zamiast marnować ostatnie dni życia na szkolenie nastolatka, który myśli hucpą, a nie głową!

- Powiedziałeś mi, żebym zabrał tamtego Starszego na trzecie piętro i zrobiłem to. -
Doktorek wyprostował się buntowniczo.

- Ale go nie zabiłeś, chociaż ci kazałem, co?

- Wydawało mi się, że fidus...

- A mnie się wydaje, że to ty powinienesz łyknąć sobie trochę więcej fidusa - warknął
Najstarszy. - Nawet teraz próbujesz go bronić? Może go gdzieś ukrywasz?

- Myślałem, że... - Doktorek przygarbił się i jakby zmałał. - Zniknął z lokalizatora
wikomów. Myślałem, że się zabił.

Najstarszy prychnął.

- Ale nigdy tego nie sprawdziłeś, a teraz sam widzisz, do czego to doprowadziło.
Zamrożeni giną, ta dziewczyna się przebudziła...

- On nie żyje. Przysięgam, że nie żyje - zapewnił go Doktorek.

Nie byłem pewien, czy Najstarszy wierzył mu, czy tylko chciał wierzyć. Odwrócił się
i podniósł wiaderko.

- Co to za urządzenie? - spytała szeptem Amy, wyciągając głowę w stronę pompy.

- Łączy się ze zbiornikami wody - odparłem krótko, analizując sytuację.

A ciecz w tym wiaderku to...

Fidus.

Wstałem. Amy próbowała mnie zatrzymać, ale odtrąciłem jej rękę. Nie mogłem dłużej
pozwalać, by Najstarszy faszerował ludzi środkami odurzającymi. Ani kropla fidusa więcej
nie dostanie się do wody. Musiałem zniszczyć pompę.

Chwyliłem krzesło, za którym kryliśmy się z Amy.

- A ty skąd się tu wzięłeś? - rzucił na mój widok Najstarszy, uśmiechając się drwiąco.

Uniosłem krzesło nad głowę.

- Co robisz? - Najstarszy podniósł głos.

Ręce mi się trzęsły. Oczami wyobraźni już widziałem przyszłość statku, na którym to
ja jestem przywódcą, a nie Najstarszy. I nie było w niej fidusa.

Ale czy naprawdę chciałem rządzić bez fidusa? Pomyślałem o bladych siniakach na
nadgarstkach Amy i o konfliktach, które widziałem w Izolatce, lecz zwielokrotnionych przez
populację całego statku. Właściwe pytanie brzmiało: czy potrafię rządzić bez fidusa?

Wtedy jednak przypomniałem sobie o pustych oczach Amy, gdy sama była odurzona.

Cisnąłem krzesłem w pompę. Uderzyło z brzękiem o metal, odbiło się i spadło na

podłogę. Miarowe wrrrszastwrrrszast nie umilkło.

- Co ty robisz?! - wrzasnął Najstarszy. - Oszalałeś! Zupełnie jak twój poprzednik!

- A co ty robisz?! - nie pozostałem mu dłużny. - To jest fidus, zgadza się? Od tego zaczynasz kolejny dzień manipulacji i sterowania umysłami?!

- Nie nadajesz się na Najstarszego! - krzyknął, odrzucając siwe włosy, i to raczej on wyglądał teraz na szaleńca. - Jeśli sam nie potrafisz tego robić, nie możesz kierować „Błogosławionym”! Nie jesteś wystarczająco silny, by zostać przywódcą! Nigdy nie będziesz dość dobry!

Pokonałem dzielącą nas odległość trzema długimi krokami i uderzyłem go prosto w twarz. Upuścił wiaderko i padł na podłogę. Krwawił z nosa; cienka skóra na jego policzku była zaczerwieniona i pęknięta. Pochyliłem się, złapałem go za koszulę i postawiłem z powrotem na nogi. Otworzył usta, więc uderzyłem go ponownie, ale tym razem trzymałem go drugą ręką za koszulę i nie pozwoliłem mu upaść.

- Nie jestem słaby - wycodziłem przez zęby. Głos mi drżał, ale nie ze strachu, raczej z wysiłku, jaki wkładałem w kontrolowanie gniewu. - Jestem wystarczająco silny, by zrozumieć, że fidus to zło i że to raczej twoje próby kontrolowania ludzi są słabością. Gdybyś był naprawdę silny, nie potrzebowałbyś środków odurzających, które odwalają za ciebie całą czarną robotę.

Dopiero gdy kończyłem to mówić, dotarło do mnie, że mój głos był jedynym dźwiękiem rozlegającym się w laboratorium.

- Co ty zrobiłaś?! - krzyknął znów Najstarszy, lecz tym razem do Amy.

Odwrociłem głowę. Podczas gdy ja białem i rugałem Najstarszego, Amy podkrađła się do pompy, znalazła z boku jakąś kłapkę i po prostu wyrwała ze środka garść kabli.

A teraz ścisnęła w dłoni kolorową wiązkę, uśmiechając się szeroko.

- Chyba mi się udało - oznajmiła.

73

AMY

Gdyby Najstarszy nie zachowywał się jak podły, szalony tyran, być może zrobiłoby mi się go żal na widok jego złamanego nosa i rozciętej wargi. Nie zapomniałam jednak, że planował mnie zabić - i to właściwie dwa razy, bo przed chwilą powiedział Doktorkowi, że zabiorą mnie później na trzecie piętro. Mówiąc krótko, nie miałam w sobie ani odrobiny współczucia dla tego starego dupka.

Doktorek położył Starszemu rękę na ramieniu.

- Starszy, potrzebujemy tego leku. Tylko dzięki kontroli, jaką nam zapewnia, statek jeszcze funkcjonuje.

Starszy był bliski przyznania mu racji, widziałam to w jego oczach.

- Nieprawda - zawołałam, chcąc zwrócić na siebie jego uwagę i przypomnieć mu, jak to świństwo zabiło moje uczucia. - Tak, bez leku będzie nam trudniej. Tak, prawdopodobnie łatwiej zniesiemy całe życie bez widoku nieba, jeśli nafaszerujemy się narkotykiem po same uszy. Ale to nie jest prawdziwe życie. Pośród tych wszystkich smutków - patrzyłam na Starszego, a on wiedział, że mówię teraz o Harleyu - istnieje także radość. Nie można mieć jednego bez drugiego.

Starszy zrobił krok w moją stronę, odsuwając się od lekarza i Najstarszego.

- Nie potrafiłbym być takim przywódcą, jakim ty chciałbyś mnie widzieć - stwierdził.
- Nigdy, przenigdy nie stanę się takim przywódcą. I będę dzięki temu lepszy.

Najstarszy odwrócił się do Doktorka.

- Zrób to - powiedział.

- To znaczy co?

Doktorek nie widział teraz nikogo poza Najstarszym.

- Stworzymy nowego. Użyjemy innych replikatorów DNA. Pozbędziemy się tego i stworzymy nowego.

- Kogo stworzycie? - odezwał się Starszy. Jego oczy były wielkie jak spodki, wyglądał, jakby bał się własnych podejrzeń.

Najstarszy odwrócił się do Starszego.

- Ty gzyfowy idioto! Aż trudno uwierzyć, że dzielimy to samo DNA!

- O czym ty mówisz? - spytał Starszy drżącym głosem. - Jesteś moim... ojcem?

- To jest twój ojciec! - Najstarszy wskazał stół pod ścianą, na którym leżały wielkie strzykawki i jeden z potężnych cylindrów z bursztynowym płynem i embrionami.

- To znaczy... To znaczy, że wstrzyknąłeś mojej matce swoje DNA?

Najstarszy zawył z frustracji.

- Nigdy nie miałeś matki, jesteśmy tą samą osobą! Najstarsi się nie rodzą, są klonowani. Pod względem DNA niczym się nie różnimy. Szesnaście lat temu wyciągnąłem cię ze słoika i umieściłem w probówce.

- Nie jesteśmy tacy sami - oburzył się Starszy.

- Jeśli chodzi o kod genetyczny, każdy kolejny Najstarszy stanowi dokładną replikę poprzedniego - oznajmił Najstarszy.

Ja jednak wiedziałam, że Starszemu chodziło o zupełnie inne różnice.

- A więc to dlatego mamy wszędzie taki sam dostęp, to dlatego skanery biometryczne otwierają dla nas te same drzwi - wymamrotał Starszy, a ja przypomniałam sobie przyjemny kobiecy głos komputera: „Najstarszy/Starszy, dostęp przyznany”. Skanery ich nie rozróżniały, ponieważ byli dla nich tą samą osobą.

- Mam to gdzieś! - krzyknął Starszy, przeszywając wzrokiem swojego nauczyciela. - Nic mnie nie obchodzi, że jesteśmy tacy sami. Na pewno nie jestem tobą i nie zamierzam podejmować takich decyzji jak ty. Mam gdzieś twoje lekcje i twoje zasady, nie będziesz mnie więcej pouczać!

Usłyszałam za plecami odgłos kroków. Wszyscy byli skupieni na Starszym i nikt poza mną nie zauważył mężczyzny z blizną na szyi, który zbliżył się do nas niemal bezszelestnie. Orion podniósł wiaderko z fidusem, które upuścił Najstarszy. Dopiero gdy się schylił, jego ruch przyciągnął uwagę Doktorka i Starszego. Najstarszy dostrzegł go jako ostatni i wybałuszył ze zdumienia oczy.

- On tu jest - wyszeptał tak cicho, że musiałam domyślać się jego słów. Zerknął na Doktorka i natychmiast przeniósł wzrok z powrotem na Oriona. - Przysięgałeś, że on nie żyje.

- Bo nie żyje - - odparł Orion, unosząc wiaderko nad głowę. - Starszy, którego stworzyłeś, zginął. Teraz jestem Orionem. Łowcą.

Najstarszy otworzył usta, gotów wrzeszczeć, protestować i gromić, ale Orion uciszył go, wylewając mu na głowę wiaderko fidusa.

- Do tyłu! Nie dotykajcie go! - krzyknął lekarz, kiedy lepka, kleista maź spłynęła po ciele Najstarszego. Orion cofnął się z uśmiechem na ustach. W pierwszej chwili Starszy drgnął, jakby chciał pomóc Najstarszemu, ale po namyśle znieruchomiał.

Maska gniewu starego przywódcy roztapiała się pod grubą warstwą fidusa. Najstarszy przechylił głowę jak zaciekawione dziecko. Zmiękły mu kolana i osunął się na podłogę, wyciągając przed siebie nogi. Podparł ciężar tułowia na rękach, a twarz rozjaśnił mu leniwy, beztroski uśmiech, lecz już po chwili uleciały z niego wszelkie emocje. Przez krótką chwilę Najstarszy wyglądał na łagodniejszego i spokojniejszego niż kiedykolwiek wcześniej. Później jego dłonie ześlizgnęły się po posadzce, pozbawiając ciało oparcia. Nie starał się jednak zamortyzować uderzenia i jego czaszka wydała tak paskudny trzask, że wzdrygnęłam się odruchowo. Fidus rozlał się po jego ciele niczym wielka plama krwi. Nasłuchiwałam w napięciu płytkich oddechów, dopóki całkiem nie umilkły.

Najstarszego ogarnął w końcu śmiertelny spokój.

STARSZY

- Zabiłeś go.

Orion patrzył na mnie, szczerząc zęby, wyraźnie zadowolony z tego, co zrobił.

- Nie musisz mi dziękować - powiedział.

Jakaś część mnie cieszyła się z takiego rozwoju wypadków. Najstarszy był tyranem, okrutnym dyktatorem. Traktował wszystkich mieszkańców „Błogosławionego” - łącznie ze mną - jak przedmioty, a nie jak prawdziwych ludzi.

Ale był także człowiekiem, z którym spędziłem trzy lata i który miał największy wpływ na moje wychowanie; człowiekiem, do którego, jak dotychczas sądziłem, mogłem się zwrócić z każdym problemem.

A teraz zostało z niego tylko lepkie, obślizgłe truchło.

Chciałem zapytać dlaczego, ale już znałem odpowiedź.

Mimo to czułem, jak do oczu napływają mi piekące łzy. Był najlepszą namiastką ojca, jaką kiedykolwiek miałem.

Orion odstawił puste wiaderko na podłogę i ruszył w moją stronę z wyciągniętą ręką. Chwyciłem ją odruchowo - wciąż nie potrafiłem oderwać wzroku od Najstarszego.

- Wiedziałem, że staniesz po mojej stronie - oznajmił Orion, potrząsając moją dłońią w entuzjastycznym uścisku. - Z początku miałem pewne wątpliwości, bo Najstarszy długo trzymał cię na smyczy i nie zareagowałeś na odłączenia tak, jak ja bym zareagował, ale koniec końców wiedziałem, że staniesz po mojej stronie.

- Po twojej stronie? - Wreszcie przeniósłem spojrzenie z martwego, nieruchomego ciała na Oriona, który, jako poprzedni Starszy, teoretycznie stał się teraz przywódcą statku.

- Kiedy zacząłem głośno mówić, co mi się nie podoba, Najstarszy wysłał mnie do Doktora. Kazał mu zabrać mnie na trzecie piętro. Zgadza się, Doktoru?

Doktor przytaknął bez słowa. Rozglądał się wielkimi oczami, a ja nie byłem pewien, czy bardziej ze zdumienia, czy ze strachu.

- Doktor był moim przyjacielem, co nie, Doktoru?

Tym razem Doktor nie skinął głową. Wpatrywał się w ciało Najstarszego.

- Wydawało mi się, że przy odpowiedniej dawce fidusa... - szepnął. Odwróciłem od niego wzrok. Zawsze twierdził, że nie ma takiego problemu, którego nie dałoby się rozwiązać jakąś pigułką. Dla niego leki były potężniejsze od ludzi.

- Nie mogłem pozwolić, żeby Najstarszy mnie znalazł, więc pierwsze, co zrobiłem... - Orion podniósł rękę do miejsca za uchem, gdzie powinien znajdować się jego wikom, i zgiął palce, a gdy po chwili rozwarł dłoń, dostrzegłem na jego kciuku krętą bliznę. - To było

okropne. Najgorsza rzecz, jaką kiedykolwiek musiałem zrobić - wyrwać sobie kawałek ciała własnymi rękoma. Miałem wrażenie, jakbym wyrwał sobie fragment duszy.

W laboratorium zapadła cisza, którą zakłócało tylko kapanie fidusa.

- Doktorek zauważył, że zniknąłem z lokalizatora wikomów - ciągnął Orion - a Najstarszy rzadko opuszczał Poziom Sternika, więc... ukrywanie przed nimi prawdy nie było zbyt trudne. Poprzedni Nagrywacz miał... wypadek, a ja wcieliłem się w nową rolę.

- Dlaczego nigdy nam pan nie powiedział? - spytała Amy, patrząc na Doktora.

- Bo nie wiedziałem - wyszeptał skruszonym tonem Doktorek, znów wpatrzony w ciało Najstarszego. - Myślałem... miałem nadzieję, że on... Ze popełnił samobójstwo. - Spojrzał na Oriona. - Tak mi się wydawało, że tamtej nocy, przy Sali Nagrań, że to byłeś ty. - Na chwilę zamilkł. - Ale minęło już siedemnaście lat.

- Och, znalazłbyś mnie znacznie wcześniej, gdybyś się tylko dobrze rozejrzał - rzucił Orion. - Przez pierwszy rok nie wychodziłem z ukrycia. Chowałem się po kątach, spałem między rurami i kablami, ale bardzo szybko dotarło do mnie, że nikt mnie nie szuka. Wystarczyło wymyślić sobie nowe imię i znaleźć nowy dom. Ci idioci, których własnoręcznie wyhodowaliście, zaakceptowali mnie bez mrugnięcia okiem. Tylko że wiedza o tym, co robi Najstarszy, nie dawała mi spokoju. - Odwrócił się do mnie. - Na tym statku dzieje się tyle złych rzeczy... Fidus to wierzchołek góry lodowej. Dowiedziałeś się już o usterce silnika? - Przytaknąłem. - Świetnie. I na pewno wiesz o misji?

- O misji?

- Prawdziwej misji „Błogosławionego”.

- To znaczy? - odezwała się Amy. Podeszła do mnie i chwyciła mnie za rękę, dając mi siłę, tak jak ja dałem jej wtedy, gdy płakała.

- Zastanawiałeś się kiedykolwiek, po co tu jesteśmy? - spytał Orion, ignorując Amy.

- Zeby sterować statkiem...

- Statek leci na autopilocie. Dotrze do Centauri Ziemi bez naszej pomocy.

- I żeby...

- Nie - przerwał mi Orion. Nie zamierzał słuchać, co mam do powiedzenia. - Wszystko, co mówił ci Najstarszy, to stek kłamstw. Dobrze pamiętał o mojej zdradzie i wiele rzeczy wolał trzymać w tajemnicy. A tak naprawdę istnieje tylko jeden powód, dla którego musimy żyć na pokładzie tego statku. Znajdźcie go tam. - Wskazał na drzwi prowadzące do komór kriogenicznych, gdzie leżeli rodzice Amy.

- To znaczy? - powtórzyła Amy, tym razem bardziej natarczywie.

- Wiesz chociaż, po co lecą z nami zamrożeni?

- Są ekspertami w dziedzinie terraformowania, środowiska naturalnego i obrony.

Orion parsknął śmiechem.

- Chyba raczej ekspertami w odbieraniu nam planety.

- To nie ma żadnego sensu - powiedziałem, mocniej ściskając dłoń Amy.

- To oni są kolonistami, a nie my. Nigdy nie mieliśmy nimi być. Kiedy wreszcie dotrzemy do celu, wykorzystają nas. Zapręgą jak niewolników do swoich projektów, a jeśli na Centauri Ziemi żyją jacyś obcy, zrobią z nas żołnierzy. Będziemy dla nich pracować lub ginąć. Wsadzili naszych przodków na statek tylko po to, by wyhodować sobie niewolników i żołnierzy. Nie było żadnych innych powodów.

Amy zachłysnęła się powietrzem.

- To dlatego zabijałeś tylko tych zamrożonych, którzy mają doświadczenie wojskowe. Myślisz, że zmuszą ludzi urodzonych na statku do walki, gdy wylądujemy.

- Ja nie myślę, ja to wiem! - krzyknął Orion, a ja nagle dostrzegłem w nim podobieństwo do Najstarszego. - Jeśli nie będziemy mieli z kim walczyć, wykorzystają swoje umiejętności, aby zmusić nas do niewolniczej pracy. Przecież to idealny plan, wyhodować sobie cały kontyngent ludzi przeznaczonych na stracenie, podczas gdy oni śpią!

- Ale dlaczego w takim razie odłączyłeś mnie? - spytała Amy rozpaczliwym szeptem.

- Kiedy mnie wyciągnąłeś, musiałeś przecież zauważyć, że nie jestem moim ojcem. Dlaczego nie schowałeś mnie z powrotem do środka, żeby lód nie stopniał? Dlaczego pozwoliłeś mi się obudzić?

Orion spojrzał na mnie znacząco, rozciągając usta w złośliwym uśmiechu. Zacisnąłem pięści, a on uniósł brew.

- Ja też mam swoje tajemnice - uciął, odwracając się do Amy.

- Tato nie jest poganiaczem niewolników - ciągnęła tymczasem Amy. - Nawet gdyby żyli tam jacyś wrogo nastawieni obcy, na pewno nie zmusiłby was do walki.

Orion wzruszył ramionami.

- Nie możesz być tego pewna, a poza tym - dodał szybko, nie pozwalając jej zaprotestować - lepiej dmuchać na zimne.

- Chcesz się zabezpieczyć, zabijając mojego ojca!

Spojrzał na leżące za nią ciało Najstarszego. Nie było po nim widać wyrzutów sumienia.

- Cóż, jeśli ci się to nie podoba... - Podeszedł do pustego cylindra kriogenicznego po drugiej stronie pomieszczenia i otworzył drzwi, gestem wskazując jego wnętrze. - Zapraszam do środka. Prześpisz całą podróż i przekonasz się na własne oczy, jakim człowiekiem jest

twój ojciec. O ile, rzecz jasna - dodał w zamyśleniu - razem ze Starszym pozwolimy mu do tego czasu przeżyć.

- Niczym się od niego nie różnisz! - syknęła Amy z palcem wycelowanym w martwe ciało Najstarszego.

- A wiesz, co jest najlepsze? - spytał Orion. - Fakt, że Starszy w pewnym sensie zgadza się ze wszystkim, co mówię.

- Nie, wcale nie... - obruszyłem się na widok oskarżenia lśniącego w pięknych oczach Amy.

- Jak również fakt, że to właśnie obecny tu Starszy podsunął mi pomysł z odłączaniem zamrożonych.

Amy zasłoniła dłonią usta. Teraz w jej oczach lśniła odraza, i to ja byłem jej przyczyną.

- Nie wierz mu - odezwałem się błagalnym tonem.

- Kiedy to prawda. Nawet nie zdawałeś sobie sprawy, co, Starszy? - Orion wybuchnął śmiechem, a ja zacząłem się zastanawiać, ile tak naprawdę wie. Przyjrzałem się jego twarzy i z zaskoczeniem zobaczyłem w niej swoją własną. Mieliśmy identyczne DNA, ale to wcale nie oznaczało, że jesteśmy tą samą osobą. Czy to jednak możliwe, aby w nasz kod genetyczny były wplecione takie same uczucia, wątpliwości i obawy?

- Dlaczego sam jej nie powiesz? - podpuszczał mnie Orion. - Chyba że wolisz, żebym ja to zrobił?

- Czego mi nie powiesz? - spytała Amy.

Zaciskając pięści, ruszyłem przez laboratorium do Oriona, który wciąż stał przy cylindrze kriogenicznym.

- Niezła z niej ślicznotka - mruknął do mnie, żeby Amy i Doktorek nie słyszeli. - Naprawdę niezła. To dlatego w końcu się zdecydowałeś?

- Zamknij się - warknąłem.

Nie pozwól, żeby pokrzyżowała nam plany.

Doskonale zdawałem sobie sprawę, że istnieje mnóstwo logicznych przesłanek, dla których powinienem to zrobić. Orion wydawał się równie szalony, jak Najstarszy, a jego metody sprawowania władzy tak samo, jeśli nie bardziej zwyrodniałe. Wiedziałem, że nigdy nie zdołam wybić mu z głowy planu zabicia zamrożonych, a poza tym powinienem ukarać go za te morderstwa, które już popełnił.

Mimo to wepchnąłem go do cylindra kriogenicznego z zupełnie innych powodów.

- Wypuść mnie! - krzyknął, ale ja nie słuchałem.

Przekręciłem gałkę. Zawieszony nad cylindrem zbiornik z chłodziwem kriogenicznym otworzył się, wylewając na głowę Oriona płyn nakrapiany błękitnymi iskierkami.

- Do gzyfa, otwieraj! - Zaczął drapać w drzwi paznokciami, a jego twarz wykrzywił pierwotny strach. Amy stanęła obok mnie, patrząc na niego przez niewielkie okienko. Orion zauważył ją i w jego oczach pojawiła się wściekłość. Otworzył usta, by coś wykrzyknąć.

Więc przekręciłem gałkę jeszcze mocniej.

Chłodziwo kriogeniczne spływało coraz szybciej, zalewając mu usta. Już po chwili jego głowa w całości znalazła się pod wodą. Policzki miał wydęte, oczy przekrwione i wytrzeszczone. Przycisnął dłoń do okienka, a ja dostrzegłem poszarpaną bliznę na jego kciuku - gdyby nie ona, nasze odciski palców byłyby identyczne.

- Zamroź go, bo inaczej umrze - powiedział Doktorek. - Zresztą i tak nie ma gwarancji, że przeżyje. - Wzruszył ramionami. - Nie przygotowałeś go do zamrożenia.

Spojrzałem Orionowi w oczy i zobaczyłem w nich siebie.

Uderzyłem pięścią w wielki czerwony przycisk.

Z cylindra trysnęła smuga białej pary.

75

AMY

Starszy wpatrywał się przez okienko w zamrożoną twarz Oriona. Objęłam go w pasie i spróbowałam odciągnąć, ale nie przesunął się nawet o pół cala, więc po prostu go trzymałam.

- Już po wszystkim - stwierdził Doktorek. - Jesteś teraz Najstarszym, chyba że zamierzasz go jeszcze obudzić.

Poczułam, jak Starszy sztywnieje.

- Nie - pokręcił głową. - Po lądowaniu osądzą go ci, których próbował zabić.

Pomyślałam o ojcu, zastanawiając się, jakim będzie sędzią, ale nie potrafiłam wyobrazić sobie takiego wyroku, który wzbudziłby moje współczucie.

- I jak mam teraz dowodzić statkiem pełnym ludzi? - spytał Starszy przez ściśnięte gardło. - Gdy tylko fidus przestanie działać, zrozumieją, że byli okłamywani. Będą wściekli. Znienawidzą zarówno Najstarszego, jak i mnie.

- Nie znienawidzą cię - szepnęłam mu do ucha. - Na początku uwolnią swój gniew, bo to będzie pierwsze uczucie, jakie naprawdę przeżyją, ale zdadzą sobie sprawę, że są jeszcze inne emocje, i będą ci za nie wdzięczni.

- Zostaniesz ze mną? - spytał szeptem, a ciepło jego oddechu utworzyło mgiełkę na szybie, za którą znajdowała się twarz Oriona.

- Bez względu na wszystko.

Starszy wcisnął guzik za uchem i wygłosił komunikat do całego statku, tak jak zrobił to Najstarszy, gdy wmówił wszystkim, że mają się mnie bać. Komunikat był krótki. W zrozumiałych prostych słowach Starszy wytłumaczył pasażerom, że znajdowali się dotychczas pod wpływem środka odurzającego i że już niebawem zaczną stopniowo odzyskiwać emocje. Radził, by mimo to zachowali spokój i troszczyli się przede wszystkim o zdrowie kobiet w ciąży.

Doktorek błagał, żebym oddała mu kable. Chciał naprawić pompę.

- Powinniśmy przynajmniej kontynuować podawanie hormonów - nalegał - żeby nie zaczęli współżyć z krewnymi.

- Większość ludzi świadomie nie chce żyć w związku kazirodczym - odpowiedziałam rzeczowym tonem. - Gdy tylko otrząsną się z działania fidusa, wytłumaczymy im, czym jest kazirodztwo i jakie są jego skutki. Zalecimy, żeby zrobili sobie badania krwi, zanim zaczną uprawiać seks. Ma pan ten skaner do analizowania DNA. Moglibyśmy wrócić do prowadzenia drzew genealogicznych.

Podalam kable Starszemu.

Doktorek odwrócił się do niego, ale oczy Starszego były zimne i nieugięte.

- Koniec z faszerowaniem ludzi lekami.

I to by było na tyle.

Nieco później mężczyźni z rękami w grubych rękawicach zabrali zatrute ciało Najstarszego i wyrzucili je przez śluzę w ślad za Harleyem. Doktor umieścił Oriona w pustej komorze kriogenicznej, a my wróciliśmy do mojego pokoju, gdzie czuwał nad nami spoglądający z płótna Harley. Starszy nadał drugi komunikat, będący dokładną kopią komunikatu Najstarszego: wszyscy mają się stawić na Poziomie Strażnika.

Przed wyjściem musieliśmy jednak porozmawiać o prawdzie.

- Właśnie to zabiło Harleya - powiedziałam. - Prawda. Kiedy dowiedział się, że nigdy nie zejdzie z pokładu tego statku... - Zamilkłam, dławiąc się własnymi słowami.

- Uznał, że nie potrafi żyć z tą prawdą - dokończył za mnie Starszy.

- Powinniśmy byli się domyślić, że to nie Najstarszy zabija zamrożonych. Najstarszy wiedziałby, że będziesz próbował poznać prawdę, a on chciał ją ukryć - przed tobą i przed wszystkimi innymi.

Starszy popatrzył na swoje dłonie i przeniósł wzrok z powrotem na obraz.

- Gdzieś w środku czuję, że nie możemy podzielić się z nimi całą prawdą.

Chciałam odpowiedzieć, ale on jeszcze nie skończył:

- Czuję, że prawda ich zabije, tak jak zabiła Harleya. Ta prawda jest wielka, doniosła, nie wystarczy jej tak po prostu oznajmić. Musimy pozwolić, żeby ludzie sami ją odkryli.

Starszy poszedł na Poziom Strażnika sam. Już niebawem stanie na podwyższeniu i powie prawdę - część prawdy - ludziom, którzy po raz pierwszy w życiu czują.

Powie im, że teraz to on jest Najstarszym i że poprzedni Najstarszy nie żyje.

Powie o fidusie, o hormonach w wodzie i o kłamstwie, jakim są Gody.

Z początku będą źli, ba, wściekli, ale w końcu zrozumieją, że odczuwają i że Starszy postąpił najlepiej, jak mógł.

Powie im o silniku, ale nie powie, ile lat wynosi nasze opóźnienie. Wszyscy, którzy interesują się mechaniką, pójdą wraz ze sternikami obejrzeć silnik i spróbują pomóc naukowcom rozwiązać problem.

Nie powie im o Orionie ani o zamrożonych, ale nie będzie też zatajać prawdy.

Podczas gdy on mówi ludziom tyle, ile obecnie może, ja spisuję wszystko, co wiem, na kartkach wyrwanych z notatnika, który moi rodzice zabrali z Ziemi. Złożę te kartki na pół i zostawię je w Sali Nagrań. Będą tam czekać na każdego, kto jest na tyle zdeterminowany, by ich szukać.

Wielu zrezygnuje. Nie będzie im zależało na prawdzie ani tym bardziej na jej poszukiwaniach. Niektórzy nie uwierzą. Ale jeszcze inni będą jej potrzebować, pragnąć, szukać, i w końcu zaakceptują ją taką, jaka jest.

Później zamierzamy poświęcić się ze Starszym pracy w Sali Nagrań. Ja przepiszę na nowo tyle zafalszowanej historii, ile tylko zdołam. Wszystkie pliki dotyczące przeszłości Ziemi będą dostępne dla każdego, kto zechce je zobaczyć. Starszy namówi swoich ludzi, aby nagrywali życie mieszkańców statku i poczuli, że są czymś więcej niż tylko zapomnianym cieniem maszyny lecącej przez pustkę kosmosu.

Ale teraz otwieram niebieski notatnik na kilku niezapisanych stronach. Przez chwilę trzymam długopis nad kartką, aż w końcu powoli kreślę pierwsze słowa.

(Drodzy Włamo i Tato.

76

STARSZY

Uświadomiłem to sobie w pełni pierwszej nocy po śmierci Najstarszego i zamrożeniu Oriona - choć wszyscy trzej mieliśmy to samo DNA, w niczym ich nie przypominałem. Prawda o statku wpłynęła na każdego w inny sposób, jednego zamieniając w dyktatora, drugiego w socjopatę.

Przecież pod pewnymi względami byliśmy tacy sami. Zostaliśmy ukształtowani z tego samego materiału genetycznego, wychowani z tą samą wiedzą i znajomością tej samej prawdy. A mimo to jeden z nas próbował ukryć tę prawdę za pomocą kłamstw i kontroli, drugi próbował zmienić ją poprzez chaos i morderstwa, a ja... Ja wciąż próbuję zrozumieć, czym jest ta prawda. I co z nią zrobić.

Czy okłamałem swoich ludzi, nie mówiąc im o Orionie?

Czy popełniłem błąd, dając im dostęp do wiedzy, która może ich zabić, tak jak zabiła Harleya?

I jakie miałem prawo wypowiadać się tak kategorycznie na temat prawdy, jeśli moją największą radością był fakt, że nie pozwoliłem Orionowi wyznać prawdy Amy?

Czy koniec końców nie byłem dokładnie taki sam jak Najstarszy i Orion, jeśli pozwoliłem wierzyć jej w kłamstwo?

PRZESZŁOŚĆ

STARSZY

Oto, co się stało.

Co się stało naprawdę.

Zobaczyłem ją w tym przezroczystym pojemniku. Była inna, pod wieloma względami. Nie potrzebowałem zachodu słońca z SolZiemi, bo ona je miała - słońce we włosach, zakłete nieruchomo w lodzie, i skórę bladą jak owcze runo. I była młoda. Jak ja.

Nigdy tego nie zrozumie.

Zszedłem później na dół jeszcze raz, żeby na nią patrzeć i marzyć. Zastanawiać się, co mogłaby mi powiedzieć o SolZiemi. Myśleć, że ona - jako jedyna na tym całym gzyfowym statku - będzie podczas Godów w moim wieku.

Ze wreszcie przestanę być sam.

I wtedy coś usłyszałem. Cichutki szept w moim umyśle, prawie niesłyszalny głos, który prawie - lecz nie do końca - udało mi się zignorować.

Ten głos przyniósł pytanie. Brzmiało ono:

A jeśli ją odłączę?

W pierwszej chwili naprawdę go zignorowałem, ale to pytanie było coraz głośniejsze. I głośniejsze. I głośniejsze.

Przemieniło się w krzyk.

Więc w końcu, żeby je wreszcie uciszyć, sięgnąłem do skrzynki nad głową Amy i przestawiłem przełącznik. Patrzyłem, jak migoczące światelko z zielonego robi się czerwone.

A głos w mojej głowie odetchnął z ulgą, po czym wyszeptał do mnie słowa

pocieszenia; powiedział, że dziewczyna uśmiechnie się, gdy tylko lód stopnieje.

Nie miałem zamiaru nigdzie się ruszać; chciałem patrzeć, jak się przeciąga i ziewa, jak wychodzi ze szklanego pojemnika. Być tam, gdy zamruga powiekami, a uśmiech rozjaśni jej twarz.

Nagle jednak usłyszałem...

...Oriona, który szamotał się w ciemnościach, słuchając własnego głosu, ale wtedy o tym nie wiedziałem. Przysięgam, nie wiedziałem, że to on. Ze mnie obserwuje.

Więc pognałem do windy i ukryłem się w ogrodzie, udając, że nie dotykałem żadnego przycisku i nie przywróciłem do życia żadnej dziewczyny.

Niedługo później rozbrzmiał alarm.

Jego wycie - aruuu! aruuu! - stopiło się z krzykiem Amy.

Krzykiem bólu.

A później żalu. Smutku. Straconych marzeń i nadziei.

To ja zniszczyłem te marzenia.

Ja.

Nic nie przyniosło jej ukojenia, nawet miłość, której nie chciała zauważyć.

A Doktorek powiedział, że nie będzie mogła wrócić. Nigdy.

I wtedy zrozumiałem...

Ze nie będę mógł wyznać jej prawdy. Nigdy.

77

AMY

Siedziałam przed włazem służby spustowej, oparta o chłodny metal ściany. Patrzyłam przez okienko na gwiazdy, myśląc o Harleyu. Ciekawe, co czuł podczas tej krótkiej chwili dzielącej otwarcie się służby i śmierć.

Przychodziłam tu dość często. Ludzie, którzy wcześniej byli bierni jak marionetki, po przebudzeniu nagle zmienili się w odkrywców. Chodzili do ogrodu i do Szpitala, by czytać książki Yictrii, słuchać gry Bartiego na gitarze i oglądać ocalałe obrazy Harleya. Niektórzy przesiadywali nawet w Sali Nagrań i wychodzili z niej z szeroko otwartymi oczami. Niewiele zostało już miejsc takich jak to, gdzie mogłam cieszyć się prawdziwą samotnością. Starszy uważał, że wpuszczenie ludzi na poziom kriogeniczny wiąże się ze zbyt wielkim ryzykiem, chociaż niektórzy wiedzieli już o jego istnieniu. Zgodziłam się z nim. Nie chciałabym, żeby ktokolwiek wpadł na ten sam pomysł, co Orion. Krzyżyk namalowany na komorze taty jeszcze nie zniknął, mimo że przez wiele godzin szorowałam drzwiczki.

Starszy naprawił i ulepszył zamek szyfrowy, dzięki czemu po wstukaniu kodu śluza otwiera się aż do anulowania komendy i mogę patrzeć na gwiazdy tak długo, jak mi się podoba. Wciąż daleko mi stąd do domu, ale bliżej już chyba nigdy nie będę.

Wpatrywałam się w gwiazdy. Jest ich tak wiele, znacznie więcej, niż widać z powierzchni Ziemi. I choć całe niebo jest nimi gęsto usiane, wiem, że tak naprawdę dzielą je lata świetlne. Wyglądają jak brokat, który mogłabym nabrać w ręce i potrząsnąć, zmusić, by wirowały i dotykały się nawzajem. Tak naprawdę jednak są od siebie zbyt oddalone; nie czują własnego ciepła, choć zostały stworzone z ognia.

Oto tajemnica gwiazd, pomyślałam. Koniec końców wszyscy jesteśmy sami. Bez względu na to, jak blisko wydają się inni, nawet nie mogą nas dotknąć.

- Amy?

Starszy stanął nade mną. Przez chwilę wyglądał dziwnie złowrogo, jak sęp.

Zaryzykowałam i uśmiechnęłam się.

- Cieszę się, że już po wszystkim - powiedziałam.

Nie odwzajemnił mojego uśmiechu.

- Co za ulga. Myślę, że życie tutaj nie będzie takie złe. Grunt, że nie muszę od rana do nocy martwić się o rodziców. Ech, to zabrzmiało niewdzięcznie. Wiesz, co mam na myśli.

- Amy.

Spojrzałam na niego. Jego twarz była śmiertelnie poważna.

- No, co jest? - spytałam, śmiejąc się, ale to nie wystarczyło, żeby zamaskować zdenerwowanie. - Coś się stało? - Zgięłam palce, drapiąc paznokciami zimną metalową posadzkę. - Z moimi rodzicami? To jednak nie był Orion?

- Nie, nie, nic z tych rzeczy. - Starszy przygryzł wargę.

- W takim razie co? Siadaj koło mnie - zaproponowałam, ale on nadal stał.

- Muszę ci coś powiedzieć - oznajmił takim tonem, że nie mogło chodzić o nic dobrego.

- No co?! - krzyknęłam w końcu, nie mogąc znieść tej ciszy.

78

STARSZY

- To ja cię odłączyłem, I

79

AMY

Poczułam uderzenie serca - pojedyncze, mocne uderzenie serca - a zaraz potem odniosłam wrażenie, że krew odpływa mi z ciała, zabierając z sobą wszelkie emocje. Znowu byłam pusta w środku, znowu byłam zamrożona i zdrętwiała... Chociaż to nieprawda, bo gdy tylko o tym pomyślałam, emocje powróciły. Czułam wszystkim - nie widziałam, nie oddychałam, ale czułam.

A tym uczuciem był gniew.

Przez chwilę pomyślałam: myliłam się. Lepiej już nie czuć nic, niż czuć to. Wtedy jednak...

Moja głowa przestaje działać.

Zaczęłam krzyczeć, nie rozumiejąc słów, które wydobywały się z moich ust. Stałam - nie pamiętałam, żebym wstawała, lecz mimo to stałam. Rzuciłam się na Starszego. Chciałam zrobić mu krzywdę, nieważne jak, ważne, żeby zadać mu ból, może to wystarczy. Trafiłam pierwszym ciosem i już wiedziałam, że bardziej go zaskoczyłam, niż zraniłam, choć na jego kości policzkowej pojawił się czerwony ślad. Palce miałam zakrzywione w szpony, ale on złapał mnie za nadgarstki, nie pozwalając wziąć kolejnego zamachu. Przytrzymał mi ręce. Próbowałam kopać, lecz moje nogi były zbyt krótkie, by go dosięgnąć, więc zrobiłam ostatnią rzecz, na którą było mnie jeszcze stać w tej sytuacji. Cała złość wyrwała się z głębi mojego gardła.

- Przepraszam... - wymamrotał Starszy.

Przepraszam? Przepraszam?! Przepraszam to za mało. Każda najdrobniejsza rzecz, jaką kiedykolwiek kochałam, znalazła się poza moim zasięgiem. Wszystko, czego pragnęłam, i wszystko, czym byłam.

- Mogłam umrzeć! - krzyknęłam. - Prawie się utopiłam!

- Nie wie... wiedziałem - wyjąkał - bo to było, to było... niech to gzyf, nie wiedziałem, że ty, że ty...

Chciałam zapytać, dlaczego to zrobił, tyle że nie było żadnego „dlaczego”, widziałam to w jego oczach. Nie chciał mnie skrzywdzić. Nie chciał odebrać mi jedynej szansy, bym znowu zobaczyła rodziców, i nie chciał uwięzić mnie w metalowej klatce.

Zabić równie skutecznie, jakbym umarła już na Ziemi.

Po prostu to zrobił.

Nie było żadnego „dlaczego”, tak jak nie było powrotu.

- Chciałem, żebyś знаła prawdę.

Sztywnieję.

Coś we mnie pęka; prawda trze boleśnie o moje kości.

Tato okłamał mnie, gdy powiedział, że mogę wybrać, czy z nimi polecę. On podjął za mnie wybór, a pusty kufer na poziomie kriogenicznym był tego najlepszym dowodem.

Jason pozwolił mi wierzyć w to, w co sama chciałam wierzyć.

Cały ten statek nie rozleciał się jeszcze na kawałki wyłącznie dzięki metalowi i kłamstwom; każdy tu kogoś oszukiwał lub był oszukiwany.

Każdy oprócz Starszego.

80

STARSZY

Odkąd Amy obudziła się z kilkusetletniego uśpienia, jej twarz nigdy nie była tak nieruchoma. Wyglądała na skamieniałą, nie widziałem na jej powierzchni żadnych pęknięć.

Zacisnąłem pięści w kieszeniach spodni i przypadkiem trafiłem na kable z pompy tłoczącej fidusa. Amy sądziła, że je wyrzucę, wiedziałem o tym, ale ja... ja po prostu nie umiałem. Ciążyły mi w kieszeni niczym kolejne kłamstwo. Nie umiałem jednak uciszyć głosu w mojej głowie, który nieustannie pytał: Potrafisz rządzić bez fidusa?

Obawiam się, że odpowiedź brzmiała: nie.

Powinienem jej powiedzieć, ujawnić te kable jak grzech na spowiedzi.

Ale wtedy jeszcze bardziej się ode mnie oddali.

- Kiedy cię... odłączyłem - głos mi się łamał, co ostatni raz zdarzyło mi się w wieku czternastu lat - nie wiedziałem, że Doktorek nie będzie mógł włożyć cię z powrotem do komory. Myślałem, że obudzę cię tylko na chwilę, że się poznamy i porozmawiamy, a kiedy już opowiesz mi o SolZiemii, położysz się z powrotem do tego szklanego pojemnika. Nie miałem pojęcia, że to będzie niemożliwe. I że prawie cię zabiję. - Z początku wypowiadałem słowa w pośpiechu, ale z każdym kolejnym zdaniem moje usta poruszały się coraz wolniej, aż w końcu zupełnie znieruchomiały.

Amy też się nie odzywała.

Dotknąłem delikatnie policzka w miejscu, gdzie mnie uderzyła. Będę miał niezłego siniaka. Gdyby wycelowała trochę wyżej, podbiłaby mi oko.

- Naprawdę mi przykro, wiesz? - dodałem.

Amy patrzyła przed siebie - może na metal, który więził ją wewnątrz statku, a może na szybę, za którą widziała wszechświat.

- Wiem - powiedziała w końcu.

Nie brzmiało to zbyt zachęcająco, ale wiedziałem, że lepszego zaproszenia nie dostanę. Oparłem się obok niej o ścianę. Wystający nit wbijał mi się w plecy, ale miałem to

gdzieś. Być może już nigdy nie będziemy bliżej.

Amy się nie odsunęła. Zawsze to jakiś początek.

- Chciałem cię tylko poznać. Nie wiedziałem, że zniszczę całe twoje życie.

Cisza.

Amy nie podnosiła wzroku.

81

AMY

Na krawędzi włazu widać było smugę czerwonej farby. Ostatni ślad po Harleyu.

Za tą farbą i za okienkiem ze szkła bąbelkowego znajdowały się gwiazdy. Wszechświat wyglądał na zimne, samotne miejsce. Przyłożyłam dłoń do okienka. Tutaj też było zimno i samotnie.

- Nie chcę być sama - wyszeptałam i dopiero gdy słowa wybrzmiały w powietrzu, dotarło do mnie, jak bardzo są szczerze.

Bardziej wyczułam, niż usłyszałam ruch Starszego za moimi plecami. Zbliżył się do mnie; zawahał się, ale w końcu wyciągnął rękę. A ja ją odtrąciłam.

Jak Harley.

Wpatrywałam się uparcie w gwiazdy, zadając sobie głęboko w środku pytanie, czy Harley wciąż by tu był, gdyby sięgnął w naszą stronę, a nie w stronę gwiazd.

Zamknęłam oczy i wzięłam głęboki oddech, ale jedyne, co czułam, to zapach metalu. Życie, które kiedyś znałam, odeszło na zawsze. Moje powietrze już nigdy nie będzie pachnieć latem, wiosną, prawdziwym deszczem i śniegiem.

Uniosłam powieki i ujrzałam ostatnią rzecz, którą Harley widział, zanim nas opuścił. Może tajemnica gwiazd nie ma nic wspólnego z samotnością.

Wyciągnęłam rękę do tyłu, a Starszy wciąż tam był. Zawsze był. Chwycił moją dłoń, ale ja znów ją cofnęłam.

Jeszcze nie byłam na to gotowa.

Chociaż... Skoro moje ziemskie życie musi się skończyć, niech skończy się obietnicą.

Niech skończy się nową nadzieją.

Złapałam małym palcem za jego mały palec. Ścisnął go i nagle świat nie wydawał się już taki zimny.

- Nie zostawisz mnie? - spytałam szeptem.

- Nigdy.

Podziękowania

Chciałabym podziękować wszystkim członkom zespołu Penguin Razorbill - bez Was ta książka nie wyglądałaby tak fantastycznie. Szczególne podziękowania należą się Benowi Schrankowi i Gillian Levinson, którzy swoimi uwagami, sugestiami i pytaniami pomogli mi zmienić pierwotny tekst w taką książkę, jaką zawsze chciałam napisać. Dziękuję także Emily Romero, Erin Dempsey, Courtney Wood i wszystkim ludziom z działu marketingu Penguin, jak również mojej niewyobrażalnie utalentowanej graficzce Natalie Sousie.

Nie dołączyłabym do załogi Penguin bez pomocy Merrilee Heifetz, która znalazła dla mnie idealnego wydawcę. Nie udałoby mi się to z kolei bez Jennifer Escott, która znalazła dla mnie idealną agentkę. Dziękuję Wam obu za to, że przeprowadziłyście mnie przez świat publikacji literackich z takim entuzjazmem!

Najfajniejszą częścią pracy każdego pisarza są kontakty z innymi znajomymi pisarzami. Robyn Campbell i Rebecca Carlson pomogły mi stworzyć pierwszy szkic *W otchłani*, dzięki Heather Zundel i Christinie Farley rozłożyłam tę powieść na części i złożyłam od nowa w o wiele lepszym kształcie, a Erin Anderson, P.J. Hoover i Christine Marciniak przekonały mnie, że książka jest już gotowa i powinnam wreszcie zaprezentować ją agentowi.

Większość swojego życia spędziłam w różnyci szkołach, ale najlepiej wspominam sześć lat spędzonych w Burns High School, gdzie uczyłam literatury. Do moich uczniów: wszyscy byliście moimi ulubieńcami. Specjalne podziękowania kieruję do Charly White, która namalowała rybę na moim podium i zainspirowała mnie do stworzenia postaci Harleya. Dziękuję także przyjaciółce i bratniej duszy z pokoju nauczycielskiego, Laurze Parker, oraz drugiej przyjaciółce (która nie jest nauczycielką i wyjątkowo jej z tym dobrze), Jennifer Randolph, za wspieranie mojej kariery pisarskiej.

Na koniec chciałabym podziękować trzem osobom, które zawsze wierzyły w mój talent bardziej niż ja sama i które nigdy nie zwątpiły, że pewnego dnia zobaczę swoje nazwisko na okładce książki: rodzicom, Tedowi i JoAnne Grahamom, i mojemu mężowi, Corwinowi Revisowi.

Dzięki, dzięki, po stokroć dzięki. miLion SŁonc

BETH REVIS

Po obaleniu dyktatury na pokładzie „Błogosławionego” znów panuje radość i spokój. Wkrótce jednak Starszy dowiaduje się, że załoga statku skrywała przed nim tajemnicę, która

może przesądzić o ich przyszłości. Tymczasem Amy, dusząc się coraz bardziej wśród stalowych ścian, rusza tropem wskazówek pozostawionych dla niej przez tajemniczego Oriona, a nowa fala morderstw niespodziewanie staje się zalążkiem buntu... Rozpoczyna się walka o przetrwanie, w której stawką jest życie wszystkich pasażerów. Czy kiedykolwiek dotrą do obiecannej nowej Ziemi?

JPCV;

STARSZY

Pomyślałem o Amy. Kiedy zobaczyłem ją po raz pierwszy, nie potrafiłem oderwać oczu od jej jasnych, ognistych włosów wijących się jak pasma atramentu w wodzie i od skóry tak przezroczystej jak lód, w którym została zamrożona. Teraz, przywołując jej obraz, widziałem jednak zaciśnięte w determinacji szczęki. Amy zawsze wydawała mi się wyższa, kiedy wpadała w złość.

AMY

Kiedyś życie było prostsze. Łatwiejsze. Wszystko było zaplanowane. Rodzice i ja zostaniemy zamrożeni. Obudzimy się po trzystu latach. Planeta będzie już na nas czekała. Z całego planu wyszło właściwie tylko jedno - zostaliśmy zamrożeni. Ale potem ktoś mnie obudził przed czasem - nie. Nie. On mnie obudził przed czasem. Starszy. Nie wolno mi o tym zapomnieć.